

Nagroda Bookera 2006

kiran desai

brzemie rzeczy utraconych

Emerytowany sędzia Patel nienawidzi Hindusów za to, że nie są Anglikami, i Anglików za to, że nimi są. Jedyłą miłością jego życia jest suczka Mutt. Służący sędziego nienawidzi go za brak splendoru, w którego blasku mógłby ogrzać swą starość, ale w jednej chwili oddałby życie za swego jedynaka Bidzu. Bidzu wjechał za namową ojca do Ameryki, gdzie rozpaczliwie stara się nie nienawidzić Amerykanów. Sai, szesnastoletnia wnuczka sędziego, kocha swego korepetytora, Nepalczyka Gjana, równie mocno, jak go nienawidzi. Tylko Kiran Desai potrafi w tak przewrotny i nieco komiczny sposób mówić o nienawiści.

Jej ***Brzemie rzeczy utraconych*** jest pełną nepalskich zapachów i hinduskich przypraw; zaskakująco ciepłą opowieścią o historii zwykłego człowieka, niepostrzeżenie przeradzającą się w historię całego narodu. To książka o poszukiwaniu tożsamości i rozmaitych sposobach (nie)radzenia sobie z bagażem tradycji. O ludziach, którzy są emigrantami we własnym kraju.

Wreszcie pojawił się ktoś, kto śmiało może konkurować z Salmanem Rushdiem i Zadie Smith.

kiran desai

brzemie rzeczy utraconych

przekład jerzy kozłowski

Mojej ukochanej matce

Jorge Luis Borges, *Chełpliwość spokoju*

Gromią mrok świetliste pisma, cudowniej sze niż meteory. Wysokie nierozpoznane miasto pochłania równiny. Pewny swego życia i śmierci przyglądam się zachłannym ludziom i chciałbym ich zrozumieć. Ich dzień jest pożądlivy jak pętla w powietrzu. Ich noc jest wytchnieniem od furii stali, która niebawem zada cios. Mówią o człowieczeństwie.

Moje człowieczeństwo to poczucie, że jesteśmy głosami tego samego ubóstwa. Mówią o ojczyźnie.

Moją ojczyzną jest puls gitary, kilka portretów, wysłużona szpada i jawna modlitwa wierzbiny o zmierzchu. Czas żyje mną. Cichszy od mego cienia, zagłębiam się w zgiełk ich wezbranej chciwości. Oni są koniecznością, jedyni, godni jutra. Ktoś i każdy, to moje imię.

Podążam zwolna, jak człowiek, który przybywa ze stron tak odległych, że już nie spodziewa się dojść.

Przełożył Adam Elbanowski

1

Przez cały dzień kolory były barwami zmierzchu, a mgła sunęła między potężnymi zboczami gór niczym morski stwór przez cienie i głębinę oceanu. Przelotnie widoczna nad tymi oparami była Kanczendzonga, odległy masyw górski wystrugany z lodu, ściągający resztki światła, z fontanną śniegu wydmuchiwaną wysoko przez burze na jej wierzchołku.

Sai czytała na werandzie artykuł o wielkiej kałamar-nicy w starym numerze „National Geographic”. Od czasu do czasu podnosiła wzrok na Kanczendzongę i na widok tej czarodziejskiej świetlistości przeszywał ją dreszcz. Na drugim końcu werandy sędzia grał sam ze sobą w szachy. Suczka Mutt, wciśnięta pod jego krzesło, gdzie czuła się bezpiecznie, chrapała cicho przez sen. Na drucie dyndała nad nimi jedna jedyna goła żarówka. Było zimno, lecz w domu było jeszcze zimniej, tam bowiem kamienne mury, grube na kilkadziesiąt centymetrów, zatrzymywały mrok i chłód.

Na tyłach tegoż domu, w przepaścistej kuchni, kucharz usiłował podpalić wilgotne drewno. Wsuwał podpałkę ostrożnie, z obawy przed społecznością skorpionów, która mieszkała, kochała się i rozmnażała w stercie drewna. Kiedyś znalazł matkę, nabrzmiąłą jadem, z czternaś-ciorgiem młodych na grzbiecie.

Wreszcie ogień się rozpałił i kucharz, nastawiwszy czajnik, poobijany i zaskorupiały jak przedmiot wykopany przez zespół archeologów, czekał, aż woda się zagotuje. Ściany były opalone i przesiąknięte wilgocią, z osmalonych belek zwisały na zapiaszczonych łądygach czosnek, do sufitu przywierały jak nietoperze plamy sadzy. Płomienie rzucały na twarz kucharza świetlistą pomarańczową mozaikę, rozgrzewając górną połowę ciała, podczas gdy złośliwe podmuchy chłodu dokuczały jego artretycznym kolanom.

Z komina dobywał się dym i mieszał z mgłą, która nabierała prędkości, napływała coraz to gęstsza i zasłaniała rzeczy partiami — najpierw jedną połowę góry, później drugą. Drzewa zamieniała w zarysy, wyłaniały się z niej, to znowu niknęły. Stopniowo zastępowała sobą wszystko, przedmioty przemieniała w cienie i nie pozostało już nic, co nie wydawałoby się przez nią uformowane lub natchnione. Oddech Sai wylatywał z nozdrzy kłębam, a rysunek wielkiej kałamarnicy, powstały ze strzępów informacji, z marzeń naukowców, całkowicie rozplynał się w mroku.

Zamknęła magazyn i wyszła do ogrodu. Las na skraju trawnika był stary i gęsty; bambusowy gąszcz wyrastał dziesięć metrów w mrok; drzewa wydawały się porośniętymi mchem olbrzymami, guzowatymi i zdeformowanymi, z mackami korzeni orchidei. Dotyk mgły na jej włosach wydawał się niemal ludzki, a kiedy wyciągnęła palce, mgła wzięła je delikatnie do ust. Pomyślała o Gjanie, nauczycielu matematyki, który powinien był przyjść godzinę wcześniej z podręcznikiem algebry.

Ale było już wpół do piątej i Sai usprawiedliwiała go gęstniejącą mgłą. Kiedy spojrzała za siebie, dom zniknął; kiedy wspięła się po schodkach na werandę, zniknął ogród. Sędzia za

snął i przyciąganie ziemskie, które działało na jego wiotkie mięśnie, wydłużało linię ust, ściągało policzki, pokazywało Sai dokładnie, jak by wyglądał, gdyby zmarł.

— Gdzie podwieczorek? — ocknął się i zażądał od niej odpowiedzi. — Spóźnia się — stwierdził sędzia, mając na myśli kucharza, nie Gjana. — Przyniosę - zaproponowała.

Szarość przeniknęła też do wnętrza domu, osiadła na srebrach stołowych, węszyła w kątach i zamieniła lustro w korytarzu w obłok. Sai, przechodząc do kuchni, ujrzała swe zaparowane odbicie i wyciągnęła szyję, żeby odcisnąć na lustrzanej tafli usta, idealnie uformowany pocałunek gwiazdy filmowej.

— Cześć — powiedziała trochę do siebie, trochę do kogoś innego. Żaden człowiek nie widział żywego okazu dorosłej wielkiej kałamarnicy i chociaż mają one ponoć oczy wielkości jabłka, którymi zgłębiają ciemności oceanu, żyją w wielkiej samotności, ponieważ mogą nigdy nie spotkać osobnika należącego do tego samego gatunku. Dojmujący smutek wynikający z tej sytuacji udzielił się też Sai. Czy spełnienie można odczuwać tak głęboko jak stratę? Romantycznie uznała, że miłość na pewno zamieszkuje przestrzeń pomiędzy pożądaniem a spełnieniem, brak, nie zaspokojenie. Miłość jest cierpieniem, tęsknotą, azylem, wszystkim wokół niej prócz samego uczucia.

*

Woda się zagotowała i kucharz podniósł czajnik, a potem napełnił dzbanek do herbaty.

— Coś strasznego — rzekł. — Potwornie bolą mnie kości, stawy też... już chyba wolałbym nie żyć. Gdyby nie

Bidżu... — Bidżu to jego syn mieszkający w Ameryce. Pracował w Don Polio... czy może w The Hot Tomato? Albo w Ali Babas Fried Chicken? Jego ojciec nie pamiętał, nie rozumiał i nie potrafił wymówić tych nazw, a Bidżu często zmieniał pracę, jak uciekinier - bez papierów.

— Tak, straszna mgła — przyznała Sai. — Mój korepetytor chyba nie przyjdzie. - Ułożyła filiżanki, spodeczki, dzbanek, mleko, cukier, sitko, herbatniki Marie and De-lite jak elementy puzzli, żeby wszystko zmieściło się na tacy. - Zaniose - zaproponowała.

— Ostrożnie, ostrożnie — napominał ją, idąc za nią z mlekiem dla Mutt w emaliowanej miseczce. Na widok nadchodzącej płynnym krokiem Sai, przy dźwiękach brzękliwej muzyki łyżeczek na pofalowanej blaszanej powierzchni, Mutt podniosła głowę.

- Podwieczorek? - zdawały się mówić jej oczy, gdy ożył ogon.

- Dlaczego nie ma nic do jedzenia? - zapytał z irytacją sędzia, podnosząc nos znad gmatwaniny pionków pośrodku szachownicy. Przeniósł wzrok na cukier w cukiernicy: brudne, błyszczące jak mika kryształki. Herbatniki wyglądały jak tektura, a na bieli spodków odznaczały się ciemne odciski palców. Nigdy, przenigdy nie serwowano podwieczorku tak, jak należy, ale domagał się przynajmniej ciasta lub słodkich bułeczek, makaroników lub paluszków serowych. Czegoś na słodko i czegoś na słono. To była jakaś parodia, zaprzeczenie samej idei podwieczorku.

- Są tylko herbatniki - powiedziała Sai, widząc jego minę. - Piekarz wyjechał na ślub córki.

— Nie chcę herbatników.

Sai westchnęła.

- Jak on śmie wyjeżdżać na ślub? Tak według niego prowadzi się interesy? Głupiec. A czemu to kucharz sam nie może czegoś zrobić?

- Skończył się gaz, nafta też.

- Dlaczego, do diabła, nie może upiec czegoś na drewnie? Starzy kucharze potrafią robić wspaniałe wypieki, wystarczy otoczyć formę rozżarzonymi węglami. Myślisz, że kiedyś mieli piecyki na gaz albo naftę? Teraz wszyscy po prostu zgnuśniali.

Kucharz przyleciał z resztkami podgrzanego na patelni czekoladowego puddingu i sędzia zjadł tę cudowną brązową breję, a jego twarz stopniowo przybierała wyraz powściągliwego puddingowego zadowolenia.

Sączyli herbatę i jedli, gdy przez całe istnienie płynęło nieistnienie, brama prowadziła donikąd, a oni patrzyli, jak z herbaty ulatują obficie wstęgi pary, patrzyli, jak ich oddechy łączą się z mgłą, która powoli kłębi się i wiruje, kłębi i wiruje.

*

Nikt nie zauważył skradających się po trawie chłopców, nawet Mutt, dopóki nie znaleźli się prawie na schodkach. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, w domu nie było bowiem zasuw, żeby mogli się w nim zamknąć, nie było też nikogo w zasięgu głosu, nie licząc mieszkającego po drugiej stronie strumienia *dźhora* wujka Pottyego, który o tej porze pewnie leżał już pijany na podłodze, nie ruszając się, lecz czując kołysanie w sobie. „Nie zwracaj na mnie uwagi, skarbie — mawiał do Sai po przedawkowaniu alkoholu, otwierając jedno oko jak sowa — poleżę sobie tutaj i trochę odpocznę...”

Przeszli las pieszo, w skórzanych kurtkach z czarnego rynku w Katmandu, w spodniach khaki i bandanach - ubrani na uniwersalną partyzancką modłę. Jeden z nich był uzbrojony.

W późniejszych relacjach oskarżano Chiny, Pakistan i Nepal, lecz w tej części świata, jak w każdej innej, dla zubożałego ruchu z rozwydrzoną armią wystarczy broni, która krąży w okolicy. Szukali wszystkiego, co mogłoby im się przydać - noży *kukri*, siekier, noży kuchennych, łopat, wszelkiego rodzaju broni palnej.

Przyszli po strzelby myśliwskie sędziego.

Byli mało przekonujący i nie pomógł tu ubiór ani charakter tej misji. Najstarszy z nich wyglądał, jakby nie skończył jeszcze dwudziestu lat, a po jednym szczeknięciu Mutt wszyscy pisnęli jak pensjonarki i wycofali się po schodach, żeby znaleźć schronienie za zatopionymi we mgle krzakami.

- Czy ona gryzie, wujaszku? O Boże! - wołali, drżąc w ukryciu.

Mutt zrobiła coś, co zawsze robi na widok obcych, mianowicie odwróciła się do intruzów wściekle merdającym ogonem i oglądała za siebie, uśmiechnięta, wyrażając w ten sposób zarówno nieśmiałość, jak i nadzieję.

Nie mogąc na to patrzeć, sędzia wziął ją na ręce, a wtedy Mutt wtuliła nos w jego ramiona.

Chłopcy znów wspięli się po schodach, zażenowani, i sędzia uzmysłowił sobie, że to zażenowanie jest niebezpieczne, bo gdyby okazali niezachwianą pewnością siebie, teraz nie musieliby się rehabilitować i prężyć mu-skułów.

Ten ze strzelbą powiedział coś, czego sędzia nie zrozumiał.

- Nie znamy nepalskiego? - prychnął z szyderczym uśmiechem, żeby pokazać, co o tym sądzi, kontynuował jednak w hindi. — Broń?
- Nie mamy tutaj broni.
- Przynieś ją.
- Ktoś musiał was źle poinformować.
- Nie dla nas ta cała *nakhra*. Dawaj broń.
- Rozkazuję wam - powiedział sędzia - w tej chwili opuścić mój dom.
- Dawaj broń.
- Zadzwońię po policję.

Groźba ta była śmieszna, bo nie mieli telefonu. Intruzi zaśmiali się jak w filmie, a następnie, też jak w filmie, chłopak ze strzelbą wycelował w Mutt.

- No już. Przynieś broń, inaczej zastrzelimy najpierw psa, potem ciebie, potem kucharza, a na końcu panie — zapowiedział, uśmiechając się do Sai.
- Ja przyniosę - powiedziała przerażona Sai i wychodząc, przewróciła tacę z podwieczorkiem.

Sędzia usiadł z Mutt na kolanach. Strzelby pochodziły z czasów jego pracy w Indyjskiej Służbie Cywilnej. Strzelba typu *pump action* firmy BSA na pięć naboí, strzelba Springfield kaliber 30 i dubeltówka Holland & Holland. Nie były nawet nigdzie zamknięte, wisały na końcu korytarza nad zakurczonym rzędem malowanych zielono-brą-zowych kaczek wabików.

- Wszystkie zardzewiałe. Moglibyście o nie zadbać. -Byli jednak zadowoleni i coraz bardziej rozzuchwaleni. - Zjemy z wami podwieczorek.
- Podwieczorek? - powtórzyła Sai sparaliżowana strachem.
- Herbata i ciasteczka. Tak traktujecie gości? Chcecie nas wysłać na to zimno bez czegoś na rozgrzewkę?

- Spoglądali po sobie, na nią, podnosili i opuszczali wzrok, mrugali do niej.

Z lękiem zdała sobie sprawę ze swej kobiecos'ci.

Oczywiście wszyscy chłopcy znali filmowe sceny, w których bohater i bohaterka, opatuleni w ciepłe futrzane ubrania, popijają herbatę podawaną w srebrnym serwisie przez wytworną służbę. Potem wpełza mgła, tak jak w rzeczywistości, a oni tańczą i śpiewają, bawią się w „a kuku” w pięknym hotelu w kurorcie. Klasyczne kino, którego akcja toczy się w Kulu-Manali, a w czasach przed-terrorystycznych, w Kaszmirze, zanim z mgły wybiegli strzelcy i trzeba było kręcić nowy rodzaj filmów.

Kucharz chował się pod stołem, spod którego go wyciągnęli.

- Aj aaa, aj aaa - złączył razem dłonie i błagał ich - jestem biedakiem, błagam was. - Podniósł ręce i skrzywił się, jakby czekając na cios.

- On niczego nie zrobił, zostawcie go - zwróciła się do nich Sai, nie mogąc znieść jego poniżenia, a jeszcze bardziej tego, że jedyną drogą, jaka mu pozostała, było dalsze poniżanie siebie.

- Błagam, żyję tylko po to, żeby zobaczyć się jeszcze z synem, błagam, nie zabijajcie mnie, błagam, jestem biedakiem, oszczędźcie mnie.

Ta kwestia doskonała była przez stulecia, przekazywana z pokolenia na pokolenie, gdyż biedacy potrzebują pewnych kwestii; scenariusz zawsze jest taki sam - nie mają innego wyjścia, muszą błagać o litość.

Kucharz instynktownie wiedział, o co prosić.

Te znajome słowa pozwoliły chłopcom jeszcze głębiej wejść w rolę, którą im podsunął niczym prezent.

- Kto tu chce cię zabić? Jesteśmy głodni, to wszystko. No, twój *sahib* ci pomoże. Ruszaj się - zwrócili się do

sędziego - wiesz, jak to się robi. - Sędzia nie podnosił się, więc chłopak znów wycelował w Mutt. Sędzia chwycił ją i schował za siebie.

- Zbyt miękkie serce, *sahib*. Powinieneś okazywać je także swoim gościom. No już, nakrywaj do stołu.

Sędzia znalazł się w kuchni, gdzie nigdy przedtem nie był, ani razu.

Mutt kręciła mu się pod nogami, a Sai i kucharz, zbyt przerażeni, żeby na niego patrzeć, odwracali wzrok.

Uzmysłowili sobie, że wszyscy mogą zginąć w kuchni razem z sędzią; świat stanął na głowie i wszystko mogło się zdarzyć.

- Nie ma nic do jedzenia?

- Są tylko herbatniki - powiedziała Sai, po raz drugi tego dnia.

- *La!* Co z ciebie za *sahibTM*. - zapytał sędziego herszt bandy. - Nie chcemy ciastek! Ugotujcie coś. Myślicie, że możemy iść dalej z pustymi brzuchami?

Zawodząc i błagając o zlitowanie, kucharz wziął się do smażenia pakor i kiedy płynne ciasto dostało się na gorący olej, gwałtowny syk wydał się odpowiednim dla sytuacji akompaniamentem.

Z szuflady wypchanej poźółkłymi firankami, prześcieradłami i szmatami sędzia wygrzebał obrus. Sai, trzęsącymi się rękoma, zagotowała herbatę w garnku i odcedziła ją, chociaż nie miała pojęcia, jak powinno się parzyć herbatę po indyjsku. Znała tylko sposób angielski.

Chłopcy z pewnym zainteresowaniem kontynuowali rewizję domu.

Panowała w nim, co zauważyli, atmosfera dogłębnej samotności. W mroku stało osobno kilka rozklekotanych mebli pokrytych pismem termitów, a obok nich tanie składane fotele z metalowych rurek.

Marszczyli nosy od mysiego smrodku charakterystycznego

dla małych pomieszczeń, chociaż sufit miał wysokość godną publicznego gmachu, pokoje były przestronne w dawnym wielkopańskim stylu, a z okien rozpościerały się śnieżne widoki. Przyjrzeni się dyplomowi wydanemu przez Uniwersytet w Cambridge, który niemal się stopił z warstwą brązowych wykwitów na ścianach napuchniętych od wilgoci i wydymających się jak żagle. Drzwi do spiżarni, gdzie zapadła się podłoga, zamknięto na dobre. Spiżarniane zapasy oraz coś, co wyglądało jak absurdalnie wielka sterta opróżnionych puszek po tuńczyku, umieszczono na zepsutym stole do ping-ponga w kuchni, w której korzystano tylko z jednego kąta, pierwotnie była bowiem przeznaczona dla gromady uwijającej się służby, nie zaś dla jednego pozostałego sługi.

— Dom wymaga wielu napraw — orzekli chłopcy.

— Herbata jest za słaba - oświadczyli tonem teściowej. — A to jest niedosolone — powiedzieli o pakorach. Zanurzali herbatniki Marie and Delite w herbacie i sączyli gorący napój, siorbiąc głośno. Dwa kufry podróżne, które znaleźli w sypialniach, napełnili ryżem, soczewicą, cukrem, herbatą, olejem, zapałkami, mydłem Lux i kremem do twarzy Ponds. „Tylko artykuły niezbędne dla naszego ruchu”, jeden z nich zapewnił Sai. Krzyk innego przywołał pozostałych do zamkniętej gabloty.

— Dajcie klucz.

Sędzia wydobył klucz ukryty za magazynami „National Geographie”, których roczniki w młodości, gdy wyobrażał sobie inny styl życia, oddał do oprawienia w skórę ze złoconym rokiem wydania na grzbiecie.

Otworzyli gablotę i znaleźli butelki grand marnier, amontillado i taliskera. Zawartość części butelek całkowicie wyparowała, inne trunki skwaśniały, lecz chłopcy i tak zapakowali je do kufrów.

— Papierosy?

Nie mieli. To ich rozsierdziło i chociaż w zbiornikach nie było wody, załatwili się w ubikacjach i zostawili w nich smród. Byli gotowi do odejścia.

— Powiedz: *Dźaj Gorkha* — nakazali sędziemu. -Gorkhaland dla *Gorkhów*.

— *Dźaj Gorkha*.

— Powiedz: Jestem głupi.

— Jestem głupi.

— Głośno. Nie słyszymy cię, *huzur*. Powiedz to głośniej. Mówił tym samym pusto brzmiącym głosem. „*Dźaj Gorkha*”, powiedział kucharz, i „Gorkhaland dla *Gorkhów*”, powiedziała Sai, chociaż nikt ich o to nie prosił.

— Jestem głupi - dodał kucharz.

Zaśmiewając się, chłopcy zeszli z werandy we mgłę, niosąc dwa kufry. Na jednym napisano białymi literami na czarnym blaszanym tle „Pan J.P. Patel, SS »Strathnaver«”, a na drugim „Panna S. Mistry, Zgromadzenie Zakonne Sióstr Augustynek”. I zniknęli nagle, tak jak się pojawili.

*

— Poszli sobie, poszli sobie — powiedziała Sai.

Mutt próbowała odpowiedzieć pomimo strachu, który wciąż czał się w jej oczach, próbowała też merdać ogonem, chociaż ten nie przestawał się jej podwijać między nogi.

Kucharz uderzył w głośny lament.

— *Hamara kja hoga, hai, hai, hamara kja hoga*. — Jego głos szybował wysoko. - *Hai, hai*, co my teraz poczniemy?

— Zamknij się - rozkazał sędzia i pomyślał: Ta cholerna służba rodzi się i dorasta po to, żeby wrzeszczeć.

Sam siedział sztywno, jakby kij połknął, z zaciśniętymi szczękami, żeby zapobiec wszelkim wykrzywieniom twarzy, kurczowo trzymał się przy tym poręczy fotela, żeby stłumić gwałtowne drżenie, i choć wiedział, że próbuje powstrzymać ruch, który się w nim rodzi, odnosił wrażenie, że to świat się trzęsie z niszczycielską siłą, a on próbuje zachować równowagę. Na stole jadalnym leżał rozłożony przezeń obrus, biały ze wzorem winorośli, zbrukany czerwoną plamą w miejscu, gdzie przed laty rozlał kieliszek porto, którym cisnął w żonę za budzący w nim obrzydzenie sposób, w jaki przeżuwała.

„Jak mucha w smole — przedrzeźniali go intruzi. — Co z was za ludzie! Nie macie wstydu... Nic nie potraficie zrobić samodzielnie”.

Zarówno Sai, jak i kucharz odwracali wtedy wzrok od sędziego i jego upokorzenia i nawet teraz omijali spojrzeniem obrus, obierając dłuższą drogę przez pokój, bo gdyby w ten sposób uznali obecność obrusa, nie wiadomo, jak sędzia by ich ukarał. Poniżenie człowieka dumnego jest rzeczą straszną. Może wtedy zabić świadków.

Kucharz zaciągnął zasłony; gdyż wydawało się, że szyby podkreślają ich bezbronność, a oni są wystawieni na spojrzenia lasu i nocy, owiniętych w swe powłóczyście, ciemne, kudłate peleryny. Mutt ujrzała swoje odbicie przed zaciągnięciem zasłony, wzięła je za szakala i podskoczyła. Potem odwróciła się, zobaczyła cień na ścianie i podskoczyła raz jeszcze.

*

Był luty tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Sai miała siedemnaście lat, a jej romans z Gjanem, korepetytorem od matematyki, nie trwał jeszcze roku.

Kiedy następnym razem przez blokady drogowe przedostały się gazety, przeczytali:

W Bombaju zespół o nazwie Hell No miał wystąpić w hotelu Hyatt International.

W Delhi w konferencji technologicznej o piecykach na krowie łajno brali udział delegaci z całego świata.

Co do Kalimpangu, położonego wysoko w północno-wschodnich Himalajach, gdzie mieszkali — emerytowany sędzia i jego kucharz, Sai, no i Mutt — donoszono o nowych niepokojach, o nasilających się zamieszkach, o uzbrojonych ludziach. Tym razem byli to indyjscy Nepalczycy, mający już dosyć traktowania ich jak mniejszość w miejscu, gdzie stanowią większość. Chcieli własnego kraju, a przynajmniej własnego państwa, żeby móc kierować własnymi sprawami. W tym rejonie, gdzie Indie przechodzą w Bhutan i Sikkim, a żołnierze podciągają się na drążku albo robią pompki i malują na maskujące kolory czołgi na wypadek, gdyby Chińczycy mieli chrapkę na więcej niż tylko Tybet, na mapie zawsze panował bałagan. Prasa przyjęła zrezygnowany ton; doszło już tutaj do tylu wojen, zdrad i negocjacji między Nepalem, Anglią, Tybetem, Indiami, Sikkimem, Bhutanem; Dardźyling odebrany tym, Kalimpang wyrwany z rąk tamtych - a wszystko, ech, wszystko pomimo szarżującej jak smok mgły, która zaciera, niweluje, drwi z wytyczania granic.

2

Następnego dnia sędzia wysłał kucharza na policję, chociaż ten protestował, wiedząc dzięki tej samej skumulowanej mądrości wieków, która kazała mu korzyć się przed rabusiami, że nie jest to posunięcie rozsądne.

Policja to zawsze nieszczęście, bo jeśli policjanci zostali przekupieni przez złodziei, nie kiwną nawet palcem, jeśli natomiast przekupieni nie zostali, to jeszcze gorzej, bo chłopcy, którzy przyszli minionej nocy, będą się mścić. Mają teraz broń, którą mogą oczyścić z rdzy, naładować i... bum! Tak czy inaczej, policjanci będą chcieli wyłudzić łapówkę. Pomyślał o dwustu pięćdziesięciu rupiach ze sprzedaży wujkowi Pottyemu starannie przezeń warzonego *czang*, które z taką skutecznością wprowadza starzejącego się kawalera w stan rozpląszczonego na podłodze upojenia. Zeszłej nocy ukrył pieniądze w kieszeni zapasowej koszuli, ale ta skrytka nie wydawała mu się dostatecznie bezpieczna. Przywiązał je wysoko na belce swojej chaty z gliny i bambusa na skraju posiadłości sędziego, potem jednak, widząc myszy biegające po krokwiach, zamartwiał się, że gryzonie skonsumują mu oszczędności. W końcu włożył pieniądze do puszeki, a puszkę schował w garażu, pod samochodem, który nigdzie już nie wyjeżdżał. Myślał o swym synu Bidżu.

W Czo Oju przydałby im się młody mężczyzna.

W swej drżącej przemowie, wydobywanej niejako ruchem załamywanych rąk, starał się podkreślić, że jest tylko posłańcem. Sam nie ma z tym wszystkim nic wspólnego i jego zdaniem, nie warto zawracać głowy policji; wolałby zignorować ten rabunek i w ogóle cały ten konflikt oraz wszystko inne, co mogłoby kogokolwiek urazić. Nie ma na nic wpływu, wykształcenie ledwo mu pozwala czytać i pisać, całe życie harował jak wół, chce tylko uniknąć kłopotów i żyje właściwie tylko po to, żeby zobaczyć się jeszcze z synem. Niestety, policjanci sprawiali wrażenie zaniepokojonych i potraktowali go surowo, nie kryjąc przy tym swej pogardy. Jako służący był osobą o dużo niższej pozycji niż oni, lecz nie mogli zlekceważyć kradzieży broni emerytowanemu reprezentantowi władzy sędziowskiej i musieli o sprawie powiadomić komisarza. Policjanci przybyli do Czo Oju jeszcze tego samego popołudnia kawalkadą jeepów w żabim kolorze, które wyłoniły się z ruchomej jednostajności drobnego, niespokojnego deszczu ze śniegiem. Zostawili parasole w jednym rzędzie na werandzie, lecz wiatr je rozłożył i zaczęły kręcić się w kółko - głównie czarne, z których spływała czarna farba, lecz był też wśród nich jeden różowy, wyprodukowany na Tajwanie z syntetycznego materiału, obsypany kwieciem.

*

Przesłuchano sędziego i spisano raport, żeby potwierdzić zgłoszenie o wtargnięciu i kradzieży. - Czy padły jakieś groźby?

- Kazali mu nakryć do stołu i podać podwieczorek -odpowiedział kucharz śmiertelnie poważnym tonem.

Policjanci parsknęli śmiechem.

Usta sędziego tworzyły prostą ponurą linię.

- Idź do kuchni i nie wychodź stamtąd. *Bar bar karta rahta hai.*

Policjanci oprószyli powierzchnie proszkiem do zdejmowania odcisków palców i umieścili w plastikowej torebce melaminowy słoik na herbatniki ze śladami po tłustych od pakor paluchach.

Zmierzyli odciski stóp prowadzące do schodków werandy i odkryli pozostałości po obuwiu w kilku różnych rozmiarach:

-Jeden bardzo duży, panie oficerze, po sportowym bucie Baty.

Głównie jednak, jako że rezydencja sędziego od dawna budziła ciekawość na bazarze, wścibscy policjanci, podobnie jak złodzieje broni, wykorzystali okazję, żeby dobrze się rozejrzeć.

I tak jak złodzieje nie byli zachwyceni tym, co zobaczyli. Z satysfakcją przeprowadzili oględziny świadectw minionej świetności, a jeden z policjantów kopnął chybotliwą konstrukcję rur prowadzących z *dźhora*, obandażowanych tu i tam nasączonymi szmatami. Zaświecił latarką do zbiornika z wodą w ubikacji i odkrył, że spłuczkę naprawiano za pomocą gumek i bambusowych drzazg.

- Jakiego rodzaju dowody spodziewacie się znaleźć w ubikacji? - zapytała Sai, która chodziła za nim zawstydzona.

*

Dom ten przed laty wybudował pewien Szkot, zapalony czytelnik opisów tego okresu: *The Indian Alps and*

How We Crossed Them pióra „Kobiety Pioniera”, *Land of the Lama*, *The Phantom Rickshaw*, *My Mercara Home*, *Black Panter of Singrauli*. Usłyszał zew swej prawdziwej natury, która oznajmiła mu, że i ona jest dzika i śmiała, nie da się więc pozbawić prawa do przygody. Jak zawsze cena takich fantazji była wysoka i zapłacili ją inni. Tragarze dźwigali głazy z łożyska rzeki — wykrzywiały im się nogi, uginały zebra, zapadały plecy, twarze powoli się pochylały, żeby już zawsze patrzeć ku ziemi - w to miejsce wybrane ze względu na widok, który ludzkie serce mógł wynieść na duchowe wyżyny. Później przyjechały kafelki, rury i rurki, wymyślna brama z kutego żelaza zawieszona jak koronki między nasypami, krawiecki manekin, który policjanci odnaleźli teraz, wdrapawszy się, tupiąc głośno, na strych - łup, łup - a werwa ich ruchów sprawiła, że jedyna ocalała filiżanka miśnieńska zazgrzytała na swym spodku jak zęby. Na podłodze strychu leżało tysiąc nieżywych pajaków, a nad nimi, po wewnętrznej stronie blaszanego, dziurawego jak sito dachu, omijając skapujące krople, ich potomstwo wpatrywało się w policjantów, tak jak w swoich przodków — z wielkim jak spodki brakiem współczucia.

*

Policjanci zabrali parasole i przeszli do chaty kucharza, jeszcze bardziej ostrożni, jeszcze bardziej podejrzliwi. Wszyscy wiedzieli, że kiedy dochodzi do kradzieży, najczęściej winna jest służba. Minęli garaż, w którym samochód, zapadnięty nisko, z nosem przy ziemi i trawą przebijającą przez podłogę, dawno już zapomniał o swej ostatniej jękliwej podróży do Dardżylingu, kiedy wiózł sędziego na spotkanie z jego

jedynym przyjacielem Bose'em. Przeszli obok zaskakująco dobrze utrzymanego skrawka ziemi za zbiornikiem z wodą, gdzie deszcz rozlewał i nakrapiał mleko w spodku i kopczyk *mithai*. Historia tego wypielonego zakątka zaczęła się w chwili, gdy kucharz, po zjedzeniu zgniłego jaja, wypróżnił się za domem zamiast tam gdzie zwykle, na końcu ogrodu, czym rozzłościł dwa węże, *mijan-bibi*, męża i żonę, zamieszkujących pobliski dołek. Kucharz opowiedział policjantom cały dramat.

- Nie ukąsiły mnie, ale moje ciało w tajemniczy sposób spuchło, stało się z dziesięć razy większe. Udałem się do świątyni i usłyszałem, że muszę wybłagać u węży przebaczenie. Ulepiłem więc z gliny kobrę i położyłem ją za zbiornikiem z wodą, oczyściłem teren dookoła z krowiego łajna i odprawiłem *pudźę*. Opuchlizna natychmiast zeszała. Policjanci wyrazili swoją aprobatę.

- Trzeba się do nich modlić, a zawsze będą chronić człowieka, nigdy go nie ukąszą.

- Tak - zgodził się kucharz - te dwa nigdy nie atakują i nigdy nie wykradają kur ani jaj. Zimą nie widuje się ich często, ale poza tym cały czas wychodzą i sprawdzają, czy wszystko jest w porządku. Robią obchód całej posiadłości. Chcieliśmy z tego skrawka zrobić ogród, ale zostawiliśmy go im. Okrążają Czo Oju wzdłuż ogrodzenia i wracają do domu.

- Jakie to węże?

- Czarne kobry, takie grube - powiedział i wskazał me-laminowy słoik na ciastka, który jeden z policjantów niósł w plastikowej torbie. - Mąż i żona.

Nie ochroniły ich jednak przed kradzieżą... policjant odegnał od siebie tę bezbożną myśl, a wszyscy z szacunkiem ominęli ów skrawek na wypadek, gdyby węże lub ich urażeni krewni postanowili ich ścigać.

Szacunek spłynął natychmiast z twarzy policjantów, kiedy znaleźli się w chacie kucharza pogrzebanej pod dziką płataniną psianki. Tutaj poczuli się swobodniej i dali wyraz swej pogardzie, przewrócili wąskie łóżko, a z jego skromnego dobytku utworzyli na podłodze kopiec. Smutek ścisnął serce Sai na widok tego, jak niewiele kucharz posiadał: kilka ubrań powieszonych na sznurku, jedną żyletkę i resztkę taniego brązowego mydła, koc z Kullu, który kiedyś należał do niej, tekturową walizkę z metalowymi zamkami, z której wcześniej korzystał sędzia, a która teraz zawierała dokumenty kucharza, listy polecające, jakie pomogły mu zdobyć pracę u sędziego, listy od Bidżu, papiery po procesie przeprowadzonym w jego wiosce aż w Uttar Pradeśu w sprawie pięciu drzew mango, które stracił na rzecz brata. A w elastycznej satynowej kieszeni wewnątrz walizki znajdował się popsuty zegarek, którego naprawa kosztowałaby za dużo, lecz mimo wszystko był zbyt cenny, żeby go wyrzucić - kucharz liczył na to, że uda mu się sprzedać części. Zebrał je w kopercie i kiedy policjanci ją otworzyli, wypadło z niej malutkie pokrętełko i poturlało się przez drzwi na trawę.

Na ścianie wisiały dwie fotografie - na jednej widniał on z żoną w dniu ślubu, na drugiej Bidżu ubrany do podróży przed wyjazdem. Były to zdjęcia ludzi biednych, tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na zmarnowanie ujęcia, gdy bowiem na całym świecie ludzie pozwali z zapamiętaniem, jakiego rasa ludzka nigdy wcześniej nie widziała, tutaj stali sztywno jak do zdjęć rentgenowskich.

Sai pstryknęła kiedyś kucharzowi fotkę aparatem wujka Potty'ego, podkradła się do niego, kiedy siekał cebulę,

i ze zdziwieniem spostrzegła, że poczuł się głęboko urażony. Pobiegł przebrać się w najlepsze ubranie, czystą koszulę i spodnie, a następnie ustawił się przed oprawionymi w skórę rocznikami „National Geographic”, które, jak sądził, będą stanowiły odpowiednie tło. Sai zastanawiała się, czy kochał żonę.

Zmarła siedemnaście lat temu, kiedy Bidżu miał pięć lat, poślizgnęła się na drzewie, zrywając liście dla kozy, i spadła. Wypadek, mówiono, i nie można winić nikogo prócz losu, bo tak jak to już z losem bywa, przydziela ubogim więcej wypadków, za które nikogo nie można winić. Bidżu był ich jedynym dzieckiem.

- Urwipołec! - wołał zawsze z radością kucharz. - Ale w gruncie rzeczy dobry z niego chłopak. W naszej wiosce większość psów gryzie, a są i takie, co mają zębiska jak sztachety, ale kiedy przechodził Bidżu, żadne zwierzę się na niego nie rzucało. Żaden wąż go nie ukąsił, kiedy szedł naciąć trawy dla krowy. Taki ma charakter - mówił kucharz i aż roznosiła go duma. — Niczego się nie boi. Nawet jak był malutki, łapał myszy za ogonki, chwycił żaby za szyje... — Bidżu na zdjęciu nie wyglądał na nieustraszonego, lecz wzorem rodziców wydawał się sparaliżowany. Stał przy rekwizytach, magnetofonie i butelce campacolii, na malowanym tle jeziora, a po bokach, poza pomalowanym ekranem, widać było brązowe pola i fragmenty sąsiadów, jakieś ramię lub palec u nogi, włosy lub uśmiech, ogon kury, chociaż fotograf próbował przegonić statystów z kadru.

Policjanci wysypali z walizki wszystkie listy i zaczęli czytać jeden z nich, sprzed trzech lat. Bidżu właśnie przybył do Nowego Jorku.

„Szacowny *Pita-dzi*, nie ma powodów do zmartwień. Wszystko się układa dobrze. Kierownik

zapropozował mi pracę kelnera na cały etat. Ubranie i wyżywienie dostanę za darmo. Tylko *angrezi khana*, nie ma potraw indyjskich, a właściciel nie jest z Indii. Jest z samej Ameryki".

- Pracuje u Amerykanów - kucharz przekazał wtedy treść listu wszystkim na targu.

3

Daleko, w Ameryce, Bidźu początkowo spędzał całe dni za ladą w rzędzie innych mężczyzn.

- Ma być duża? - zapytał kolega Bidźu zza lady, Romy, i podnosił szczypcami gumową parówkę, machnął jej nagim i mięsistym ciałkiem, obił nią o boki metalowego pojemnika i potrząsnął przed twarzą ślicznej dziewczyny wychowanej tak, żeby traktować ciemnoskórych jak wszystkich innych.

Bar Grays Papaya. Hot dogi, hot dogi, dwa plus napój za dolara dziewięćdziesiąt pięć.

Nieżłomność tych, z którymi pracował, zadziwiała Bidźu, przerażała go, radowała i znów przerażała.

- Cebula, musztarda, korniszon, keczup? Głuche łup, łup.

- Chili dog?

Łup, łup, majt, majt. Jak zboczeniec wyskakujący zza drzewa - majtający odpowiednią częścią swej anatomii...

- Duża? Mała?

- Duża - odpowiedziała ślicznotka.

- Napój pomarańczowy? Czy ananasowy?

W barze panowała świąteczna atmosfera, z papierowymi girlandami, plastikowymi pomarańczami i bananami, ale temperatura podnosiła się do dobrze ponad czterdziestu stopni i pot skapywał im z nosów na buty.

- Ma być indyjski hot dog? Ma być amerykański hot dog? Ma być specjalny hot dog?

- Panie - powiedziała pewna dama z Bangladeszu, która odwiedzała syna studiującego na Uniwersytecie Nowojorskim - prowadzi pan wspaniały lokal. To najlepsze frankfurterki, jakie kiedykolwiek jadłam, ale niech pan zmieni nazwę. To bardzo dziwne... w ogóle bez sensu!

Bidzu wymachiwał parówkami razem z pozostałymi, lecz nie szedł z nimi, kiedy po pracy odwiedzali Domi-nikanki w Washington Heights, za zaledwie trzydzieści pięć dolarów!

Skrywał nieśmiałość pod udawanym obrzydzeniem.

- Jak możecie? Te... te kobiety są brudne - powiedział pruderyjnie. — Śmierzące suki. — Zabrzmiało to dziwacznie. — Pieprzone suki, pieprzone tanie zdziiry, zarażą was czymś... śmierdzą... *habśi*... czarne i brzydkie... niedobrze mi się robi...

- W tej chwili — powiedział Romy — mógłbym to zrobić z PSEM! Auuuuu! - zawył, teatralnie odrzucając głowę do tyłu. - AuuuuuAAAAA...

Pozostali roześmiali się.

Oni byli mężczyznami; on był dzieckiem. Miał dziewiętnaście lat, wyglądał i czuł się kilka lat młodziej.

- Za gorąco - stwierdził następnym razem. Potem:

- Padam z nóg. Zmieniła się pora roku.

- Za zimno.

Gubiąc się już w wymówkach, poczuł niemal ulgę, kiedy ich szef otrzymał pismo nakazujące mu sprawdzić legalność pobytu w Ameryce jego pracowników.

- Nic nie mogę zrobić - tłumaczył się kierownik, zaczerwieniony na myśl o tym, że musi zaserwować tym ludziom upokorzenie. Porządny facet. Na imię miał Frank, śmieszne imię dla kogoś, kto cały dzień zajmuje się frankfurterkami. - Radzę wam, żebyście się ulotnili. Tak też zrobili.

Angrezi khana. Kucharz myślał o szynce z puszki podsmażanej w grubych rumianych plastrach, o suflecie z tuńczykiem, o ciastkach *khari* i miał pewność, że skoro syn przyrządza angielskie jedzenie, cieszy się wyższym statusem, niż gdyby gotował indyjskie.

Policjanci sprawiali wrażenie zaintrygowanych pierwszym listem, który przeczytali, po czym przystąpili do lektury następnych. Czego szukali? Wzmianek o jakichś machlojkach? Pieniędżach ze sprzedaży broni? A może byli ciekawi, jak dostać się do Ameryki?

Ale chociaż listy Bidżu przedstawiały kolejne miejsca zatrudnienia, zawierały mniej więcej to samo za każdym razem, prócz nazwy lokalu, w którym akurat pracował. Ta powtarzalność dawała pewne pocieszenie, a powtarzanie przez kucharza powtarzanych wiadomości - podwójne pocieszenie. „Doskonała posada - przekazywał znajomym — lepsza nawet od poprzedniej”. Wyobrażał sobie sofę, telewizor, konto w banku. W końcu Bidżu zarobi tyle, że kucharz przejdzie na emeryturę. Synowa będzie podawać mu posiłki, rozmasowywać skurcze w stopach, a on będzie oganiać się packą od wnucząt jak od much.

Może i czas zamarł w tym domu, który przycupnął na zboczu góry, może i jego zarysy rozmazywał mech, a dach

porastały paprocie, lecz z każdym listem kucharz sunął ku przyszłości. Odpowiadał starannie, żeby syn nie pomyślał źle

0 mniej wykształconym ojcu: „Pamiętaj, żebyś oszczędzał. Nie pożyczaj nikomu i uważaj, z kim rozmawiasz. Jest tam wielu takich, co to mówią jedno, a robią drugie. Kłamcy i oszusty. Pamiętaj też o odpoczynku. Pamiętaj, żeby dobrze się odżywiać. Zdrowie to podstawa. Zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, przedyskutuj ją z Nandu”. Nandu był jeszcze jednym mieszkańcem ich wioski w tym samym mieście.

*

Kiedyś z pocztą do Czo Oju przyszedł kupon na nadmuchiwany globus „National Geographic”. Sai kupon wypełniła i wysłała na adres skrzynki pocztowej aż w Omaha, a kiedy minęło już tyle czasu, że o całej sprawie zdążyli zapomnieć, globus nadszedł razem z certyfikatem, w którym gratulowano im, że należą do żądnych przygód czytelników, którzy od prawie stu lat przesuwają granice ludzkiego poznania i śmiałości. Sai z kucharzem nadmuchali globus i dołączonymi do zestawu śrubkami przymocowali go do podstawki. Rzadko z pocztą przychodziło coś nieoczekiwanego, a nigdy nie przyszło nic pięknego. Patrzyli na pustynie, góry, świeże wiosenne kolory zieleni i żółci, śnieg na biegunach; gdzieś na tym wspaniałym globie znajdował się Bidżu. Odszukali Nowy Jork

1 Sai próbowała wyjaśnić kucharzowi, dlaczego tam jest noc, kiedy tutaj jest dzień, tak jak siostra Alice demonstrowała im w szkole, posługując się pomarańczą i latarką. Kucharzowi wydało się osobliwe, że dzień najpierw

nastaje w Indiach — ten dziwaczny fakt nie znajdował bowiem odzwierciedlenia w żadnych innych relacjach dotyczących obydwu krajów.

*

Listy leżały na podłodze z ubraniami; zniszczony materac ściągnięto z łóżka, a warstwy gazet umieszczone pod spodem, żeby sprężyny nie przebiły lichego materaca, rozrzucono niedbale po pokoju.

Policjanci obnażyli nędzę kucharza, to, że nikt się nim nie opiekuje, że jego godność nie ma żadnych podstaw; zniszczyli fasadę i rzucili mu ją w twarz.

Później policjanci i ich parasole — głównie czarne, jeden różowy w kwiaty — odeszli przez gąszcz psianki.

Kucharz na kolanach szukał srebrnego pokrętełka, ale bezskutecznie.

- Musieli wszystko przeszukać - stwierdził. - Wiadomo. Skąd miałoby wiedzieć, że jestem niewinny? Zwykle to służba kradnie.

*

Sai czuła się skrępowana. Rzadko bywała w chacie kucharza, a kiedy już przychodziła, ani jedno, ani drugie nie czuło się swobodnie, co miało jakiś związek z objawieniem się sztucznej natury ich bliskości, przyjaźni zbudowanej z płytkich spraw omawianych łamanym językiem, jako że ona mówiła po angielsku, on zaś w języku hindi. Dzięki temu połamaniu łatwiej było nigdy się nie zagłębiać, nigdy nie wkraczać w rejony wymagające wyrafinowanego słownictwa, a mimo to Sai zawsze ogarniała czułość, gdy widziała jego skwaszoną twarz, słyszała, jak targuje się na

bazarze, odczuwała dumę, że mieszka z tak trudnym człowiekiem, który wszak zwracał się do niej pieszczotliwie, nazywając *Bejbi-dži* albo *Saibejbi*.

Pierwszy raz ujrzała kucharza, kiedy przywieziono ją od augustynek z Dehradunu. Minęło już dziewięć lat. Przywiozła ją taksówka i księżyc świecił dostatecznie jasno, by mogła przeczytać nazwę domu — Czo Oju — kiedy czekała przy bramie, drobnutka figurka, której maleńkość podkreślał ogrom krajobrazu. Obok niej stał blaszany kufer. „Panna S. Mistry, Zgromadzenie Zakonne Sióstr Augustynek”. Brama była jednak zamknięta. Kierowca szarpał za nią i krzyczał.

- *Oi, koi haił Khansamał Uth. Koi haił Uth. Khan-sama?*

Kanczendzonga jaśniała upiornie w oddali, po obu stronach ciągnęły się drzewa z bladymi pniami, czarnymi liśćmi, a dalej, pomiędzy słupami drzew, prowadziła do domu ścieżka.

Wydawało jej się, że minęło bardzo dużo czasu, nim usłyszeli w końcu gwizd i ujrzeli zbliżającą się latarnię - ścieżką nadchodził kucharz na pałakowatych nogach, o twarzy tak samo skórzastej, ogorzałej i zabrudzonej, jaką ma teraz i jaką mieć będzie za dziesięć lat. Dotknięty ubóstwem mężczyzna zamieniający się w przyspieszonym tempie w starca. Skrócone dzieciństwo, przedłużona starość. Dzieliło go z sędzią jedno pokolenie, ale nie widać było tego, gdy się na nich patrzyło. Wiek krył się w jego temperamencie, czajniku, ubraniach, kuchni, głosie, twarzy, w niezmaconym brudzie, niezmaconym zastałym zapachu wielu lat pichcenia, dymu i nafty.

- Jak oni śmieli potraktować cię w ten sposób - oburzała się Sai, usiłując pokonać dzielącą ich przepaść, kiedy stali obok siebie i omiatali wzrokiem bałagan, jaki policjanci pozostawili w chacie. — No ale co to by wtedy było za dochodzenie? — rozumował kucharz. Próbując ratować jego godność na dwa różne sposoby, udało im się tylko podkreślić jej utratę. Pochylili się, żeby pozbierać rzeczy, przy czym kucharz starannie wkładał kartki listów do właściwych kopert. Pewnego dnia zwróci je Bidżu, żeby syn otrzymał zapis swej podróży, żeby poczuł dumę i satysfakcję.

5

Bidzu w Baby Bistro.

Powyżej restauracja była francuska, na dole zaś, w kuchni - meksykańska i indyjska. A kiedy zatrudniono Pakistańczyka, była meksykańska, indyjska i pakistańska.

*

Bidzu w Le Colonial, autentyczne kolonialne doświadczenie.

Na górze bogaty kolonialny świat, nisko na dole, biedny i etniczny.

Kolumbijski, tunezyjski, ekwadorski, gam-bijski.

*

W następnej kolejności Stars and Stripes Diner. Na górze same amerykańskie flagi, na dole same gwatemalskie. Plus jedna flaga indyjska, kiedy pojawił się Bidzu.

- Gdzie jest Gwatemala?

- Gdzie jest Guam?

- Gdzie jest Madagaskar?

- Gdzie jest Gujana?
- Nie wiesz? - zapytał Gujańczyk. - Człowieku, w Gujanie pełno Hindusów.
- Hindusi w Guam. Właściwie wszędzie, gdzie się spojrzy, Hindusi.
- Trynidad?
- Trynidad pełen Hindusów!! Mówią... dasz wiarę?... „Otwórz puszkę łososia, stary”.

Madagaskar - Hindusi, Hindusi.

Chile - w wolnocłowej Zona Rosa na Tierra del Fuego Hindusi, whisky, elektronika. Złość na myśl o Pakistańczykach w branży komisów samochodowych w Arece.

-Ach... nie ma co... niech te *bahencody* zarobią sobie te dwadzieścia pięć procent...

Kenia. Afryka Południowa. Arabia Saudyjska. Fidzi. Nowa Zelandia. Surinam.

Do Kanady dawno temu przybyła grupa Sikhów; udali się do najdzikszych rejonów, gdzie kobiety zdjęły salwa-ry i nosiły koszule *kurta* jako sukienki.

Hindusi, tak, na Alasce; pewien *desi* był właścicielem ostatniego sklepu wielobranżowego w ostatnim mieście przed biegunem północnym, głównie żywność w puszkach, sprzęt wędkarski, worki soli i łopaty; żona została w Karnalu z dziećmi, gdzie mogli, dzięki poświęceniu męża, pozwolić sobie na przedszkole Little Angels.

Na Morzu Czarnym, tak, Hindusi handlujący przyprawami.

Hongkong. Singapur.

Jak to się stało, że kiedy dorastał, niczego się nie nauczył? Wiedział o Anglii, Ameryce, Dubaju, Kuwejcie, lecz poza tym niewiele.

*

W podziemnych kuchniach Nowego Jorku istniał cały świat, lecz Bidżu nie był na to przygotowany i ucieszył się niemal, kiedy pojawił się Pakistańczyk. Przynajmniej wiedział, co ma robić. Napisał o tym do ojca.

Kucharz zatrwożył się. Co to za lokal, w którym pracuje? Wiadomo, że do tego kraju przyjeżdżają do pracy ludzie z całego świata, no ale chyba nie Pakistańczycy! Chyba takich nie zatrudniają. Chyba preferuje się Hindusów...

„Strzeż się - kucharz pisał do syna. - Strzeż się. Strzeż się. Trzymaj się jak najdalej. Nie ufaj”.

Jego syn dał mu już powód do dumy. Okazało się, że nie potrafi z tym człowiekiem rozmawiać normalnie; każdą molekułą swego ciała wyczuwał fałsz, każdy włoszek stawał mu dęba.

Desi kontra *Paki*.

Ach, stara wojna, najlepsza wojna...

Gdzież indziej słowa płynęły z łatwością, jaką dają stulecia praktyki?

Jak inaczej duchy ojca, dziadka, mogłyby powstać z martwych?

Tutaj, w Ameryce, gdzie każda narodowość potwierdza swe stereotypy...

Bidżu czuł, jakby zanurzał się w ciepłej owodniowej kąpieli.

Potem jednak kąpiel ostygła. Ta wojna nie przynosiła pełnej satysfakcji; nie mogła posunąć się odpowiednio daleko, skurczu nie dawało się rozmasować, swędzenia podrapać; rozdrażnienie narastało, a walczących swędziało coraz bardziej.

- Świnie, świnie, świński pomiot, *suar ka baćća* — krzyczał Bidżu.

- *Ullu kapatha*, syn sowy, podły hinduski sukinsyn. W decydujących momentach nie przekraczali pewnych granic. Obrzucali się kulami armatnimi z kapusty.

*

- ***!!!! - zawołał Francuz.

W ich uszach brzmiało to jak złorzeczenia dmuchawca, chodziło mu natomiast o to, że są nie do zniesienia. Odgłosy ich kłótni po schodach trafiały na górę i uderzały w niewłaściwą nutę, mogły zburzyć równowagę, wzorowo bogaty świat na górze, wzorowo biedny świat dwadzieścia dwa stopnie niżej. Pomieszać wszystko, a wtedy kto będzie przychodzić do restauracji, hm? Z *coquilles Saint-Jacques a la vapeur* za dwadzieścia siedem i pół dolara i *blanquette de vetu* za dwadzieścia trzy dolary i kaczką, która stanowi nawiązanie do czasów kolonialnych, siedząc niczym pasza na poduszce z własnego tłuszczu i roztaczając zapach szafranu.

Co oni sobie myślą? Czy restauracje w Paryżu mają piwnice pełne Meksykanów, *desi* i *PakP*.

Nie, nie mają. Co wy sobie myślicie?

Mają piwnice pełne Algierczyków, Senegalczyków, Marokańczyków... Zegnaj, Baby Bistro.

- Skorzystaj z wolnego czasu, żeby się wykąpać - poradził mu właściciel. Był na tyle łaskawy, żeby zatrudnić Bidżu, chociaż uważał, że śmierdzi.

Pakistańczyk w jedną stronę, Bidżu w drugą. Wychodzą z za rogu, znów się spotykają i znów każdy skręca w swoją stronę.

I gdy Sai czekała przy bramie, ścieżką przyczłapał kucharz na pałakowatych nogach z latarnią w dłoni, dmuchając w gwizdek, żeby odstraszyć szakale, dwie kobry i miejscowego złodzieja, Gobba, który rotacyjnie okradał wszystkich mieszkańców Kalimpangu, lecz miał ochronę w postaci brata w policji.

- Przyjechałaś z Anglii? - zapytał ją kucharz, otwierając bramę z grubą kłódką i łańcuchem, chociaż każdy z łatwością mógł się wspiąć na nasyp lub wdrapać od strony wąwozu.

Pokręciła głową.

- Z Ameryki? Tam nie ma problemów z wodą i elektrycznością - stwierdził. Respekt nadymał jego słowa, sprawiając, że pobrzękiwały triumfalnie i szczerze jak pieniądze z bogatych krajów.

- Nie - odpowiedziała.

- Nie? Nie? — Niezmierne było jego rozczarowanie. — Ale z zagranicy. - Bez znaku zapytania. Jakby podawał niezaprzeczalny fakt. Kiwał głową, jakby to ona powiedziała, nie on.

- Nie. Z Dehradunu.

- Dehradun! - Był zdruzgotany. - *KamalhaH*— zawołał. - A my tutaj tak się przejmowaliśmy, myśleliśmy, że przyjeżdżasz z daleka, a tyś cały czas była w Dehradunie. Czemu nie przyjechałaś wcześniej?

- No — rzekł kucharz, gdy nie odpowiadała. — A gdzie są twoi rodzice?
- Nie żyją - odparła.
- Nie żyją. — Upuścił latarnię i płomień zgasł. — *Bap n?*/Nikt mi niczego nie mówi. Co się z tobą stanie, biedaczyno? - zapytał z litością i zwątpieniem. - Gdzie umarli? — Po zgaśnięciu latarni okolicę zalał tajemniczy księżycowy blask.
- W Rosji.
- W Rosji! Przecie tam nie ma pracy. - Jego słowa stały się znów nic niewartą walutą, nieprzynoszącymi szczęścia pieniędzmi Trzeciego Świata. — Co oni tam robili?
- Mój ojciec był kosmonautą.
- Kosmonautą, nigdy nie słyszałem czegoś podobnego... - Spojrzał na nią podejrzliwie. Wyczuwał, że coś jest nie tak z tą dziewczyną, ale musiał się nią zająć. - Chyba musisz tu zostać - zastanawiał się na głos.
- No bo co z tobą zrobić... jakie to smutne... potworne... - rzekł. Dzieci często wymyślają różne historie albo opowiada im się je, żeby ukryć straszną prawdę.

Kucharz i kierowca chwycili kufer, podjazd był bowiem zbyt zarośnięty chwastami, by mógł nim przejechać wóz; wydeptano tylko wąską ścieżynę.

Kucharz odwrócił się.

- Jak umarli?

Gdzieś w górze rozległ się dźwięk spłoszonego ptaka, olbrzymich skrzydeł jak rozkręcające się śmigło.

*

To było spokojne popołudnie w Moskwie, pan i pani Mistry przechodzili przez plac do Towarzystwa Podróży Międzyplanetarnych. Ojciec Sai mieszkał w tym mieście, odkąd wybrano go spośród pilotów Indyjskich Sił

Powietrznych jako potencjalnego kandydata do udziału w programie Interkosmos. Romans indyjsko-radziecki dobiegał właśnie końca i wyczuwało się już zapach wyschniętego bukietu w kontaktach między naukowcami, które przechodziły z łatwością w łzy i nostalgię za pachnącym różami okresem, kiedy narody te zabiegały dopiero o swe względy.

Pan i pani Mistry dorastali w upojnych czasach, kiedy uczucie to cementowała sprzedaż broni, zawody sportowe, występy grup tanecznych i ilustrowane książki, które przedstawiły całemu pokoleniu indyjskich dzieci Babę-Jagę mieszkającą w chacie na kurzej stopce w prehistorycznym mroku rosyjskiego lasu oraz perypetie księcia Iwana i księżniczki Iwanki, zanim mogli żyć długo i szczęśliwie w pałacu o cebulastej kopule.

Rodzice Sai poznali się w delhijskim parku. Pani Mistry, wówczas studentka, często wychodziła z żeńskiego akademika, żeby - za zgodą kierowniczkę - pouczyć się i wysuszyć włosy w cieniu i cichości drzewa nim. Pan Mistry przebiegał właśnie w trakcie joggingu, służył już wtedy w siłach powietrznych, silny i wysoki, ze starannie przystrzyżonym wąsem, i ta studentka wydała mu się tak niesamowicie śliczna, o wyrazie twarzy na wpół surowym, na wpół słodkim, że aż się zatrzymał, by na nią popatrzeć. Zapoznali się na tym trawiastym poletku, gdzie do wielkich rdzewiejących kosiarek uwiązano krowy, które przeżuwały powoli pokarm przed niszczącym grobowcem Mogołów. Nim minął rok, w głębokim i chłodnym wnętrzu grobowca, gdzie złociste światło przenikało z jednej cichej niszy do drugiej, coraz bardziej przyćmione i piżmowe, przefiltrowane przez rzeźbione płyty, z których każda rzucała na podłogę inny wzór cienia - kwiatów, gwiazd - pan Mistry poprosił ją o rękę. Nie zastanawia

ła się długo. Ten romans pozwolił jej uciec przed smutkiem przeszłości i monotonią teraźniejszego dziewczęcego życia. Nadchodzi taka chwila, kiedy każdy chce być dorosły, powiedziała więc „tak”. Pilot i studentka, zaratusz-trianin i hinduska, wyłonili się z grobowca mogolskiego księcia, wiedząc, że w nikim prócz nich samych ten wielki świecki romans nie wzbudzi zachwytu. Mimo wszystko uważali się za szczęśliwców — przecież zdołali odnaleźć siebie, każde z nich puste tą samą samotnością, każde fascynujące jako cudzoziemiec dla drugiego, oboje jednak wykształceni z okiem na Zachód, umieli zatem całkiem czysto śpiewać przy akompaniamencie brzdąkającej gitary. Czuli się wolni i nieustraszeni, czuli się częścią nowoczesnego narodu w nowoczesnym świecie.

*

Już w 1955 Chruszczow złożył wizytę w Kaszmirze i ogłosił, że zawsze pozostanie on częścią Indii, później zaś zespół Teatru Bolszoi wykonał *Jezioro łabędzie* przed delhijską publicznością ubraną w najlepsze jedwabne sari i największe klejnoty.

I oczywiście były to pierwsze lata podróży kosmicznych. W Sputniku II wysłano na orbitę psa imieniem Łajka. W 1961 tę samą podróż odbył szympanś Ham. Po nim, w tym samym roku, Jurij Gagarin. Lata toczyły się dalej i w kosmos polecieeli nie tylko Amerykanie i Sowieci, psy i szympansy, lecz także Wietnamczyk, Mongoł, Kubańczyk, kobieta i Murzyn. Satelity i promy kosmiczne krążyły wokół Ziemi i Księżyca; wylądowały na Marsie, wysłano je w kierunku Wenus, dokonały przelotu w pobliżu Saturna. W tym czasie do Indii przybył z wizytą radziecki zespół ekspertów do spraw lotnictwa

i aeronautyki, któremu rząd zlecił znalezienie odpowiednich kandydatów do udziału w misji kosmicznej. Podczas wizyty w ośrodku lotniczym w stolicy zainteresowali się panem Mistry, nie tylko z uwagi na jego kompetencje, lecz także ze względu na niewzruszoną determinację jego spojrzenia.

Dołączył do kilku innych kandydatów w Moskwie, a sześciolletnią Sai oddano pod opiekę tego samego zakonu, w którym kiedyś uczyła się jej matka.

Konkurencja była zacięta. W chwili gdy pan Mistry dzielił się z żoną przekonaniem, że zostanie wybrany z grona konkurentów, by stać się pierwszym w historii Hindusem uwolnionym z więzów przyciągania ziemskiego, los zadecydował inaczej i zamiast przesyć stratosferę w tym życiu, w tej skórze, i ujrzeć świat takim, jakim widzieli go bogowie, pan Mistry przeniósł się do innej wizji zaświatów, gdy trafił razem z żoną pod miażdżące koła miejscowego autobusu obciążonego trzydziestoma niezniszczalnymi kobiecinami z prowincji, które jechały dwa dni, żeby sprzedać na bazarze swoje produkty. Zginęli zatem pod ciężarem cudzoziemców, pośród skrzynek z drewnianymi matryoszkami. Czy ich ostatnie myśli uleciały ku córce w zakonie augustynek, tego nigdy nie miała się dowiedzieć.

*

Moskwa nie była częścią programu nauczania w zakonie. Sai wyobrażała sobie posępną, zwalistą architekturę, ciężką, muskularną, o obwisłych policzkach buldoga, w radzieckich odcieniach szarości, pod szarym radzieckim niebem, z szarymi radzieckimi obywatelami spożywającymi wszędzie szare radzieckie jedzenie. Męskie miasto, bez

ozdób i słabości, bez krenelażu, bez śmiałych kątów. Teraz na tym tle rozlała się plama szkarłatu, niepowstrzymana.

- Bardzo mi przykro — powiedziała siostra Caroline — bardzo mi przykro z tego powodu, Sai. Musisz być dzielna.

- Jestem sierotą - szepnęła do siebie Sai, odpoczywając w infirmerii. - Rodzice nie żyją. Jestem sierotą.

Nienawidziła zakonu, lecz w jej pamięci nie było niczego innego.

„Droga Sai - pisała matka - nadchodzi kolejna zima i wyjęliśmy grube swetry. Spotkaliśmy się z państwem Sar-mami na brydża i twój ojciec jak zwykle oszukiwał. Polubiliśmy śledzia, rybę o intensywnym smaku, którą musisz kiedyś skosztować”.

Odpowiadała podczas nadzorowanej godziny pisania listów:

„Droga mamo, drogi tato, co u was? U mnie wszystko w porządku. Jest bardzo gorąco. Wczoraj mieliśmy klasówkę z historii i Arlene Macedo jak zwykle ściągła”.

Lecz pisane listów przypominało odrabianie lekcji. Sai nie widziała rodziców przez dwa okrągłe lata i emocjonalna bliskość ich istnienia dawno już znikła. Próbowała płakać, lecz nie mogła.

*

W sali konferencyjnej pod ubranym w *dhoti* Jezusem zawieszonym na dwóch lakierowanych patykach zakonnice naradzały się zaniepokojone. W tym miesiącu w zakonnym kufrze nie znajdzie się przelew bankowy od państwa Mistry, nie będzie obligatoryjnych dotacji na remont toalet i przejazdy autobusowe, na festyny i święta.

- Biedactwo, ale co my możemy zrobić? - Zakonnice cmokały z przejęciem, wiedząc, że Sai jest szczególnym

przypadkiem. Starsze zakonnice pamiętały jej matkę oraz to, że sędzia płacił za utrzymanie córki, lecz ani razu nie przyjechał z wizytą. Ta historia miała jeszcze inne rozdziały, ale żadna z sióstr oczywiście nie potrafiła ich złożyć w całość, gdyż niektóre części tej opowieści przepadły, inne zaś zostały celowo zapomniane. O ojcu Sai wiedziały tylko, że wychował się w sierocińcu zaratusztrian i że od szkoły aż do studiów i później, gdy wstąpił do wojsk lotniczych, wspierał go hojny donator. Kiedy rodzice Sai uciekli, żeby się związać, rodzina w stanie Gudźarat w poczuciu hańby wyrzekła się jej matki.

W kraju tak pełnym krewnych Sai nie miała się do kogo zwrócić.

W dzienniku był tylko jeden wpis w rubryce „Kontakt w pilnych sprawach”. Widniało tam nazwisko dziadka Sai, tego samego, który kiedyś opłacał chesne za jej matkę:

Nazwisko: sędzia Dżemubhai Patel Pokrewieństwo: dziadek ze strony matki Stanowisko: sędzia (emerytowany) Religia: hindus Kasta: patidar

Sai nigdy nie poznała dziadka - w roku 1957 został przedstawiony Szkotowi, który wybudował Czo Oj u i teraz postanowił wrócić do Aberdeen.

„Miejsce jest bardzo odludne, ale ziemia ma potencjał - rzekł Szkot — chinina, jedwabniki, kardamon, orchidee”. Sędzia nie był zainteresowany rolniczymi możliwościami ziemi, lecz pojechał obejrzeć posiadłość, polegając na jego słowie - słynnym słowie dżentelmena - pomimo tego wszystkiego, co zaszło. Wybrał się tam konno. Gdy pchnął drzwi prowadzące do tej pustej przestrzeni wypeł

nionej klasztornym światłem, które zmieniało swój charakter w zależności od położenia słońca na zewnątrz, odniósł wrażenie, jakby wkraczał do innej wrażliwości, a nie do domu. Podłoga była ciemna, prawie czarna, z szerokich desek; sufit ze śladami po siekierze w belkach przypominał klatkę piersiową wieloryba. Kominiek ze srebrzystego rzeczno-kamienia lśnił jak piasek. O okna ocierały się bujne liście paproci, sztywne szwy listowia przetykane zarodnikami, skręconymi i pokrytymi złotawobrazowym meshem. Wiedział, że może tutaj poczuć głębię, szerokość, wysokość i ten wymiar bardziej nieuchwytny. Na zewnątrz nurkowały i śmigały ptaki o niezwykłym upierzeniu, a Himalaje pięły się warstwa po warstwie, aż ich świetliste szczyty uświadamiały człowiekowi, że należy wszystkiego zaniechać, wszystko opróżnić, bo przecież jest taki mały. Sędzia mógł tu żyć, w tej skorupie, w tej czaszce, czerpiąc pociechę z tego, że jest cudzoziemcem we własnym kraju, tym razem bowiem nie zamierzał się uczyć języka. Do sądu już nie wrócił.

*

- Do widzenia - powiedziała Sai, żegnając się z osobliwościami przyklasztornej szkoły, ze słodziutkimi pastelowymi aniołami i zakrwawionym Chrystusem, zestawianymi razem w zatrważającym kontraście. Żegnała się z mundurkiem, tak ciężkim dla małej dziewczynki, z marynarką o męskim kroju i krawatem, czarnymi pantoflami jak krowie racice. Żegnała się z przyjaciółką, Arlene Macedo, jedyną prócz niej uczennicą o niekonwencjonalnym pochodzeniu. Ojciec Arlene, twierdziła dziewczynka, był portugalskim marynarzem, który wciąż przebywał poza domem. Ale nie na morzu, szeptały inne dziewczynki, lecz u chiń

skiej fryzjerki w hotelu Claridges w Delhi. Żegnała się z czterema latami poznawania ciężaru poniżenia i strachu, sztuki podstępny, latami umykania detektywom w czarnych habitach i drżenia przed rządami prawa, które traktuje zwyczajne codzienne potknięcia i pomyłki z powagą należną morderstwu. Żegnała się:

- a) z siedzeniem w pojemniku na śmieci w oślej czapce,
- b) z udarem słonecznym od stania na jednej nodze z rękami w górze w pełnym słońcu,
- c) z wyznawaniem grzechów podczas porannego apelu,
- d) z siniakami koloru czerwonego, czarnego, niebieskiego i szafranowego po karze cielesnej.

- Wstydu nie masz - zwróciła się pewnego dnia do Sai siostra Caroline, gdy ta nie miała pracy domowej, po czym sprawiła, że jej tyłek nabrał koloru zadka pawiana, a pozbawiona wstydu szybko go nabrała.

System ten być może miał obsesję na punkcie czystości, lecz celował w zgłębianiu smaku grzechu. Odkrywaniu sił winy i pożądania towarzyszyło pewne przyjemne podniecenie, gdy wyznania wydobywano prośbą i groźbą. Tego nauczyła się Sai. Tego płaskiego pod spodem i z wierzchu *credo*: ciasto jest lepsze niż *laddu*, widelec, łyżka, nóż lepsze niż ręce, sączenie krwi Chrystusa i konsumowanie opłatka z jego ciała bardziej cywilizowane niż dekorowanie symboli fallicznych nagietkami. Angielski jest lepszy niż hindi.

*

Cokolwiek wpojono Sai, lokowało się między sprzecznościami, a same sprzeczności też sobie przyswoiła.

lochivar i Tagore, ekonomia i etyka, szkocki taniec w tar-tanie i pendzabski w *dhoti*, hymn narodowy po bengal-sku i niezrozumiałe łacińskie motto z naszywek na kieszeniach mundurka, a także na łuku nad wejściem: *Pisci tisci episculum basculum*. Coś w tym rodzaju.

*

Przeszła pod tym mottem po raz ostatni w towarzystwie zakonnicy, która przebywała u augustynek gościnnie, poznając klasztorne systemy finansowe, a teraz wybierała się do Dardżylingu.

Przez okno, od Dehradunu do Delhi, od Delhi do Sili-guri, oglądały panoramę wiejskiego życia i Indie wydawały im się stare jak zawsze. Kobiety przechodziły z chrustem na opał na głowach, zbyt biedne, by nosić bluzki pod sari.

- Wstyd i hańba - orzekła zakonnica w radosnym nastroju. Potem mina jej zrzędała. Było wcześniej rano i wzdłuż torów kolejowych ujrzały sznur gołych tyłków. Z bliska dostrzegły dziesiątki ludzi załatwiających się na tory i podmywających się wodą z puszek. - Brudasy - oburzała się zakonnica — bieda nie jest żadnym usprawiedliwieniem, nie, nie jest, niech nikt nie próbuje mi tego wmawiać. Dlaczego muszą to robić tutaj?

- Ze względu na ukształtowanie terenu - rzekł poważny uczoney w okularach siedzący obok niej — ziemia opada do torów, więc to dobre miejsce.

Zakonnica nie odpowiedziała. A co do ludzi, którzy się załatwiali - ci z pociągu to zupełnie inna kwestia... a nawet inny gatunek — nie obchodziło ich, czy ktoś zobaczy ich wysilające się tyłki, nie przejmowali się nimi bardziej niż wróblami.

Pociąg jechał dalej.

Była spokojna... czuła, że czeka na nią przeznaczenie. Wyczuwała Czo Oj u.

- Nie martw się, moja droga - powiedziała zakonnica.

Sai milczała i zakonnica zaczęła odczuwać rozdrażnienie.

Przesiadły się już do taksówki i przemierzały wilgot-niejszą strefę, rdzawo-zielony krajobraz, skrzypiący i kiwający się na wietrze. Mijały stragany herbaciane na palach, kurczaki sprzedawane w okrągłych trzciniowych koszach i boginie na święto Durgi wznoszone w szopach. Mijały pola ryżowe i magazyny, które się rozpadały, lecz nosiły słynne herbaciane nazwy: Rungli Rungliot, Ghoom, Goenkas.

- Nie użalaj się nad sobą. Chyba nie sądzisz, że Bóg też tak stroił fochy? Przy tym wszystkim, co miał do roboty?

Nagle z prawej strony rzuciła się ku nim Tista, płynąca między białymi brzegami piasku. Przestrzeń i słońce wciskały się przez okno. Odbicia powiększały i powielaly światło, rzekę, a jedno dodawało kąty i kolory do drugiego, i Sai uświadomiła sobie wtedy, w jak ogromną wkracza przestrzeń.

Rozstały się na brzegu, przy pędzącej dzikiej rzece, w kropkach późnego słońca zza drzew. Dalej na wschód leżał Kalimpong, z trudem utrzymując się w siodle pomiędzy wzgórzami Deolo i Ringkingpong. Dalej na zachód leżał Dardżyling, ześlizgując się z gór Singalila. Zakonnica próbowała wykrzesać z siebie na koniec jakąś radę, lecz jej głos tonął w ryku rzeki i na pożegnanie tylko uszczypnęła Sai w policzek. I odjechała w jeepie sióstr od Świętego Jó

zefa z Cluny, dwa kilometry pod górę w głąb krainy herbacianych plantacji, do miasta, które było czarne i oślizgłe, z klasztorami jak grzyby w wilgotnej mgle.

Noc zapadła szybko po zachodzie słońca. Z wymierzonym ku niebu przodem obciążonego z tyłu samochodu wznosili się spiralą - najdrobniejszy fałszywy ruch i by się stoczyli. Śmierć szeptała do ucha Sai, życie tętniło w jej krwi, serce jej zamierało, ale kręcili koła coraz wyżej. W Kalimpangu nie było ulicznych latarni, a światła w domach były tak słabe, że błyskały tylko przelotnie w oknach; pojawiały się natychmiast i od razu znikwały z tyłu. Ludzie, którzy poruszali się w tej czerni, nie mieli ani latarek, ani latarni, a światła samochodu wyłapywały ich, gdy schodzili przed nim z drogi. Kierowca skręcił z asfaltowej szosy w piaszczystą drogę i wreszcie auto zatrzymało się pośrodku głuszy przy bramie zawieszanej na kamiennych słupach. Odgłos silnika ucichł; światła zgasły. Słyszeć było tylko las i jego „ssss cuu c c suuuu”.

7

Och, dziadek bardziej jaszczurzy niż ludzki.

Pies bardziej ludzki niż psi.

Twarz Sai do góry nogami w łyżce do zupy.

Na powitanie kucharz uformował z ziemniaczanego puree samochód, przypominając sobie dawno zapomnianą umiejętność z minionej epoki, kiedy to z tego samego wdzięcznego materiału tworzył świąteczne zamki udekorowane papierowymi flagami, ryby z ozdobnymi kółkami w noskach, jeżozwierze z kręgosłupami z selerów, kury z prawdziwymi jajami pod nimi dla osiągnięcia komicznego efektu.

Tym razem samochód miał koła z plasterków pomidora i dekoracje z rozwiniętych kawałków starej folii aluminiowej, które kucharz traktował jak bezcenny kruszec, mył, suszył i wykorzystywał tyle razy, aż rozpadała się w błyszczące kawałeczki, a i wtedy nie miał serca ich wyrzucić.

Samochód leżał pośrodku stołu razem z płaskimi kotletami z baraniny, rozgotowaną fasolką szparagową i kalafiorem z sosem serowym, który wyglądał jak polany czymś mózg. Ze wszystkich dań unosiła się gwałtownie para i na twarzy Sai skraplały się ciepłe, pachnące jedzeniem obłoki. Kiedy para trochę się rozrzedziła, Sai jeszcze raz zerknęła na dziadka na drugim końcu stołu i na psa na krześle obok niego. Mutt uśmiechała się - z przekrzywioną głową,

z ogonem walącym tup, łup o siedzisko - sędzia natomiast sprawiał wrażenie, jak gdyby nie zauważył przybycia Sai. Był wysuszoną postacią w białej koszuli i czarnych spodniach ze sprzączką z boku. Ubrania były wystrzępione, lecz czyste, wyprasowane przez kucharza, który wciąż wszystko prasował - piżamy, ręczniki, skarpety, bieliznę i chusteczki do nosa. Twarz sędziego wydawała się nieuchwytna, sprawiało to coś, co wyglądało jak biały puder na ciemnej skórze - a może to była tylko para? Zalaatywało też od niego słabym antybiotycznym zapachem wody kolońskiej, nieco za dalekim od perfum, a za bliskim płynu konserwującego. W linii jego twarzy, szerokim bezwłosym czole, zakrzywionym nosie, wysuniętym podbródku, braku ruchu, braku ust, nieruchomym spojrzeniu było coś więcej niż tylko cień podobieństwa do gada. Wydawało się, że jak inni sędziwi starcy nie podróżuje w czasie do przodu, lecz cofa się w odległą przeszłość. Wraca do czasów prehistorycznych, zamyślony nad nieskończonością, przypominając zapatrzone w ocean stworzenie z Galapagos.

*

W końcu podniósł wzrok i wbił spojrzenie w Sai.

- No, jak ci na imię?

- Sai.

- Sai? - powtórzył ze złością, jak gdyby rozdrażniony bezczelnością.

Pies kichnął. Miał elegancki pysk, arystokratyczne wybrzuszenie na czubku głowy, kudłate pantalone, wymyślnie nastroszony ogon...

Sai nigdy nie widziała tak urodziwego psa.

- Ten pies wygląda jak gwiazda filmowa - powiedziała Sai.

- Może Audrey Hepburn — odparł sędzia, starając się nie zdradzić, ile przyjemności sprawiła mu ta uwaga - ale na pewno żadna z tych trupio bladych zjaw z plakatów na bazarze.

Wziął do ręki łyżkę.

- Gdzie zupa?

Kucharz zapomniał o niej w całym tym podnieceniu wywołanym samochodem z puree ziemniaczanego.

Sędzia uderzył pięścią w stół. Zupa po głównym daniu? Ustalony porządek został zakłócony.

Nagle spadło napięcie prądu, jak gdyby dostosowując się do dezaprobaty sędziego, i żarówka zaczęła brzęczeć jak przewrócony do góry nogami żuk — kręcący się na stole, zirytowany tym mizernym światłem, które nie byłoby w stanie skłonić go do ataku kamikadze. Kucharz zdążył już wyłączyć wszystkie lampy w całym domu, żeby słaby prąd skupić w tej jednej, i w tym chwiejnym świetle byli cztery- ma lalkami teatru cieni w bajce migoczącej na nierównym tynku ściany — człowiek jaszczur, kucharz garbus, dziewczyna o gęstych rzęsach i wilczarz o długim ogonie...

- Muszę napisać do tego niedojdy, przewodniczącego zarządu okręgu — powiedział sędzia — ale co to da! — Przewrócił nożem żuka na stole, jego brzęczenie ustało, a Mutt, która ze zdumieniem wpatrywała się w owada, spojrzała na sędziego jak kochająca małżonka.

*

Kucharz wniósł dwie miski kwaśnej i pieprznej zupy pomidorowej, mamrocząc pod nosem:

-Żadnej wdzięczności... O, co ja tu muszę znosić, a nie jestem już ani młody, ani zdrowy... Straszne jest życie nędzarza, oj straszne, straszne, straszne...

Sędzia wyjął łyżkę z miski ze śmietaną i pacnął nią w czerwien zupy, tworząc białą plamę.

- Cóż - zwrócił się do wnuczki - nie możemy sobie nawzajem wchodzić w drogę. Trzeba ci załatwić korepety-torkę... kogoś z sąsiedztwa, na szkołę przyklasztorną mnie nie stać, zresztą po co nabijać kabzę Kościołowi...? A poza tym jest za daleko, a transport nie jest już dostępnym dla nas luksusem, prawda? Do szkoły państwowej chyba nie można cię wysłać... potem mówiłabyś ze złym akcentem i dłużyłabyś w nosie...

*

Światło przygasło teraz do samego żarnika, kruchego jak pierwszy cud Edisona między delikatnymi drucianymi szczypcami w szklanej kuli żarówki. Zapaliła ostatni błękitny półksiężyc, po czym zgasła.

- Cholera! - zaklął sędzia.

*

Sai leżała później w łóżku pod obrusem, bo ostatnia pościel dawno już się zniszczyła. Wyczuwała wezbraną obecność lasu, słyszała głucho stukanie bambusów, szum strumienia, który płynął głęboko w *decollete* góry. Przygłuszony domowymi hałasami w ciągu dnia, las potężniał o zmierzchu i śpiewał czystym głosem do okien. Struktura domu wydawała się krucha wobec tej nocy — była jedynie łupinką. Blaszany dach grzechotał na wietrze. Kiedy Sai poruszyła nogą, jej palce cicho przebiły zmurszały materiał. Ogarnęło ją przerażające uczucie, że wkroczyła w przestrzeń tak wielką, iż rozciąga się ona zarówno nad nią, jak i pod nią.

Nagle, jak gdyby w jej słuchu otworzyły się tajemne drzwi, zdała sobie sprawę z dźwięku mikroskopijnych szczęk powoli przemielających dom w pył, dźwięku trudnego do wychwycenia, który tak mocno stapia się z powietrzem, lecz raz rozpoznany, staje się monumentalny. W tym klimacie, o czym się później dowiedziała, niekonserwowane drewno może zostać schrupane w kilka miesięcy.

Po przeciwnej stronie korytarza sędzia połknął pigułkę calmpose, skonstatował bowiem, że przyjazd dziewczynki go rozstroił. Leżał w łóżku z Mutt przy boku.

— Sunia — cmokał. — Jakie masz długie, kudłate uszy, hm? A ile loczków.

Co noc Mutt spała z głową na jego poduszce, a w zimne noce zawijana była w szal z angory. Spała, a mimo to zastrzygła jednym uchem na dźwięk słów sędziego, nie przestając chrapać.

Sędzia wziął do ręki książkę i próbował czytać, ale nie mógł. Ku swemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że wraca myślami do własnych podróży, własnych przyjazdów i odjazdów z miejsc w odległej przeszłości. Pierwszy raz wyjechał z domu w wieku dwudziestu lat, z czarnym blaszanym kufrem podobnym do tego, z którym przybyła Sai, podpisanym białymi literami: „Pan J.P. Patel, SS »Strath-naver«". Był rok 1939. Miasteczko Piphit, które opuszczał, było siedzibą jego rodu. Stamtąd pojechał do doków w Bombaju, później popłynął do Liverpoolu, a z Liverpoolu udał się do Cambridge.

Minęło tyle lat, a jednak dzień ten powrócił do niego z okrutną wyrazistością.

Przyszłemu sędziemu, wówczas noszącemu jedynie imię Dżemubhai — albo Dżemu — dwóch emerytowanych członków orkiestry wojskowej sprowadzonych przez teścia grało na pożegnanie serenadę. Stali na peronie między ławkami z napisami „tylko Hindusi” i „tylko Europejczycy”, ubrani w poplamione czerwone stroje, a spomiędzy ich rękawów i kołnierzy rozwijała się monotonna metaliczna melodia. Kiedy pociąg odjeżdżał ze stacji, grali *Take Me Back to Dear Old Blighty*, utwór, który, jak pamiętali, doskonale nadaje się na okazję czyjegoś wyjazdu.

Sędziemu towarzyszył ojciec. W domu matka zalewała się łzami, bo nie doceniła kontrastu pomiędzy ostatecznością pożegnania a krótkotrwałością ostatniej wspólnej chwili.

- Nie pozwól mu wyjechać. Nie pozwól mu wyjechać.

Jej syneczkowi z mizernym, komicznym wąsikiem, z zamiłowaniem do jej specjalnej potrawy *ćurwa*, której w Anglii nie dostanie, i nienawiścią do zimna, którego będzie miał w nadmiarze; z wydzierganym przez nią swetrem o wzorze tak wymyślnym, że z pewnością wyrażał ogrom jej uczucia; z nowym *Oxford English Dictionary* i z udekorowanym kokosem, który miał rzucić w fale jako dar dla bogów, by pobłogosławili jego podróży.

Ojciec z synem jechali stukoczącym pociągiem cały ranek, a potem popołudnie, i bezmiar krajobrazu, w którym Dżemu żył w nieświadomości, zrobił na nim ogromne wrażenie. Już samo to, że siedzą w pociągu, prędkość jazdy uczyniły jego świat trywialnym, ukazywały przez każde okno dowody istnienia pustki, która tylko czeka, żeby pochwycić niebaczące serce. Ogarnął go przesywający lęk nie o przyszłość, lecz o przeszłość, o naiwną wiarę, z którą żył w Piphicie.

Odór ryby suszącej się przy torach na rusztowaniu z patyków przez chwilę zaabsorbował jego myśli; kiedy wjechali w strefę neutralnego powietrza, jego lęki odżyły.

Pomyślał o żonie. Byli małżeństwem od miesiąca. Wróci... po wielu latach... a wtedy co? To wszystko było bardzo dziwne. Miała czternaście lat i nawet dobrze się nie przyjrzał jej twarzy.

Minęli słonowodną zatokę i wjechali do Bombaju, na Victoria Terminus, gdzie odprawili hotelowych naganiaczy, mieli się bowiem zatrzymać u znajomego jego teścia. Zbudzili się rano i ruszyli na przystań Ballard.

*

Kiedy Dżemubhai dowiedział się, że ocean opływa kulę ziemską, poczuł się wzmocniony tym faktem, teraz jednak, kiedy stał na zasypanym konfetti pokładzie statku i patrzył na morze napinające swe niezliczone mięśnie, poczuł, że świadomość ta odbiera mu siły. Drobne fale rozbijały się o burtę z sykiem wody sodowej, do którego teraz doszedł jeszcze warkot nateżającego się silnika. Gdy powietrze rozdarły trzy ryki syreny, ojciec Dżemu, wyglądając syna, dostrzegł go na pokładzie.

— Nie martw się — zawołał. — Poradzisz sobie pierwszorzędnie. — Lecz przerażenie w jego głosie zniwelowało otuchę, jaką miały ponieść te słowa. - Rzucaj kokos! - wrzasnął.

Dżemubhai spojrzał na ojca, kiepsko wykształconego mężczyznę, którego ambicje sięgały za daleko, i miłość w sercu Dżemubhaia zmieszała się z litością, a litość ze wstydem. Jego ojciec poczuł, jak podnosi rękę do ust: zawiódł syna.

Statek ruszył, woda rozstępowała się i przelewała, latające ryby srebrzyły nad tym wzburzeniem, wokół krążyły

butelki toma collinsa, a atmosfera zabawy osiągnęła *crescendo*.

Tłumek na brzegu przypominał śmieci na skraju wody: przegrzebki i rozgwieżdżone niczym koronkowe wykończenie halki, wyrzucone opakowania i krople śliny, rybie ogony i łzy... Wkrótce wszystko rozpląnęło się w zamglonym powietrzu.

Dzemu patrzył, jak ojciec niknie w oddali. Nie wyrzucił kokosa ani nie zapłakał. Nie doświadczył już nigdy uczucia miłości do drugiego człowieka, które nie byłoby skażone innym, przeciwstawnym uczuciem.

Minęli latarnię morską Colaba i wypłynęli na Ocean Indyjski, aż w końcu - w którąkolwiek stronę się obrócił — widział już tylko bezmiar morza.

*

Ze też przyjazd Sai tak go rozstroił, że też pozwolił, by przywołał wspomnienia z przeszłości. Bez wątpienia pamięć odświeżyły mu te kufry.

Panna S. Mistry, Zakon Sióstr Augustynek.

Pan J.P. Patel, SS „Strathnaver”.

*

Nie przestawał jednak wspominać: kiedy odnalazł swoją kajutę, okazało się, że ma towarzysza podróży - wychował się w Kalkucie i tam komponował łacińskie sonety je-denastozgłoskowcem w stylu Katullusa, które wpisywał do złoczonego zeszytu i zabrał ze sobą.

Towarzyszowi podróży ciekła ślinka na widok zawiniętych *w puri* pikli; cebuli, zielonej papryki i soli w gazetowym opakowaniu; banana, który w trakcie podróży padł ofiarą upału. Żaden owoc nie umiera tak odrażającą i paskudną śmiercią jak banan,

został jednak zapakowany na wszelki wypadek. Na jaki wypadek, krzyczał cicho do matki Dżemu.

Na wypadek gdyby zgłodniał w podróży albo gdyby przygotowanie posiłków trwało zbyt długo, albo gdyby zabrakło mu odwagi, żeby udać się do restauracji, zważywszy, że nie potrafi jeść sztucami...

Był wściekły, że matka rozważała ewentualność jego upokorzenia, i tym samym, jak sądził, wywołała je. Próbując zapobiec jednemu upokorzeniu, udało jej się tylko dodać następne.

Dżemu chwycił pakunek, pognał na pokład i wyrzucił go za burtę. Czy matka nie pomyślała o niestosowności tego gestu? Niegodna miłość, indyjska miłość, śmierdząca, nieestetyczna miłość... potwory z głębin oceanu mogły sobie wziąć to, co tak dzielnie zapakowała, gdy wstała w ckliwym nastroju przed świtem.

Smród psujących się bananów ustał, och, ale to tylko doskonale wyeksponowało inny zapach - strachu i samotności.

Gdy leżał na koi w kajucie, morze wydawało nieprzyzwoite odgłosy lizania przy burcie statku. Myślał o tym, jak na wpół rozebrał i pośpieszne znowu ubrał żonę, o tym, jak tylko na chwilę mignęło mu jej oblicze, jego poszczególne fragmenty, w trakcie nasuwania na głowę *pallu*. "Lecz na wspomnienie bliskości kobiecego ciała jego penis wstał w ciemności i zaczął się kiwać, proste, niewidome morskie stworzenie, które ignorowało chęć zignorowania go. Własny organ wydawał mu się dziwny: uparty, lecz tchórzliwy; błagalny, lecz napuszony.

Dobili do brzegu w Liverpoolu i orkiestra odegrała *Land of Hope and Glory*. Jego towarzysz podróży, w twee-dowym garniturze, przyzwał tragarza, żeby pomógł mu z torbami - biały miał pomóc ciemnoskóremu z bagażami!

Dżemubhai sam poniósł swoje torby, wgramolił się do pociągu i w drodze do Cambridge zaszokowała go, gdy mknęli przez pola, olbrzymia różnica między (kanciastą) angielską i (krągłą) indyjską krową.

*

Nie przestawały go zadziwiać widoki, które go witały. Anglię, w której szukał pokoju do wynajęcia, tworzyły maleńkie szare domki na szarych uliczkach, połączone ze sobą i z podłożem, jak gdyby przyklejone do lepu na myszy. Był zaskoczony, ponieważ spodziewał się jedynie rzeczy okazałych, nie zdając sobie sprawy, że i tutaj ludzie mogą być ubodzy, a ich życie mało estetyczne. Nie był zachwycony, podobnie zresztą jak ci, którzy otwierali mu drzwi, gdy do nich pukał - „właśnie wynajęliśmy”, „nie ma miejsc” czy nawet podniesienie i szybkie opuszczenie rolety albo bezruch, jak gdyby w tej chwili wszyscy mieszkańcy pomarli. Odwiedził dwadzieścia dwa domy, nim trafił pod drzwi pani Rice na Thornton Road. Ona też go nie chciała, lecz potrzebowała pieniędzy, a jej dom tak był usytuowany - po przeciwnej do uniwersytetu stronie stacji kolejowej — że obawiała się, iż w ogóle nie zdoła znaleźć lokatora.

Dwa razy dziennie wystawiała przy schodach na dole tacę - gotowane jajka, chleb, masło, dżem, mleko. Po kilku nocach, kiedy leżał i nasłuchiwał burczenia w na wpół pustym brzuchu, myśląc o swej rodzinie w Piphicie, według której zasługuje na gorącą kolację nie mniej niż królowa brytyjska, Dżemubhai zebrał się na odwagę i poprosił o porządny wieczorny posiłek.

— Sami też nie jadamy dużo na kolacje, James — wyjaśniła. - Ojciec nie może się na noc objadać. - Zawsze na

zywała męża „ojcem”, a do Dżemubhaia zaczęła się zwracać „James”. Lecz tego wieczoru znalazł na talerzu parującą pieczoną fasolę na toście.

- Dziękuję pani. Pyszności - powiedział do pani Rice, gdy siedziała w fotelu i wyglądała bez ruchu przez okno.

*

Później dziwił się, że zdobył się na taką odwagę, ponieważ wkrótce miał ją całkowicie stracić.

Dostał się do Fitzwilliam College dzięki pracy napisanej na egzamin wstępny: „Podobieństwa i różnice między rewolucją francuską a rewolucją październikową”. W tamtych czasach *college* ten bardziej przypominał szkołę niż uniwersytet, Dżemu zaczął jednak od razu się uczyć, była to bowiem jedyna umiejętność, którą mógł przenosić z kraju do kraju. Pracował po dwanaście godzin non stop, do późnej nocy, i wycofując się w ten sposób, nie wykonał w kluczowym momencie odważnego gestu na zewnątrz, zauważył natomiast, że jego bojaźliwość i samotność znalazły podatny grunt. Pograżał się w osamotnieniu, którego ciężar rósł z dnia na dzień. Samotność stała się przyzwyczajeniem, przyzwyczajenie stało się jego drugą naturą i zamieniło go w cień.

Ale przecież cienie wytwarzają własny niepokój i pomimo prób ukrycia się jedynie podkreślał coś, co rozstrajało innych. Całymi dniami nikt się do niego nie odzywał, w jego gardle tłoczyły się niewypowiedziane słowa, serce i umysł stały się tępe i obolałe, a starsze panie, nawet te żałosne — o niebieskawych włosach, plamach na skórze i twarzach jak zapadające się dynie — przenosiły się, kiedy siadał obok nich w autobusie, wiedział więc, że

cokolwiek mają one, czują się bezpiecznie z przekonaniem, że nie jest to aż tak złe jak to, co ma on. Te młode i ładne nie były bardziej uprzejme; dziewczyny zatykały nos i chichotały.

— Fu, on śmierdzi curry!

*

I tak Dżemubhai zaczął dziwaczeć; sam sobie wydawał się bardziej osobliwy niż ludziom ze swego otoczenia, własna skóra miała dla niego dziwny kolor, a akcent szczególne brzmienie. Nie potrafił już się śmiać, z trudem unosił kąciki ust w uśmiechu, a jeśli nawet do tego dochodziło, zasłaniał buzię dłonią, ponieważ nie mógł znieść myśli o tym, że inni widzą jego dziąsła i zęby. Te części ciała wydawały mu się zbyt intymne. Co więcej, starał się, żeby żadna część jego osoby nie wyłaniała się spod ubrania, bo mógłby kogoś urazić. Zaczął się obsesyjnie myć, nie chcąc, żeby ktoś go oskarżył o to, że cuchnie, i co rano zmywał z siebie gęsty, mleczny zapach snu, zapach siana, który go spowijał, kiedy się budził, i nasyczał materiałem pizamy. Do końca jego życia nigdy go nie widziano bez skarpet i butów, a poza tym wolał cień od światła, mroczne dni od słonecznych, bo podejrzewał, że światło słońca może ukazać jego brzydotę nazbyt wyraźnie.

Nie zwiedzał angielskiej prowincji, nie zwracał uwagi na urodę rzeźbionych budynków uniwersytetu ani złoconych kościołów i aniołów, nie słuchał chłopięcych chórów brzmiących jak dziewczęce i nie oglądał zielonej rzeki powielającej w swych rozdygotanych wodach ogrody, które przechodzą jeden w drugi, ani płynących łabędzi, które przypominają ze swym odbiciem w wodzie rozłożone skrzydła motyla.

W końcu przestał się już niemal czuć człowiekiem, podskakiwał klepany po ramieniu, jak gdyby przestraszony nieznośną intymnością tego gestu, drżał na samą myśl o zwykłej wymianie uprzejmości „Co-słysząc-pięk-ny-mamy-dziś-dzień” z grubą kobietą ubraną w przyjazne różowości, która prowadziła sklep na rogu.

- Co ma być? Powiedz raz jeszcze, złociutki - mówiła, nie mogąc zrozumieć jego mamrotania, pochyłona do przodu, by wyłapać jego słowa, lecz głos Dżemubhaia cichł i gasł, przechodząc w łzy litości nad samym sobą pod wpływem tego zwyczajnego aktu życzliwości. Zaczął chodzić dalej, do bardziej anonimowych sklepów, a kiedy kupił pędzelek do golenia i ekspedientka powiedziała, że jej mąż ma dokładnie taki sam, to przyznanie się do identycznych ludzkich potrzeb, ta zaistniała intymność — golenie się, mąż — wstrząsnęła nim do głębi.

*

Sędzia zapalił światło i spojrzał na datę ważności na opakowaniu pigułek calmpose. Nie, lekarstwa nie były przeterminowane: powinny zadziałać. Zamiast jednak pomóc mu zasnąć, sprawiły, że przyśnił mu się koszmar na jawie.

Leżał w łóżku, aż krowy zaczęły buczeć jak syreny mgłowe i kogut wujka Pottyego, Kukar Radża, rozwinął swoje kukuryku jak flagę na wietrze, co zabrzmiało absurdalnie i głośno, jak gdyby przywoływał wszystkich do cyrku. Był znów zdrowy, odkąd wujek Potty chwycił go za nogi, głowę wcisnął mu do puszki i oczyścił kuper z plujek za pomocą sprayu Flit.

*

Stanąwszy raz jeszcze twarzą w twarz z wnuczką podczas śniadania, sędzia poinstruował kucharza, żeby zabrał ją na spotkanie z korepetytorką, którą zatrudnił, panią o imieniu Noni, mieszkającą o godzinę drogi od Czo Oju.

*

Sai z kucharzem sunęli razem drogą, która wznosiła się i opadała przez wzgórze, wąska i czarna jak wąż, i kucharz pokazywał jej ważne miejsca w okolicy, wskazywał domy i mówił, kto w nich mieszka. Najbliższym sąsiadem był oczywiście wujek Potty, który przed laty kupił kawałek ziemi od sędziego, dżentelmen i farmer oraz pijaczyna; dalej jego przyjaciel, ojciec Booty ze swoją „Szwajcarską Mleczarnią”, który co wieczór upijał się z wujkiem Pottym. Mężczyźni ci mieli czerwone jak u królików oczy, zęby zbrązowiałe od tytoniu, ich organizmy wymagały oczyszczenia, lecz umysły mieli wciąż lotne.

- Hej, laleczko - zawołał wujek Potty, machając do Sai ze swojej werandy, która wystawała jak pokład statku nad stromym zboczem. Właśnie na tej werandzie Sai miała po raz pierwszy usłyszeć Beatlesów. A także piosenkę: *„AU that MEAT and NO PETATAS? Just aint right, like GREEN tomatasf”*.

*

Kucharz wskazał nieużywane zbiorniki do hodowli ryb, obóz wojskowy, klasztor na szczycie Durpin, a poniżej -sierociniec i kurzą fermę. Naprzeciwko kurzej fermy, dzie

ki czemu mogły z łatwością dostać jaja, mieszkały dwie af-kańskie księżniczki, których ojciec udał się na wczasy do Brighton, a po powrocie okazało się, że Brytyjczycy posadzili na tronie kogoś innego. Ostatecznie Nehru udzielił księżniczkom schronienia (co za dżentelmen!). W małym szarym domku mieszkała pani Sen, której córka, Mun Mun, wyjechała do Ameryki.

*

I wreszcie Noni (Nonita), która mieszkała z siostrą Lolą (Lalita) w obrośniętym różami domku o nazwie Mon Ami. Kiedy mąż Loli zmarł na atak serca, Noni, stara panna, wprowadziła się do siostry wdowy. Żyły z renty po nim, potrzebowały jednak więcej pieniędzy, zważywszy na niekończące się naprawy w domu, rosnące ceny wszystkiego na bazarze, a trzeba było jeszcze opłacić pokojówkę, za-miataczkę, stróża i ogrodnika.

A zatem, żeby dołożyć się do domowego budżetu, Noni przyjęła propozycję sędziego i zaczęła uczyć Sai. Od nauk ścisłych do Szekspira. Dopiero kiedy wiadomości matematyczne Noni zaczęły się wyczerpywać, gdy Sai skończyła szesnaście lat, sędzia był zmuszony zatrudnić Gjana, by poprowadził zajęcia z matematyki.

- Oto Saibejbi - rzekł kucharz, przedstawiając dziewczynkę siostrze. Spoglądały ze smutkiem na ten osierocony owoc kończącego się romansu Indii ze Związkiem Radzieckim.

- Najgłupsza rzecz, jaką zrobiły Indie... związały się nie z tym, z kim trzeba. Pamiętasz, jak Chotu i Motu pojechali do Rosji? Mówili, że czegoś podobnego jeszcze nie widzieli - Lola zwróciła się do Noni - nawet w Indiach. Niewiarygodna nieudolność.

— A przypominasz sobie — odpowiedziała Noni — te Rosjanki, co mieszkały obok nas w Kalkucie? Codziennie rano wychodziły z domu i wracały z górami jedzenia, pamiętasz? A potem szatkowały, gotowały, smażyły góry ziemniaków i cebuli. A przed wieczorem znowu biegły na bazar z rozwianym włosiem i wracały, rozemocjonowane do szaleństwa, dźwigając jeszcze więcej cebuli i ziemniaków na kolację. Dla nich Indie były krainą obfitości. W życiu nie widziały czegoś takiego jak nasze targowiska. Z upływem lat polubiły jednak Sai pomimo swych poglądów na temat Rosji i jej rodziców.

9

- Boże mój! - krzyknęła Lola, dowiedziawszy się, że skradziono strzelby sędziego z Czo Oju. Bardzo teraz posiwiła, lecz jej osobowość była silniejsza niż kiedykolwiek. - A jeśli te oprychy przyjdą do Mon Ami? Na pewno przyjdą. Tylko że my nic nie mamy. Ale t o ich nie powstrzyma. Oni zabiją za pięćdziesiąt rupii.

- Macie przecież stróża - przypomniała Sai z roztargnieniem, wciąż zachodząc w głowę, dlaczego Gjan nie przyszedł w dzień napadu. Na pewno jego uczucia do niej słabną...

- Budhu? Przecież to Nepalczyk. Kto by mu teraz ufał? Za każdą kradzieżą stoi jakiś stróż. Przekazuje informacje złodziejom, a potem dzieli się łupami... Pamiętacie, co się przytrafiło pani Thondup? Miała kiedyś jednego Nepal-czyka, któregoś roku wróciła z Kalkuty i zastała dom całkowicie wyczyszczony. Całkowicie. Filiżanki, talerze, łóżka, krzesła, przewody, oświetlenie, wszyściusieńko - nawet łańcuchy i pływaki w spłuczce. Jeden próbował ukraść kable przy drodze i znaleźli go porażonego prądem. Wszystkie bambusy zostały wycięte i sprzedane, wszystkie limetki zerwane. W rurach wodnych wywiercono dziury, toteż każda chata na wzgórzu zaopatrywała się w wodę °d nich - a po strózu oczywiście ani śladu. Szybko przez

granicę i zniknął w Nepalu. Mój Boże, Noni - dodała -chyba
powinniśmy zwolnić tego Budhu.

- Nie histeryzuj. Jak byśmy mogły? - odparła Noni. -Nie dał nam
żadnego powodu.

Obecność Budhu była wręcz czymś pocieszającym dla tych dwóch
sióstr, które zestarzały się razem w Mon Ami, gdzie w przydomowym
ogródku warzywnym rosły jedyne w tym kraju brokuły wyhodowane
z nasion zakupionych w Anglii, tak przynajmniej twierdziły; sad rodził
dość owoców, żeby w sezonie gruszkowym codziennie robić duszone
gruszki, a zostawało ich jeszcze tyle, że mogły prowadzić
eksperymentalną produkcję wina w wannie. Sznur do bielizny ugiął
się pod ciężarem majtek od Marksa & Spencera i mogły podziwiać
Kanczendzongę w kołnierzu z chmur przez duże iluminatory ich
nogawek. Przy wejściu do domu wisiało malowidło *tanka* — żarłoczny
demon z kłami i naszyjnikami z czaszek, wymachujący zadziornym
penisem — żeby zniechęcić misjonarzy. W salonie stała skrzynia z
bibelotami. Tybetańskie stoliki *czo-ksi* pomalowane na zielonkawo i
czerwono, zastawione książkami, wśród których był album z obrazami
Mikołaja Roericha, rosyjskiego arystokraty, który malował Himalaje z
tak wielką siłą wyrazu, że człowieka aż przechodził dreszcz, gdy sobie
wyobrażał to ziarniste, przedestylowane, mroźne powietrze,
samotnego jeźdźca na grzbiecie jaka zdążającego... no właśnie, dokąd?
Majestatyczne widoki sugerowały jakiś abstrakcyjny cel. Był tam też
przewodnik Salima Alego o ptakach i wszystkie powieści Jane Austen.
W szafce w jadalni stała porcelana Wedgwood, a na kredensie słoik
po dżemie zachowany ze względu na jego urodę. „Nadworny dostawca
dżemu i marmolady dla Jej Królewskiej Mości", napisano złotymi
literami pod herbem z lwem w koronie i jednorożcem poniżej.

Był jeszcze kot Mustafa, *czarny* i kudłaty dżentelmen demonstrujący idealną powściągliwość, której żadna miara miłości ani mądrości nie była w stanie przeniknąć. W tym momencie furkotał jak silnik ciężarówki na kolanach Sai, lecz wbijał w nią puste spojrzenie swych oczu, ostrzegając, by nie pomyliła tego z intymnością.

Żeby ochronić to wszystko, a także swoją godność, siostry zatrudniły Budhu, emerytowanego żołnierza, który uczestniczył kiedyś w walkach z partyzantami w Asamie, miał wielką strzelbę i równie groźnie wyglądające wąsy. Przybywał co wieczór o dziewiątej, dawał sygnał dzwonkiem, gdy podjeżdżał rowerem, i podnosił tyłek z siodełka, pokonując garb w ogrodzie.

- Budhu? - siostry wołały z domu, siadając w łózkach, zawinięte w chusty, sącząc sikimskie brandy przy dźwiękach wiadomości BBC spadających na nie trzeszczącymi eksplozjami z eteru.

- Budhu?

- *Huzur!*

Wtedy wracały do BBC, a później, czasami, do małego czarno-białego telewizora, kiedy telewizja Durdarśa-nu zapewniała ucztę w postaci *Szlachetnie urodzonej* albo *Tak jest, panie ministrze* z mężczyznami o twarzach jak wilgotne, zadowolone kawałki szynki. Gdy przy wietrznej pogodzie w Kalimpangu Budhu kręcił na dachu anteną, siostry krzyczały do niego przez okno „W prawo, w lewo, nie, z powrotem”, a biedak kołysał się wtedy pośród ciem i gałęzi drzew.

Co pewien czas w nocy Budhu wykonywał obchód wokół Mon Ami, stukając przy tym kijem i dmuchając w gwizdek, żeby Lola i Noni go słyszały i czuły się bez

pieczne do czasu, aż góry znów zaczną migotać czystymi
dwudziestoma czterema karatami, a one obudzą się w mlecznej mgle,
którą wypalało słońce.

*

Ufały Budhu, nie mając ku temu zupełnie żadnych podstaw. Mógłby je
pozabijać w koszulach nocnych...

- Ale jeśli go zwolnimy - zauważyła Noni - rozzłości się i stanie się dwa
razy bardziej prawdopodobne, że nam coś zrobi.

- Mówię ci, tym Nepalczykom nie można ufać. I oni nie tylko kradną.
Nie mają też zupełnie żadnych oporów przed mordowaniem.

*

- No cóż - westchnęła Lola - tak naprawdę musiało do tego dojść. Od
dawna coś wisiało w powietrzu. Zresztą kiedy w tej okolicy było
spokojnie? Jak się przeprowadzaliśmy do Mon Ami, w całym
Kalimpangu wrzało, pamiętacie? Nikt nie wiedział, kto jest szpiegiem,
a kto nie. Pekin nazwał wtedy Kalim pang ogniskiem działalności
antychińskiej...

Mnisi sunęli przez lasy jak strumienie w kolorze czerwonego granatu
spływające po zboczach gór, gdy uciekali z Tybetu solnymi i
wełnianymi szlakami handlowymi. Przybywali też arystokraci, a
piękności z Lhasy tańczyły walca na balu w klubie Gymkhana,
zadziwiając miejscowych swym kosmopolitycznym stylem.

Lecz od dłuższego czasu występowały poważne braki w zaopatrzeniu,
jak zawsze, kiedy wzgórze ogarniały niepokoje.

— Noni, lepiej biegnijmy na bazar. Niedługo opustoszeje. I nasze książki z biblioteki! Musimy je wymienić.

— Ja chyba nie dożyję do końca miesiąca - stwierdziła Lola. - Jeszcze mi trochę zostało - walnęła w *Zakręt rzeki* — co za mordęga...

— Znakomity pisarz — odparła Noni. — Pierwszorzędny. Jedna z najlepszych książek, jakie czytałam.

— No nie wiem. Mnie wydaje się jakiś dziwny. Zagrzebał się w przeszłości... Nie poszedł do przodu. Kolonialna neuroza, nigdy się od niej nie uwolnił. Teraz wszystko się pozmieniało. Na przykład - powiedziała - tikka ma-sala zastąpiła smażoną rybę z frytkami jako najpopularniejsze danie na wynos w Wielkiej Brytanii. Niedawno pisali o tym w „Indian Express”. Tikka masala — powtórzyła. - Dasz wiarę?

Wyobraziła sobie angielski pejzaż, zamki, żywopłoty, jeże i tak dalej i tikka masalę przewożoną w autobusach, na rowerach, w rolls-royce'ach. Potem wyobraziła sobie scenę ze *Szlachetnie urodzonej*: „Och, Audrey. Wyśmienicie! Tikka masala z kurczaka! Tak, zamówiłem też trochę basmati. Uważam, że to wyborny ryż, nieprawdaż?”.

— Cóż, nie lubię się z tobą zgadzać, ale może masz trochę racji - przyznała Noni. - No bo dlaczego nie pisze o miejscu, gdzie mieszka teraz? Dlaczego nie podejmuje tematu, powiedzmy, rozruchów na tle rasowym w Manchesterze?

— Poza tym ta nowa Anglia, Noni. Całkowicie kosmopolityczne społeczeństwo. Weźmy Pixie, wcale nie czuje się tam od nikogo gorsza.

Pixie, córka Loli, była reporterką BBC i od czasu do czasu Lola ją odwiedzała, a po powrocie doprowadzała wszystkich do szału swoją paplaniną: „Wspaniała sztuka i, Boże, te truskawki ze śmietaną... Boże, te truskawki ze śmietaną”.

*

- Ojej! Ale truskawki ze śmietaną, moja droga, i w jakim pięknym ogrodzie je jedliśmy. - Noni przedrzeźniała siostrę. - Jakby w Kalimpangu nie można było dostać truskawek ze śmietaną! - Po czym dodała: -1 można je jeść, nie musząc przy tym cedzić słów i zachowywać się jak świnia na wysokich obcasach.

- Straszne nogi mają te angielskie dziewczyny - powiedział wujek Potty, obecny podczas tej sprzeczki. - Grube i blade. Dobrze, że zaczęły teraz nosić spodnie.

Lecz Lola była zbyt oszołomiona, żeby ich słuchać. Walizki wypchane miała słoiczkami pasty Marmite, kostkami rosółowymi Oxo, zupkami w proszku Knorra, czekoladkami After Eight, cebulkami żonkili i uzupełnionymi zapasami płynu ogórkowego Bootsa i majtkami od Marksa & Spencera - esencją, kwintesencją angielskości w jej rozumieniu. Z pewnością sama królowa nosiła te znakomite wyroby: Była solidna. Były solidne.

Była przeciętnej urody. Były przeciętnej urody.

Była mocna. Były mocne.

Była praktyczna. Były praktyczne.

I ona trwała. I one trwały.

Właśnie Pixie zainspirowała wieczorny rytuał słuchania wiadomości BBC.

- Budhu?

— *Huzur.*

— Dobry wieczór... przy mikrofonie Pijali Bannerdzi, oto wiadomości BBC.

W całych Indiach ludzie, słysząc to indyjskie nazwisko wypowiedane z brytyjskim akcentem *pakka*, śmiali się do rozpuku, aż bolały ich brzuchy

Choroby. Wojny. Klęski głodu. Noni wydawała z siebie okrzyki oburzenia, Lola natomiast mruczała z dumą i słyszała tylko ugładzoną elegancję głosu córki, triumfującą mimo wszelkich okropieństw, jakie świat może przynieść ludziom.

- Lepiej wyjechać prędzej niż później - poradziła córce dawno temu. — Indie to tonący okręt. Nie chcę cię do niczego zmuszać, kochanie, złociutka, myślę tylko o twoim szczęściu, ale drzwi nie pozostaną wiecznie otwarte...

Drugi rok pobytu w Ameryce Bidżu rozpoczął we włoskiej restauracji Pinocchio, gdzie mieszał w kadziach z pyrkającym sosem bolognese, gdy z głośnika płynęła muzyka operowa, pieśni o miłości i zbrodni, zemście i cierpieniu zakochanych.

- On śmierdzi - stwierdziła żona właściciela. - Chyba mam alergię na tłuszcz jego włosów. - Wolała pracowników z biedniejszych rejonów Europy, może Bułgarów lub Czechów i Słowaków. Przynajmniej coś ich łączyło, religia, kolor skóry, przodkowie, którzy jedli suszone kiełbasy i tak jak one wyglądali, nie przyjeżdżało ich jednak wystarczająco dużo albo nie byli wystarczająco zdesperowani, tego nie wiedziała...

Właściciel kupił mydło i pastę do zębów, szczoteczkę do zębów, szampon z odżywką, patyczki higieniczne, cąż-ki do paznokci, a co najważniejsze, dezodorant, i poinformował Bidżu, że przyniósł trochę rzeczy, które mogą mu się przydać.

Stali tam, zażenowani intymnym przeznaczeniem przedmiotów, które znajdowały się między nimi.

Spróbował innej taktyki:

- Co w Indiach mówi się o papieżu?

Okazując szacunek umysłowi Bidżu, chciał wzmocnić szacunek Bidżu dla samego siebie, chłopcu bowiem wyraźnie go brakowało.

- Próbowaleś - powiedziała żona, pocieszając go kilka dni później, kiedy nie dostrzegli w pracowniku żadnej zmiany. - Nawet mu mydło kupiłeś.

*

Bidźu wstąpił do Tom & Tomokos - Nie ma wakatów. Pub McSweeneys - Nie zatrudniamy. Freddys Wok — Umiesz jeździć na rowerze? Tak, umie.

*

Skrzydełka po syczuańsku z frytkami tylko trzy dolary. Smażony ryż dolar trzydzieści pięć i dolar za smażone kluseczki tłuszczutkie i pulchniutkie jak niemowlęta - wystarczy rozkroić, a na talerz wyleje się strumień pysznego tłuszczu. W tym kraju biedacy jedzą jak królowie! Kurczak generała Tso, wieprzowina po cesarsku i Bidźu na rowerze z torbą na kierownicy, drżąca postać między wzdychającymi autobusami, wypluwającymi spaliny taksówkami — jakież jęki i odgłosy niestrawności wydawały te pojazdy. Bidźu pedałowal mocno, zaczepiany przez taksówkarzy prosto z Pendzabu — człowiek nie jest stworzony do życia w klatce, człowiek jest dziki, dziki i jako taki musi jeździć brykającą, jodłującą taksówką. Dręczyli Bidźu takimi sygnałami klaksonów, które mogłyby podzielić świat na serwatkę i ser: pooooUUU.U.U.!

Pewnego wieczoru wysłano Bidźu z ostro-kwaśną zupą i omletami fu jong do trzech Hindusek, studentek, od niedawna zamieszkałych w tej okolicy po zmianie przepisów zezwalających na podniesienie czynszów w biednych dzielnicach. Transparenty z napisami „Dzień przeciwko gentry

fikacji" zostały rozwieszane nad ulicą przez starych mieszkańców z okazji festynu, który odbył się wcześniej tego dnia, kiedy grała muzyka, smażono kiełbaski na wolnym powietrzu i sprzedawano badziewie. Te Hinduski chciały za jakiś czas wejść do klasy wyższej, lecz w tym momencie, chociaż były w tej okolicy źle widziane, znajdowały się na studenckim etapie sympatyzowania z biedotą, która wolałaby ich tu nie oglądać.

Dziewczyna, która otworzyła mu drzwi, uśmiechnęła się, lśniąco zęby, lśniąco oczy za lśniąco okularami. Odebrała torbę i poszła po pieniądze. W mieszkaniu królowała indyjska kobiecość, intensywna woń słodko pachnących, świeżo umytych włosów, porozrzucane kolhapurskie sandały obszyte złotymi paciorkami. Na stole leżały grube tomiszczka o księgowości obok masywnego posążka Ga-neśi, przywiezionego z domu pomimo jego ciężaru z myślą o wystroju pokoju, miał też przynosić szczęście w sprawach pieniężnych czy podczas sesji egzaminacyjnej.

- No to - powiedziała jedna z nich, kontynuując przerwana przez Bidźu rozmowę na temat czwartej, nieobecnej hinduskiej dziewczyny
- czemu w takim razie nie wybierze Hindusa, który zrozumie te jej humory?
- Ona nawet nie spojrzy na Hindusa, nie chce sympatycznego Hindusa, który wychowywał się w kuchni, gawędząc z ciotkami.
- A kogo by chciała?
- Faceta z reklamy Marlboro z doktoratem.

Posiadały przekonanie o własnej nieomyślności, powszechne u wielu dobrze wykształconych, mówiących po angielsku Hindusek, chodziły na eleganckie późne śniadania, rozrywały roti Dadi zręcznymi palcami, nosiły sari, a na aerobik wkładały elastyczne szorty, potrafiły powiedzieć „*Namaste, ciociu Kusum, aije, bajthije, khaije!*”

z taką samą łatwością jak „Cholera!”. Szybko przekonały się do krótkich włosów, z niecierpliwością oczekiwały romansu w zachodnim stylu, a później tradycyjnej ceremonii z mnóstwem biżuterii: zielony zestaw (szmaragdowy), czerwony zestaw (rubinowy), biały zestaw (diamentowy). Uważały się za szczególnie predestynowane do tego, żeby wszystkich pouczyć na rozliczne tematy: nauczycieli księgowości na temat księgowości, mieszkańców Vermontu na temat jesiennych liści, Hindusów na temat Ameryki, Amerykanów na temat Hindusów, Hindusów na temat Indii, Amerykanów - Ameryki. Były pewne siebie; były przekonujące; w Stanach Zjednoczonych, gdzie na szczęście wciąż się przyjmuje, że Hinduski są poniewierane, wychwalano je jako kobiety niezwykle - co miało taki niefortunny skutek, że stawały się jeszcze bardziej takie, jakie już były.

Sprawdziły zawartość torby: ciasteczka z wróżbą, sos chili, sos sojowy, sos śliwkowy, pałeczki, chusteczki, plastikowe łyżki, noże, widelce. - *Dbanjawad. Sukrija*. Dziękuję. Napiwek. Powinieneś sobie kupić grube rękawiczki na zimę.

Lśniacooka dziewczyna powiedziała to na wiele sposobów, żeby znaczenie przekazać z każdego punktu widzenia - żeby w pełni zrozumiał ich życzliwość podczas tego spotkania Hindusów za granicą, z różnych klas społecznych, mówiących różnymi językami, bogatych i biednych, z północy i południa, z najwyższej kasty i najniższej.

W stojącym na progu Bidżu wzbierały różne uczucia: głodu, szacunku, odrazy. Wsiadł na rower, który oparł

o ogrodzenie, i już miał odjechać, gdy coś go zatrzymało

1 kazało zawrócić. Ich mieszkanie, z czarnymi kratami dla bezpieczeństwa, znajdowało się na parterze. Bidżu włożył dwa palce do ust i gwizdnął w stronę okna na dziewczyny

zanurzające łyżki w plastikowych pojemnikach, gdzie brązowy płyn i mgliste kawałki jajka wyglądały obrzydliwie na tle plastiku, tłi tłiiiiii tłuu, i zanim ujrzał ich reakcję, odjechał, pedałując co sił w nogach, i wtopił się w gniewny, zawodzący ruch uliczny na Broadwayu, a kiedy tak pędził, śpiewał głośno: „*O, je larki zara-si diwani lagti hai...*”.
Stare piosenki, najlepsze piosenki.

*

Później jednak, w ciągu jednego tygodnia, pięć osób zadzwoniło do Freddys Wok ze skargą, że jedzenie przyjechało chłodne. Nadeszła zima.

Cienie wyciągnęły się, noc przejadała więcej godzin, niż jej się należało. Bidźu wyczuł pierwszy śnieg i przekonał się, że ma ten sam kłujący, trudny zapach, który kryje się w zamrażarce; czuł jego styropianowe skrzypienie pod butami. Na rzece Hudson lód pękał głośno na kawałki i wydawało się, że w zarysach tej szarej nieregularnej rzeki mieszkańcom tego miasta przekazuje się obraz czegoś odległego i zapomnianego, co mogą wykorzystać do rozmyślań o własnej samotności.

Bidźu zrobił sobie pod koszulą podpinę z gazet - nie-sprzedane egzemplarze od pana Iype'a, kioskarza - a czasem brał naleśniki z szalotką i wsuwał je pod papier, zainspirowany wspomnieniem o wuju, który zimą wychodził na pole z obiadową porcją *paratha* pod ubraniem. Nawet to jednak nie pomagało i pewnego razu zaczął płakać z zimna, na rowerze, a wtedy ten płacz dotknął głębszej żyły smutku - tak straszny jęk dobył się spomiędzy tych zawodzeń, że aż nim wstrząsnęły rozmiary jego smutku.

Kiedy wrócił do mieszkania w suterenie budynku w najgorszej części Harlemu, poszedł prosto spać.

Budynek ten należał do niewidzialnej firmy, która za swój adres podawała „Ulica Jeden i V4” i była właścicielem czynszówek w całej okolicy, dozorca zaś uzupełniał swój dochód, nielegalnie wynajmując suterene na tydzień, na miesiąc czy choćby na jeden dzień innym nielegalnym imigrantom. Jacinto mówił po angielsku mniej więcej tak samo dobrze jak Bidzu, toteż posiłkując się hiszpańskim, hindi i dziką gestykulacją, przy błyskach złotego zęba dozorca w późnym popołudniowym słońcu, ustalili z Bidzu warunki najmu. Bidzu dołączył do płynnej populacji mężczyzn obozujących pod skrzynką bezpiecznikową, za kotłem, w schowkach i zakamarkach o dziwnych kształtach, które kiedyś służyły jako spiżarnie, pokoje dla służby, pralnie i składziki na dole czegoś, co było niegdyś domem jednorodzinny, z gankiem wciąż ozdobionym kolorową mozaiką w kształcie gwiazdy. Mężczyźni wspólnie korzystali z żółtej ubikacji; za zlew służyło blaszane koryto do prania. Na cały budynek przypadała jedna skrzynka bezpiecznikowa i jeśli ktoś włączył za dużo urządzeń lub świateł, łup i całą elektryczność diabli brali, a mieszkańcy wrzeszczeli do nikogo, bo oczywiście nie było nikogo, kto by ich mógł usłyszeć. Bidzu czuł się tam bardzo nieswojo od pierwszego dnia.

— Siema! - rzucił wtedy mężczyzna na schodach do jego nowego domu, wyciągając rękę i kiwając głową. — Ja jestem Joey i właśnie napiłem się trochę WHIIISSSSKY! — Gorzelniany chuch i syk. Był miejscowym bezdomnym na skraju swego rewiru, który czasem oznaczał złotym łukiem moczu oddawanego

prosto na ulicę. Zimował na kracie wentylacyjnej metra w gigantycznym plastikowym igloo, które zapadało się, a potem nadymało mocno zatechłym powietrzem za każdym razem, gdy przejeżdżał pociąg. Bidżu uścisnął lepką dłoń, a wtedy mężczyzna chwycił go mocno — Bidżu wyrwał się i uciekł, słysząc za sobą jego chichot.

*

- Jedzenie jest zimne - skarżyli się klienci. - Zupę przywieziono zimną! Znowu! Ryż jest zimny za każdym razem.
- Mnie też jest zimno - powiedział Bidżu, tracąc cierpliwość.
- Pedałuj szybciej - powiedział właściciel.
- Nie umiem.

*

Było tuż po pierwszej nad ranem, kiedy po raz ostatni wyszedł z Freddys Wok, latarnie uliczne tworzyły aureole światła wypełnione gwiazdzistymi drobinkami zamarznętej pary, a on brnął między górami śniegu przyozdobionymi pustymi opakowaniami po daniach na wynos i skrzepniętym moczem psów, zadziwiająco żółtym. Ulice były puste, nie licząc bezdomnego, który stał i patrzył na niewidzialny zegarek na przegubie, jednocześnie mówiąc coś do zepsutej słuchawki w budce telefonicznej.

- Pięć! Cztery! Trzy! Dwa! Jeden... START! - wrzasnął, a potem odwiesił słuchawkę i uciekł, przytrzymując czapkę, jak gdyby miała ją zaraz zwać rakietą przed chwilą wysłana przez niego w kosmos.

Bidzu mechanicznie skręcił przy szóstym posepnym domu z jego przypominającą nagrobek fasadą, minął metalowe puszki, na których słyszał rozpoznawalny dźwięk szczurzych pazurów, i zszedł po schodach do sutereny.

— Jestem bardzo zmęczony — powiedział na głos. Niedaleko jednemu z mężczyzn było za gorąco w łóżku i obracał się z boku na bok. Ktoś inny zgrzytał zębami.

*

Nim ponownie znalazł pracę, w piekarni na rogu Broadway i La Salle, wykorzystał wszystkie pieniądze z koperty z oszczędnościami w bucie. Była wiosna, topniał lód, uwolniony mocz płynął strumieniami. W całym mieście, w kawiarniach i barach, korzystano z tego króciutkiego zwariowanego okresu między zimą, mroźną jak diabli, a latem, upalnym jak diabli, i posilano się *alfresco* na wąskich chodnikach pod kwiatami wiśni. Kobiety w skąpych sukienkach, z kokardami i wstążkami, które kłóciły się z ich osobowością, raczyły się pierwszymi w tym sezonie nowalijkami, a aromat drogich potraw mieszał się z wyziewami samochodów i lubieżnym oddechem kolejki podziemnej, który podwiewał spódnice ubranych wiosennie dziewcząt i sprawiał, że zastanawiały się, czy tak właśnie czuła się Marilyn Monroe - chyba jednak nie, chyba nie...

Burmistrz znalazł szczura w Gracie Mansion.

A Bidzu, w piekarni Queen of Tarts, poznał Sajida Sa-jida, który miał stać się najbardziej podziwianą przezeń osobą w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

- Pochodzę z Zanzibaru, nie z Tanzanii - oznajmił, przedstawiając się. Bidzu nie znał ani jednego, ani drugiego kraju.

— Gdzie to jest?

- To ty nie wiesz? W Zanzibarze pełno Hindusów, stary! Moja babka - też Hinduska!

W StoneTown jadali samosę, ćapati, *dżalebi*, *ryż pilau*... Sajid Sajid umiał śpiewać jak Amitabh Baćhan i Hema Malini. Śpiewał „*Mera dżuta hai dżapani...*” i „*Bambaj se aja mera dost — Oif*”. Umiał gestykulować z rozpostartymi ramionami i kręcić biodrami tak jak Kawafja z Kazachstanu i Omar z Malezji — we trójkę zamęczali Bidżu swymi porywającymi układami tanecznymi. Bidżu był tak dumny z filmów ze swojego kraju, że aż mu się w głowie kręciło.

Noni udzielała lekcji Sai w poniedziałki, środy i piątki.

Kucharz odprowadzał dziewczynkę do Mon Ami i zanim ją stamtąd odebrał, szedł na targ i pocztę i sprzedawał *czang*.

Pokątną produkcję piwa rozpoczął z myślą o Bidżu, ponieważ jego pensja od lat pozostawała na prawie niezmiennym poziomie.

Ostatnia podwyżka wyniosła dwadzieścia pięć rupii.

- Ależ *sahib* — błagał sędziego — jak ja mam z tego wyżyć?

- Wszystko masz opłacone, mieszkanie, ubranie, jedzenie, leki. To jest tylko dodatek - odburknął sędzia.

- A Bidżu?

- Co z Bidżu? Bidżu musi sam na siebie zarabiać. Coś z nim nie tak?

Kucharz, znany z wybornej jakości swego produktu, kupował jęczmień, płukał ziarna i gotował jak ryż, a potem, po dodaniu drożdży, zostawiał na noc przy cieplej pogodzie, dłużej zaś w zimie, żeby sfermentowało. Po jednym lub dwu dniach w jutowym worku trunek nabierał kwaskowego, wytrawnego, upajającego smaku, a wtedy sprzedawał go w knajpie o nazwie Gompus. Przepęłniała go duma na widok mężczyzn siedzących w obłokach pary i dymu z bambusowymi kubkami napełnionymi jego

piwem zalany gorącą wodą. Sączyli napój przez bambusową gałązkę zamiast rurki, odfiltrując w ten sposób ziarna - aaaaach... Kucharz namawiał klientów, żeby trzymali *czang* przy łóżku na wypadek, gdyby w nocy zachciało im się pić, twierdził też, że regeneruje siły po chorobie. To przedsięwzięcie doprowadziło do następnego, jeszcze bardziej lukratywnego, gdy kucharz nawiązał kontakty z czar-norynkowymi spekulantami i został istotnym, choć drobnym, ogniwiem w nielegalnym procederze rozprowadzania dotowanego alkoholu i paliwa przeznaczonego dla wojska. Do jego schowanej w dżungli chaty zjeżdżały wojskowe ciężarówki w drodze do oficerskiej kantyny. Stał w zaroślach i czekał. Pojazdy zatrzymywały się i szybko wyładowywano skrzynki - whisky teachers, Old Monk, gilbys, gymkhana; zanosił je do swojej chaty, a później przekazywał handlarzom w mieście, którzy alkohol sprzedawali. Wszyscy dostawali jakąś działkę, kucharz tylko odrobinę w owym łańcuchu, pięćdziesiąt rupii, sto rupii; kierowcy ciężarówek większe sumy; mężczyźni z mesy jeszcze więcej; największa zaś działka trafiała do majora Alu, zaprzyjaźnionego z Lolą i Noni, który w podobny sposób zdobywał dla nich ulubiony rum Black Cat i sikimską wiśniówkę.

*

To wszystko kucharz robił dla Bidżu, ale także dla siebie, pragnął bowiem nowoczesności: tosterów, elektrycznych golarek, zegarków, aparatów fotograficznych, kolorów jak w filmach rysunkowych. W nocy jego sny pisane były nie freudowskimi symbolami, które wciąż dręczyły innych ludzi, lecz nowoczesnymi kodami, śnił o cyfrach telefonu znikających, nim zdąży je wybrać, o zniekształconych telewizorach.

Przekonał się, że nie ma nic gorszego niż służba rodzinie, z której nie można być dumnym, która sprawia zawód, przynosi wstyd i przez którą człowiek wychodzi na głupca. Ależ się pysznili, inni kucharze i pokojowe, stróżowie i ogrodnicy z okolicy, opowiadając, jak dobrze są traktowani przez swoich pracodawców — pieniądze, wygody, nawet dożywotnie pensje na specjalnych rachunkach bankowych. Co więcej, tak bardzo hołubieni byli niektórzy z nich, że wręcz błagano ich, żeby nie pracowali; pracodawcy upraszali ich, by jedli śmietanę i *ghi*, by uważali na odmrożenia, a w zimowe popołudnia wygrzewali się na słońcu jak warany. Stróż z pensjonatu MetalBox zapewniał go, kiedy popularne było białe pieczywo, że co rano konsumuje smażone jajko z białym tostem, a teraz, kiedy ciemne zrobiło się modne - z ciemnym. Kucharz złapał się na tym, że kłamie — rywalizacja była tak zażarta. Kłamał głównie na temat przeszłości, ponieważ terażniejszość można było zbyt łatwo zweryfikować. Rozpuszczał plotki o minionej świetności sędziego, a co za tym idzie własnej, krążyły więc po całym targu rozpalane przez niego i podsycane. Wybitny urzędnik państwowy, mówił, zamożny właściciel ziemski, który rozdał rodzinny majątek, bojownik o wolność, który porzucił szalene intratne stanowisko w sądzie, ponieważ nie chciał skazywać braci - nie mógł, nie przy jego patriotycznym zapale, posyłać do więzienia członków Kongresu lub tłumić demonstracji. Człowiek tak porywający, lecz rzucony na kolana, przywiedziony do ubóstwa i stoicyzmu rozpaczą po śmierci żony, żony będącej oddaną i religijną matką, tego rodzaju kobietą, że na myśl o niej Hindusom uginają się nogi w kolanach.

- I dlatego siedzi całymi dniami sam w domu, codziennie.

Kucharz nigdy nie poznał żony sędziego, utrzymywał natomiast, że wiadomości te przekazane mu zostały przez starszą służbę, i z czasem w końcu sam zaczął wierzyć w wymyśloną przez siebie cudowną historię. Przepęłniała go szacunkiem do samego siebie, nawet kiedy przebierał w przecenionych warzywach i przeglądał poobijane melony.

- Był zupełnie innym człowiekiem - powiedział również Sai, kiedy przybyła do Kalimpangu. - Nie uwierzysz. Urodził się w zamożnej rodzinie.

- Gdzie się urodził?

- W jednej z najzacieńszych rodzin Gudżaratu. W Ah-madabadzie. Czy w Barodzie? Mieszkali w *haweli* wielkości pałacu.

Sai lubiła dotrzymywać mu towarzystwa w kuchni, kiedy snuł te opowieści. Dawał jej kawałki surowego ciasta do rozwałkowania na *ćapati* i pokazywał, jak sprawić, żeby były idealnie okrągłe, lecz jej wychodziły w najróżniejszych kształtach.

- Mapa Indii — mówił, odrzucając jeden kawałek — o, a teraz mapa Pakistanu - i wyrzucał następny. W końcu pozwalał, żeby położyła rozwałkowane ciasto na ogniu do wyrośnięcia, a jeśli nie wyrosło, mówił: — Specjalne *roń* dla psów.

- Ale opowiedz mi coś jeszcze - prosiła go, kiedy pozwalał jej rozsmarować dżem na wierzchu tarty lub zetrzeć ser do sosu.

- Wysłali go do Anglii i dziesięć tysięcy osób żegnało go na stacji. Dostał się tam na grzbiecie słonia. Widzisz, twój dziadek zdobył stypendium od samego maharadży...

Odgłosy paplaniny kucharza docierały do uszu sędziego, gdy siedział nad szachami w salonie. Kiedy wracał myślami do swojej przeszłości, zaczynało mu dokuczać tajemnicze swędzenie. To drażniące uczucie wypełniało każdą cząstkę jego ciała. Narastało w nim, aż nie mógł go dłużej znieść.

*

W rzeczywistości Dżemubhai Popatlal Patel urodził się w rodzinie należącej do kasty chłopskiej, w rachitycznej konstrukcji pod palmowym dachem rojącej się od szcurów, na obrzeżach Piphitu, gdzie miasto nabierało znów wyglądu wsi. Był rok 1919 i Patelowie wciąż pamiętali czasy, kiedy Piphit wydawał się miejscem ponadczasowym. Na początku znajdował się w rękach władców Barody z dynastii Gajakwarów, potem Brytyjczyków, ale chociaż podatki trafiały do kieszeni najpierw jednych, a potem drugich, krajobraz pozostawał taki sam; w centrum miasta wznosiła się świątynia, a obok niej rośło *ban-jan* o kilku konarach; w jego arkadowym cieniu siwobrodzi mężczyźni bez końca przeżuwali wspomnienia; krowy muczały uu oou, uu oou, kobiety przemierzały pola bawełny w drodze po wodę z mulistej rzeki, powolnej rzeki, niemal uśpionej. Później jednak przez solne niecki przerzucono tory i z doków w Suracie i Bombaju sprowadzono parowozy do transportu bawełny z głębi kraju. W dzielnicy urzędowej powstały szerokie domy mieszkalne, a także budynek sądu z wieżą zegarową, która miała odmierzać nowy, szybko upływający czas, na ulicach zaś tłoczyli się ludzie wszelkiego autoramentu: hindusi, chrześcijanie, dżiniści, muzułmanie, urzędnicy, młodzi żołnierze, wieśniaczki.

Na targu sklepikarze prowadzili interesy z małych klitek, w których przesiadywali, a ich kontakty sięgały Kobe, Panamy, Port-au-Prince, Szanghaju, Manili, a także sklepików z blaszanymi dachami, za małych, żeby do nich wejść, odległych o wiele dni podróży furmanką. Tutaj, na targu, na wąskim parapecie wystającym ze sklepu ze słodyczami ojciec Dżemubhaia prowadził skromną działalność polegającą na werbowaniu fałszywych świadków do sądu. (Kto by pomyślał, że jego syn po latach zostanie sędzią?)

Typowe historie: zazdrosny mąż odcinający żonie nos albo fałszywy dokument potwierdzający śmierć wdowy, która wciąż żyła, żeby jej majątek można było rozparcelować między chciwych krewnych.

Szkolił biednych, zdesperowanych, łotrów, surowo ich przepytywał: — Co wiecie o byku Manubhaja?

- Manubhaj nigdy przecie nie miał żadnego byka.

Był dumny z możliwości wpływania na tor sprawiedliwości i zmiany jego kierunku, przekuwania prawdy w fałsz i fałszu w prawdę; nie miał wyrzutów sumienia. Zanim sprawa skradzionego byka trafiała na wokandę, między zwaśnionymi rodzinami konflikt trwał już od stuleci i miał tyle niuansów i zawłości, że proste rozróżnienie prawdy i fałszu zacierało się całkowicie. Klarowność była sprawą przegraną. Jak daleko w przeszłość można się cofnąć, żeby rozstrzygnąć spór?

Interes kwitł. Za trzydzieści pięć rupii kupił używany rower Herkules i często widywano go, gdy pedałowal przez miasto. Kiedy narodził się jego pierworodny i jedyny syn, rozbudził w nim natychmiast wielkie nadzieje. Mały Dżemubhai zaciskał pięć miniaturowych paluszków na jednym palcu ojca; uścisk ten był stanowczy i nieco

zawzięty, lecz ojciec odbierał ten gest jako oznakę dobrego zdrowia i nie mógł przestać się uśmiechać pod wąsem. Kiedy syn podrośł, wysłał go do szkoły misyjnej.

*

Każdego ranka w dzień powszedni matka Dżemubhaia budziła go w ciemności, żeby mógł powtórzyć lekcje.

— Nie, proszę, jeszcze nie, jeszcze trochę. — Wyślizgiwał się z jej uchwytu, z wciąż zamkniętymi oczami, gotów zapaść znowu w sen, nigdy się bowiem nie przyzwyczyił do tego konspiracyjnego budzenia, tych godzin, które należą do rabusiów i szakali, do dziwnych odgłosów i kształtów nieprzeznaczonych, tego był pewien, dla uszu i oczu ucznia pierwszych klas Bishop Cotton School. Nie widział przed sobą niczego prócz czerni, choć wiedział, że kryje się w niej zagracony dom, rzędy przemądrzałych członków rodziny,

kaka-kaki-mausa-mausi-phoi-phua śpiących na zewnątrz, tobołki w różnych kolorach zwisające z krytego strzechą dachu werandy, bawoły uwiązane do drzew za pomocą kółek w nosach.

Jego matka była zjawą na mrocznym podwórzu, oblewała zimną wodą ze studni jego niewidzialne „ja”, szorowała mocno grubymi w nadgarstkach rękami chłopki, wcierała olejek przez włosy w skórę głowy i chociaż wiedział, że ma to pobudzić do pracy jego mózg, czuł, jakby mu go tym wcieraniem ścierała.

Karmiono go aż do przesytu. Codziennie dostawał szklanek świeżego mleka z cekinami złocistego tłuszczu. Matka przykładła mu do ust szklanek i odsuwała ją dopiero wtedy, gdy była opróżniona, a on wyłaniał się z domu jak wieloryb z morza, z trudem oddychając. Z żołądkiem pełnym śmietany, głową pełną wyuczonych

formulek, kamforą zawieszoną na szyi w małym woreczku, żeby odegnać chorobę; nad wszystkimi jego rzeczami modlono się i oznaczono je czerwonymi i żółtymi znakami *tika*. Do szkoły jechał na bagażniku roweru ojca.

Nad wejściem do szkoły wisiał portret królowej Wiktorii w sukni jak falbaniasta zasłona, w pelerynie z frędzlami i dziwnym kapeluszu z wystrzeliwującymi z niego pierzastymi strzałami. Codziennie rano, gdy Dżemubhai pod nim przechodził, żabia twarz królowej fascynowała go i był pod wielkim wrażeniem tego, że tak brzydka kobieta może dzierżyć taką władzę. Im bardziej zastanawiał się nad tą osobliwością, tym więcej miał szacunku dla niej i dla Anglików.

Właśnie tam, w obecności tego brodawkowego oblicza, wreszcie sprostał pokładanym w nim nadziejom. Oto z nędznego rodu Patelów zrodziła się inteligencja, która wydawała się na wskroś nowoczesna w swej chłonności. Potrafił przeczytać stronę, zamknąć książkę, wyrecytować tekst, zatrzymać w pamięci kilkanaście numerów, prowadzić umysł jak nieomylną maszynę przez labirynt obliczeń i wytoczyć odpowiedź jak gotowy produkt zjeżdżający z taśmy w fabryce. Czasem jego ojciec, kiedy go obserwował, zapominał, że ma przed sobą syna, tak wyraźnie w rozbłyskach promieni rentgenowskich wyobraźni widział ów płodny mózg niczym kalafior w czaszce syna.

Córki zostały rzecz jasna wszystkiego pozbawione, żeby on mógł dostać wszystko co najlepsze, od miłości po jedzenie. Lata minęły jak z bicza trząśł.

Lecz nadzieje Dżemubhaia pozostawały nieokreślone i dopiero jego ojciec po raz pierwszy wspomniał o służbie cywilnej.

Kiedy Dżemu, w wieku lat czternastu, ukończył szkołę z najlepszym wynikiem w klasie, dyrektor szkoły pan McCooe wezwał jego ojca i zaproponował, by syn przystąpił do egzaminu adwokackiego, który pozwoli mu znaleźć zatrudnienie w sądach niższej instancji.

- Bystry chłopak... kto wie, może trafi do sądu stanowego!

Ojciec wyszedł od niego, myśląc: Jeśli tak, to może sięgnąć wyżej.

Może zostać samym sędzią, czemu nie?

Jego syn mógłby, mógłby, a j a k ż e!, zająć to stanowisko na oczach ojca, dumnego burzyciela systemu, zajmującego najniższy szczebel sądowej hierarchii. Mógłby zostać komisarzem dystryktu albo sędzią w sądzie stanowym. Mógłby nosić śmieszoną białą perukę nad ciemną twarzą w letnie upały i uderzać młotkiem podczas tych ustawionych, sfingowanych procesów. Ojciec na dole, syn na górze, byłiby panami sprawiedliwości, absolutnie.

*

Swoim marzeniem podzielił się z Dżemubhaiem. Ich fantazje były tak surrealistyczne, że radowali się nimi jak bajką, i może właśnie dlatego, że to marzenie poszybowało zbyt wysoko, by mogła nad nim zapanować logika, zaczęło nabierać kształtów, wywierać namacalną presję. Bez tej naiwności zostaliby pokonani; zgodnie z logiką prawdopodobieństwa nie udałoby im się, gdyby mierzyli niżej.

Zalecany odsetek Hindusów w szeregach Indyjskiej Służby Cywilnej wynosił pięćdziesiąt procent i limit ten

nie był nawet bliski wyczerpania. Dużo miejsca na górze, dużo miejsca na górze. Bo na dole tego miejsca na pewno nie było.

*

Dżemubhai uczęszczał do Bishops College dzięki stypendium, a później wyruszył do Cambridge na pokładzie SS „Strathnaver”. Kiedy wrócił, jako członek Indyjskiej Służby Cywilnej, otrzymał pracę daleko od domu, w stanie Uttar Pradesh’.

*

- Tyle wtedy było służby - kucharz opowiadał Sai. - Teraz, oczywiście, zostałem tylko ja. - Pracę rozpoczął jako dziesięciolatek, za pensję w wysokości połowy swego wieku, pięciu rupii, jako chłopak do wszystkiego, *cho-kra*, w kuchni klubu, gdzie jego ojciec specjalizował się w przyrządzaniu puddingu.

W wieku czternastu lat znalazł zatrudnienie u sędziego za dwanaście rupii miesięcznie. W tamtych czasach wciąż przydatna była wiedza o tym, że jeśli przywiąże się garnek ze śmietaną do brzucha krowy w drodze do następnego obozowiska, przed upływem dnia w garnku ubije się masło. Ze przenośną szafkę do przechowywania mięsa można zrobić z otwartego parasola odwróconego do góry nogami i obwiązanego siatką przeciwko komarom.

*

— Wiecznie byliśmy w podróży — opowiadał kucharz — trzy tygodnie na cztery. Zatrzymywaliśmy się tylko w naj

gorsze dni pory monsunowej. Twój dziadek zwykle jeździł automobilem, jeśli mógł, ale rejon ten w większości pozbawiony był dróg, nie wspominając o mostach, więc najczęściej musiał wyjeżdżać konno. Od czasu do czasu w okolicach porośniętych dżunglą i przez głębsze, szybsze nurty przeprowadzał się na grzbiecie słonia. My podróżowaliśmy przed nim w karawanie furmanek załadowanych porcelaną, namiotami, meblami, dywanami — wszystkim. Mieliśmy tragarzy, ordynansów i stenografa. Mieliśmy przenośny klozet do namiotu łazienkowego, a nawet *murga-murgi* w klatce pod wozem. Jakiś zagraniczny gatunek i ta kura znosiła więcej jaj niż jakakolwiek inna widziana przeze mnie *murgi*.

*

- Gdzie spaliście? - zapytała Sai.

- Rozbijaliśmy namioty w wioskach w całym dystrykcie; wielki jak góra namiot sypialniany dla twojego dziadka, z dołączonym namiotem łazienkowym, garderobą, salonem i jadalnią. Te namioty prezentowały się nadzwyczaj okazale, podobnie jak dywany z Kaszmiru, srebrne naczynia i twój dziadek, który nawet w dżungli przebierał się do kolacji w czarny wieczorowy garnitur i muszkę.

Jak mówiłem, my jechaliśmy z przodu, toteż kiedy twój dziadek przybywał na miejsce, wszystko było ustawione dokładnie tak jak w poprzednim obozie, te same akta ułożone pod tym samym kątem i otwarte na tej samej stronie. Jeśli zauważał choćby najdrobniejszą różnicę, wpadał w złość.

Wszystko odbywało się według ściśle wyznaczonego harmonogramu, nie mogliśmy się z niczym spóźnić nawet

o pięć minut, więc wszyscy musieliśmy nauczyć się odczytywać czas z zegara.

O piątej czterdzieści pięć zanośiłem twojemu dziadkowi do łóżka herbatę na tacy „Herbata do łóżka”, wołałem, podnosząc klapę namiotu.

Brzmiało to jak „Herbata do uszka”. Herbaaaata do uuuszka. Sai zaczęła się śmiać.

*

Sędzia wpatrywał się w szachownicę, lecz po swędzącym wspomnieniu swoich początków doświadczał słodkiej ulgi teraz, gdy wspominał pracę przedstawiciela służby cywilnej w objeździe.

*

Ustalony porządek dnia działał na niego uspokajająco, podobnie jak ciągłe wykorzystywanie pozycji. Jak bardzo napawał się władzą nad kastami, które od wieków trzymały jego rodzinę pod butem - jego stenograf na przykład był braminem. Wpełzał teraz do swego małego namiotu na uboczu, podczas gdy Dżemubhai spoczywał jak król w łożu wyrzeźbionym z drzewa tekowego i osłoniętym moskitierą.

- Herbata do łóżka - wołał kucharz. - Herbata do uuuszka.

Podnosił się w łóżku i ją wypijał.

6.30. Kąpał się w wodzie podgrzanej nad ogniskiem, pachniała więc drewnianym dymem i pływały w niej drobiny popiołu. Na świeżo umytą twarz nakładał cienką warstwę pudru, a na włosy - odrobinę pomady. Zjadał chru

piącą grzaną zwęgloną od przypiekania nad ogniem, posmarowaną dżemem na przypalonej stronie.

8.30. Wyjeżdżał w teren z miejscowymi urzędnikami i resztą wioski towarzyszącą im dla zabawy. Z ordynansem u boku, który trzymał parasol nad jego głową, by osłonić go przed palącym słońcem, mierzył pola i sprawdzał, czy jego obliczenia zgadzają się z oświadczeniem naczelnika wioski. Gospodarstwa przynosiły niespełna dziesięć manów ryżu lub pszenicy z pół hektara, i przy dwóch rupiach za man każdy jeden mieszkaniec wioski był zadłużony u *baniji*. (Nikt nie wiedział, że sam Dżemubhai też ma długi, że dawno temu w małym miasteczku Piphit w Gudżaracie lichwiarze wyczuli w nim idealne połączenie ambicji i ubóstwa... że nadal czekają, siedząc po turecku na zabrudzonych matach na targu, pstrykając palcami u nóg, trzaskając knykciami w oczekiwaniu na spłatę...)

14.00. Po obiedzie sędzia siadał przy biurku pod drzewem i sędziował, zazwyczaj w kwaśnym nastroju, nie podobała mu się bowiem ta prowizoryczność, nie znosił padającego nań cienia liści, który nadawał mu niechlujny kundlowaty wygląd. Poza tym pojawiał się jeszcze gorszy aspekt zanieczyszczenia i deformacji: sprawy rozpatrywano w hindi, były jednak protokołowane przez stenografa w urdu i tłumaczone przez sędziego do drugiego protokołu na angielski, chociaż jego znajomość hindi i urdu była słaba; świadkowie, którzy w ogóle nie potrafili czytać, zgodnie z poleceniem odciskali kciuki pod „Przeczytano i potwierdzono prawdziwość”. Nikt nie wiedział, jaka część prawdy ulatniała się między językami, między językami a analfabetyzmem; przejrzystość, której wymaga sprawiedliwość, nie istniała. A jednak pomimo cienia liści

i lingwistycznego bałaganu jego przemowy, które zdawały się nie należeć do żadnego języka, oraz oblicze niczym maska wyrażająca coś, co wykracza poza ludzką omylność, zyskały sobie respekt wśród ludności. Wyraz twarzy i maniera, które tam doskonalili, zawiodły go w końcu aż do sądu stanowego w Lakhnau, gdzie, rozdrażniony gołębiami przechadzającymi się samowolnie po tamtejszych wysokich, cienistych korytarzach, przewodniczył składowi sędziowskiemu z pudrowaną peruką nad pudrowaną twarzą, dzierżąc w dłoni młotek. Jego zdjęcie, w takim stroju i z rozdrażnioną miną, wciąż wisiało na ścianie w szeregu historycznych pamiątek gloryfikujących indyjskie prawo i porządek.

16.30. Podwieczorek musiał być doskonały: z usmażonymi racuchami. Zabierał się do nich z pomarszczonym czołem, jak gdyby ze złością rozmyślał nad czymś ważnym, a potem, tak jak po przejściu na emeryturę, oddawał się słodczy i na jego surowej zapracowanej twarzy wyłaniał się wyraz wielkiego spokoju.

17.30. Wychodził z wędką lub strzelbą. W okolicy pełno było zwierzyny; w październiku sznury migrującego ptactwa kręciły się po niebie; przepiórki i kuropatwy z łańcuszkiem młodych za sobą przelatywały obok jak mechaniczne zabawki emitujące dźwięki; bażanty, tłuste i głupie, stworzone po to, żeby do nich strzelać, przemykały hałaśliwie przez zarośla. Grzmot strzałów oddalał się, liście drżały, a on delektował się tą głęboką ciszą, która może nastać tylko po akcie przemocy. Zawsze jednak brakowało jednego - tego czegoś, co można by położyć na ząb, zdobyczy wojennej, męskiego pierwiastka w męskości, kuropatwy do garnka, ponieważ wracał z...
Niczym!

Był fatalnym strzelcem.

20.00. Kucharz ratował jego reputację, przyrządził kurczaka, podawał go ze słowami „pieczona kurwopatwa”, jak w książce z ulubionymi dowcipami Anglików, gdzie miejscowi używają niepoprawnej angielszczyzny. Czasem jednak, jedząc ową „pieczoną kurwopatwę”, sędzia czuł, że obiektem żartu jest i on, i prosił o kolejną szklaneczkę rumu, wypijał duży łyk i jadł dalej, odnosząc wrażenie, jakby zjadał siebie, bo przecież i on (chyba) był częścią tej parodii...

21.00. Sącząc ovaltine, wpisywał do ksiąg zebrane tego dnia informacje. Zapalano lampę Petromax — ależ hałasowała - a owady przeprowiały się przez czern, żeby bombardować go miękkimi kwiatami (ćmy), opalizacją (żuki). Linijki, kolumny, rubryki. Zdał sobie sprawę, że najlepiej patrzeć na prawdę przez pryzmat małych cząstek, gdyż wiele drobnych prawd może i tak złożyć się na jedno wielkie paskudne kłamstwo. Na koniec w swym dzienniku, również do wglądu przełożonych, zapisywał przypadkowe obserwacje człowieka kulturalnego, kogoś, kto jest spostrzegawczy, zaznajomiony nie tylko z ekonomią, ale i z literaturą; i wymyślał łowieckie sukcesy: dwie kuropatwy... jeden jelen z rogami na osiemdziesiąt centymetrów...

23.00. Zimą brał do łóżka butelkę gorącej wody, o wszystkich porach roku zaś zasypiał przy dźwiękach wyginającego drzewa wiatru i chrapania kucharza.

*

Kucharz był rozczarowany tym, że pracuje dla Dże-mubhaia. Wielka degradacja, myślał, bo ojciec służył przecież tylko białym.

Indyjska Służba Cywilna stawała się coraz bardziej zhinduizowana i nie podobało się to niektórym starszym

służącym, ale co można było zrobić? Kucharz miał nawet konkurenta do tego stanowiska, mężczyznę, który zjawił się z wystrzępionymi referencjami odziedziczonymi po ojcu i dziadku, mającymi świadczyć o wielu pokoleniach uczciwej i dobrej służby.

Ojciec kucharza, który w swojej karierze obywał się bez tego typu pochwał, kupił synowi referencje na czarnym rynku, i to tak stare, że wspomniano w nich o biegłości w przyrządzaniu pasztecików *dhobi* i kurczaka *a la country captain*.

Sędzia przejrzał je.

- Ale on nie nazywa się Solomon Pappiah. Ani Sampson. Ani Thomas.

- Widzi pan, tak bardzo go lubili - wyjaśniał ojciec kucharza - że nazywali go po ichniemu. Z miłości dali mu na imię Thomas.

Sędzia nie dowierzał.

-Trzeba go przeszkolić - przyznał w końcu ojciec i zszedł z żądanych dwudziestu rupii dla syna — ale właśnie dlatego jest taki tani. A jeśli chodzi o desery, nikt nie może się z nim równać. Potrafi zrobić inny na każdy dzień roku.

- Na przykład?

- Bananywcieścieananasywcieściejabłkawcieścieapple

-surpriseszarlotkęapplebettybreadandbutterpuddingtartę

zdżememkremcustardciastkoponczowezowocamipu-ddingrumowyrol

adęzdżemempuddingimbirowodak-tylowynaleśnikicytrynowekremjaj

ecznykrempomarań-czowykremkawowykremtruskawkowybiszkoptz

owocami deseralaskasufletzmangosufletcytrynowysufletkawowy

sufletczekoladowysufletagrestowypuddingzgorącejczeko-ladypudding

zmrożonejkawypuddingkokosowypudding

mlecznyrumbabarumrurkioblewaneczokoladąkompot

zgruszekkompotzguajawykompotśliwkowykompotjabł-kowykompotb
rzoskwiniowykompotmorelowyciasto
zmangotartęczekoladowątartęjabłkowątartęagrestową
tartęcytrynowątartędzememtartęzmarmoladąbebincazu-pęnicplacek
biszkoptowyzanasemplacekbiszkoptowyz
jabłkiemplacekbiszkoptowyzagrestemplacekbiszkopto-wyześliwkami
placekbiszkoptowyzbrzoskwiniamiplacek-biszkoptowyzrodzynkami...
- Dobrze już, dobrze.

I tak życie Sai nadal toczyło się w Kalimpangu - z Lolą i Noni, wujkiem Pottym i ojcem Bootym, sędzią i kucharzem... aż pojawił się Gjan.

Poznała Gjana, ponieważ pewnego dnia, kiedy Sai miała lat szesnaście, Noni uznała, że już nie nauczy jej z fizyki niczego nowego.

Było letnie, zbyt upalne popołudnie i siedziały na werandzie Mon Ami. W całej okolicy upał sprawił, że mieszkańcy miasteczka popadli w otępienie. Blaszane dachy skwierczały, węże dziesiątkami prażyły się na kamieniach, a kwiaty kwitły tak obficie i pięknie jak na letnich sukienkach. Wujek Potty siedział w fotelu i podziwiał to ciepło i ten blask, a na jego nosie, salami i serze wystąpiły krople tłuszczu. Kęs sera, kęs salami, łyk zimnego kingfishera. Odchylił się do tyłu tak, że twarz miał w cieniu, a stopy na słońcu, i westchnął: ze światem wszystko w porządku. Podstawowe elementy znajdują się w równowadze - zimno i ciepło, ciała płynne i stałe, słońce i cień.

Ojciec Booty w swej mleczarni zauważył, że szmer krowiego przeżuwania wprawia go w stan medytacji. Jak smakowałby ser z jakowego mleka...?

Niedaleko afgańskie księżniczki wzdychały i podejmowały decyzję, żeby zjeść kurczaka na zimno.

Pani Sen, której nie zmógł upał, ruszyła pod górę drogą do Mon Ami, a skrzydeł dodawała jej najnowsza wiadomość od córki Mun Mun z Ameryki: miała podpisać kontrakt z CNN. Z radością przewidywała, jak bardzo ta wiadomość skwasi humor Loli. Ha, za kogo się uważa Lola Bannerdzi? Zadziera tylko nosa... ciągle przechwala się tą swoją córką w BBC...

Niczego nie podejrzewając, Lola zbierała w ogrodzie gąsienice z angielskich brokułów. Gąsienice były cętko-wane, zielono-białe, z niebieskimi „oczkami”, śmiesznymi tłustymi nóżkami, ogonem i trąbką jak u słonia. Co za niezwykle żyjątka, pomyślała, przyglądając się z bliska jednej z nich, potem jednak rzuciła ją czekającemu w pobliżu ptakowi, który dziobnął i z gąsienicy wydobył się zielony farsz jak pasta do zębów z przedziurawionej tubki.

Na werandzie Mon Ami Noni i Sai siedziały nad otwartym podręcznikiem: neutrony... i protony... elektrony... Więc jeśli... wtedy...???

Nie były jeszcze w stanie ogarnąć pytania, tymczasem drażnił je widok - za werandą - idealnie oświetlonej ilustracji odpowiedzi na nie: chmury maleńkich owadów zawieszonych w powietrzu, w której niezmordowanie się przemieszczają, spętane czarem niemożliwym do odczynienia.

Noni poczuła nagle, że ogarnia ją znużenie; odpowiedź wydawała się osiągalna nie za sprawą nauki, lecz cudu. Odłożyły książkę, kiedy do Mon Ami - jak każdego popołudnia - przybył piekarz i ściągnął z głowy kufer. Otworzył go. Z zewnątrz kufer wyglądał na zniszczony; wewnątrz jaśniał jak skrzynia ze skarbami, od rolad, babeczek z rodzynkami i — ich wypieku nauczył się od misjonarzy ze wzgórza — ciasteczek z masłem orzechowym przywodzących siostrom na myśl Amerykę i amerykanizmy.

Wybrały różowe i żółte babeczki i ucięły sobie pogawędkę.

- Sai, ile ty masz teraz lat? Piętnaście?

- Szesnaście.

Trudno było określić, pomyślała Noni. Pod pewnymi względami Sai wyglądała na znacznie starszą, pod innymi - na znacznie młodszą. Młodszą bez wątpienia dlatego, że wiodła życie tak wolne od trosk, a starszą bez wątpienia dlatego, że cały czas spędzała z emerytami. Może już zawsze będzie tak wyglądać, dziewczęco, nawet kiedy się zestarzeje, i staro nawet w latach młodości. Noni przyjrzała jej się krytycznym wzrokiem. Sai miała na sobie spodnie khaki i T-shirt z napisem „*Free Tibet*”. Stopy miała bose, a krótkie włosy splatała niezbyt starannie w dwa warkoczyki kończące się tuż nad ramionami. Noni i Lola niedawno rozmawiały o tym, że Sai nie może dłużej dorastać w takich warunkach: „Wyrosnie na dzikuskę... bez rówieśników... w domu sami mężczyźni...”.

*

- Nie jest ci ciężko mieszkać tak samej z dziadkiem?

- Kucharz tyle mi opowiada - odparła Sai - że jakoś daje się wytrzymać. Tak ją zostawiono pod opieką kucharza... Gdyby nie Lola i ona, pomyślała Noni, Sai już dawno by się stoczyła do poziomu służby.

- O czym ci opowiada?

- Och, o swojej wiosce, o tym, jak zmarła jego żona, o procesie z bratem... Mam nadzieję, że Bidżu zarobi fortunę - dodała Sai - bo są najbiedniejszą rodziną w wiosce. Mieszkają w lepiance pod strzechą.

Zdaniem Noni kucharz takich informacji nie powinien rozpowszechniać. Ważne było, żeby odpowiednio wyznaczyć granice między kastami, w przeciwnym razie cierpią na tym wszyscy, po obu stronach tego podziału. Służącym przychodzą do głowy różne pomysły, a kiedy uzmysłowią sobie, że świat nie da im oraz ich dzieciom tego, co daje innym, złością się i obrażają. Lola i Noni ciągle musiały odwodzić swoją służącą Kesang od opowiadania im o prywatnych sprawach, lecz Noni przyznawała, że jest to ciężkie zadanie. Ani się człowiek spostrzeże, a już się porusza tematy, które winny być omawiane jedynie w gronie osób o takim samym statusie społecznym. Przypomniał jej się pewien całkiem świeży epizod, kiedy obie były tak zaintrygowane, że nie przerywały służącej opowieści o romansie z mleczarzem.

- Tak bardzo mi się spodobał - powiedziała Kesang. -Ja jestem z Szerpów, on z Rajów, ale skłamałam i powiedziałam rodzicom, że jest Bhutiją, więc pozwolili nam się pobrać. Piękny był ślub. U nich, o cokolwiek poproszą, czy to o wieprzowinę, czy to o pieniądze, trzeba dać, ale my nie mieliśmy takiego ślubu. Opiekował się moimi rodzicami, kiedy zachorowali, i już na samym początku przysięgliśmy sobie, że on nie opuści mnie, a ja jego. Żadne z nas nie opuści drugiego. On nigdy nie umrze i mnie nie zostawi. Ja nigdy nie umrę i go nie zostawię. Złożyliśmy takie śluby. Jeszcze zanim się pobraliśmy. I zaczęła płakać. Kesang ze swoimi zwirowanymi brązowymi zębami, każdy w inną stronę, w nędznym poplamionym stroju i śmiesznym koku chwiejącym się niepewnie na czubku głowy. Kesang, którą przyjęli niewyszkoloną z dobroci serca i nauczyli przyrządzać indonezyjskie *sate* z masłem orzechowym i sosem sojowym, słodko-kwaśny sos z keczupem i octem oraz węgierski gulasz z pomidorami

i twarogiem. Jej miłość wstrząsnęła siostrami. Lola zawsze wyznawała pogląd, że służba nie doświadcza miłości w taki sam sposób jak ludzie należący do ich klasy... „W ogóle charakter ich związków jest inny, praktyczny, ekonomiczny... dużo bardziej zdroworozsądkowy, jestem pewna, gdyby tylko człowiek był samowystarczalny...”. Nawet Lola była zmuszona zastanowić się teraz, czy to może ona nigdy nie przeżyła prawdziwej miłości; nigdy z Dźojdipem nie przyrzekli sobie wierności w taki sposób... to by było irracjonalne. Ale może w takim razie nie kochali naprawdę? Szybko pogrzebała tę myśl.

*

Noni w ogóle nigdy nie kochała.

Nigdy nie siedziała w cichym pokoju i nie rozmawiała o sprawach, które mogą wprawić duszę w takie drzenie jak wiatr płomień świecy. Nigdy nie kokietowała na przyjęciach w Kalkucie, z sari owiniętym ciasno wokół bioder, z lodem dzwoniącym jak szalony w szklance lemoniady. Nigdy nie powiewała nad swoim istnieniem krótkotrwałą wspaniałą flagą romansu, jasnoczerwoną, choćby w formie teatralnego epizodu, chwili udawania, która wyniosłaby ją ponad zwyczajność. Czego doświadczyła? Nawet nie nienawidziła nikogo zawzięcie; nie czuła goryczy ani żalu. Jedynie poirytowanie drobiazgami; sposobem, w jaki ktoś nie wydmucha nosa w bibliotece, tylko pociąga nim raz za razem flik... flik... flik.

Ku swemu przerażeniu spostrzegła, że zazdrości Kesang. Linie zatarły się, poszczęściło się nie tej co trzeba.

A kto pokocha Sai?

Kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy, Noni ujrzała w Sai samą siebie, własną nieśmiałość. Oto jaki jest skutek po

wierzenia wrażliwej duszy nikczemnemu systemowi edukacyjnemu, pomyślała. Noni też kiedyś wysłano do takiej szkoły — przetrwać można było jedynie, zamykając się w sobie, odpowiadając milczeniem na zadane pytania, nie wyrażając żadnych opinii, pozostając niewidzialnym — w przeciwnym razie dopadali cię, niszczyli. Noni odzyskała pewność siebie, kiedy było już za późno. Życie przeszło jej koło nosa, a w tamtych czasach w życiu dziewczyny wszystko musiało się dziać szybko — szybko albo wcale.

*

- Nie chcesz się spotykać z rówieśnikami? - Noni zapytała Sai. Lecz Sai była nieśmiała w towarzystwie rówieśników. Pewna była jednego:

- Chcę podróżować - wyznała.

Książki ją rozstrajały. Zaczynała czytać, coraz szybciej, coraz więcej, aż w końcu znajdowała się wewnątrz opowieści, a opowieść znajdowała się w niej, strony przelatywały tak szybko, stawały się sercem w jej piersi - nie mogła przestać. W ten sposób przeczytała *Zabić drozda*, *Jabłecznik i Rosie*, *Life with Father* z biblioteki w klubie Gymkhana. A zdjęcia czekoladowej Amazonki, surowej Patagonii w „National Geographic”, przezroczystego ślimaka w morzu, a nawet starego japońskiego domu śpiącego pod śniegiem... Działy na nią, zauważyła, tak silnie, że często trudno jej było odczytać towarzyszące im słowa - uczucie, które w niej budziły, było tak rozkoszne, pragnienie tak mocne. Przypominała sobie rodziców, marzenie ojca o podróży w kosmos. Kiedy oglądała zdjęcia satelitarne burzy zwiewającej czerwoną chmurę z powierzchni Słońca,

poczuła nieznośne pragnienie ujrzenia ojca, którego nie znała, i wyobraziła sobie, że ona też musi mieć w sobie ten sam głód czegoś niezwykłego.

Wtedy Czo Oju i nawyki sędziego wydawały jej się jakimś ograniczeniem.

- Od czasu do czasu marzy mi się, żeby zamieszkać nad morzem - westchnęła Noni. - Przynajmniej fale nie są nieruchome.

Dawno temu, kiedy była młoda, pojechała do Dighy i dowiedziała się, jak to jest, kiedy unosi cię tajemniczy ocean. Wpatrywała się w góry, w doskonałość ich bezruchu.

- Himalaje były kiedyś pod wodą - powiedziała Sai. Przeczytała o tym gdzieś. - Na Mount Evereście można znaleźć skamieliny amonitów.

*

Noni i Sai znów otworzyły podręcznik do fizyki. I znowu go odłożyły.

*

- Posłuchaj mnie - Noni zwróciła się do Sai — jeśli w życiu trafi ci się jakaś okazja, korzystaj z niej. Popatrz na mnie, powinnam była pomyśleć o przyszłości, gdy byłam młoda. Tymczasem ja zdałam sobie sprawę, co trzeba zrobić, kiedy było już za późno. Kiedyś marzyłam o tym, żeby zostać archeologiem. Chodziłam do British Council i przeglądałam książki o Tutenchamonie... Ale moi rodzice nie należeli do tych, którzy mogliby to zrozumieć, wiesz, ojciec był typem konserwatysty, wychowanym i wyszkolonym do wydawania rozkazów... Musisz to zrobić po swojemu, Sai.

Raz jeszcze podeszły do fizyki, lecz Noni nie potrafiła rozwiązać zadania.

„Obawiam się, że wyczerpała się moja wiedza z fizyki i matematyki. Sai będzie potrzebowała nauczyciela lepiej przygotowanego w tej dziedzinie”, napisała w liście do sędziego, który doręczyła mu Sai.

— Co za nieodpowiedzialna baba — burknął sędzia, w zrzędlwym nastroju, bo upał przypominał mu o jego narodowości. Wieczorem podyktował Sai list do dyrektora miejscowego *college u*.

„Jeśli jest u Państwa nauczyciel lub student ostatniego roku, który udziela lekcji prywatnych, proszę mu przekazać, że szukamy korepetytora z matematyki i fizyki”.

Minęło zaledwie kilka słonecznych tygodni, gdy dyrektor odpisał z wiadomością, że może polecić obiecującego studenta, który uzyskał licencjat, lecz nie udało mu się jeszcze znaleźć zatrudnienia.

Tym studentem był Gjan, cichy student księgowości, który myślał, że czynność porządkowania liczb przyniesie mu ukojenie; niezupełnie jednak tak się stało, co gorsza, im więcej robił podliczeń, im więcej przepisywał kolumn ze statystykami - najwyraźniej tym szybciej mnożyła się liczba miejsc, z których solidna wiedza odleciała na księżyc. Spacer do Czo Oju sprawiał mu przyjemność, ogarniało go wtedy odświeżające i proste uczucie szczęścia, chociaż szedł pod górę dwie godziny z Bong Basti, gdzie mieszkał, gdy słońce prześwitywało przez gęste bambusowe zarośla gwiazdzistymi, skrzącymi się błyskami, wywołując wrażenie płynnego migotania.

*

Początkowo Sai z niechęcią odnosiła się do tego przymusowego wynurzenia ze świata „National Geographic” i uwięzienia w jadalni z Gjanem. Mieli przed sobą półkole pomocy naukowych rozłożonych w ten sposób przez kucharza: linijka, długopisy, globus, papier milimetrowy,

przyrządy kreślarskie, temperówka. Kucharz spostrzegł, że wprowadzili do pokoju kliniczną atmosferę podobną do tej, która go onieśmiela u aptekarza, w przychodni i w laboratorium, gdzie napawa się ciszą strzeżoną przez półki z lekarstwami, wagę i termometry, miseczki, fiolki, pipety, tasiemca zamienionego w eksponat zanurzony w formaldehydzie, z wymiarami spisany na butelce.

Kucharz rozmawiał z aptekarzem ostrożnie, żeby nie zaburzyć delikatnej równowagi pola, wierzył bowiem w zabobony nie mniej niż w naukę.

- Ach tak, rozumiem - mówił, nawet jeśli nie rozumiał, i spokojnym tonem, opierając się skłonności do tra-gizowania, relacjonował swe symptomy lekarce, którą czcił i która przyglądała mu się zza okularów.

- Nie było wypróżniania od pięciu dni, nieprzyjemny posmak w ustach, than than w nogach i rękach, czasem ćan ćan.

- Co to jest ćan ćan i than than?

- Can ćan to mrowienie. Than than to jak ból pojawia się i mija.

- Co pan ma teraz? Can ćan? -Nie, THAN THAN. Następna wizyta.

- Lepiej się pan czuje?

- Lepiej, ale...

- Than than?

- Nie, pani doktor — mówił nadzwyczaj poważnie — ćan ćan.

Wychodził z lekami jak na skrzydłach. O tak, czekał na nowoczesność i wiedział, że jeśli się w nią zainwestuje, ona niechybnie cię poinformuje, że jesteś coś wart na tym świecie.

Lecz poza przychodnią natykał się na Kesang albo na sprzątaczkę ze szpitala, albo na stróża z MetalBoksu, którzy zaczynali deklamować:
- No to nie ma już dla ciebie nadziei, teraz musisz odprawić *pudźę*, to cię będzie kosztowało wiele tysięcy rupii.

Albo:

- Znajomy miał dokładnie takie same objawy, jakie opisujesz, już nigdy nie wstał z łóżka...

Nim dotarł do domu, zdążył stracić wiarę w naukę i zaczął zawodzić: *Hai hai, hamara kja hoga, hai hai, ha-mara kja hoga?* I musiał wrócić do przychodni następnego dnia, żeby odzyskać zdrowy rozsądek.

*

Zatem doceniając wartość rozsądku i pragnąc go, kucharz przynosił im herbatę oraz smażone grzanki z serem, z dodanym do sera czerwonym pieprzem, a potem siadał na stołku pod drzwiami, nie spuszczał Sai i jej korepetytora z oka, i kiwał z aprobatą głową na dźwięk wyważonego tonu Gjana, starannie dobranych słów prowadzących, obliczenie po obliczeniu, do dokładnej, skrupulatnej odpowiedzi, którą mógł potwierdzić klucz na końcu książki.

Niemądry kucharz. Nie zdawał sobie sprawy, że ta staranność wynika nie z wiary w naukę, lecz ze skrupowania i wątpliwości; że choć wydają się pochłonięci atomami, wpatrzeni intensywnie w liczby w pokoju, którego ściany wydymają się jak żagle, tak naprawdę roznosi ich; że jak wieczorna pora otwierająca się ku większym głębiom na zewnątrz, pochłonie ich coś bardziej zdradliwego niż cel, w którym zatrudniono Gjana; że chociaż usiłują zbudować

niewzruszoność ze wszystkiego, co jest im dostępne, istnieją powody, by przypuszczać, że ich ona nie ochroni.

Drobna prawidłowa odpowiedź nie przyniosła satysfakcji.

Gjan podał ją przepaszając. Rozczarowywała. Nie mogła wystarczyć. Ignorując to ogromne napięcie, którego nie można już było przypisać obliczeniom, sprawiali, że przybierało ono na sile i narastało, a oni z trudem łapali oddech, gdy mijały dwie godziny i Gjan wychodził — nie spoglądając na Sai, która tak mocno na niego działała.

*

- Jakie to dziwne, że korepetytor jest Nepalczykiem — zauważył kucharz po wyjściu Gjana. Trochę później dodał jeszcze: - Myślałem, że będzie Bengalczykiem.

- Hm? — zapytała Sai. Zastanawiała się właśnie, jak wygląda. Jak widział ją nauczyciel? Uważała, że jego twarz wyraża wielką inteligencję. Oczy miał poważne, głos głęboki, a z drugiej strony usta zbyt pulchne do tak poważnej miny, włosy zaś kręciły mu się i sterczały, co wyglądało trochę komicznie. To połączenie powagi z komizmem fascynowało ją.

- Bengalczycy - dodał kucharz - są bardzo inteligentni.

- Nie opowiadaj głupot - odparła Sai. - Chociaż oni na pewno przyznaliby ci rację.

- To przez ryby - ciągnął kucharz. - Ci z wybrzeża są bardziej inteligentni niż ci z głębi lądu.

- Kto tak twierdzi?

- Wszyscy o tym wiedzą — oznajmił kucharz. — Mieszkańcy wybrzeża jedzą ryby i popatrz, jacy są mądrzy, Bengalczycy, Malajczycy, Tamilowie. W głębi lądu je się za dużo zboża, które spowalnia trawienie, zwłaszcza proso,

robi się z niego wielka ciężka gula. Krew idzie do żołądka, a nie do głowy. Z Nepalczyków są świetni żołnierze, kulisi, ale w nauce nie są już tak bystrzy. Nie ich wina, biedaków.

- Idź sam zjedz trochę ryby - poradziła Sai. - Opowiadasz jedną głupotę po drugiej.

- To ja wychowuję cię jak własne dziecko, kocham nad życie, a ty tak ze mną rozmawiasz... — zaczął.

*

Tej nocy Sai siedziała przed lustrem i wpatrywała się w swe odbicie. Siedząc naprzeciwko Gjana, tak mocno była świadoma każdego swego ruchu, że musiało się tak dziać z powodu wbitego w nią jego spojrzenia, lecz za każdym razem, gdy podnosiła wzrok, on patrzył gdzie indziej.

Czasem wydawała się sobie ładna, lecz po przeprowadzeniu porządnego rekonesansu uznała, że to zmienna rzecz, uroda.

Wyślizgiwała się z rąk, gdy tylko ją znajdowała; zamiast ją zdyscyplinować, nie mogła się powstrzymać od testowania jej elastyczności. Pokazywała sobie język, przewracała oczami, potem uśmiechała się zalotnie. Zmieniała wyraz twarzy z demonicznego na królewski. Kiedy szcztokowała zęby, zauważyła, że jej piersi trzęsą się jak dwie galaretki pospiesznie podawane do stołu. Opuściła usta, żeby posmakować ciała - było zarówno jędrne, jak i plastyczne. Pulchność galaretowatość jędrność miękkość połączone w jedno w jakiś nieprawdopodobny sposób chyba dawały jej mocną pozycję przetargową.

Lecz jeśli pozostanie na zawsze w towarzystwie dwóch mężczyzn o pałakowatych nogach, w tym domu na pustkowiu, ta uroda, tak nietrwała, że trudno jej było ją zatrzy

mać w miejscu, ulotni się i wyczerpie, niedoceniona, przez nikogo nieocalona i nienadająca się już do ocalenia.

Znów spojrzała na siebie i zauważyła, że jej twarz oblókł smutek, a odbicie wydaje się odległe.

Będzie musiała katapultować się w przyszłość wszelkimi dostępnymi sposobami, w przeciwnym razie na zawsze pozostanie uwięziona w miejscu, którego czas już przeminął.

*

W kolejnych dniach łapała się na tym, że nadal ma obsesję na punkcie własnej twarzy, świadoma, że tymczasem ostrzy sobie apetyt na coś innego.

Ale jak wygląda? Szukała w garnkach z nierdzewnej stali, w wypolerowanych lampach w gompach, w naczyniach handlarzy na bazarze, w odbiciach podsuwanych przez łyżki i noże na stole, w zielonej tafli stawu. W łyżkach okrągła i tłusta, wydłużona i chuda w nożach, na-krapiana owadami i rybkami w stawie; złocista w jednym świetle, zszarzała w innym; a potem z powrotem do lustra; lecz lustro, kapryśne jak zawsze, pokazywało jedno, potem drugie i jak zwykle zostawiało ją bez odpowiedzi.

O czwartej dwadzieścia pięć rano Bidżu wychodził do piekarni Queen of Tarts, uważając na gliniarzy, którzy czasem wyskakiwali z nienacka: dokąd idziesz co robisz z kim o której i dlaczego?

Lecz urząd imigracyjny działał niezależnie od policji - dzięki czemu, być może, można było upiec poranny chleb - i Bidżu przeciskał się dzień po dniu przez szpary systemu.

Nad piekarnią, na surowej konstrukcji podtrzymywanej na metalowych palach, kursowało metro. Pociągi przejeżdżały z piekielnym wrzaskiem; ich koła krzeszały deszcz iskier, które nocą rzucały spazmatyczne, nierówne światło na osiedla Harlemu, gdzie nad ranem widział już kilka zapalonych świateł, gdy paru innych prócz niego rozpoczynało na nowo swe miniaturowe życie. W Queen of Tarts drżała krata, mrugało światło, szczur chował się w cień. Z ogonem jak gruby, mięsisty korzeń, szeroką czaszką i mocną budową oglądał się za siebie z szyderczą miną, przechodząc z aksamitnym chrzęstem tuż nad pułapką zbyt mało atrakcyjną, by mogła go zatrzymać.

- *Namaste, Baba-dži* - mówił Sajid Sajid.

Bidźu zastanawiał się nad minionym konfliktem z Pakistańczykiem, typowym atakiem na religię, której wyznawców nazywał zawsze, gdy dorastał: „Świnie, świnie, świński pomiot”.

Teraz pojawił się Sajid Sajid i Bidźu był skonsternowany tym, że tak go podziwia. Los płata człowiekowi różne figle. Bidźu owładnięty był pragnieniem, by zostać jego przyjacielem, ponieważ Sajid Sajid nie tonął, on unosił się na falach. Zresztą wielu ludzi chciało się go ucześcić jak deski po katastrofie na morzu — nie tylko inni Zanzibarczycy i inni nielegalni imigranci, lecz także Amerykanie; otyli, wyjąłowieni z pewności siebie obywatele, z których się naśmiewał, kiedy samotnie posilali się kawałkiem pizzy; samotni pracownicy biur w średnim wieku, którzy wpadali pogadać po bezsennej nocy, kiedy to leżeli i zastanawiali się, czy w Ameryce - w A m e r y c e! - naprawdę dostają to, co najlepsze w ofercie. Dzielili się sekretami, jakie można chyba wyjawiać tylko nielegalnemu przybyszowi z innego kraju.

Sajid jest dobroduszny i nie jest Pakistańczykiem. A zatem jest w porządku?

Krowa nie jest indyjską krową, a zatem nie jest święta?

A zatem lubi muzułmanów, a nienawidzi tylko Pakistańczyków?

A zatem lubi Sajida, lecz nie znosi muzułmanów w ogóle?

A zatem lubi muzułmanów i Pakistańczyków i Indie powinny się zreflektować i oddać Kaszmir?

Nie, nie, jak to możliwe i...

To była tylko drobna część jego dylematów. Przypomniał sobie, co w kraju mówiono o czarnych. Kiedyś

jeden z mieszkańców jego wioski, który pracował w dużym mieście, powiedział: „Uważaj na *habśich*. Ha, ha, tam u siebie żyją jak małpy na drzewach. Przyjeżdżają do Indii i schodzą z drzew”.

Według tego człowieka, jak wydawało się Bidżu, Indie są krajem tak dalece rozwiniętym, że czarni dopiero po przyjeździe uczą się ubierać i jeść, tymczasem miał on na myśli zupełnie co innego, to mianowicie że Murzyni przyjeżdżają do Indii i próbują zapłodnić każdą napotkaną Hinduskę.

Zatem nienawidzi wszystkich czarnych, ale lubi Sajida?

Zatem skoro Sajidowi nie ma nic do zarzucenia, to innym czarnym też nie?

Ani Meksykanom, ani Chińczykom, ani Japończykom, ani nikomu innemu...???

Ta nienawiść z przyzwyczajenia towarzyszyła Bidżu od dawna i spostrzegł, że czuje respekt przed białymi, którzy przypuszczalnie narobili w Indiach najwięcej szkód, oraz brak wyrozumiałości dla niemal wszystkich innych, którzy nigdy nie wyrządzili Indiom najmniejszej krzywdy.

Prawdopodobnie Sajid stał przed tym samym dylematem w odniesieniu do Bidżu.

W innych kuchniach dowiadywał się, co świat myśli o Hindusach: WTanzanii, gdyby tylko mogli, toby ich wypędzili, jak to zrobiono w Ugandzie.

Na Madagaskarze wypędziliby ich, gdyby mogli.

W Nigerii wypędziliby ich, gdyby mogli.

Na Fidzi wypędziliby ich, gdyby mogli.

W Chinach ich nienawidzą.

W Hongkongu.

W Niemczech.

We Włoszech.

W Japonii.

Na Guam.

W Singapurze.

W Birmie.

W Afryce Południowej. Nie lubią ich.

Gwadelupa... kochają nas tam? Nie.

Prawdopodobnie Sajida ostrzegano wcześniej przed Hindusami, lecz nim najwyraźniej nie targały żadne rozterki; wspaniałomyślność unosiła go ponad takie dylematy, dyndał nad nimi nogami.

*

Miał wiele kobiet.

— O mój Boże!! — zawołał. — O mój Boooooże! Ona ciągle do mnie wydzwania i wydzwania - złapał się za głowę - ajjjjj... Nie wiem, c o robić!!

- Wiesz, wiesz - powiedział kwaśno Omar.
- Ha ha, o nie, zaraz zwariuuuuję. Za dużo bara-bara, mówię wam!
- To przez te dredy, zetnij je, a dziewczyny dadzą ci spokój.
- Ale ja nie chcę, żeby dały mi spokój!

Kiedy ładne dziewczyny przychodziły po cynamonowe bułeczki z klejnocikami brązowego cukru i przypraw, Sajid opowiadał o urodzie i nędzy Zanzibaru, a wtedy ich współczucie rosło jak bochny chleba na zaczynie — jak bardzo chciały go ocalić, zabrać go do domu i ukoić komfortem oraz telewizją; jak bardzo chciały być oglądane na ulicy z wysokim przystojnym mężczyzną z dreadami na głowie. „Ale jest słodki, jaki słodki! Ale s ł o d k i!", powtarzały, skręcając mocno, a potem wyzymając swoje pożądanie do telefonu w rozmowach z przyjaciółkami.

*

Pierwszą pracę w Ameryce Sajid podjął w meczecie na Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, gdzie do odśpiewywania porannego wezwania do modlitwy najął go imam, chłopak świetnie bowiem umiał naśladować pianie koguta, ale przed pojawieniem się w meczecie zwykł zatrzymywać się po drodze w nocnych klubach, co wydawało się czymś naturalnym, zważywszy na godziny jego pracy. Z jednorazowym aparatem fotograficznym w kieszeni stawał pod drzwiami, czekając na bogatych i sławnych, by zrobić sobie z nimi fotki: Mike Tyson, tak! To mój kumpel. Naomi Campbell, moja dziewczyna. Hej, Bruce (Springsteen)! Jestem Sajid Sajid z Afryki. Ale nie martw się, teraz już nie pożeramy białych. Przyszedł czas, kiedy zaczęli go wpuszczać.

Potrafił przejść przez każde drzwi, miał do tego wielki talent, chociaż przed dwoma laty podczas nalotu urzędu imigracyjnego dopadli go i deportowali, a przecież miał bliskie kontakty, o czym świadczyły zdjęcia, ze śmietanką Ameryki. Wrócił do Zanzibaru, gdzie okrzyknięto go Amerykaninem, jadł gotowaną w mleku kokosowym rybę *wahoo* w pasiastym cieniu palmowych liści, wylegiwał się na piasku drobnym jak semolina, a wieczorem, kiedy złocił się księżyc, a noc lśniła, jakby była wilgotna, romansował z dziewczętami ze Stone Town. Ojcowie namawiali je, żeby w nocy wymykały się przez okno; dziewczęta schodziły więc z drzew prosto na kolana Sajida, a ojcowie szpiegowali, mając nadzieję przyłapać kochanków w kompromitującej sytuacji. Chłopak, który kiedyś zbijał baki na ulicy - bez pracy, same kłopoty, że aż sąsiedzi złożyli się na bilet, by go stamtąd wyekspediować - teraz jakimś cudem ten chłopak był coś wart. Modlili się, żeby zmusić go do małżeństwa z Fatimą, która była gruba, albo z Salma, która była piękna, albo z Khadidżą o zamglonych oczach i kocim głosie. Ojcowie próbowali, dziewczęta próbowały, lecz Sajid im się wymknął. Podarowali mu *kanga*, żeby o nich nie zapomniał, z napisami „Wspomnienia są jak diamenty” albo „Twój cudowny zapach koi moje serce”, żeby — gdy będzie odpoczywał w Nowym Jorku — mógł zrzucić ubranie, owinąć się w *kanga*, przewietrzyć sobie jaja i pomyśleć o dziewczynach z kraju. Po dwóch miesiącach wrócił do Ameryki, z nowym paszportem, nowym nazwiskiem wpisanym dzięki kilku zielonym, które wręczył urzędnikowi. Kiedy przybył na lotnisko JFK jako Ra-szid Zulfikar, ujrzał za kontuarem tego samego funkcjonariusza, który go wcześniej deportował. Serce zadudniło mu w piersi jak wentylator, lecz nie został rozpoznany. „Dzięki Bogu, wszyscy wyglądamy dla nich tak samo!”

Sajid znajdował wielką przyjemność w całej tej grze, w sposobie, w jaki ten kraj kazał mu wyteżać umysł i nagradzał go; oczarowywał Amerykę, przypochlebiał się jej, oszukiwał ją, traktował z ogromną czułością i lojalnością. Kiedy przyjdzie czas, on, ten sam, który przeciskał się przez każde tylne drzwi, który dzięki fotokopiarce, korektorowi i maszynie do cięcia papieru (jedna sprawna osoba przy kopiarce, zapewniał Bidżu, może rzucić Amerykę na kolana) w iście kuglarski sposób sabotował system, będzie ślubował wierność sztandarowi ze łzami w oczach i przekonaniem w głosie. Ten kraj rozpoznał coś w Sajidzie, a Sajid w nim, i była to miłość odwzajemniona. Staromodny romans, ze wzlotami i upadkami, czasem bardziej gorzki niż słodki, być może, ale wykraczający poza wszystko, co jest sobie w stanie wyobrazić urząd imigracyjny.

*

Do szóstej rano półki piekarni zapełniały się żytnim, owsianym i wiejskim chlebem, morelowymi i malinowymi bułeczkami, które otwierały się na obfity strumień bursztynowego i rubinowego dżemu. Pewnego ranka Bidżu siedział na zewnątrz w bladej plamie słońca, z bułką w ręku. Rozerwał skorupę skórki i zaczął jeść, długimi cienkimi palcami wrywając ze środka jej delikatne runo. Lecz w Nowym Jorku niewinność nigdy nie trwa długo: przejechały ambulans, wóz policyjny, wóz strażacki; przetoczył się nad nim pociąg i jego telepiący rytm przeniknął bezbronne buty Bidżu; wstrząsnął sercem i skalał bułkę. Przestał przeżuwać, pomyślał o ojcu... Zachorował. Umarł. Został kaleką.

Powiedział sobie, że te historyczne myśli są jedynie skutkiem wyjątkowo hałaśliwego przejazdu jednego ze środków transportu, i poszukał pieczywa w ustach, lecz bułka rozpuściła się i zniknęła niczym eteryczna chmurka.

*

Kucharz pisał z Kalimpangu: „Drogi Bidżu, czy mógłbyś pomóc...”. W minionym tygodniu stróż z MetalBoksu złożył mu oficjalną wizytę i opowiedział o swym synu, wystarczająco już dorosłym, żeby postarać się o pracę, ale pracy nie ma. Czy Bidżu mógłby mu pomóc w Ameryce? Chłopak jest skłonny zacząć od jakiejś cięższej pracy fizycznej, ale rzecz jasna posada w biurze byłaby najlepsza. Włochy też ewentualnie wchodziłyby w grę, dodał jeszcze. Ktoś z wioski wyjechał tam i dobrze się urządził jako kucharz *tanduri*.

*

Początkowo kucharz był oburzony, zdenerwowany tą prośbą, czuł, że toczy się w nim wojna szczodrości ze skąpstwem, potem jednak...: „Czemu nie, zapytam go, będzie bardzo trudno, ostrzegam, ale spróbować można”.

Przeszedł go dreszcz - sam fakt, że stróż zwrócił się do niego z taką prośbą! Na nowo Bidżu stał się w oczach ojca człowiekiem sukcesu, w pięknym garniturze i butach.

Siedzieli ze stróżem przed chatą kucharza i palili; i przyjemnie było im, starszym, porozmawiać o młodych. Trująca psianka kwitła, rodząc gigantyczne rozjarzone dzwony, białe i usztywnione, złowrogie i nieskazitelne. Ukazała się gwiazda, a w zapadającym zmierzchu przeszła powoli obok zabłąkana krowa.

Zatem aby bardziej jeszcze zmobilizować syna i podbudować własną dumę, kucharz napisał na błękitnym formularzu poczty lotniczej: „Drogi *beta*, proszę cię, zobacz, czy mógłbyś pomóc synowi stróża”. Położył się spać spokojny i zadowolony, budząc się tylko raz z przerażeniem na dźwięk jakiegoś głuchego odgłosu, lecz to była tylko ta sama zabłąkana krowa, która wróciła wężem i próbowała się schować przed deszczem. Odpędził ją, sprowadził z powrotem myśli 0 synu i zjednoczony w ten sposób na nowo ze spokojem, zasnął. Petycja podnosi znaczenie człowieka.

*

Zielona karta, zielona karta... Sajid co roku brał udział w loterii imigracyjnej, lecz Hindusi nie mogli się do niej zgłaszać. Bułgarzy, Irlandczycy, Madagaskarczy-cy - lista ciągnęła się w nieskończoność, ale nie Hindusi, oni nie. Po prostu było zbyt wielu chętnych, żeby za wszelką cenę wydostać się z kraju, żeby stratować wszystkich innych, żeby wspiąć się po plecach konkurentów 1 żeby się rzucić do biegu. Ta możliwość miała być zamknięta na całe lata, limit był wyczerpany, komplet, nie mieścili się. Z piekarni zadzwonili do informacji imigracyjnej, gdy tylko zegar wybił ósmą trzydzieści, i na zmianę trzymali słuchawkę, próbując, jak im się zdawało, cały dzień, uzyskać połączenie. - Jaki ma pan teraz status? Nie mogę pomóc, jeśli się nie dowiem, jaki ma pan teraz status.

Szybko odłożyli słuchawkę w obawie, że urząd imigra-cyjny posiada super-hiper zum śmum bip czujną elektroniczną ponaddźwiękową maszynę, która potrafi

przełączyć połączyć wybrać odczytać
wywęszyć przez telefon ich nie legalność.

Och, zielona karta, zielona karta, zielona...

Czasem ogarniał Bidżu taki niepokój, że trudno mu było usiedzieć w miejscu. Po pracy przechodził nad rzekę, nie do tej części, gdzie psy bawią się jak szalone na placykach wielkości chusteczki do nosa, a właściciele zbierają po nich nieczystości w panującym tam harmidrze, lecz tam gdzie po wieczorze dla samotnych w synagodze dziewczęta w długich spódnicach i bluzkach z długimi rękawami chodzą na staromodne spacerzy ze staromodnie wyglądającymi mężczyznami w czarnych strojach i kapeluszach, jak gdyby musieli wszędzie zabierać przeszłość w obawie, że ją zgubią. Szedł na sam koniec parku, gdzie często sypiał bezdomny w gęstej komnacie z zieleni, która zdawała się wyrastać nie tyle z ziemi, ile z żyznego miejskiego brudu. W parku mieszkała też bezpańska kura. Od czasu do czasu Bidżu widywał ją, jak grzebie w swojski sposób w piachu, i tęsknił wtedy do życia w rodzinnej wiosce.

- Cip, cip, cip, cip - wołał do niej, lecz kura natychmiast uciekała, zbulwersowana w ujmujący sposób nie

ładnej dziewczyny, wstydlivej i przekonanej o wartości cnoty. Zbliżał się do miejsca, gdzie zieleń wychodzi na zanurzony w wodzie rząd palików i gdzie mężczyźni tacy jak on często przesiadywali na kamieniach zapatrzeni w nieciekawą pas New Jersey. Przepływały tamtędy osobliwe statki: barki ze śmieciami, holowniki o dziobach jak mopsy, które ciągnęły transportery z węglem o grubych dnach; inne łodzie, których funkcja nie była jednoznaczna — wszystkie z zardzewiałymi dźwigami, trybami i wydobywającym się z nich czarnym dymem.

Bidzu nic nie mógł poradzić na to, że rozpałała się w nim złość na ojca za to, że przysłał go samego do tego kraju, wiedział jednak, że nigdy by ojcu nie wybaczył, gdyby nie próbował tego zrobić.

W Kalimpangu śliwa przed przychodnią, podlewana zepsutą krwią z laboratorium, obsywała się tyłoma kwiatami, że młode pary na ławce pod nią robiły sobie zdjęcia. Ignorując usilne prośby jednej z takich par, żeby usunął się z kadru, kucharz usadowił się na końcu ławki z okularami na nosie, żeby przeczytać list od Bidżu, który właśnie nadszedł.

„Mam nową pracę w piekarni i szef zostawia nam cały interes na głowie...”

W Kalimpangu był to dzień *hat* i na jarmark - w najlepszych ubraniach - płynął ławą odświętny tłum, którego podniecenie sięgało zenitu. Kucharz złożył list i wsunął go do kieszeni koszuli. W radosnym nastroju zszedł stromą drogą na *hat*, przepychając się między pochylonymi i przygarbionymi Nepal-kami ze złotymi kołami zwisającymi z nosów i Tybetanka-mi z warkoczykami i modlitewnymi paciorkami, między tymi, którzy przybyli z odległych wiosek sprzedać pobrudzone grzyby przykryte liśćmi lub zieleniną, na wpół już usmażone w słońcu. Proszki, olejki i zwoje korzeni oferowali znachorzy z ludu Lepcza; na innych straganach sprzedawano sierść jaków, potarganą i szorstką jak włosy demonów, oraz worki z miniaturowymi suszonymi krewetkami o przerośniętych wąsach; były tam przemycone

zagraniczne towary z Nepalu, perfumy, dżinsowe kurtki, elektronika; były noże *kukri*, płachty nieprzemakalnego materiału i sztuczne zęby. Kiedy kucharz i sędzia przybyli po raz pierwszy do Kalimpangu, wciąż przejeżdżały tamtędy karawany z wełną pod ochroną tybetańskich poganiaczy mułów w futrzanych butach, z kołyszącymi się kolczykami, a zapach ziemi bijący od ludzi i zwierząt mocno kontrastował ze wspaniałym aromatem sosny, który przyciągał aż z Kalkuty ludzi pokroju Loli i Noni. Kucharz przypomniał sobie jaki dźwigające ponad sto kilogramów soli i ulokowane na samej górze różowe niemowlęta wciśnięte do garnków i żujące kwadraciki suszonego sera *ćurbi*.

— Mój syn pracuje w Nowym Jorku — kucharz chwalił się każdemu, kogo spotykał. — Jest kierownikiem lokalu gastronomicznego.

— Nowy Jork. Wielkie miasto — wyjaśniał. — Samochody i domy bez porównania z tymi tutaj. Tam u nich starcza jedzenia dla wszystkich.

— A ty kiedy się wybierasz, *Baba-dźP*.

— Za jakiś czas - śmiał się. - Za jakiś czas, niedługo, syn mnie zabierze. Owinięte w gazety, leżały wiązki suszonej azalii i jałowca.

Przypomniał sobie dzień, kiedy do Kalimpangu przybyli Dalajlama i Panczenlama, palono wtedy te kadzidła na trasie ich przejazdu.

Kucharz stał w tłumie gapiów. Oczywiście nie był buddystą, lecz przyszedł jako postronny obserwator. Stłumiony grzmot modlitwy niosło po górze, gdy z mgły wyłaniały się przy dźwięku dzwonek przybrane w pompony muły i konie, z powiewającymi modlitewnymi flagami przymocowanymi do siodeł. Kucharz modlił się wtedy o Bidżu i położył się spać

z uczuciem pobożności, tak intensywnym, że czuł się czysty, choć wiedział, że jest brudny.

Teraz przechodził przez zakurzony dworzec autobusowy z jego dławiącym smrodem spalin i minął ciemną kłitkę, gdzie za zabrudzoną czerwoną zasłoną można było obejrzeć za pieniądze na rozedrganych ekranach takie filmy jak *Gwałt napalonej dziewicy* i *ONA. Tajemnice małżeńskiej alkowy*.

Tutaj nikt nie będzie zainteresowany jego synem.

W biurze podróży Śnieżny Lew kucharz odczekał jakiś czas, żeby skupić na sobie całą uwagę agenta. Taszi był zajęty podrywaniem turystki — słynął z tego, że zauroczone nim cudzoziemki zrzucały spodnie i mogły potem napisać do domu o obowiązkowej miłosnej przygodzie z Szerpą. Otaczały ich zewsząd broszury organizowanych przez Taszkiego wycieczek do klasztorów, fotografie hoteli wybudowanych w stylu tradycyjnym, umeblowanych antykami, z których wiele zabrano z tychże właśnie klasztorów. Oczywiście nie wspominał o tym, że te wielowiekowe budowle zmodernizowano betonem, fluorescencyjnym oświetleniem i łazienkowymi płytkami.

— Jak będziesz jechać do Ameryki, zabierz mnie ze sobą — powiedział Taszi, sprzedawszy turystce wycieczkę do Sikimu.

- Tak, tak, wszystkich zabiorę. Czemu nie? Tam u nich jest mnóstwo miejsca. Tylko nasz kraj jest tak zatłoczony.

„Nie martw się, oszczędzam na bilet, a ty jak się miewasz? Jak zdrowie?“, napisał Bidzu. Pewnego dnia jego syn osiągnie to wszystko, czego nie udało się osiągnąć rodzicom Sai, wszystko, czego nie udało się osiągnąć sędziemu.

Kucharz przeszedł obok zakładu głuchych krawców Apollo. Nie było sensu czegokolwiek tam mówić, bo dosłownie puściliby jego słowa mimo uszu, tak jak w przy

padku skarg klientów, kiedy partaczyli robotę, paski poziome zamiast pionowych, ubrania sędziego w rozmiarze Sai i ubrania Sai w rozmiarze sędziego.

Wszedł do sklepu Skowronek po herbatę Toshs, makaron jajeczny i skondensowane mleko Milkmaid. Lekarce, która wpadła po szczepionki przechowywane w sklepowej lodówce, zakomunikował:
- Mój syn ma nową pracę w Ameryce.

Jej syn też tam mieszkał. Kucharz podzielił się tą wiadomością z lekarką! Najbardziej poważaną osobistością w miasteczku.

Wracając do domu o zmierzchu, powiedział tym, którzy z trudem łapali oddech od wnoszenia pod górę dużych ciężarów i odpoczywali na środku szosy, gdzie błoto i trawa nie brudziły im najlepszych ubrań. Kiedy nadjeżdżał samochód, wstawali; kiedy ich mijał, znowu się rozsiadali.

Powiedział pani Sen, która oczywiście też miała dziecko w Ameryce.

— Najlepszy kraj na świecie. Ci wszyscy, co pojechali do Anglii, teraz żałują... - Jej ręka znacząco wskazała dom sąsiadek w Mon Ami.

Kucharz następnie poszedł i powiedział Loli, której nie podobało się owo zakwestionowanie brytyjskiej wyższości, lecz zachowała się wobec niego uprzejmie, bo był biedny - jedynie córka pani Sen stanowiła zagrożenie, któremu należało ukręcić łeb. Powiedział afgańskim księżniczkom, które płaciły mu za dostarczenie kurczaka za każdym razem, gdy wybierał się na targ. Natychmiast gotowały tego kurczaka, gdyż nie miały lodówki, i każdego dnia, dopóki się nie zepsuł, odgrzewały go w innym stylu - w sosie curry, w sosie sojowym, w sosie serowym, a w tym rozkosznym okresie kiedy w ciągu jednej nocy w ogrodach w całym Kalimpangu wysypywały się grzyby - w sosie grzybowym z naparstkiem brandy.

Powiedział mnichom, którzy z podkasanymi habitami grali w piłkę przed gompą. Powiedział wujkowi Potty'emu i ojcu Booty'emu. Tańczyli właśnie na werandzie i wujek Potty z palcami na kontakcie włączał i wyłączał światło, włączał i wyłączał.

— Co powiedziałaś? — zapytali, ścisząc muzykę, żeby go lepiej słyszeć. — To świetnie! — Wzniesli kieliszki i znów pogłosnili muzykę: - *Jambalaya... pumpkin pie-a... mio maio...*

Potem kucharz zatrzymał się przy ostatnim straganie po ziemniaki. Zawsze kupował je tutaj, żeby nie musieć ich dźwigać przez całą drogę, i zastał przy ladzie córkę właściciela ubraną w długą koszulę nocną, co ostatnio stało się modne. Wszędzie widywano teraz kobiety w takich koszulach, córki, żony, babki, siostrzenice szły w nich po zakupy, po wodę przy dziennym świetle, jak gdyby wybierały się na spoczynek, z długimi włosami, z marszczeniami, tworząc piękną scenę ze snu w środku dnia.

Była śliczną dziewczyną, drobną i pulchną, z piersiami widocznymi w rozcięciu koszuli, tak apetycznymi, że nawet kobiety nie mogły oderwać od nich wzroku. A na straganie też radziła sobie doskonale. Chyba Bidżu by ją zechciał? Ojciec dziewczyny dobrze zarabiał, tak mówiono...

— Trzy kilo ziemniaków — poprosił głosem wyjątkowo jak na niego łagodnym. — A ryż? Czysty jest?

— Nie, wujaszku - odpowiedziała. - Ten, co mamy, jest brudny. Pełno w nim kamyczków, że można sobie ząb złamać.

— *A attdi*

— *Atta* lepsza.

Tak czy inaczej, pomyślał sobie, pieniądze to nie wszystko. Jest jeszcze ta prosta radość wynikająca z tego, że się kimś opiekujemy, a ktoś opiekuje się nami.

Kiedy Sai zainteresowała się miłością, była ciekawa też życia uczuciowego innych i zadreczęła kucharza pytaniami o sędziego i jego żonę.

Kucharz powiedział:

— Kiedy przyszedłem tu na służbę, wszyscy starzy służący mówili mi, że śmierć twojej babki uczyniła z twojego dziadka człowieka okrutnego. Była wielką damą, nigdy nie podnosiła głosu na służbę. Ależ on ją kochał! Jego przywiązanie do niej było tak głębokie, że aż człowieka ścisnęło w dołku, trudno było nawet na to patrzeć.

— Naprawdę kochał ją tak bardzo? — Sai była zdumiona.

— Jakżeby inaczej - odparł kucharz. - Ale podobno tego nie okazywał.

— Może nie kochał - zasugerowała.

— Ugryź się w język, ty łobuzico. Cofnij te słowa! — zawołał kucharz.
- Oczywiście, że ją kochał.

— No to skąd służący o tym wiedzieli? Kucharz zastanowił się, pomyślał o własnej żonie.

— Prawda - odrzekł. - Nikt tak naprawdę tego nie wiedział, ale w tamtych czasach nie mówiono wszystkiego, bo jest wiele sposobów okazywania miłości, nie tylko tak jak w filmach... do których ogranicza się cała twoja wiedza. Głuptas jeszcze z ciebie. Największa miłość to taka, której się nie okazuje.

- Mówisz to, co ci akurat pasuje.
- Tak, przekonałem się, że tak jest najlepiej - powiedział kucharz po zastanowieniu.
- No więc? Kochał czy nie?

*

Kucharz i Sai siedzieli z Mutt na schodach prowadzących do ogrodu, iskając ją z kleszczy, i była to zawsze dla nich godzina wielkiego zadowolenia. Te duże, z odwłokami w kolorze khaki łatwo się usuwało, lecz te małe, brązowe zabić było trudniej; rozpląszczały się we wgłębieniach w skale, więc kiedy uderzało się je kamieniem, nie ginęły, tylko w mgnieniu oka rzucały się do ucieczki.

Sai uganiała się za nimi.

- Nie uciekaj, ani mi się waź wskakiwać znowu na Mutt.
- Potem próbowali topić je w puszcze z wodą, ale były wytrzymałe, unosiły się na powierzchni, wdrapywały jeden na drugiego i wydostawały się na zewnątrz. Sai znów się za nimi uganiała, wkładała je z powrotem do puszek, pędziła do ubikacji i spuszczała je z wodą, ale nawet wtedy wynurzały się i wykonywały rozpaczliwy taniec w muszli klozetowej.

*

Z oczu kucharza biło światło wspomnień, teraz autentycznych.

- Nie, nie - powiedział. - On jej wcale nie lubił. Była szalona.
- Szalona?
- Tak, mówili, że była bardzo szalona.
- Opowiedz mi o niej.

- Zapomniałem, jak miała na imię, ale była córką jakiegoś bogatego człowieka i jej rodzina swoją pozycją znacznie przewyższała rodzinę twojego dziadka, należała do szczególnego odłamu kasty, która sama w sobie oczywiście nie była, jak wiesz, zbyt wysoka, lecz w tej grupie się wyróżniała. Można było poznać po jej rysach, bardzo delikatnych; palce u nóg i rąk, nos i uszy, wszystko subtelne i drobne, do tego miała jasną karnację, jak mleko. Mówiono, że można ją było wziąć za cudzoziemkę. Jej rodzina wchodziła w związki małżeńskie tylko z piętnastoma familiami, lecz dla twojego dziadka zrobili wyjątek, bo pracował w Indyjskiej Służbie Cywilnej. Nic więcej nie wiem.

*

- Kim była moja babcia? - Sai zapytała sędziego znieruchomiłego jak czapla nad szachownicą. — Pochodziła z bardzo wytwornej rodziny?

- Gram w szachy, nie widzisz? - powiedział. Ponownie wbił wzrok w szachownicę, po czym wstał

i wyszedł do ogrodu. Śmigające wiewiórki ganiały się pośród kłębowiska paproci i mgły; góry wyglądały jak przebijające się rogi koziorożca skalnego. Wrócił do szachownicy, wykonał ruch, lecz odniósł wrażenie, że to stary ruch w starej grze.

Nie chciał o niej myśleć, lecz obraz, który się wyłonił z jego pamięci, był zaskakująco łagodny.

*

Patelowie marzyli o wysłaniu syna do Anglii, lecz nie mieli dość pieniędzy bez względu na to, jak dużo pracował ojciec Dżemu, odwiedzili więc lichwiarzy, którzy przyj

rżeli się ojcu i synowi z sennością krokodyli, a następnie wyszli z propozycją dziesięciu tysięcy rupii. Na dwadzieścia dwa procent. To wciąż jednak było za mało, zaczęli więc szukać panny młodej. Dzemu miał być pierwszym chłopcem w okolicy, który wybiera się na uniwersytet w Anglii. Napływały oferty posagowe i ojciec przystąpił do ekscytującego analizowania i liczenia: brzydka twarz, trochę więcej złota, blada skóra, trochę mniej. Ciemna i brzydka córka bogatego człowieka wydawała się najlepszym rozwiązaniem.

*

Na drugim końcu Piphitu, w sąsiedztwie garnizonu wojskowego, mieszkał niski jegomość o nosie jak u nosorożca, który zdawał się zawijać do góry, nie do dołu. Nosił laseczkę trzciniową, wkładał długi brokatowy płaszcz i mieszkał w *haweli* tak delikatnie rzeźbionym, że zdawał się nic nie ważyć. Nazywał się Bomanbhai Patel. Jego ojciec dyskretnie wspomógł odpowiednią stroną podczas pewnego konfliktu między Anglikami i Gajakwara-mi, a kwatermistrz pułku odpłacił mu kontraktem na oficjalne dostawy końskiej paszy dla brytyjskiego garnizonu w Piphicie. Ostatecznie rodzina zmonopolizowała zaopatrzenie armii we wszystkie towary sypkie i kiedy Bomanbhai przejął interes po ojcu, obmyślił sposób uzyskiwania jeszcze większych dochodów poprzez dalsze rozszerzenie działalności. Proponował żołnierzom w nieoficjalnym zakątku miasta nieoficjalne usługi kobiet, które mogli obdarzać nadwyżką swej męskości; odwoził ich do garnizonu śmierdzących jak króliki z klatki, z pogubionymi czarnymi włosami na sobie.

Żona Bomanbhaia i jego córki były starannie zamknięte za wysokimi murami *haweli*, przed którym napisano na tabliczce: „Rezydencja Bomanbhaia Patela, dostawcy wojskowego, finansisty i kupca”. Wiodły leniwe życie w swoich pokojach, a surowość, z jaką egzekwowano w tym domu zasady *parda*, zyskała Bomanbhaiowi jeszcze większe uznanie w oczach miejscowej ludności; zaczął pozwalać sobie na różne małe kaprysy i dziwactwa, wykształcać pewne ekscentryczne zachowania, które za każdym razem umacniały bezpieczeństwo jego bogactwa oraz potwierdzały uznanie, jakim się cieszył. Ekspozował swe nabytki i swe nawyki niby to od niechcienia, lecz planował je bardzo starannie - nabył charakterystyczny płaszcz z brokatu, wypolerowaną laseczkę i oswojonego łuskowca, miał bowiem słabość do wszystkich stworzeń

0 dużych nosach. Zamówił zestaw witraży, które zalewały *haweli* słodkim, wielobarwnym, owocowym światłem, 1 sprawiały radość dzieciom, zachwyconym, że mogą być pomarańczowe, fioletowe, albo na wpół pomarańczowe i na wpół zielone.

Wędrowni sprzedawcy koronek i jedwabów z Chin czekali na zewnątrz, gdy ich towary zanoszono kobietom do obejrzenia. Jubilerzy przynosili rzadkie okazy do posagów córek, gdy zrujnowany radża wyprzedawał rodzinne pamiątki. Uszy żony Bomanbhaia wydłużyły się od ciężaru południowoafrykańskich brylantów, tak wielkich, tak ciężkich, że pewnego dnia kolczyk zerwał się z jednego ucha i jak meteoryt zniknął w misce *srikhand* z krwawym puknięciem. Lecz jego triumf sięgnął zenitu, kiedy ten niegdyś drobny sklepikarz, teraz zaś bogatszy od wszystkich braminów w mieście, najął bramińskiego kucharza, który tak ściśle przestrzegał praw czystości, że na sam dźwięk w kuchni

słowa *andu* — jajo — wszystkie garnki i patelnie trzeba było umyć, a cały zapas żywności wyrzucić.

*

Pewnego dnia przybyła do niego grupka mężczyzn, niemal kwiczących z podekscytowania, i poinformowała go o rychłym wyjeździe Dżemu do Anglii. Bomanbhai ściągnął brwi, rozmyślając nad tą wieścią, lecz nie powiedział nic, sączył jedynie z weneckiego kielicha odrobinę brandy Exshaw No. 1 z gorącą wodą.

Ambicja wciąż nie dawała mu spokoju - może i miał bramińskiego kucharza, wiedział jednak, że świat się na tym nie kończy i historia bardzo rzadko podsuwa sposobność wykonania isticie akrobatycznego skoku. Tydzień później wsiadł do landa zaprzęzonego w dwie białe kłacze, minął Klub Brytyjski na Thornton Road, do którego nie mógł wstąpić niezależnie od tego, ile miał w kieszeni pieniędzy, i przejechał na drugi koniec miasta, gdzie wprawił w osłupienie członków domostwa Patelów, proponując im Belę, najbardziej urodziwą ze swych córek, która leżała z siostrami w wielkim łożu, narzekając na nudę pod kryształowym żyrandolem, wyglądającym jak z lodu w letnim upale.

Gdyby Dżemu wprowadził w życie swoje zamiary, Bela zostałaby żoną jednego z najpotężniejszych mężów w Indiach.

*

Przyjęcie weselne trwało tydzień i było tak wystawne, że nikt w Piphicie nie mógł wątpić, iż rodzina opływa w złoto i *ghi*, toteż kiedy Bomanbhai uklonił się z *namaste* i poprosił

pokornie gości, by zaczęli jeść i pić, wiedzieli, że jego skromność jest fałszywa, a co za tym idzie, najlepszego rodzaju. Panna młoda była wypolerowanym, rzucającym świetlne refleksy pagórkiem klejnotów i z trudem się poruszała pod ciężarem dźwiganych kamieni i metalu. Jej posag składał się z gotówki, złota, szmaragdów z Wenezueli, rubinów z Birmy, nieoszlifowanych diamentów *kundun*, zegarka na łańcuszku, bel wełnianego materiału, z którego jej świeżo upieczony mążonek mógł uszyć garnitury na podróż do Anglii, oraz - w szeleszczącej kopercie - biletu na rejs na pokładzie SS „Strathnaver” z Bombaju do Liverpoolu.

Kiedy wyszła za mąż, zmieniono jej imię na to, które wybrała rodzina Dżemubhaia, i w ciągu kilku godzin Bela przeistoczyła się w Nimi Patel.

*

Gdy usiadła na skraju łóżka, ośmielony alkoholem oraz myślą o bilecie Dżemubhai próbował, tak jak radzili mu młodsi wujowie, poklepując go po plecach, zerwać z niej sari, które miało w sobie tyle samo złota co jedwabiu.

Był niemal zaskoczony, gdy pod warstwą złota odkrył twarz. Obwieszona była świecidełkami, ale nawet one nie były w stanie całkowicie ukryć płaczu przerażonej czternastolatki:

- Ratuj mnie - zapłakała.

Wnet zdjęło go przerażenie, przestraszył go jej lęk. Bańka arogancji prysła i wrócił do swej dawnej łagodności.

- Nie płacz - powiedział w panice, próbując naprawić szkody. -

Słuchaj, ja nie patrzę, ja nawet na ciebie nie patrzę.

Zwrócił jej ciężki materiał, owinął nim z powrotem jej głowę, ona jednak nie przestawała szlochać.

Nazajutrz rano wujowie śmiali się.

- Co? Do niczego nie doszło? - Wskazywali na łóżko. Następnego dnia znowu się śmiali.

Trzeciego dnia zaczęli się martwić.

— Zmuś ją — namawiali go wujowie. — Uprzyj się. Nie pozwól, żeby tak się zachowywała.

— Inne rodziny nie okazywałyby tyle cierpliwości — ostrzegano Nimi.

— Złap ją i przyciśnij do ziemi — rozkazywali Dżemub-haiowi wujowie.

Chociaż czuł presję i czasem rozpoznawał w sobie określone i skoncentrowane pożądanie, nikło ono w obecności żony.

- Rozpuszczona dziewczyna - upominali Nimi. - Stroisz fochy.

Jak mogła nie czuć się szczęśliwa z mądrym Dżemu, pierwszym chłopcem z okolicy, który pojedzie do Anglii?

Lecz Dżemubhaiowi zaczęło się robić żal, zarówno jej, jak i siebie, gdy wspólnie przeżywali tę gehennę bezczynności noc po nocy.

Kiedy rodzina wyjechała sprzedać klejnoty, żeby zdobyć dodatkowe pieniądze, zaproponował jej przejażdżkę na rowerze ojca. Pokręciła głową, lecz kiedy podjechał na herkulesie, dziecięca ciekawość pokonała przywiązanie do łez i dziewczyna usiadła na ramie.

- Unieś nogi - poinstruował ją i z całych sił zaczął naciskać na pedały. Jechali coraz szybciej, między drzewami i krowami, przecinając krowie placki.

Dżemubhai odwrócił się i szybko spojrzał jej w oczy -och, nikt nie miał takich oczu ani nie patrzył w taki sposób na świat...

1

Pedałował jeszcze mocniej. Droga zaczęła opadać i kiedy zjeżdżali w pędzie, ich serca na chwilę zostały z tyłu, lewitując pośród zielonych liści i błękitnego nieba.

*

Sędzia podniósł wzrok znad szachów. Sai wdrapała się na drzewo na skraju ogrodu. Spomiędzy gałęzi widać było wijącą się poniżej drogę, mogła więc stamtąd dostrzec nadchodzącego Gjana.

Z każdym kolejnym tygodniem korepetycji narastało napięcie, aż nie mogli już usiedzieć w jednym pomieszczeniu bez chęci ucieczki z niego. Ją bolała głowa. On musiał wcześniej wyjść. Wymyślali różne wymówki, lecz w chwili kiedy się rozstawali, byli niespokojni i dziwnie rozdrażnieni, czekali więc na następny wtorek z niezdolnością wzbierającą w nich niecierpliwością.

Sędzia podszedł do drzewa.

- Złaż.

- Dlaczego?

- Mutt się denerwuje, widząc cię tam.

Mutt spojrzała na Sai i machnęła ogonem, a w jej oczach nie zamajaczył nawet cień niepokoju.

- Naprawdę?

- Mam nadzieję, że temu twojemu korepetytorowi nie rodzą się we łbie żadne głupie pomysły - powiedział sędzia.

- Jakie głupie pomysły?

- Złaż w tej chwili.

Sai zeszła na ziemię, weszła do domu i zamknęła się w pokoju. Kiedyś stąd wyjedzie.

- Czas powinien gnać do przodu - powiedziała jej kiedyś Noni. - Nie gódź się, tak jak ja, na życie, w którym czas stoi w miejscu. Nie mam dla ciebie lepszej rady.

W Queen of Tarts Sajid Sajid złapał mysz, podbił ją nogą, wykonał drybling, próbował podać do Bidżu, który uciekł, podrzucił, a kiedy spadała, piszczącą znów podbił nogą.

- A więc to ty wyjadałaś' nam chleb, co? - zaśmiał się. — Ty wyjadałaś cukier?

Po historycznym locie w powietrzu spadła martwa. Koniec zabawy.

Pora wracać do pracy.

*

W Kalimpangu kucharz pisał na formularzu poczty lotniczej. Pisał w hindi, a następnie niezgrabnymi angielskimi literami przepisał adres. Zasypany go prośbami o pomoc. Im więcej ludzi prosiło, tym więcej przychodziło, a im więcej przychodziło, tym więcej prosiło - Lamsang, pan Lobsang Phun-cok, Oni, pan Szezun z „Lepcha Quarterly”, Kesang, szpitalna sprzątaczką, technik laborant odpowiedzialny za ta-siemca w formaldehydzie, mężczyzna, który łątał dziury w rdzewiejących garnkach, wszyscy z synami w kolejce do wysłania za granicę. Przynosili mu w prezencie kurczaki, paczuski z orzechami i rodzynkami, stawiali mu drinki w byłej wojskowej kantynie Thapa's, i zaczął się

czuć jak polityk, oddający przysługi, przyjmujący wyrazy wdzięczności.

Im bardziej jesteś rozpieszczany tym bardziej będziesz rozpieszczany im więcej prezentów dostajesz tym więcej prezentów dostaniesz im bardziej jesteś podziwiany tym bardziej będziesz podziwiany im bardziej jesteś podziwiany tym więcej prezentów dostaniesz tym bardziej będziesz rozpieszczany...

- *Bhai, dekho, ajsa hai...* - pouczał ich. - Trzeba mieć trochę szczęścia, uzyskanie wizy jest prawie niemożliwe... - Mógł dokonać tego nadludzkiego wysiłku i napisać do syna. - Zobaczymy, zobaczymy, może ci się poszczęści...

„Bidźu *beta* - napisał - tobie dopisało szczęście i dostałeś się tam, proszę, zrób teraz coś dla innych...”

Po czym nakładał domowej roboty klej z mąki i wody, zaklejał listy i posyłał je w lot nad Atlantykiem, całą ich ławicę...

*

Nigdy się nie dowiedzieli, ile z nich zagięło gdzieś na rwących się stykach po drodze - między chimerycznym listonoszem w zacinającym deszczu, chimeryczną furgonetką z trudem pokonującą osuwiska na drodze do Sili-guri, burzą z piorunami, zamglonym lotniskiem, podróżą z Kalkuty aż do urzędu pocztowego na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy w Harlemie, zabarykadowanego jak izraelska baza w Strefie Gazy. Listonosz porzucał te listy na skrzynkach legalnych mieszkańców i czasem spadały, deptano po nich i trafiały znów na ulicę.

Dochodziło jednak wystarczająco dużo, by Bidźu poczuł, że tonie.

„Bardzo bystry chłopak, rodzina bardzo biedna, proszę, zaopiekuj się nim, dostał już wizę, przyjedzie... Znajdź,

proszę, pracę dla Poreśa. Jego brat też się wybiera. Pomóż im. Sandżib, Thom, Karma, Pońcu, i pamiętasz Budhu, stróża z Mon Ami, jego syn..."

*

- Wiem, wiem, stary, jak się czujesz - powiedział Sajid.

Matka Sajida bez żadnego umiaru rozdawała jego numer telefonu i adres połowie Stone Town. Lądowali na lotnisku z jednym dolarem w kieszeni i jego numerem telefonu, a potem próbowali się dostać do mieszkania, które już pękało w szwach — wynajęty był każdy kąt: w tych samych łózkach na zmianę spali Raszid Ahmed Dżaffar Abdullah Hassan Musa Lutfi Ali i cała masa innych.

— Coraz ich więcej. Budzę się, podchodzę do okna, a tam - SWOJAK. Gdziekolwiek spojrzę - ZNOWU JAKIS SWOJAK. Mówi się: „Ojej, nie dają wiz, zrobili się tacy surowi, to takie trudne", a tymczasem wszyscy, którzy się starają, WSZYSCY dostają wizę. Dlaczego oni mi to robią? Ci z amerykańskiej ambasady w Dar... DLACZEGO??!! Nikt by nie dał takiemu Duliemu wizy. Nikt. Wystarczy spojrzeć i wiadomo, że coś z nim jest nie tak — ale dostał ją!

Sajid gotował fasolę „czarne oczko" i rybę *wahoo* z Price Hopper, żeby poprawić sobie humor, oraz rajskie banany w cukrze i mleku kokosowym. Tę kleistą substancję pachnącą jakże dojrzałą nadzieją rozsmarowywał na bagietce i częstował innych.

*

Najśłodsze owoce w całym Stone Town rosną na cmentarzu, a najwspanialsze banany na grobie dziadka tego samego niedorozwiniętego Duliego, na którym amery

kańska ambasada w Dar es Salam tak słabo się poznała, że przyznała mu wizę - mówił im Sajid i wyjrzał przez okno...

Sekundę później był już pod ladą.

- O mój Boooooże! - szeptał. - To znowu oni, swojacy. Błagam, Boże. Powiedzcie im, że tu nie pracuję. Skąd oni wzięli ten adres! Moja matka! Mówiłem jej: „Skończ z tym!”. Błagam! Omar, idź! No, idź! Powiedz im, żeby sobie poszli.

Przed piekarnią stała grupka mężczyzn, wyglądali na znużonych, jak gdyby spędzili w podróży kilka żyć, drapali się po głowach i wpatrywali w witrynę Queen of Tarts.

- Po co pomagasz? - zapytał Omar. - Ja przestałem. Teraz wszyscy wiedzą, że nikomu nie pomogę, więc nikt do mnie nie przyjeżdża.

- Nie czas teraz na kazania. Omar wyszedł.

- Kto? Sajid? Nie, nie. Jakie imię? S o j a d? Nie, nikogo o takim imieniu. Tylko ja Kawafja i Bidżu.

- Ale on tu pracować. Jego matka powiedziec.

- Nie, nie. Odejdźcie stąd. Nie ma tu nikogo, z kim chcielibyście się widzieć, a jeśli będziecie robić kłopoty, to NA NAS ściągniecie kłopoty, więc grzecznie was proszę, IDŹCIE SOBIE.

*

- Bardzo dobrze - powiedział Sajid - dzięki. Poszli? -Nie.

- A co robią?

- Cały czas stoją i się gapią - powiedział Bidżu, ośmielony i podekscytowany nieszczęściem kogoś innego. Mało brakowało, by zaczął podskakiwać.

Przyjezdni kręcili głowami, nie chcąc uwierzyć w to, co usłyszeli.
Bidźu wyszedł i wrócił.

- Mówią, że teraz sprawdzą twoje mieszkanie. — Odczuwał pewną dumę z przekazania tak istotnej wiadomości. Uzmysłowił sobie, że brakuje mu odgrywania tego typu roli, co w Indiach jest czymś powszechnym. Zaangażowanie w życie innych ludzi daje człowiekowi liczne drobne okazje podkreślenia własnego znaczenia.

- Oni wrócą. Już ja ich znam. Będą próbować jeszcze wiele razy albo jeden zostanie na czatach, a pozostali pójdą. Zamknijcie drzwi, zamknijcie okno...

- Nie możemy zamknąć sklepu. Za gorąco, nie możemy zamknąć okna.

- Zamknijcie!

- Nie. A jeśli wpadnie pan Bocher? - Właściciel czasem odwiedzał ich w nieoczekiwanych momentach, mając nadzieję, że przyłapie ich na robieniu czegoś niedozwolonego. „Spoko, szefie - mawiał do niego Sajid. - Robimy wszystko tak, jak pan każe, dokładnie jak pan każe...”
Lecz teraz...

- Stary, tu chodzi o moje życie, a nie czy gdzieś jest trochę za gorąco, z szefem albo bez szefa...

Zamknęli okno i drzwi, a Sajid zadzwonił z góry do swojego mieszkania.

- Hej, Ahmed, stary, nie odbieraj telefonu, z lotniska przyjechał ten Duli z całą zgrają! Zamknijcie się, schowajcie się, nie wstawajcie, nie podchodźcie do okna.

- Ha! Jak to się dzieje, że dają im wizy? Skąd mają na bilet?! - Słyszeli głos na drugim końcu, głos, który przeszedł w suahili w formie potężnego wypróżnienia, żywnego, parującego zwierzęcego łajna.

W piekarni zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - Sajid rzucił do Bidżu, który sięgał już po słuchawkę.

Gdy włączyła się automatyczna sekretarka, połączenie przerwano.

- To swojacy! Zawsze się boją automatycznej sekretarki!

Telefon dzwonił i dzwonił. Dryń, dryń, dryń, dryń. Automatyczna sekretarka. Odłożenie słuchawki. I znów: dryń, dryń.

- Sajid, musisz z nimi pogadać. - Serce Bidżu pulsowało teraz cierpieniem dzwoniących. To mógł być szef, mógł dzwonić ktoś z Indii, jego ojciec jego ojciec...

Umarł? Umierał? Zachorował?

Telefon odebrał Kawafja i czyjś głos przeniósł się do pomieszczenia, surowy i natarczywy pod wpływem paniki.

- Pomocy! Pomocy! Przyjechaliśmy z lotniska. P o-m o c y! P o m o c y!

Saajid S-aa-jid?

Odłożył słuchawkę i odłączył telefon. Sajid:

-Te chłopaki, jak się ich raz przyjmie, już nie odpuszczą. Są zdesperowani. Z d e s p e r o w a n i. Jak się ich przyjmie, wysłucha ich historii, nie można powiedzieć „nie", no bo znasz ich ciocię, znasz ich kuzyna, musisz pomóc całej rodzinie, a jak już raz złączą, zabiorą wszystko. Nie można powiedzieć: to jest moje jedzenie, jak Amerykanie, to jest tylko dla mnie. Zapytajcie Theę... — była w piekarni najnowszym obiektem erotycznych westchnień - ... tam, gdzie mieszka z trzema przyjaciółkami, każdy robi zakupy oddzielnie, oddzielnie gotują i razem zjadają oddzielnie przygotowane je

dzenie. Lodówka jest podzielona i każda na swojej półce... na swojej półce!... wkłada resztki do oddzielnych pojemników. Jedna z nich nakleiła na swoje pudełko imię, żeby było wiadomo, czyje jest. - Jego palec poszybował do góry w geście nietypowej dla niego srogości. — W Zanzibarze, jak ktoś coś ma, musi się tym dzielić ze wszystkimi, tak jest d o b r z e, t a k t r z e b a... A z drugiej strony, stary, nikt nic nie ma! Dlatego wyjechałem z Zanzibaru. Milczenie.

Współczucie Bidżu dla Sajida przerodziło się we współczucie dla siebie, a potem wstyd Sajida — w jego wstyd, że nigdy nie pomoże tym wszystkim ludziom modlącym się o pomoc, czekającym na jego odpowiedź codziennie, c o g o d z i n a. On też wylądował na lotnisku z kilkoma dolarami w kieszeni, kupionymi na czarnym rynku w Katmandu, i z adresem przyjaciela ojca, Nandu, który mieszkał z dwudziestoma dwoma taksówkarzami w Queens. Nandu też nie odbierał telefonu i próbował się chować, kiedy Bidżu pojawił się pod jego drzwiami, a potem, kiedy wydawało mu się, że Bidżu już sobie poszedł, otworzył drzwi i ku swej konsternacji ujrzał Bidżu, który dwie godziny później wciąż tam stał.

- Tutaj nie ma już roboty - powiedział. - Gdybym był młodszy, wróciłbym do Indii, tam teraz więcej perspektyw, za późno, żebym teraz coś zmieniał, ale ty powinienes mnie posłuchać. Wszyscy mówią: m u s i s z z o s t a ć, t u t a j s i ę d o r o b i s z, a l e d u ż o l e p i e j b y ł o b y d l a c i e b i e, g d y b y ś w r ó c i ł.

Nandu znał kogoś u siebie w pracy, kto mu powiedział o suterenie w Harlemie, i odkąd ulokował tam Bidżu, od tamtej pory już się nie widzieli.

Został porzucony wśród cudzoziemców: dozorca Ja-cinta, bezdomnego, krzywonogiego handlarza koką, który chodził, jak gdyby miał za duże jaja, ze swym żółtym krzywonogim psem, który też chodził, jak gdyby miał za duże jaja. Latem rodziny wychodziły z ciasnych mieszkań i siadały na chodnikach ze sprzętem grającym; kobiety o wielkiej tuszy pojawiały się w szortach z wydepilowanymi nogami nakrapianymi maleńkimi czarnymi punkcikami, a apatyczni mężczyźni, jakby uszło z nich powietrze, siedzieli przy kartach na deskach ustawionych na śmietnikach i żłopali piwo z butelek w brązowych papierowych torbach. Kłaniali mu się przyjaźnie, czasem nawet częstowali piwem, lecz Bidżu nie wiedział, co ma do nich mówić, nawet krótkie „Siema” źle mu wychodziło: zbyt cicho, więc albo go nie słyszeli, albo właśnie się od niego odwrócili.

Zielona karta zielona karta. Zielona...

Bez niej nie mógł wyjechać. Żeby wyjechać, potrzebował zielonej karty. Na tym polegał cały absurd. Jak bardzo pragnął triumfalnego „powrotu-do-domu-z-zieloną-kar-tą”, łaknął tego — żeby móc kupić bilet z miną kogoś, kto może wrócić, jeśli tylko zechce, albo nie, jeśli nie zechce... Z zazdrością obserwował zalegalizowanych cudzoziemców, gdy polowali w tanich sklepach na te cudowne, rozkładane torby dla podróżnych z Trzeciego Świata, przypominające akordeon, pełne kieszeni i suwaków, za którymi kryją się dalsze schowki, a całą konstrukcję daje się rozłożyć w gigantyczną przestrzeń mieszczącą dość rzeczy, by rozpocząć na nowo życie w innym kraju. Oczywiście byli też tacy, którzy mieszkali i umierali w Ameryce ze statusem nielegalnych imigrantów i ni-

r

gdy nie widzieli się już ze swymi rodzinami, przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, nigdy.

Jak to możliwe? W Queen of Tarts oglądali w niedzielne przedpołudnia na kanale indyjskim program, w którym prawnik do spraw imigracyjnych odpowiadał na pytania.

Na ekranie pojawił się taksówkarz: kiedyś oglądał pirackie kopie amerykańskich filmów i postanowił wyjechać do Ameryki, ale jak trafić do głównego nurtu? Przebywał w kraju nielegalnie, prowadził taksówkę nielegalnie, żółtą farbę zdobył nielegalnie, cała jego rodzina mieszkała tutaj, podobnie jak wszyscy mężczyźni z jego wioski - doskonale się tu wtopili i pracowali w branży taksówkowej. Ale jak zdobyć papiery? Może któraś z pań oglądających ten program zechce wyjść za niego za mąż? Może być nawet inwalidką lub osobą niedorozwiniętą, byleby posiadała zieloną kartę.

*

O furgonetce dowiedział się oczywiście Sajid Sajid i zabrał Omara, Kawafję i Bidžu do Washington Heights, gdzie czekali na jednym ze skrzyżowań. We wszystkich sklepach zainstalowano kraty, nawet w małych kioskach z gumą do żucia i papierosami. Przed aptekami i sklepami monopolowymi znajdowały się dzwonki; widział, jak ludzie naciskają je, wchodzą do czegoś w rodzaju klatki, z której można obejrzyć półki i wskazać wybrany towar, a po umieszczeniu pieniędzy na obrotowej tacce zainstalowanej w małej szparze wyciętej w kracie i kuloodpornej szybie otrzymują zakupione przedmioty niechętnie poślane na tej samej tacy. Nawet w jamajskim barze ekspedientka, paszteciki, zupa callaloo i roti, „codziennie

pyszne napoje", wszystko znajdowało się za ochronną barierą. A jednak było tam wesoło. Ulicami przewalały się tłumy. Przed chrześcijańskim kościołem syjonistycznym kaznodzieja chrzczył stojące w szeregu osoby wodą z hydrantu przeciwpożarowego. Jakiś mężczyzna wyłonił się w szortach i koszuli w kwiaty, z cienkimi guzowatymi kolanami, skręconymi, wypomadowanymi włosami, małym kanciastym wąsikiem jak u Charliego Chaplina lub Hitlera, niosąc magnetofon: „*Guantanamera... guajira Guantaname-ra...*”. Dwie zalotne kobiety pozdrowiły go z okna:

— Oooo kochanie. Popatrz na te jego nogi! Uuuuuu-uu! Jesteś dzisiaj wolny?

Inna kobieta udzielała rad młodszej towarzysze:

— Życie jest krótkie, słoneczko... Wystaw go z workami na śmieci! Jesteś młoda, powinnaś być szczęśliwa! Wystaw go z wor-ka-mi na śmie-ci!

*

Sajid czuł się tam jak w domu. Mieszkał dwie przecznice dalej i wiele osób pozdrowiało go na ulicy.

— Sajid!

Chłopak ze złotym łańcuszkiem grubym jak ten przy korku do wanny, sygnalizującym w ten sposób jego zamożność, poklepał Sajida po plecach...

— Czym on się zajmuje? — zapytał Bidżu. Sajid roześmiał się.

— Jest męską prostytutką.

Ażeby uczynić sytuację jeszcze pikantniejszą, Sajid uraczył ich historią o tym, jak to pomagał jednemu ze swojaków w przeprowadzce; zatrzymał się przy nich samochód, kiedy dźwigali pudła z pocerowanymi ciuchami,

budzikiem, butami, pociemniałym garnkiem aż z Zanzibaru, wrzuconym do walizki przez zapłakaną matkę; z okna samochodu wysunęła się lufa i ktoś powiedział: „To do tyłu, chłopcy”. Otworzył się bagażnik. „Wszystko?”, zapytał z obrzydzeniem głos zza lufy, po czym wóz odjechał.

*

Czekali na skrzyżowaniu, pocąc się obficie, mój Boże, mój Boże... Wreszcie nadjechała sfatygowana furgonetka, podali pieniądze przez leciutko uchylone drzwi, razem ze zdjęciami zrobionymi według wymogów Urzędu Imi-gracyjnego, z widocznym jednym uchem i w półprofilu, i przez tę samą szparę zdjęto im odciski kciuka. Dwa tygodnie później znowu czekali...

Czekali...

czekali...

i... furgonetka nie nadjechała. Ta próba znów opróżniła kopertę z oszczędnościami Bidżu.

Omar zaproponował, żeby się pocieszyli, skoro już są w odpowiedniej dzielnicy.

Kawafja chciał się przyłączyć.

Tylko trzydzieści pięć dolarów.

Ceny nie wzrosły.

Bidżu zaczerwienił się, przypominając sobie, co mówił w swoim okresie hotdogowym. „One śmierdzą... czarne kobiety... *habśi habśf*.

— Jak dla mnie za gorąco - rzekł. Roześmiali się.

- Sajid?

Ale Sajid nie musiał chodzić na kurwy. Miał się spotkać z nową dziewczyną.

- A Thea? - zapytał Bidżu.
 - Wyjechała na wycieczkę za miasto. Powiedziałem jej: Afrykanie nie oglądają liści!! W każdym razie, stary, mam na boku parę dupencji, o których Thea nie wie.
 - Lepiej uważaj - rzekł Omar. - Białe kobiety wyglądają dobrze, jak są młode, ale poczekaj, szybko się posuwają, przed czterdziestką wyglądają fatalnie, włosy im wypadają, wszędzie zmarszczki, i te plamy, te żyły, wiesz, o czym mówię...
 - Aha ha ha, wiem, wiem - odparł Sajid. Rozumiał ich zazdrość.
- *

W piekarni jeden z klientów znalazł caluteńką mysz upieczoną w chlebie ze słonecznikiem. Pewnie połaskoczyła się na nasiona...

Przybył zespół inspektorów sanitarnych. Zrobili nalot w stylu amerykańskich *marines*, FBI, CIA, NYPD; wpa-rowali, krzycząc: RĘCE DO GÓRY!

Znaleźli pękniętą rurę kanalizacyjną, czarny bekający odpływ, noże przechowywane za muszlą klozetową, szczurze odchody w mące, a w zapomnianej misie z jajami jednokomórkowce, które urządziły się tak sprytnie, że rozmnażały się samodzielnie, bez udziału innych.

Wezwano ich szefa, pana Bochera.

- Wysiadła pieprzona elektryczność - tłumaczył pan Bocher - na dworze gorąco, co my, kurwa, mamy robić?

Lecz taki sam incydent wydarzył się już dwukrotnie, w czasach przed Bidżu, Sajidem, Omarem i Kawafją. Kiedy pracowali tam Karim, Denim i Jezus. Piekarnia Queen of Tarts miała zamknąć podwoje i ustąpić miejsca rosyjskiemu lokalowi.

- Pierdzieleni Ruscy! Barszcz, kurwa, i gównno! - krzyczał pan Bocher w złości, lecz na próżno, i nagle znów Bidżu znalazł się na lodzie. - Spierdalajcie, pieprzeni kretyni! - wydzierał się na mężczyzn, którzy dla niego pracowali.

*

- Stary, odwiedź mnie kiedyś. - Sajid szybko znalazł zatrudnienie w Banana Republic, gdzie miał sprzedawać miejskim elegantom najmodniejsze czarne golfy w sklepie, którego nazwa była synonimem kolonialnego wyzysku i łupieżczej eksploatacji Trzeciego Świata. Bidżu wiedział, że prawdopodobnie już się nie zobaczą. Wiedział, że tak się zwykle dzieje. Żyje się z kimś blisko, a potem ten ktoś znika w ciągu jednej nocy — ich kasta cieni skazana była na ciągłe przemieszczanie się. Odchodzą do innej pracy, wyjeżdżają do innych miast, są deportowani, wracają do domu, zmieniają nazwiska. Czasem ktoś wyłania się za rogiem albo w metrze, a potem znowu znika. Adresy, telefony szybko się zmieniały. Pustka, którą odczuwał Bidżu, wracała do niego raz za razem, aż w końcu postanowił, że nie będzie się zanadto przywiązywać do przyjaciół.

*

Leżąc na swej półce w suterenie tamtej nocy, myślał o wiosce, gdzie utrzymywał się z babcią z pieniędzy, które co miesiąc przesyłał ojciec. Wioska zatopiona była w srebrnych trawach, wyższych od człowieka i wydających dźwięk, szuu szuuu, szu szuuu, gdy wiatr kołysał nimi to w jedną, to w drugą stronę. Suchym wąwozem, przez trawy, dochodziło się do dopływu Jamuny, gdzie można było zobaczyć ludzi podróżujących wodnym szlakiem

na nadmuchiwanych bawolich skórach ze sterczącymi prosto do góry bardzo martwymi nogami zwierząt, wszystkimi czterema, i tam gdzie rzeka ślizgała się płytko po kamieniach, ludzie ci schodzili do wody i przeciągali swe łodzie z bawolich skór. Tutaj, na tym płytkim odcinku, Bidżu i jego babcia przechodzili na drugi brzeg podczas wypraw na targ i z powrotem, jego babcia z podwiniętym sari, czasem z workiem ryżu na głowie. Nad wodą unosiły się polujące na ryby orły, przerywały w jednej chwili poziomy lot, pikowały i czasem wlatywały z rzucającym się mięśniami srebra. Na tym samym brzegu mieszkał również pustelnik, stojący jak bocian, który czekał, och, czekał, na błysk innej, nieuchwytniej, mistycznej ryby; kiedy się wynurzy, musiał się na nią rzucić, aby nie znikła na zawsze... W święto Diwali ów święty człowiek zapalał światełka, wkładał je między gałązki drzewa *pipal* i puszczał na wodę na tratwach ozdobionych nagietkami — jakże piękny był ten widok unoszących się światełek w tej młodej ciemności. Kiedy odwiedzał ojca w Kalimangu, siadywali wieczorami na dworze i ojciec wspominał: „Nasza wioska jest taka spokojna. Jak dobrze smakuje tam *rot*? To dlatego, że *ata* mielona jest ręcznie, nie za pomocą maszyn... i wypieka się je w *ćulkach*, dzięki czemu bije na głowę wszystko, co można zrobić w piecyku gazowym lub naftowym... Świeże *roti*, świeże masło, świeże mleko jeszcze ciepłe od krowy...”. Nie kładli się spać do późna. Nie zauważali Sai, wówczas trzynastoletniej, jak przygląda im się przez okno swojego pokoju, zazdrosna o miłość kucharza do syna. Nad nimi przelatywały nisko, łopocząc wiedz-mowato czarnymi skrzydłami, małe nietoperze o czerwonych pyszczkach, pijące wodę z *dźhora*.

— O, nietoperz, nietoperz! - zawołała Lola w panice, gdy jeden z nich przeleciał jej obok ucha z piskliwym ciuu ciuu.

— I o co tyle hałasu, to tylko kawałek fruwejacej skórki na buty — stwierdziła Noni, która w swym bladym letnim sari wyglądała jak bryła rozpuszczających się lodów waniliowych...

— Oj, zamknij się — nie wytrzymała Lola.

— Jest za duszno i za gorąco — dodała po jakimś czasie w ramach przeprosin. Pewnie nadchodził monsun.

Minęły zaledwie dwa miesiące, odkąd Gjan zaczął uczyć Sai, i Sai początkowo myliła napięcie w powietrzu z jego obecnością.

Teraz jednak wszyscy się skarżyli. Wujek Potty siedział w bezwładnej pozie.

— Zaczyna się. Wcześniej w tym roku. Muszę zaopatrzyć się w rum, kochanieńka, zanim zostanę, bidulek, odcięty od świata.

Lola sączyła disprin, który syczał i podskakiwał w wodzie.

Kiedy także w gazetach doniesiono o nadchodzących chmurach burzowych, całkiem poweselała:

— A nie mówiłam? Ja zawsze mam nosa. Zawsze byłam bardzo wrażliwa. Znacie mnie przecież... jak księżniczka

na ziarnku grochu... mój Boże, doprawdy... jak księżniczka na ziarnku grochu.

*

W Czo Oj u sędziego i Sai siedzieli na trawniku. Mutt, zauważywszy cień własnego ogona, rzuciła się nań, zaczęła się kręcić w kółko, dezorientowana, z czym ogonem ma do czynienia. Nie chciała się poddać, lecz jej oczy wyrażały dezorientację i błaganie - jak mogłaby przestać? co powinna zrobić? — goniła tę dziwną bestię i nie wiedziała, że jest nią ona sama. Bezradnie miotła się po ogrodzie. — Głuptaska — powiedziała Sai.

— Perełka - powiedział sędzia po odejściu Sai na wypadek, gdyby Mutt poczuła się urażona.

*

I wtedy, w mgnieniu oka, zaczęło się. Niepokojący dźwięk dobiegł od strony bananowców, gdy zaczęły łopotać swoimi wielkimi uszami, zawsze bowiem pierwsze włączały alarm. Maszty bambusów obijały się o siebie, wytwarzając odgłosy pojedynku jakiejś prastarej sztuki walki.

W kuchni kalendarz bogów kucharza zaczął wierzgać na ścianie, jakby ożył, kłębowało ramion, nóg, demonicznych głów, wściekłych oczu. Kucharz wszystko pozamykał, drzwi i okna, lecz Sai weszła w chwili, gdy przesiewał mąkę, żeby się pozbyć wołków zbożowych, a wtedy podniósł się biały obłok i pokrył oboje.

— Uff. Zobacz, coś narobiła. - Drobne owady rozbiegły się oswobodzone i podekscytowane po podłodze i ścia

nach. Popatrzysz na siebie, całych w bieli, wybuchli śmiechem.

- *Angrez ke tarah*. Jak Anglicy.

- *Angrez ke tarah*. *Angrez dżajse*. Sai wystawiła głowę z kuchni.

- Spójrz, dziadku — zawołała wesoło — zupełnie jak Anglicy.

Sędzia zaczął kaszleć, gdy gryząca mieszanina dymu i chilli dostała się do salonu.

- Głupia dziewczucha - powiedział do wnuczki. - Zamykaj drzwi!

Lecz drzwi zamknęły się same, tak jak wszystkie drzwi w domu. Łup, łup, łup. Niebo zionęło rozświetlane płomieniem; niebieski ogień omotał sosnę, która poniosła natychmiastową śmierć, pozostawiając po sobie zwęglony pień, swąd spalenizny oraz przecinające się kreski gałęzi na trawniku. Lunął na nich niekończący się deszcz i Mutt zamieniła się w prymitywną formę życia, amebo-wy organizm pełzający po podłodze.

Piorunochron na dachu Czo Oj uciągnął się do dołu z solą, co miało ich ochronić, lecz Mutt tego nie pojmowała. Po kolejnym grzmocie, który odbił się z hukiem od blaszanego dachu, szukała schronienia za zasłonami, pod łózkami. Ale albo jej zadek pozostawał niezakryty, albo jej nos, i przerażał ją wiatr wyjący jak duchy w pustych butelkach po napojach gazowanych: huuu huuuu huuu.

- Nie bój się, psinko, żabko, złotko, śliczności ty moje. To tylko deszcz. Próbowwała się uśmiechać, lecz ogon nie przestawał jej się podwijać, a oczy były oczami żołnierza na wojnie, nie-dbającego już o głupi mit odwagi. Wytężała uszy poza horyzont, oczekując czegoś, co musiało nadejść, jeszcze jednej fali bombardowania, odgłosów rozpadania się cywilizacji

- nigdy sobie nie uzmysławiała, że jest tak potężna - padały miasta i pomniki - więc znowu czmychnęła.

*

Ta mokra pora miała potrwać trzy miesiące, cztery, może pięć. W Czo Oju woda skapywała do ubikacji w rytmie *ragtime u*, który przerwała Sai, rozłożywszy nad sobą parasol po wejściu do łazienki. Pod wpływem wilgoci zaparowywało szkło w zegarach, a ubrania suszące się na strychu pozostawały wilgotne przez tydzień. Z belek sypał się biały łupież, grzyb pokrywał wszystko ciemnym liszajem. A jednak na tym przygaszonym tle rysowały się plamy koloru: owady fruwały w karnawałowych przebraniach; chleb w ciągu dnia przybierał kolor zielonej trawy; Sai, otworzywszy szufladę z bielizną, znalazła różowe galaretowate wykwity porastające warstwy szarej bawełny; a oprawione roczniki „National Geographic” otwierały się na stronach toczonych przez barwną chorobę, floletowo-żółtą pleśń rywalizującą z przedstawianymi na fotografiach altannikami z Papui-Nowej Gwinei, mieszkańcami Nowego Orleanu i reklamami „Lepiej na Bahamach”.

*

Sai zawsze była cicha i pogodna w te miesiące, jedynym okresie, kiedy jej życie w Kalimangu nabierało pełnego sensu, a ona mogła doświadczyć spokoju, wiedząc, że komunikacja z kimkolwiek jest prawie niemożliwa. Siadywała na werandzie i dawała się ponieść nastrojom tej pory, myśląc, jak mądrze jest się poddać, gdy w całym Kalimangu nowoczesność zaczyna zawodzić. Telefony wydawa

ły z siebie śmiertelne rżenia, na ekranach telewizorów widać było tylko inny rodzaj ulewy. I w tym wilgotnym, biegunkowym czasie w powietrzu unosiło się wrażenie, lekko i swobodnie, że życie jest czymś ruchomym, rozpraszającym się, czymś chłodnym i samotnym - a już na pewno nie można go pojąć. Świat zniknął, brama otwierała się na pustą otchłań, za zakrętem góry nie było Gjana — i to straszne uczucie wyczekiwania rozluźniało swój morderczy uścisk. Nie można było się dostać nawet do wujka Potty'ego, *dźhora* wystąpiła bowiem z brzegów i poniosła ze sobą most.

W Mon Ami Lola, kręcąc gałką radia, musiała zrezygnować z dowodu, że jej córka Pixie wciąż triumfuje w suchym miejscu pośród wiadomości o wylewających rzekach, cholercze, atakach krokodyli i Banglijczykach znowu na drzewach.

-Trudno - westchnęła Lola - może przynajmniej woda zabierze ze sobą łobuzów z bazaru.

*

Ostatnio seria strajków i demonstracji wskazywała na wzrost społecznych niepokojów. A teraz trzydniowy strajk i blokady dróg *rasta roko* zostały przełożone ze względu na pogodę. Jaki jest sens wstrzymywania dostaw żywności, jeśli te i tak nie docierają na miejsce? Jak zmusić urzędy do przerwania pracy, skoro i tak mają pozostać zamknięte? Jak zablokować drogi, skoro te znikają? Nawet główna droga do Kalimpangu z bazaru w Tiście po prostu zsunęła się po zboczu i leżała teraz w kawałkach na dnie wąwozu.

W przerwach między burzami pojawiała się białe jak larwa słońce i wszystko zaczynało kwaśnieć i parować, gdy ludzie pędzili na targ. Gjan natomiast zdążył w przeciwnym kierunku, do Czo Oju.

Martwił się o swoją pracę korepetytora i martwił się, że może nie dostać za nią zapłaty, ponieważ mieli z Sai spore zaległości. Tak przynajmniej sobie powtarzał, ślizgając się na zboczach i chwytając roślin.

Ale tak naprawdę zmierzał w tym kierunku, ponieważ roz pogodzenia znów budziły w nim owo nieznośne napięcie, a pod jego wpływem nie potrafił usiedzieć w miejscu. Zastał Sai pośród gazet, które przyjechały w autobusie z Siliguri, numery z dwóch tygodni zebrane razem. Każda strona została oddzielnie wyprasowana i wysuszona przez kucharza. Wokół werandy rozrosło się kilka gatunków paproci nakrapianych kroplami; liście taro zatrzymywały drżące jajeczka deszczowej ikry; i setki niewidzialnych pajęczyn w krzakach wokół domu uwidoczniły się, podszyte srebrem, z pochwyconymi strzępami chmur. Sai chodziła ubrana w kimono, prezent od wujka Pottyego, który znalazł je w komodzie matki — było pamiątką po podróży do Japonii, gdzie matka miała zobaczyć kwitnienie wiśni. Ozdobione złoconymi smokami, uszyte zostało ze szkarłatnego jedwabiu; przyobleczona w nie Sai siedziała na werandzie, tajemnicza i ozłocona, cesarzowa dzikiego królestwa, jaśniejąca na tle jego bujnej roślinności.

*

Ten kraj, zauważyła Sai, rozłazi się w szwach: policja znajdowała rebeliantów w Asamie, Nagalandzie i Mizo-ramie; w Pendżabie wrzenie od śmierci Indiry Gandhi

w październiku zeszłego roku; i ci Sikhowie ze swoimi *kangha, kaćh* i tak dalej, wciąż pragnący dodać szóste „k”, Khalistan, własny kraj, w którym mogliby mieszkać z pozostałymi pięcioma „k”.

Po wielu przeprowadzonych w atmosferze tajemnicy rozmowach rząd w Delhi ogłosił nowy plan finansowy. Uznano za wskazane obniżenie podatków od skondensowanego mleka i damskiej bielizny i podwyższenie tych od zboża, ryżu i nafty.

„Nasz ukochany Piu — w nekrologu w czarnej ramce umieszczono zdjęcie uśmiechniętego dziecka - siedem lat minęło, odkąd odszedłeś od nas do swego niebiańskiego domu, a ból jeszcze nie minął. Dlaczego zostałeś nam tak okrutnie i przedwcześnie odebrany? Mamusia nie przestaje płakać na myśl o twym prześlicznym uśmiechu. Nie potrafimy zrozumieć życia. Z niecierpliwością czekamy na twoją reinkarnację”.

*

- Dzień dobry - powiedział Gjan.

Podniosła wzrok, a jemu ścisnęło się serce.

Znów przy stole, z książkami do matematyki między nimi, dręczeni wykresami, przecinkami w ułamkach dziesiętnych precyzyjnych pomiarów, Gjan zdał sobie sprawę, że istota tak nadzwyczajna nie powinna siedzieć nad sfatygowanym podręcznikiem; źle czyni, wmuszając w nią tę zwyczajność — podział i ponowny podział podziału kąta. Po czym, jak gdyby dla podkreślenia, że powinien był zostać w domu, znów zaczęło lać, a on musiał przekrzykiwać walący w blaszany dach deszcz, przydając geometrii pewnej patetyczności, co było oczywiście śmieszne.

Godzinę później wciąż lało.

— Lepiej już sobie pójdę - powiedział rozpaczliwie.

- Nie - pisnęła - może cię zabić piorun. Zaczął padać grad.

- Naprawdę muszę - odparł.

— Nie — ostrzegł go kucharz. — W mojej wiosce jeden taki wystawił głowę przez drzwi podczas burzy gradowej, a wtedy spadło na niego wielkie *goli* i w tej samej chwili było już po chłopie.

Burza wzmacniała swój uścisk, ale osłabła, gdy nastąpiła noc, wtedy jednak było już za ciemno, żeby Gjan mógł odnaleźć drogę do domu po zboczu lodowych jaj.

*

Sędzia spojrzał na Gjana z irytacją zza kotletów. Jego obecność, tak to czuł, była bezczelnością, zuchwałością, jeśli nie celową, to na pewno wynikającą z głupoty.

— Co cię skłoniło, żeby wychodzić z domu w taką pogodę, Charlie? - zapytał. - Może i jesteś biegły w matematyce, ale zdrowego rozsądku nie masz za grosz.

Odpowiedzi nie było. Gjan wyglądał na omotanego własnymi myślami.

Sędzia przyjrzał mu się.

Dostrzegł oczywisty brak swobody, nieporadność w jedzeniu sztucami, wyczuł jednak, że Gjan jest kimś, kto ma plany. Roztaczał charakterystyczną aurę podróży, ambicji — i stare uczucie wróciło do sędziego, rozpoznanie słabości będące nie tylko wrażeniem, lecz także smakiem, jak gorączka. Mógł się domyślić, że Gjan nigdy jeszcze nie jadł takiego posiłku w ten sposób. Sędzia poczuł w ustach przypływ goryczy.

- A więc - odezwał się, odkrawając sprawnie mięso od kości — jakich ostatnio czytujesz poetów, młody czło

wieku? — Odczuwał złowieszcze pragnienie zbitcia chłopaka z tropu.

- On studiuje przedmioty ścisłe - przypomniała Sai.

- I co z tego? Matematycy nie mają chyba zakazu czytania poezji. A może mają?

— Co się stało z ideą wszechstronnego wykształcenia? — dodał, kiedy milczenie się przedłużało.

Gjan zaczął grzebać w pamięci. Nie czytał poezji.

— Tagore? — odpowiedział niepewnie, przekonany, że to bezpieczny i przyzwoity wybór.

— Tagore! — Sędzia nadział kawałek mięsa na widelec, zamoczył go w sosie, dodał ziemniaki, dołożył kilka rozgniecionych kulek groszku, po czym wsunął to wszystko do ust na widelcu trzymanym w lewej dłoni.

- Przeceniany - stwierdził, kiedy już dobrze przeżuł i przełknął, lecz pomimo tej pogardliwej uwagi, wyraził ruchem noża rozkaz: — Może nam coś wyrecytujesz?

- „Gdzie wysoko zwykło się nosić głowę, Gdzie wiedza jest swobodna, Gdzie świat nie jest pokrajany na cząstki ciasnymi ścianami domostw... W takim niebie wolności, Ojcze, niechaj się obudzi mój kraj”*.

Sędzia zaczął się śmiać w sposób pozbawiony wesołości i straszny.

Jak bardzo nienawidził tej ohydnej pory. Budziła w nim złość z powodów, które wykraczały poza zgryzotę Mutt, czyniła z niego pośmiewisko - z niego i z jego ideałów. Gdzie spojrzeł, uświadamiał sobie, że nad niczym nie panuje: pleśń w szczoteczce do zębów, węże swobodnie pełzające po tarasie, meble przybierające na wadze i Czo Oj u również nasiąkające wodą, kruszące się jak wilgotny chleb.

* Przekład Roberta Stillera.

Z każdym atakiem burzy coraz mniejsza jego część nadawała się do zamieszkania.

Sędzia czuł się stary, bardzo stary, a gdy wokół niego niszczał dom, jego umysł też najwyraźniej murszał — drzwi, które trzymał zamknięte między jedną myślą a drugą, zanikały. Minęło czterdzieści lat, odkąd studiował poezję.

*

Biblioteka nigdy nie była otwarta dla niego dość długo.

Przychodził zaraz po otwarciu, wychodził, kiedy ją zamykano, stanowiła bowiem azyl dla studentów z zagranicy, zapewniała prywatność i ochronę przez chuliganami.

Czytał książkę pod tytułem *Wyprawa do Guzeratu*: „Wybrzeże Malabaru faluje wzdłuż zachodniego boku Indii, po czym, wdzięcznym gestem, wskazuje na Morze Arabskie. Oto Guzerat. Przy ujściach rzek i na malarycznym wybrzeżu leżą miasta, gdzie kwitnie handel...”

Co to u licha jest? Nie ma nic wspólnego z tym, co pamiętał o swoim kraju, o Patelach i ich życiu w rodzinnej wylęgarni, a jednak, kiedy rozłożył mapę, znalazł Piphit. Jak kropka komara nad ponurą rzeką. Ze zdumieniem czytał dalej, o przyplływających tam przezartych szkorbutem marynarzach, Brytyjczykach, Francuzach, Holendrach, Portugalczykach. Za ich sprawą do Indii zawędrował pomidor, a także orzech nerkowca. Przeczytał, że Kompania Wschodnioindyjska dzierżawiła Bombaj za dziesięć funtów rocznie od Karola II, który znalazł to miasto, jak owoc jujuby, w posagu żony, Katarzyny Braganzy, a w połowie dziewiętnastego wieku, dowiedział się Dżemu, statkami płynącymi przez Suez sprowadzano imitację zupy żółwiowej dla tych, którzy za nią tęsknili w kraju ryżu z soczewicą. Anglik mógł się

ćdzieć w tropikalnym otoczeniu, z żółtkiem słońca nad głową, z lśnieniem wplecionym w liście palm, i konsumować śledzia z Yarmouth lub bretońskie ostrygi. To wszystko było dla Dżemu nowością i czuł głód kraju, który już był jego.

*

W południe wstawał znad książek i udawał się do toalety na codzienną próbę wypróżnienia — siadał na muszli i napręzał się, długo i boleśnie. Słyszając z zewnątrz kroki innych, czekających na swoją kolej, wciskał palec do odbytu i grzebał w środku, aż zablokowany ładunek kozich bobków wypadał hałaśliwie na zewnątrz. Usłyszeli? Próbował je chwycić, nim wpadły z pluskiem do wody. Palec wyjmował pokryty kałem i krwią, a później, choć wielokrotnie mył ręce, woń utrzymywała się, snując się za nim przez cały okres studiów. Z czasem Dżemubhai uczył się coraz więcej. Założył sobie rejestr lektur, zapisywał każdą przeczytaną pozycję i każdy rozdział w rozbudowanej tabeli. *Prawo własności* Trophama, Arystoteles, *Procedura prawna w Indiach* oraz *Kodeks karny* i *Ustawa o środkach dowodowych*. Uczył się do późnej nocy w wynajętym pokoju z ciągnącym się za nim uporczywie smrodem gówna, i rzucał się z krzesła prosto do łóżka, by po kilku godzinach zerwać się, zdjęty przerażeniem, i znów wgramolić na krzesło. Uczył się po osiemnaście godzin dziennie, ponad sto godzin tygodniowo, przerywając czasem, żeby nakarmić suczkę gospodyni, kiedy prosiła o kawałek wieprzowiny zapiekanej w cieście, którą miał na obiad — pokrywała mu przy tym spodnie wilgotnymi plamami śliny i drapała natarczywie w kolana, niszcząc sztruksowe prążki. Była

to jego pierwsza przyjaźń ze zwierzęciem, bo w Piphicie nikt nie zajmował się osobowością psów, nie zachęcano też do tego. Trzy noce przed egzaminami końcowymi w ogóle nie spał, lecz czytał sobie na głos, kiwając się w rytmie słów, powtarzając i powtarzając.

Podróż raz rozpoczęta nie ma końca. Wspomnienie rejsu przez ocean przebłyskiwało między słowami. Jeszcze głębiej i jeszcze dalej grasowały demony jego podświadomości, czekając na chwilę, kiedy będą mogły powstać i udowodnić swe istnienie, a on zastanawiał się, czy śnił o morskiej mocy zatapiania, nim ujrzał morze po raz pierwszy. Jego gospodyni przynosiła mu tacę z obiadem pod same drzwi. Istna uczta: czworaczki dorodnych tłustych kiełbas, pewnych siebie, lśniących, świszczących życiem. Gotowych już na czasy kiedy produkty żywnościowe będą musiały śpiewać w telewizji, żeby się zareklamować.

- Nie ucz się za dużo.

- Jak trzeba, to trzeba, pani Rice.

Nauczył się szukać schronienia w bezosobowej formie i trzymać wszystkich na dystans, nawet samego siebie -jak królowa.

Otwarty egzamin konkursowy, czerwiec 1942 Siedział przed rzędem dwunastu egzaminatorów i pierwsze pytanie zostało mu zadane przez profesora Uniwersytetu Londyńskiego... Czy mógłby im opisać działanie parowozu.

Umysł Dżemubhaia wyciągnął pusty los.

- Nie interesuje się pan pociągami? - Egzaminator wyglądał na osobiście zawiedzionego.

- To fascynujący temat, proszę pana, ale człowiek jest zbyt zajęty studiowaniem obowiązkowych przedmiotów.

— Nie ma pan pojęcia, jak zbudowany jest pociąg? Dżemu wyteżał mózg z całych sił... co zasila co?... nigdy jednak nie widział wnętrza lokomotywy.

— Nie, proszę pana.

Czy mógłby w takim razie opowiedzieć o zwyczajach grzebania zmarłych w starożytnych Chinach.

Pochodzi z tej samej częsci kraju co Gandhi. Co ma do powiedzenia o ruchu biernego oporu? Jakie ma zdanie na temat Kongresu?

W pomieszczeniu zapadła cisza. KUPUJ BRYTYJSKIE — Dżemubhai widział takie plakaty w dniu przybycia do Anglii i przyszła mu wtedy do głowy myśl, że gdyby wrzasnął KUPUJ INDYJSKIE na ulicy w Indiach, zostałby aresztowany. A przed laty, w roku 1930, kiedy Dżemubhai był jeszcze dzieckiem, Gandhi przywędrował z aśramy Sabarmati do Dandi, gdzie nad oceanem dopuścił się nielegalnego procederu zbierania soli. „Dokąd go to doprowadzi? Tfu! Może i dobry z niego człowiek, ale pomyślunku to on nie ma”, powiedział ojciec Dżemu, chociaż więzienia pełne były zwolenników Gandhiego. Na pokładzie SS „Strathnaver” morski pył padał na Dżemubhaia i zasychał szyderczymi kropkami soli na jego twarzy i ramionach... Co za absurd, żeby ją opodatkowywać...

— Gdyby nie było się oddanym obecnym władzom, proszę pana, nie byłoby mowy o stawieniu się dziś tutaj.

Na koniec, kto jest jego ulubionym pisarzem? Nieco nerwowo, nie miał bowiem takowego, odpowiedział, że można za niego uznać *sir* Waltera Scotta.

— Co pan przeczytał?

— Wszystkie wydane dzieła.

— Może pan nam wyrecytować jeden ze swoich ulubionych wierszy?
- poprosił profesor antropologii społecznej.

*Och! Młody Lochinvar nadjeżdża z zachodu Jego rumak rączy nie
sprawił mu zawodu*

Zanim zaczęli ubiegać się o pracę w Indyjskiej Służbie Cywilnej,
kandydaci w większości mieli już wychuchaną wymowę, lecz
Dżemubhai przez całe lata rzadko kiedy otwierał usta i jego
angielszczyzna wciąż miała rytm i formę języka gudżerackiego.

*Lecz zanim się stawił pod zamku murami Nadzieję straciła serca jego
pani. Tchórza i człeka w miłości gnuśnego Za męża wziąć miała
ukochana jego*

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że wszyscy chichoczą.

*I gdy matka z ojcem przewracali oczami A jej narzeczony dyndał
czapką z piórami...*

*

Sędzia otrząsnął się.

— Skończony dureń — powiedział na głos, odsunął krzesło, wstał,
rzucił widelec i nóż pod wpływem miażdżącej opinii na własny temat i
odszedł od stołu. Jego moc, ta umysłowa stal, słabła. Najdrobniejsze
rzeczy zdawały się przywoływać wspomnienia - skrępowanie Gjana,
wyrecytowanie przezeń tego absurdalnego wiersza... Wkrótce
wszystko, co sędzia z takim trudem oddzielał, stopi się i wciągnie go do
swego koszmaru, a bariera między życiem i wiecznością w końcu
stanie się jeszcze jedną tego typu rozpadającą się konstrukcją.

Mutt podreptała za nim do jego pokoju. Gdy siedział zamyślony, oparła się o niego ze swobodą, z jaką dzieci opierają się o rodziców.

*

— Przepraszam — wybąkała Sai, której aż się gorąco zrobiło ze wstydu. - Nigdy nie można przewidzieć, jak się dziadek zachowa. Gjan wyglądał, jak gdyby jej nie słyszał.

— Przepraszam — powtórzyła Sai, zażenowana, ale znowu wyglądało na to, że jej nie usłyszał. Po raz pierwszy jego wzrok spoczął bezpośrednio na niej, jak gdyby pożerał ją żywcem w orgii wyobraźni - aha! Nareszcie jakiś dowód.

Kucharz zebrał brudne talerze i schował ćwiartkę filiżanki zostawionego groszku do kredensu. Kredens wyglądał jak kojec z drucianą siatką wokół drewnianej ramy i czterema nóżkami stojącymi w miskach z wodą, żeby powstrzymać mrówki i inne szkodniki.

Uzupełnił wodę w miskach z jednego z wiader ustawionych pod nieszczelnościami w dachu, wodę z pozostałych wiader wylał zaś przez okno i odstawił je na wyznaczone dla nich miejsca.

Pościelił łóżko w dodatkowym pokoju, który właściwie pełen był śmieci, lecz mieścił też łóżko ustawione na samym środku, a następnie podał Sai i Gjanowi świeże blade świece w spodkach, żeby zabrali je do swoich pokoi.

— Łóżko dla pana jest przygotowane, *mastar-dźi* - powiedział i pociągnął nosem.

Czy w pokoju nie zapanowała jakaś dziwna atmosfera?

Lecz Sai i Gjan wydawali się znów pochłonięci gazetami, a on pomylił ich narastające wyczekiwanie z własnym, ponieważ tego ranka przyszły dwa listy od Bidżu. Leżały przy jego łóżku pod pustą puszką po tuńczyku, zachował je sobie na koniec dnia i cały wieczór napawał się myślą

O nich. Podwinął nogawki i wyszedł z parasolem, bo znowu zaczęło padać.

*

W salonie, siedząc nad gazetami, Sai i Gjan zostali po raz pierwszy sami, zupełnie sami.

Rubryka kulinarna Kiki De Costy: cuda z ziemniaków. Smakołyk z mięsem. Kluseczki kuleczki i kuleczki z miseczki i miseczki serowe. Porady kosmetyczne Fleur Hussein.

Konkurs na najprzystojniejszego łysielca w klubie Gymkhana w Kalkucie wyłonił zwycięzców.

Ich oczy pilnie czytały dalej, lecz myśli już nie poddawały się takiej dyscyplinie i wreszcie Gjan, nie mogąc już tego dłużej znieść, tej liny rozpiętej między nimi, odłożył swoją gazetę z trzaskiem, odwrócił się raptownie do Sai

I wyrzucił z siebie:

- Wmasowujesz we włosy olejek?
- Nie - odparła zaskoczona - nigdy.

Po chwili milczenia zapytała, czy coś jest nie tak z jej włosami.

- Nie słyszę cię, deszcz tak hałasuje — powiedział, przysuwając się bliżej. - Co?

- Czemu pytasz?

- Tak bardzo lśnią, więc myślałem, że używasz. -Nie.

- Wyglądają na bardzo miękkie - zauważył. - Myjesz je szamponem?

-Tak.

- Jakim?

- Sunsilk.

Och, ta niezdolna intymność nazw firmowych, śmiałość pytań.

- Mydło?

- Lux.

- Mydło gwiazd filmowych*?

Byli jednak zbyt przerażeni, żeby się roześmiać. Znowu cisza. - A ty?

- Cokolwiek jest w domu. Chłopcy nie przywiązują do tego wagi.

Nie mógł się przyznać, że matka kupuje domowej roboty szare mydło sprzedawane na targu w dużych prostokątach, z których odkrawa się tanie kawałki.

Pytania stawały się coraz gorsze.

- Pokaż mi swoje dłonie. Są takie drobne.

- Naprawdę?

- Tak. - Wyciągnął swoją i przystawił do jej dłoni. -Widzisz?

Palce. Paznokcie.

- Hmm. Ale długie palce. Małe paznokcie. Patrz, obgryzasz je.

Zważył jej dłoń.

- Lekka jak wróbelek. Musisz mieć puste kości.

Te słowa, które mierzyły bezpośrednio do czegoś nieuchwytnego, cechowała staranność świadcząca o uprzednim ich przemyśleniu, co Sai uzmysłowiła sobie z dreszczem radości.

*

* Tym hasłem reklamuje się mydło Lux w Indiach.

Żuki pory deszczowej przelatywały obok w wielu kolorach. Z każdej dziury w podłodze wychodziła mysz, jakby dopasowana do jej rozmiaru — małe myszy z małych dziur, wielkie myszy z wielkich dziur, a z mebli wydobywały się roje termitów, wydawało się wręcz, że meble, podłoga, sufit, wszystko się rusza, tyle ich było. Lecz Gjan ich nie widział. Jego spojrzenie też było myszą; wsunęło się pod rękaw ciemnoczerwonego kimona Sai i zauważyło jej łokieć.

— Ostry — skomentował. — Możesz nim zrobić krzywdę.

Wymierzali ręce i nogi. Ujrzawszy jej stopę...

— Zobaczmy.

Zdjął but, a potem przetartą skarpetkę, której natychmiast się zawstydził i wepchnął ją do kieszeni. W półmroku badali nagość tych małych bulw jedna przy drugiej.

Jej oczy, zauważył, były nadzwyczaj efektowne: olbrzymie, wilgotne, pełne wyrazu, skupiały w sobie całe światło z pokoju.

Nie potrafił się jednak zdobyć na to, żeby o nich wspomnieć; łatwiej było się trzymać tego, co mniej go poruszało, bardziej naukowego podejścia.

Dłonią ujął jej głowę...

— Jest płaska czy zaokrąglona?

Drżącym palcem powiódł wzdłuż łuku brwi...

Och, nie mógł uwierzyć w swoją śmiałość; pchała go do przodu i nie zwracała uwagi na strach, który chciał zawrócić go z drogi; był odważny wbrew sobie. Jego palec przesunął się w dół po jej nosie. Z każdej strony rozlegał się dźwięk płynącej wody -brzmiał tłusto na oknie, jak pukawka na liściach bananowców i blaszanym dachu, delikatniej i niechlujniej na kamieniach werandy, bulgotał grubym głosem w rynnie okalającej dom jak fosa. Były też odgłosy pędzącego stru

mienia, wody tonącej w tej wodzie, rur wymiotujących deszczówkę do beczek, przelewających się beczek, delikatnego nasączenia mchu.

Pogłębiająca się niemożność prowadzenia rozmowy ułatwiała dalsze poufałości.

I gdy już jego palec miał przeskoczyć z czubka nosa Sai na jej idealnie ukształtowane wargi...

Podniosła się raptownie.

- Ołaaaa - krzyknęła. Myślał, że zobaczyła mysz.

Ale nie. Była do nich przyzwyczajona.

- Ojej - powiedziała. Nie mogła znieść ani chwili dłużej tego piekącego uczucia, jakby wodził po niej inny palec, i tego rozkwitającego z niewinności romansu. Wytarła energicznie twarz i wytrzepała kimono, jak gdyby pozbawiając wieczór tej rozedrganej delikatności.

- A zatem dobranoc — powiedziała oficjalnie, czym zaskoczyła Gjana. Stawiając jedną stopę przed drugą ze starannością pijanego, skierowała kroki do drzwi, dotarła do prostokąta framugi i dała nura w litościwy mrok, śledzona przez osamotnione spojrzenie Gjana.

Nie wróciła.

Ale myszy tak. To niezwykle, jak bardzo były nieustępliwe — można by pomyśleć, że ich delikatne serduszka tego nie wytrzymają, lecz ich nieśmiałość była złudna; lęk myszy pozbawiony jest pamięci.

*

W łóżku zapadniętym jak hamak na popsutych sprężynach, ze strużkami wody spływającymi wszędzie dookoła, sędzia leżał przygnieciony warstwami zatechłych koców. Na lampie leżała jego bielizna, żeby szybciej

wyschła, a pod lampą zegarek, żeby mgiełka pod szkłem wyparowała — co za przykry stan rzeczy dla człowieka cywilizowanego. Powietrze przeszywały ukłucia wilgoci, przez co odnosiło się wrażenie, że pada też w domu, to jednak go nie odświeżało; powietrze napierało tak gęste, że mogło udusić, wonna drożdżowa mieszanina sporów i grzybów, drzewnego dymu i mysich odchodów, nafty i chłodu. Podniósł się z łóżka, żeby poszukać skarpet i wełnianej czapeczki. Kiedy je wkładał, dostrzegł charakterystyczną sylwetkę skorpiona, wyraźną na tle wyblakłej ściany, i zamachnął się na niego packą na muchy, lecz skorpion wyczuł jego obecność, najeżył się i z podniesionym ogonem wziął nogi za pas. Zniknął w szczelinie między podłogą a dolną krawędzią ściany. „A niech to!”, burknął sędzia. Jego sztuczna szczęka uśmiechała się do niego szyderczo ze słoika z wodą. Wygrzebał pigułkę calmpose i połknął ją z łykiem wody ze słoika, tak zimnej, zawsze zimnej -woda w Kalimpangu pochodzi bezpośrednio z himalajskiego śniegu — i zmroziła mu dziąsła w czysty ból. „Do-branoc, moja kochana Muttinko,” zwrócił się do Mutt, kiedy mógł na nowo poruszać językiem. Już spała, ale -ech, słabości starego człowieka — nawet pigułka nie była w stanie zapędzić do dziur nieprzyjemnych myśli uwolnionych podczas kolacji.

*

Kiedy wywieszono wyniki egzaminu ustnego, przeczytał, że jego wypowiedź oceniono na sto punktów na trzysta, minimum uprawniające do przejścia do egzaminu pisemnego. Część pisemna poprawiła jego wynik i zajął czterdzieste ósme miejsce, lecz do Indyjskiej Służby Cywilnej przyjęto tylko osoby z pierwszych czterdziestu dwóch

miejsc. Roztrzęsiony, na granicy omdlenia, już miał się oddalić, kiedy wyszedł jakiś mężczyzna z dodatkowym komunikatem: sporządzono nową listę bardziej odpowiadającą planom większej hinduizacji służb. Tłum studentów ruszył do przodu i Dżemu, popychany ze wszystkich stron, dostrzegł swoje nazwisko, Dżemubhai Popadał Pa-tel, na samym dole strony.

Nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, najnowszy członek, właściwie intruz, „niebiańskiej” służby cywilnej w Indiach, pobiegł do domu ze skrzyżowanymi ramionami, od razu położył się do łóżka, w ubraniu, nawet w butach, i nasączył poduszkę łzami. Łzy zalewały mu policzki, ich strumienie zakręcały wokół nosa, spadały kaskadą na szyję, a on przekonał się, że nie jest już w stanie zapanować nad zszarganymi nerwami. Leżał tam i płakał przez trzy dni i trzy noce.

- James - skrzeczała gospodyni. - Dobrze się czujesz?

- To tylko zmęczenie. Nie ma się czym martwić.

- James?

- Pani Rice - odpowiedział. - Już po wszystkim. Egzamin zdany.

- Znakomicie, James - powiedziała wspaniałomyślnie i wmówiła sobie, że się cieszy. Jak postępowy, jak odważny i wspaniały stał się świat. Nie przestanie jej nigdy zaskakiwać.

Nie z pierwszego miejsca ani z drugiego. Ale dostał się. Wysłał telegram do domu.

- Wynik niedwuznaczny.

* Członków Indyjskiej Służby Cywilnej nazywano żartobliwie „narodzonymi w niebie”, odnosząc się do ich potęgi i prestiżu.

- Co to znaczy? - pytali wszyscy. Wyglądało na to, że jest jakiś problem, bo słowa zaczynające się na „nie” mają najczęściej negatywne znaczenie, co do tego zgadzali się wszyscy biegli w podstawach angielskiego. Potem jednak ojciec Dżemubhaia skonsultował się z zastępcą sędziego i nastąpił wybuch radości, jego ojciec przeistoczył się w króla brylującego na dworze, gdy sąsiedzi, znajomi, nawet obcy tłumnie odwiedzali jego dom, żeby pojeść nasączonych syropem słodkości i przekazać gratulacje nasączonymi zawiścią głosami.

*

Niedługo po ogłoszeniu wyników Dżemubhai ze swym kufrem, na którym widniał napis „Pan J.P Patel, SS »Strat-hnaver«”, odjechał wynajętą taksówką z Thornton Road i odwrócił się, żeby pomachać psu z wieprzowiną zapiekaną w cieście w oczach. Psiak patrzył za nim przez okno i Dżemubhai poczuł echo dawnego smutku z dnia, kiedy opuszczał Piphit.

Dżemubhai, który utrzymywał się za dziesięć funtów miesięcznie, mógł teraz oczekiwać od sekretarza stanu do spraw Indii wypłaty trzystu funtów rocznie przez dwuletni okres próbny. Znalazł droższą kwatere, na którą mógł sobie teraz pozwolić, bliżej uniwersytetu. Nowy pensjonat mieścił kilka pokoi do wynajęcia i tutaj, wśród innych lokatorów, Dżemu miał poznać swego jedyne przyjaciela w Anglii - Bose'a.

Mieli podobnie nieodpowiednie ubrania, podobnie opustoszałe pokoje, podobne kufry biedoty. Już w pierwszej chwili spojrzeli na siebie z rozpoznaniem w oczach, lecz także z zapewnieniem, że nikomu nie wyjawią swych tajemnic, nawet sobie nawzajem.

Bose różnił się jednak od sędziego w jednej kluczowej kwestii. Był optymistą. Istniał tylko jeden kierunek poruszania się - do przodu. I w tej podróży zaszedł dalej: „fajno, kapitalnie, w dechę, klawo, po prostu morowo, zdrówko, ależ oczywiście, i co ty na to, do dna!” - lubił mówić. Popłynęli razem lukrowaną rzeką do Grantchesteru, wiosłując niezdarne, i zjedli podwieczorek pośród obzartych dżemem os, tak jak wypadało, świetnie się bawiąc (niezupełnie), gdy ociążałe osy spadały im na kolana, wydając z siebie brzęczenie, jak gdyby kończyły im się baterie.

Więcej szczęścia mieli w Londynie, gdzie obejrzeni zmianę warty pod pałacem Buckingham, nie trafili na innych studentów z Indii w restauracji Veeraswamy's, zamówili *shepherds pie* i wspólnie doszli do wniosku w pociągu powrotnym, że Trafalgar Square niezupełnie spełnia brytyjskie normy higieny, z tymi wszystkimi załatwiającymi się tam gołębiami, z których jeden zostawił wzorek w kolorze masali na Bosie. Właśnie Bose pokazał Dże-mubhaiowi, jakie płyty ma sobie sprawić do nowo zakupionego gramofonu: Caruso i Gigli. Poprawiał również jego wymowę: *Dziilii*, nie *Gigli*. *Jorkszea*. *Edynbora*. *Jane Aae*, słowo wypuszczone i zaginione jak wiatr na wrzosowiskach z powieści Bronte, żeby nigdy już go nie odnaleźć i nie dokończyć; nie *Jane Ajer*. Jak w „ajerkoniak”. Razem przeczytali *Krótką historię zachodniej sztuki*, *Krótką historię filozofii*, *Krótką historię Francji* i tak dalej, całą serię. Esej o konstrukcji sonetu, różnych wariacjach tej formy. Książkę o porcelanie i szkłe: wyrobach z Waterfordu, firmy Salviati, rodziny Spode, zastawach z Miśni i Limoges. Zgłębiali smak racuszków, słodkich bułeczek, dżemów i konfitur.

I tak wreszcie sędzia zemścił się na swym wcześniejszym onieśmieleniu, skrępowanie chowając za czymś, co

Chodziła tam i z powrotem, obgryzając paznokcie... Szczyciła się tym, że jest w stanie zmierzyć się ze wszystkim...

Wszystkim prócz łagodności.

Umyła twarz? Wróciła do łazienki i znów umyła nogi.

*

Kucharz siedział wpatrzony w list; fale niebieskiego tuszu pluskały na papierze — wszystkie słowa poznikały, co podczas pory monsunowej zdarzało się nader często.

Otworzył drugi list, by ten sam zasadniczy fakt został mu powtórzony: między nim a jego synem dosłownie rozpościerał się ocean. Po czym kucharz znów przerzucił ciężar nadziei z tego dnia na następny, położył się do łóżka, przytulił do poduszki (niedawno wymienił wypełnienie) i pomylił jej miękkość ze spokojem.

W pokoju gościnnym Gjan zastanawiał się, co takiego narobił - postąpił słusznie czy nie, co za śmiałość wstąpiła do jego głupiego serca i podkusiła go do przekroczenia granic przyzwoitości? Wszystko przez tę odrobinę rumu, którą wypił, i przez to dziwaczne jedzenie. To nie mogła być prawda, a jednak — co nieprawdopodobne - była. Poczł strach, ale i pewną dumę. „Ajajajajaj", powiedział do siebie.

Cała czwórka leżała, nie mogąc zasnąć, gdy na zewnątrz deszcz i wiatr świszczwały i bębniły, drzewa falowały i wzdychały, a błyskawice bezwstydnie rozdzierały niebo nad Czo Oju.

- Bidź! Hej, stary. - To był Sajid Sajid, ubrany w białą kurtę *padżama*, okulary przeciwsłoneczne, złoty łańcuch i platformy, dredy miał związane w kucyk. Odszedł ze sklepu Banana Republic. - Mój szef, przysięgam, łapał mnie za tyłek. No, w każdym razie - dodał - ożeniłem się.

- Ożeniłeś?!

- Zgadza się, stary.

- Z kim się ożeniłeś???

- Z Toys.

- Toys?

- Toys. Nagle zapytali mnie o zieloną kartę, powiedzieli, że zapomnieli sprawdzić, kiedy się ubiegałem o pracę, więc zapytałem ją, czy wyjdzie za mnie dla papierka.

Dziwadło, mówili wszyscy w restauracji, gdzie pracowali, on w kuchni, ona jako kelnerka. Dziwadło z niej.

Dziwna, ale za to z wielkim sercem. Poszła do ratusza z Sajidem - wypożyczony smoking, suknia w kwiaty -i powiedziała „tak” pod czerwono-biało-niebieską flagą.

Teraz ćwiczyli przed rozmową w urzędzie imigracyjnym.

„Jaką bieliznę nosi mąż? Jaka jest ulubiona pasta do zębów żony?”

Jeśli nabierają podejrzeń, rozdzielają małżonków, mąż w jednym pokoju, żona w drugim, i zadają te same pytania, starając się przyłapać ich na krętactwie. Niektórzy mó

wili, że urząd wysłała agentów na przeszpiegi; inni mówili, że nie - urząd nie ma na to czasu ani pieniędzy.

- Kto kupuje papier toaletowy?

- Ja to robię, ja, i trzeba widzieć, człowieku, ile ona go zużywa. Co dwa dni muszę biegać do Rite Aid po papier Softy.

*

- I rodzice jej pozwolili? - zapytał z niedowierzaniem Bidżu.

- Ależ oni mnie u b ó s t w i a j ą! Jej matka u b ó s t w i a mnie, po prostu u b ó s t w i a .

Był u nich z wizytą i zastał rodzinę długowłosych hippisów z Vermontu karmiących się chlebkami pita posmarowanymi czosnkiem i pastą *baba ghanoush*. Współczuli wszystkim, którzy nie jedzą pełnoziarnistej, organicznej, nieprzetworzonej, bogatej w błonnik żywności. Sajid, który podstawowe produkty lubił w wersji białej — biały ryż, biały chleb, biały cukier - musiał dołączyć do ich suki, tak jak on gardzącej wegetariańskim hamburgerem, zupą z pokrzywy, mlekiem sojowym i tofutti (ona uzależniona jest od fast fo-odów!), na tylnym siedzeniu samochodu babci pomalowanego na kolory tęczy w drodze do Bürgern Bun. Na zdjęciu zrobionym do albumu dla Urzędu Imigracyjnego widać ich we dwójkę, Sajida i Buckeroo Bonzai, jak z szerokimi uśmiechami opychają się gigantycznymi hamburgerami. Pokazał zdjęcie Bidżu, wyłowiwszy je z nowej teczki kupionej specjalnie do przenoszenia tych ważnych dokumentów.

- Bardzo mi się podobają te fotki - zapewnił go Bidżu.

Był na nich też Sajid z rodziną na festiwalu teatralnym Bread & Puppet pozujący z kukłą złego agenta ubezpieczeń

nłowego; Sajid podczas wycieczki do fabryki serów Grafion; Sajid przy stercie kompostu, otaczający ramieniem babcię, bez stanika pod letnim mumu, z siwiejącymi, sterczącymi spod pach w różne strony włosami. Och, Stany Zjednoczone, cudowny kraj. Cudowny. A mieszkający w nim ludzie najwspanialszy na świecie. Im więcej im opowiadał o rodzinie w Zanzibarze, o sfałszowanych dokumentach, o tym, jak jeden paszport jest na Sajida Sajida, a drugi na Zulfikara, tym byli szczęśliwsi. Siedzieli do późna w nocy, tej zwariowanej lśniącej nocy w Vermoncie, ze spadającymi, ciągle spadającymi gwiazdami, i dodawali mu otuchy. Bardzo chętnie pomogą - zrobią wszystko, byle na przekór amerykańskiemu rządowi.

Babcia napisała list do Urzędu Imigracyjnego, żeby zapewnić ich, iż Zulfikar z Zanzibaru jest mile widzianym - nie, to za mało - hołubionym nowym członkiem prastarego klanu Williamsów, wywodzącego się jeszcze z „Mayflower”.

*

Poklepał Bidżu po plecach.

- Na razie - rzucił i poszedł ćwiczyć całowanie przed wizytą w urzędzie. - To musi naturalnie wyglądać, bo zaczynają coś podejrzewać. Bidżu poszedł w swoją stronę, próbował uśmiechać się do amerykańskich obywaterek. „Cześć. Cześć”. Lecz one go nie zauważały.

*

Kucharz wybrał się na pocztę.

- Listy przychodzą mokre. Nie dbacie o nie.

- *Baba-dzi*, wyjrzyj tylko za okno... jakim cudem mogą być suche? Toż to przekracza ludzkie możliwości, zmokną choćby przy przenoszeniu z furgonetki do urzędu.

Następnego dnia:

- Przyszła poczta?

- Nie, nie, drogi zamknięte. Dzisiaj nic. Może po południu odblokują drogi. Przyjdź później.

Lola próbowała histerycznie wykonać telefon z budki STD, ponieważ były właśnie urodziny Pixie:

- Jak to „nie działa”? Nie działa od tygodnia!

- Nie działa od miesiąca - poprawił ją młody mężczyzna, który też czekał w kolejce, wydawał się jednak zadowolony. — Fale nie dochodzą — wyjaśnił.

-Co?

- Fale. - Zwrócił się o potwierdzenie do pozostałych osób na poczcie.

- Tak. - Kiwali głowami; wszyscy byli mężczyznami i kobietami przyszłości.

Odwrócił się do Loli.

- Tak, satelita - wskazał do góry - spadł na ziemię. - Wskazywał teraz na plebejską podłogę, szary beton z naniesionym miejscowym błotem. Nie można było zatelefonować, nie dochodziły listy. Lola i kucharz wpadli na siebie, przekazali sobie nawzajem wyrazy współczucia, po czym on poszedł ze smutną miną do rzeźnika, a ona po spray Baygon i packi na owady. Każdego dnia tej płodnej pory mnóstwo małych istotek traciło swe krótkie życie za sprawą trucizn Loli. Komary, mrówki, termity, krocionogi, stonogi, pająki, korniki, żuki. I co z tego? Każdego dnia rodziło się tysiące nowych... Przez jedną noc odradzały się śmiało całe narody.

Gjan i Sai. Podczas kolejnych przerw w ulewie badali uszy, ramiona i rozpiętość klatek piersiowych. Obojczyki, rzęsy i podbródki. Kolana, pięty, podbicia. Giętkość palców rąk i nóg.

Kości policzkowe, szyje, mięśnie ramion, misterne zawiłości kości przegubowych. Błękit i fiolet żył.

Najbardziej zadziwiający na świecie pokaz języków: Sai, nauczona przez koleżankę Arlene w szkole przyklasztornej, potrafiła dotknąć nosa językiem, co zademonstrowała Gjanowi.

On potrafił poruszać zabawnie brwiami, zsunąć głowę z szyi z lewej w prawo i znowu w lewo, jak tancerka *bha-ratanatjam*, oraz stać na głowie.

Od czasu do czasu przypominała sobie o różnych drobnych obserwacjach poczynionych przez nią samą podczas sesji przed lustrem, szczegółach, które Gjan przeoczył w związku z tym, że krajobraz między nimi wciąż był dla niego czymś nowym. Wiedziała, że chłopak musi tylko się nauczyć patrzeć na kobietę, i martwiła się, że Gjan nie do końca zdaje sobie sprawę, w jak szczęśliwej znalazł się sytuacji.

Małżowiny uszne pokryte meszkiem jak liście tytoniu, delikatna substancja jej włosów, przezroczysta skóra wewnętrznych nadgarstków...

Do jego przeoczeń powróciła podczas następnej wizyty — podetknęła mu swoje włosy z zapalem sprzedawcy chust.

— Zobacz... dotknij. Jak jedwab?

— Jak jedwab — przyznał.

Uszy wyeksponowała jak towar wyjęty spod lady i postawiony przed wymagającym klientem w jednym ze sklepów z osobliwościami w mieście, kiedy jednak spróbował zbadać głębię jej oczu swoimi, jej spojrzenie okazało się zbyt śliskie do utrzymania; podnosił je i wypuszczał, chwycił, znowu wypuszczał, aż wyslizgnęło mu się i schowało.

I tak prowadzili grę zalotów, podchodząc bliżej, cofając się, prowokując i uciekając — jakże rozkoszne były te pozory obiektywnych badań, zadziwiające, ile potrafiły pochłonąć godzin. Kiedy jednak wyeliminowali rzeczy łatwe do pokazania i wyczerpali cały zapas przyzwoitości, nieobej-rzane części ich anatomii kryły w sobie jeszcze mocniej przedestyłowany potencjał i znów sytuacja nabrała tego samego koszmarnego stopnia intensywności z okresu, kiedy siedzieli przy stole zmuszeni studiować geometrię.

Do góry wzdłuż kręgosłupa.

Brzuch i pępek...

*

- Pocałuj mnie! - poprosił błagalnie.

- Nie - odparła, zachwycona i przerażona. Postanowiła zostać zakładniczką samej siebie.

Och, ale przecież nigdy nie potrafiła znieść niepewności.
Delikatna mżawka pisała wielokropek na blaszanym dachu....
Chwile mijały precyzyjnie jedna za drugą i w końcu nie mogła tego
dłużej znieść - zamknęła oczy i poczuła przerażoną miarkę jego ust na
swoich, gdy próbował dopasować jeden kształt do drugiego.

*

Zaledwie parę tygodni później byli już bezwstydni jak żebracy
proszący o więcej. -Nos?

Pocałował nos.

- Oczy? Oczy.

- Uszy? Uszy.

- Policzek? Policzek.

- Palce.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

- Poproszę drugą rękę. Dziesięć pocałunków.

- Palce u nogi?

Łączyli słowa, przedmioty i emocje w tym powrocie do dzieciństwa,
potwierdzaniu jedności, jak na początku...

Ramiona nogi serce...

Wszystkie części, uspokajali się nawzajem, są tam, gdzie być powinny.

Gjan miał lat dwadzieścia, a Sai szesnaście, i początkowo nie zwracali większej uwagi na wydarzenia w okolicy, na nowe plakaty na targu odnoszące się do dawnych konfliktów, slogany wydrapane i namalowane na ścianach urzędów i sklepów. „Nie mamy własnego państwa”, można było przeczytać. „Lepiej umrzeć, niż żyć w niewoli”. „Nie ma końca naszych cierpień”. „Odebrać naszą ziemię Bengalowi”. Poza miastem slogany ukazywały się i mnożyły pośród zabezpieczeń przeciw osuwiskom, rozpychały się między hasłami „Lepiej późno niż wcale”, „Jeśli jesteś żonaty, nie flirtuj z prędkością”, „Picie whisky pogrzeb bliski”, które migwały po drodze, gdy jechało się w stronę Tisty. Te wezwania powtarzały się przy szosie wiodącej do garnizonu wojskowego; zaczęły się pojawiać w miejscach mniej oczywistych; na wielkich głazach wzdłuż ścieżek przecinających góry, na pniach drzew pośród chat wzniesionych z bambusa i gliny, gdzie pod dachem werandy suszyły się wiązki zboża, wysoko powiewały modlitewne flagi, a w zagrodach za domem chrząkały świny. Po prostopadłej wspinaczce ku niebu i dotarciu bez tchu na szczyt Ringkingpong można było ujrzeć „WYZWOLENIE!” nagryzmołone na rurach wodociągowych. A jednak przez pewien czas nikt nie wiedział, jak rozwine się sytuacja, i uznano, że to nic poważniejszego niż zwykłe wybryki garstki studentów i agitatorów. Lecz pewnego dnia pięćdziesięciu chłopców, członków młodzieżówki GFWN, zebrało się i złożyło przysięgę w Mahakaldarze, że będą walczyć na śmierć i życie o niepodległość. O utworzenie Gorkhalandu. Przemaszerowali ulicami Dardżylingu,

po czym przeszli wokół targu i centrum handlowego. „Gorkhaland dla Gorkhów. Jesteśmy armią wyzwoleńczą”. Przyglądali im się właściciele kucyków i kucyki, właściciele sklepów z pamiątkami, kelnerzy w Glenarys, Planters Club, Gymkhana i Windamere, gdy wymachiwali obnażonymi nożami *kukri* i cięli delikatną mgłę wściekłymi ostrzami pod bladym słońcem. Nagle wszyscy zaczęli używać słowa *powstanie*.

— Mają trochę racji — oznajmiła Noni — może nie całkowicie, ale powiedziałabym, że jakieś trzy czwarte racji.

— Co za bzdura. — Lola zbyła machnięciem ręki wypowiedź siostry. — Ci Nepalczycy teraz uwezmą się na wszystkich obcych, a szczególnie na nas, Bengalczyków. Od dłuższego czasu to szykują. Nie marzą o niczym innym. Najpierw dopuszczą się tutaj wszelkiego rodzaju okrucieństw, a potem będą mogli wesoło przeskoczyć granicę i skryć się w Nepalu. Bardzo wygodnie.

Oczami wyobraźni ujrzała ich stróża Budhu, jak mieszka w Katmandu z jej radiem BBC i srebrnym nożem do krojenia ciasta, obok innych Kańca i Kańci ze zrabowanymi przez nich łupami.

*

Siedziały w salonie Mon Ami i piły herbatę po lekcji Sai.

Zamazany widok za oknem przypominał jakiś wytwór sztuki ludowej: płaska szara góra i niebo, płaski biały szereg krów ojca Booty'ego na grani, z kwadratami nieba prześwitującymi zza nóg. W domu paliła się lampa, oświetlając nikłym światłem talerz pełen rozków z kremem, wazonie zaś stały tuberozy. Mustafa wskoczył na kolana Sai, która pomyślała, że od rozpoczęcia romansu

z Gjanem dużo lepiej rozumie kory. Nie dbając o niepokoje na targu, Mustafa doprowadzał się do ekstazy, napierając na jej żebra, by znaleźć kość, o którą mógłby po-ocierać pyszczek.

— To całe samostanowienie — kontynuowała Lola — było największym błędem tego głupca Nehru. Według jego zasad każda grupa kretynów może zażądać nowego państwa i je dostanie. Ile ich ciągle przybywa? Z piętnastu zrobiło się szesnaście, z szesnastu siedemnaście, z siedemnastu dwadzieścia dwa... - Lola nakreśliła linię z miejsca nad uchem i zakręciła palcem w powietrzu, żeby wyrazić swoje zdanie na temat tego szaleństwa.

- A tutaj, jeśli chcecie znać moją opinię - dodała - wszystko zaczęło się od Sikimu. Nepalczycy wywinęli tam bardzo brzydki numer i zaczęli sobie wyobrażać nie wiadomo co... teraz wydaje im się, że mogą zrobić coś podobnego raz jeszcze... słyszałaś o tym, Sai?

Wydawało się, że kości Mustafy rozpuszczają się od głaskania go przez Sai, obracał się na jej kolanach w transie, z zamkniętymi oczami, mistyk nieznający żadnej religii, żadnego kraju, jedynie to uczucie.

- Tak - odpowiedziała z roztargnieniem, tyle już razy słyszała tę historię: Indira Gandhi przeforsowała plebiscyt i wszyscy Nepalczycy, którzy napłynęli do Sikimu, zagłosowali przeciwko królowi. Indie połknęły królestwo w kolorze klejnotów - jego niebieskie wzgórza widzieli w oddali, stamtąd przywożono wspaniałe pomarańcze, a major Alu przemycał dla nich rum Black Cat. Tam klasztory zwisały jak pająki przed Kanczendzongą, tak blisko, że wydawałoby się, iż mnisi mogą wyciągnąć rękę i dotknąć śniegu. Ten kraj wydawał się nierealny - tak pełen baśni, podróżników poszukujących krainy szczęścia - tym łatwiej, jak się okazało, było go zniszczyć.

- Ale warto też spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia — powiedziała Noni. — Najpierw Nepalczyków wyrzucono z Asamu, a potem z Meghalaji, do tego król Bhutanu sprzeciwia się...
- Nielegalnej imigracji - dokończyła Lola. Sięgnęła po rożek. — Ale łasuch — powiedziała o sobie głosem ociekającym łakomstwem.
- Nic dziwnego, że Nepalczycy są zaniepokojeni -stwierdziła Noni. — Większość z nich mieszka tu od pokoleń. Dlaczego w szkołach nie można uczyć nepalskiego?
- Bo na tej podstawie mogą zacząć się domagać własnego państwa. Ruch separatystyczny tu, ruch separatystyczny tam, terroryści, partyzanci, powstańcy, rebelianci, agitatorzy, prowokatorzy, a wszyscy oczywiście uczą się jeden od drugiego, zachętą dla Nepalczyków są Sik-howie i ich Khalistan, także ULFA, NEFA, ALW*; Dź-harkhand, Bodoland, Gorkhaland; Tripura, Mizoram, Manipur, Kaszmir, Pendżab, Asam...

Sai pomyślała o tym, jak zamienia się w wodę pod dłońmi Gjana, jej skóra wychwytuje ruch jego palców, do góry i do dołu, aż w końcu nie jest w stanie rozróżnić swojej skóry i jego dotyku.

Nosowy jęk furtki:

- Witajcie, witajcie - powiedziała pani Sen, wsuwając haczykowaty nos przez uchylone drzwi. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... właśnie przechodziłam, usłyszałam wasze głosy... ojej, ciasteczka... — Tak się ucieszyła, że zaczęła wydawać z siebie ptasie i mysie popiskiwanie.

* ULFA — Zjednoczony Front Wyzwolenia Asamu; NEFA — Terytorium Północno-Wschodnie; ALW - Chińska Armia Ludowo-Wy-zwoleńcza

Lola:

- Widziałyście ten list, który wysłali do królowej brytyjskiej? Do Gorbaczowa i Reagana? Apartheid, ludobójstwo, zajmowanie się Pakistanem, zapominanie o nas, kolonialne ujarznienie, wiwisekcja na Nepalu... A kiedy to Dardżyling i Kalimpong należały do Nepalu? Dardżyling przecież był oderwany od Sikimu, a Kalimpong od Bhutanu.

Noni:

- Bardzo niekompetentni w wytyczaniu granic, ci cholerni Brytyjczycy.

Pani Sen dała nura prosto w nurt rozmowy:

- Nie mają żadnej praktyki, w końcu zewsząd otacza ich woda, ha, ha.

*

Kiedy wreszcie próbowali się oderwać od siebie po tych leniwych popołudniowych godzinach spędzonych razem, Gjan i Sai odnosili wrażenie, jakby stopili się niczym kawałki masła - jak trudno im było ochłonać i powrócić do swych indywidualnych istnień.

- Pakistan! Oto, gdzie tkwi problem - oznajmiła pani Sen, przeskakując na jeden ze swych ulubionych tematów, miała bowiem zestaw gotowych opinii i przemyśleń, dopracowanych przez lata, które wyciągała jak z rękawa, gdy tylko można je było wygodnie dopasować do rozmowy. — Pierwszy atak serca naszego kraju, nigdy go nie leczono...

Lola:

- Kwestia nieszczęsnej granicy i tyle. Nie można ich rozróżnić, indyjskich Nepalczyków i nepalskich Nepalczyków. A do tego, *baba*, jak ci Nepalczycy się rozmnażają.

Pani Sen:

— Jak muzułmanie. Lola:

— Nie tutejsi muzułmanie. Pani Sen:

— Żadnej samokontroli u tych ludzi. Ohyda. Noni:

— Wszyscy się rozmnażają. Wszędzie. Nie można winić za to jednej grupy.

Lola:

— Lepczowie się nie rozmnażają, tylko powoli wymierają. Właściwie to oni mają pierwszeństwo do tej ziemi, a nikt nawet o nich nie wspomina. — Po czym, przemyślawszy swe poparcie dla Lepczów, dodała: — Zresztą też nie są idealni. Spójrzcie na te rządowe pożyczki dla nich na budowę świniami... Program ratowania ginących zawodów... tylko że nie widać żadnych nowych świniami, chociaż oczywiście wszyscy złożyli pięknie spisane podania, z rozmiarami koryt, z kosztami paszy i antybiotyków, a potem zainkasowali pieniądze, szybko i sprawnie...

Pani Sen:

— Więcej muzułmanów w Indiach niż w Pakistanie. Wolą rozmnażać się tutaj. Wiecie, ten cały Jinnah codziennie na śniadanie zjadał jaja na bekonie, a co wieczór pił whisky. Co to za muzułmański naród? I pięć razy dziennie wypinają pupę, bijąc pokłony Bogu. No ale — wsunęła lepki palec do ust i wyciągnęła go z cmoknięciem — ttud-no się dziwić, jeśli czytają Koran. Nie mają wyjścia, muszą być dwulicowi. Pogląd ten, wszystkim znany, ponieważ słyszeli go już wcześniej, stanowił centralny filar hinduskiego światopoglądu: Koran jest tak surowy, że przestrzeganie jego nauk wykracza poza ludzkie możliwości. Dlatego muzułmanie

są zmuszeni udawać jedno, a robić drugie; piją więc, palą, jedzą wieprzowinę, odwiedzają prostytutki, a potem wszystkiego się wypierają.

W przeciwieństwie do hindusów, którzy niczego się nie muszą wypierać.

Lola poczuła się nieswojo i popiła za gorącą herbatę. Te narzekania na przyrost naturalny wśród muzułmanów były wulgarne i niestosowne dla sfer, które czytają Jane Austin, wyczuła też, że przez tę paplaninę sąsiadki wyjawiała własne stanowisko na temat Nepalczyków, w którym nie ma miejsca na tak łatwe stereotypy, niezbyt dalekie od uprzedzeń.

- Z muzułmanami to całkiem inna sprawa - powiedziała sztywno. - Oni już tutaj byli. Przyszli Nepalczycy i zaczęli się rządzić, lecz to nie kwestia religii.

Pani Sen:

- To samo z kwestią muzułmańskiej kultury... Oni też skądś przyszli, Babar i cała reszta... I zostali, żeby się rozmnażać. Nie ma tu winy kobiet... biedaczek... winni są mężczyźni... żenią się z trzema albo czterema... wstydu nie mają. - Zaczęła chichotać. - Wiecie, nie mają nic lepszego do roboty. Bez telewizji, bez elektryczności zawsze będzie ten sam problem...

Lola:

- Oj, pani Sen, a pani w kółko o tym samym. Nie o tym rozmawiamy!

Pani Sen:

- A-ha-ha - zaśpiewała lekceważąco, teatralnym gestem wkładając sobie na talerzyk następny rożek z kremem.

Noni:

- Jak się miewa Mun Mun? - Gdy tylko jednak wypowiedziała to pytanie, zaraz go pożałowała, uświadomiwszy

sobie, że rozwścieczy nim Lolę i będzie musiała cały wieczór naprawiać szkody. Pani Sen:

- Och, oni ciągle ją błagają, błagają, żeby przyjęła zieloną kartę. A ona „Nie i nie”. Mówię jej: „Nie bądź głupia, bierz, co ci szkodzi? Skoro ci ją proponują, wciskają wręcz”... Ilu ludzi by zabiło, żeby ją mieć?... Głuptaska z niej, prawda? Jakież to pięknokraj i tak dobrze zorganizowany.

Siostry zawsze traktowały panią Sen z pewną dozą pogardy, jako osobę małego formatu. Jej niższość była dla nich oczywista na długo, zanim jej córka osiedliła się w kraju, gdzie na dzemie napisane jest Smuckers zamiast „dostawca nadworny Jej Królewskiej Mości”, i zanim dostała pracę w CNN, co stawiało ją w bezpośredniej opozycji do Pixie w BBC. Poza tym pani Sen wypowiadała niektóre słowa z amerykańskim akcentem, krążyła też plotka, że niegdyś zarabiała na życie, jeżdżąc od domu do domu na skuterze i handlując rzeczami skonfiskowanymi przez celników na lotnisku Dum Dum - sprzedawała je matkom gromadzącym posagi z czarnorynkowych towarów, żeby zwiększyć szanse córek.

Lola:

- Ale czy nie uważa pani, że to bardzo prosty naród? Pani Sen:
- Nie, zwyczajnie nie mają kompleksów, są tacy serdeczni.
- Słyszałam jednak, że to fałszywa serdeczność, dzień dobry, do widzenia, ale nic za tym nie stoi.
- Lepiej niż w Anglii, *dzi*, gdzie śmieją się z człowieka za jego plecami... Zapewne Anglia ani Ameryka nie wiedziały, że toczą bój na śmierć i życie, w każdym razie walczyły w ich imieniu te dwie energiczne wdowy z Kalimpangu.

- Mun Mun nie ma w Ameryce żadnych kłopotów, tam nikogo nie obchodzi, skąd kto przyjechał...
- No, jeśli chcemy nazywać ignorancję wolnością! I niech mi pani nie mówi, że nikogo nie obchodzi. Wszyscy wiedzą - Lola dodała z goryczą, jak gdyby sprawa ta dotyczyła jej osobiście - jak oni traktują Murzynów.
- Przynajmniej wierzą, że można być szczęśliwym, *baba*.
- I jak oni okazują swój patriotyzm, wygłupy jakieś, dać im hot dog na patyku, a zaczną nim wymachiwać przed flagą i...
- Co złego jest w tym, że można się dobrze bawić...
- *
- Opowiedz nam, co u ciebie, Sai - poprosiła Noni, pragnąc koniecznie zmienić znowu temat. — No, rozwesel nas, od czego jesteście wy, młodzi.
- Nic - skłamała Sai i zaczerwieniła się na myśl o sobie i Gjanie. Wspólne przebywanie wzmogło w niej wrażenie płynności, które odczuwała przed lustrem, to przeistaczanie się w formę plastyczną z nieskończonymi możliwościami wymyślania siebie na nowo. Trzy panie utkwily w niej surowe spojrzenie. Wydawała się nieostra, nie mogły dobrze przyjrzeć się jej twarzy, poza tym wierciła się dziwnie na krześle.
- A więc - powiedziała Lola, swe zniecierpliwienie panią Sen przenosząc na nią - nie masz jeszcze chłopaka? A to dlaczego? My dawniej byłyśmy bardziej śmiałe. Zawsze wymykałyśmy się rodzicom.
- Daj jej spokój. To dobra dziewczyna — powiedziała Noni.

- Lepiej nie zwlekać - wtrąciła pani Sen, robiąc przy tym tajemniczą minę. - Będziesz czekać za długo, żar zgaśnie. To samo powiedziałam Mun Mun.

- A może ty masz robaki - zgadywała Lola.

Noni poszperała w misie pełnej różnych drobiazgów i wydobyła z niej listek pigułek.

- Proszę... masz tu pigułki na odrobaczenie. Trzymamy je dla Mustafy. Przyłapałyśmy go, jak tarł pupą o podłogę. To pewny znak.

Pani Sen spojrzała na tuberozy na stole.

- Wiecie — powiedziała — że wystarczy wpuścić kilka kropel barwnika, a można mieć kwiaty w takim kolorze, w jakim się zechce, czerwonym, niebieskim, pomarańczowym. Wiele lat temu na przyjęciach mieliśmy z tego niezłą zabawę.

Sai przestała głaskać Mustafę i mściwy kot ją ugryzł.

- Mustafa! - zbeształa go Lola - jak się nie będziesz zachowywał, przerobimy cię na kocie kebaby!

Restauracja Brigittes w finansowej dzielnicy Nowego Jorku była lokalem pełnym luster, żeby klienci dokładnie widzieli, jak bardzo można im zazdrościć, kiedy jedzą. Nazwa wzięła się od imienia psa właścicieli, najwyższego i najwęższego stworzenia, jakie widziały ludzkie oczy - jak kartkę papieru, widać go było właściwie tylko z boku.

Rano, kiedy Bidźu i reszta personelu zaczynali się krzątać, właściciele Odessa i Baz przy stoliku w kącie popijali herbatę Darjeeling Tailors of Harrowgate. Kolonialne Indie, wolne Indie — herbata ta sama, choć romans przeminął, i najlepiej sprzedawało ją słowo z przeszłości. Pili herbatę i razem czytali z zainteresowaniem „New York Timesa”, łącznie z doniesieniami z zagranicy. Efekt był przytłaczający.

Dawni niewolnicy i tubylcy. Eskimosi i mieszkańcy Hiroszimy, Indianie amazońscy, Indianie Chiapas, Indianie i Hindusi. Australijscy Aborygeni, Gwatemalczyki, Kolumbijczycy, Brazylijczycy i Argentyńczycy, Nigeryjczycy, Birmańczycy, Angolczycy, Peruwiańczycy, Ekwadorczycy, Boliwijczycy, Afgańczycy, Kambodżanie, Ruandyjczycy, Filipińczycy, Indonezyjczycy, Liberyjczycy, mieszkańcy Borneo, Papuańczycy, Południowoafrykańczycy, Irakijczycy, Irańczycy, Turcy, Armeńczycy, Palestyńczycy, Gujańczycy, Surinamczycy, Sierraleończycy,

Malgasze, Senegalczycy, Malediwczycy, Lankijczycy, Ma-lezyjczycy, Kenijczycy, Panamczycy, Meksykanie, Hai-tańczycy, Dominikańczycy, Kostarykanie, Kongijczycy, Maurytyjczycy, mieszkańcy Wyspy Marshalla, Tahitań-czycy, Gabończycy, Benińczycy, Malijczycy, Jamajczycy, Botswańczycy, Burundyjczycy, Sudańczycy, Erytrejczycy, Urugwajczycy, Nikaraguańczycy, Ugandyjczycy, mieszkańcy Wybrzeża Kości Słoniowej, Zambijczycy, Kame-ruńczycy, Laotańczycy, Zairczycy nacierają i krzyczą kolonializm krzyczą niewolnictwo krzyczą spółki górnicze krzyczą spółki bananowe krzyczą spółki naftowe krzyczą szpieg CIA wśród misjonarzy krzyczą ojca zabił im Kissinger i może by tak darować dług państwu Trzeciego Świata; Lumumba, krzyczeli, i Allende; po drugiej stronie Pinochet, mówili, Mobutu; zatrute mleko z Nestle, mówili; agent Orange; brudne interesy Xeroxa. Bank Światowy, UE, MFW, wszystko w rękach białych. Codziennie w gazetach coś nowego!

Nestle i Xerox to dobre, uczciwe firmy, filary gospodarki, a Kissinger był przynajmniej patriotą; Stany Zjednoczone są młodym państwem zbudowanym na najwznioślejszych ideałach, i jak to możliwe, że mają tak wielki dług?

Dość tego.

Biznes to biznes. Chleba można równie dobrze nie smarować masłem, jeśli masło trzeba rozsmarowywać tak cienko. Wygrywa najsilniejszy i on dostaje masło.

*

- Taka kolej rzeczy - powiedziała Odessa do Baza. - Wyobraź sobie, że siedzimy beczynnie i mówimy: „Tyle a tyle tysięcy lat temu neandertalczyki wyszli z lasów,

zaatakowali moją rodzinę wielką kością dinozaura, a teraz oddawajcie". Dwa z pierwszych żelaznych kociołków, mój przyjacielu, jedną apetyczną, szczerzącą w uśmiechu zęby córkę z pierwszych dni rolnictwa, kiedy ludzie mieli większe trzonowce, oraz cztery próbki wczesnego gatunku ziemniaka, do których, nawiasem mówiąc, prawo roszcza sobie i Chile, i Peru.

Była bardzo błyskotliwa. Odessa. Baz myślał z dumą o jej kosmopolitycznym stylu, uwielbiał jej wizerunek w małych drucianych okularach. Kiedyś przeżył wstrząs, gdy podsłuchał słowa przyjaciół, którzy twierdzili, że Odessa ma czarne serce, lecz wyparł to z pamięci.

*

— Ci biali! — zwrócił się do Bidżu Aćutan, kolega ze zmywaka. - Kurde! Ale przynajmniej w tym kraju jest lepiej niż w Anglii. Tutaj przynajmniej jest jakaś hipokryzja. Wierzą, że są dobrzy, i dostaje się jakąś pomoc. Tam wrzeszczą do ciebie otwarcie na ulicy: „Wracaj, skąd przyjechałeś”. - Spędził osiem lat w Canterbury i odpowiadał tam tekstem, który Bidżu miał usłyszeć wiele razy, bo Aćutan powtarzał go kilka razy w tygodniu: „Twój ojciec przybył do m o j e g o kraju po m ó j chleb, więc teraz ja przyjeżdżam do t w o j e g o kraju, żeby odebrać m ó j chleb”.

Aćutan chciał dostać zieloną kartę, ale nie z tych samych powodów co Sajid. On chciał się mścić.

— Po co ci ona, skoro wszystkiego tutaj nienawidzisz? - Odessa zapytała Aćutana ze złością, kiedy poprosił, żeby go zasponsorowała. Cóż, chciał ją mieć. Wszyscy chcieli, niezależnie od tego, czy podobało im się tutaj, czy nie. Czasem im bar

dziej nienawidziło się tego kraju, tym bardziej się jej pragnęło.
Tego nie rozumieli.

*

Restauracja serwowała tylko jeden zestaw: stek z sałatką i frytkami.
Szczyliła się nawet tą prostotą pośród zamożnej klienteli.

Święta krowa. Nieświęta krowa. Bidźu znał rozumowanie, którego
powinien się trzymać. W porze lunchu i kolacji przestrzeń wypełniała
się młodymi, dwudziesto- i trzy-dziesiętoparoletnimi
umundurowanymi biznesmenami.

- Jaki pani sobie życzy?

- Krwisty.

- A pan?

- Żeby jeszcze muczał.

Tylko głupcy mówili „Poproszę dobrze wysmażony”. Odessa z trudem
maskowała pogardę.

- Na pewno? No dobrze, ale będzie twardy.

Siedziała przy stoliku w kącie, tym samym, przy którym piła poranną
herbatę, i podniecała mężczyzn, zajadając się befsztykiem.

- Czy to nie paradoks, Bidźu - powiedziała, śmiejąc się - że w Indiach
nie jada się wołowiny, a spójrz tylko na mapę, Indie wyglądają jak
wielki stek z kostką.

Tutaj jednak zdarzali się Hindusi jadający wołowinę. Indyjscy
bankierzy. Chap chap. Przyspilał ich znaczącym spojrzeniem, kiedy
zmywał talerze. Widzieli to. Wiedzieli. Wiedział o tym. Wiedzieli, że
on wie. Udawali, że nie wiedzą, że on wie. Odwracali wzrok. Jego
spojrzenie przybierało pogardliwy wyraz. Mogli wszak pozwolić sobie
na to, żeby go nie zauważać.

— Poproszę stek — mówili z wystudiowaną nonszalancją, swobodnie, bez namysłu, machinalnie, jakby składali podpis, o którym wiadomo, że został wyćwiczony strona po stronie.

Święta krowa nieświęta krowa. Praca brak pracy.

Nie należy rezygnować z religii, zasad wyznawanych przez rodziców i ich rodziców. Nie, choćby nie wiem co.

Trzeba żyć w zgodzie z czymś'. Trzeba odnaleźć swoją godność. Mięso przypiekało się na grillu, krew wypływała na jego powierzchnię, a potem zaczynała bulgotać i wrzeć.

Wygrają ci, którzy dostrzegają różnicę między świętą krową i nieświętą krową.

Przegrają ci, którzy tego nie widzą.

*

I tak Bidżu uczył się obsmażać steki. Krew, mięso, sól i armata wymierzona w talerze: „Może świeżo zmielonego pieprzu do steku?”.

— Wiesz, może i jesteśmy w Indiach biedni, ale u nas tylko pies zjarłby mięso przygotowane w taki sposób -powiedział Aćutan.

— Musimy agresywniej działać w Azji — mówili między sobą biznesmeni. — Otwierają się nowe perspektywy, miliony potencjalnych konsumentów, ogromna siła nabywcza klasy średniej, Chiny, Indie, rynek zbytu na papierosy, pieluchy, Kentucky Fried Chicken, ubezpieczenia na życie... a gospodarka wodna, telefony komórkowe — duże rodziny, wiecznie przy telefonie, ci wszyscy mężczyźni dzwoniący do matek, te wszystkie matki dzwoniące do swojej licznej, bardzo licznej dziatwy; ten kraj jest

nasycony, podobnie Europa i Ameryka Łacińska, Afryka to beznadziejny przypadek, nie licząc ropy; Azja to nowy Dzikie Zachód. Czy tam jest gdzieś ropa? Nie mają ropy, prawda? Muszą... Rozmowy te dotyczyły rzeczy podstawowych. Gdyby ktoś ośmielił się nazwać ich głupcami, mogliby tylko wskazać na swoje konta bankowe i pozwolić, by liczby same obaliły ten zarzut. Bidzu myślał o Sajidzie Sajidzie, który wciąż nie jadał świńskiego mięsa.

— Brudne są, flejtuchy. Najpierw jestem muzułmaninem, stary, potem jestem Zanzibarczykiem, a dopiero na końcu Amerykaninem.

Kiedyś pokazał Bidzu swój nowy nabytek, makietę meczetu z wbudowanym zegarem kwarcowym zaprogramowanym w ten sposób, żeby pięć razy dziennie o wyznaczonych porach nawoływał: *Allahu akbar, la ilaha illa llah, wa Allahu akbar...* Ze szczytu minaretu przez trzaski taśmy płynęły prastare, przetarte piaskiem słowa, ten lament z pustyni przynoszący strawę, która tworzy w człowieku siłę, tworzy wiarę o głodnym poranku i przez cały dzień, żeby nie przelecieć przez plugawe różnice między narodami. Zapalały się zachęcająco światełka, rozbłyskując w meczecie w dyskotekowych kolorach zieleni i bieli.

*

— Dlaczego chcesz odejść? - Odessa nie posiadała się ze zdumienia. A taką mu dali szansę! Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, ile miał szczęścia.

— Z takim nastawieniem nigdy mu się nie uda w Ameryce — powiedział z nadzieją w głosie Baz.

Bidźu odszedł i poczuł się jak nowo narodzony, jak człowiek przepełniony po same brzegi pragnieniem życia w wąskich ramach czystości.

*

- Podajecie tu wołowinę? — zapytał potencjalnego pracodawcę.
- Mamy kanapki z wołowiną.
- Przykro mi, nie mogę tu pracować.
- Oni oddają cześć krowom. — Usłyszał, jak właściciel lokalu mówi to komuś w kuchni, poczuł się wtedy członkiem wspólnoty plemiennej, kimś nadzwyczajnym.

*

Smoky Joes.

- Wołowina?
- Słoneczko - odpowiedziała kobieta. - Nie chcę cię urazić, ale ja jadam steki, ja JESTEM wołowiną.

*

Marilyn. Powiększone zdjęcia Marilyn Monroe na ścianie, hinduski właściciel przy kontuarze!

Rozmawiał przez telefon, korzystając z funkcji głoś-nomówiącej.

- *Radźni-bhai, kem ćboł* -Co?
- *Radźni-bhaP.*
- Z kim rozmawiam? - Bardzo-indyjski-naśladowujący--amerykariski akcent.

— *Kem cho? Saru cho? Teme samdzo ch<P. -CO?*

— Nie mówi pan w gudzarati? -Nie.

— Podchodzi pan z Gudzaratu, tak? -Nie.

— Ale nazwisko ma pan gudzarackie??

— Kto mówi??!!

— Nie jest pan Gudzaratczykiem?

— Kto mówi??!!

— Firma AT&T, proponujemy specjalne stawki na rozmowy z Indiami.

— Nie znam nikogo w Indiach.

— Nie zna pan???? Na pewno ma pan jakąś rodzinę?

— Taaa... — Amerykański akcent stawał się coraz wyraźniejszy - ale nie rozmawiam z nimi...

Pełne zgorszenia milczenie.

— Nie rozmawia pan z rodziną? — A po chwili: — Stawka wynosi zaledwie czterdzieści siedem centów za minutę.

— Co mnie to obchodzi? Już mówiłem — mówił po-wo--li jak do idioty — nie dzwonię do Iiindii.

— Ale pochodzi pan z Gudzaratu? — Niepokój w głosie.

— Po drodze była Kampala w Ugandzie, Tipton w Anglii i Roanoke w stanie Wirginia! Raz pojechałem do Indii i, słuchaj no pan, nie wrócę tam za żadne pieniądze!

*

Wycofał się i wymknął z powrotem na ulicę. Straszne, co się dzieje z Hindusami za granicą, o czym nie wie nikt prócz Hindusów za granicą. Była to mała obrzydliwa jak gryzoń tajemnica. Ale nie, Bidzu nie miał jeszcze dosyć. Jego kraj znów go przyzywał. Wywęszył swój los:
wbrew

sobie, wiedziony zapachem, skręcił na rogu i ujrzał pierwszą literę szyldu, G, potem AN. Jego dusza domyśliła się reszty: DHL Kiedy zbliżył się do Gandhi Cafe, powietrze jakby stężało. Było tutaj niezmiennie, ze skumulowanym aromatem tysiąca i jednej potraw, bez względu na zimowe zawieje świszczące na ulicy, bez względu na deszcz, topiący wszystko upał. Chociaż w lokalu było ciemno, kiedy Bidźu je pchnął, drzwi się otworzyły.

*

W mroku w głębi sali, pośród plam z soczewicy i przezroczystych, rozmazujących tłuszcz cerat na obrusach zastawionych stolików, jeszcze niesprzątniętych, siedział Hariś-Harry, który z braćmi Gauriśem-Garym i Dhan-sukhem-Dannym prowadził trzy bary Gandhi Cafe -w Nowym Jorku, New Jersey i Connecticut. Nie podniósł wzroku, gdy wszedł Bidźu. Jego długopis zawisł nad prośbą o datek przysłaną przez schronisko dla krów spod Edison w stanie New Jersey.

Jeśli ofiarujesz sto dolarów, poza premią w postaci punktów doliczonych do bilansu twoich przyszłych wcieleń: „Prześlemy prezent gratis; prosimy o zaznaczenie odpowiedniego kwadratu:

1. Oprawiony dekoracyjny obraz Kriszna-Lili: »Tęsk-ni za swym panem i lamentuj e«.
2. Egzemplarz *Bhagawadgity* z komentarzem takiego a takiego pandita (magister, doktor, prezes Ośrodka Dziedzictwa Hinduskiego), który właśnie wrócił po serii wykładów w sześćdziesięciu sześciu krajach.
3. CD z ulubioną muzyką religijną Mahatmy Gandhiego.

4. Kupon rabatowy do Indiagiftmartu: »Zrób niespodziankę damie swego serca naszą specjalną bluzką *coli* w kolorze cebuli lub delikatnego rózu, w zestawie z maślaną lahangą. Dla kobiety, która dba o twoje domowe ognisko, komplet dwudziestu pięciu słoiczków z przyprawami, z próżniowymi przykrywkami. Zaopatrz się w orzeszki Haldirarńs Premium Nagpur Chana Nuts, za którymi na pewno tęsknisz...«".

Długopis wisiał nad kartką. Po chwili zapikował. Na pytanie Bidżu: - Wołowina? Zwariowałeś? Jesteśmy całkowicie hinduskim lokalem. Żadnych Pakistańczyków, żadnych Banglij-czyków, ci ludzie nie umieją gotować, byłeś w tych knajpach na Sixth Street? *Bilkul bekar...* Tydzień później Bidżu był już w kuchni, gdzie przez głośniki leciały ulubione kawałki Gandhiego.

Romans Gjana i Sai kwitł, a polityczne niepokoje pozostawały dla niego jedynie tłem.

Zjadając *momo* maczane w *ćatni*, Gjan powiedział:

— Jesteś moim *momo*.

- Nie, ty jesteś moim - odpowiedziała Sai.

Ach, ten pieszczotliwy etap miłości - puścił w ruch istną karuzelę czułych słówek i przezwisk. Wymyślali je w cichych chwilach i przekazywali jedno drugiemu jak podarunki. *Momo*, tybetański pierożek z baranim farszem, jedna pulchna i mięciutka rzecz zatopiona w drugiej - kojarzył się z bezpieczeństwem, czułością.

Lecz kiedy pewnego razu poszli się posilić do Gompus, Gjan bez zastanowienia zaczął jeść palcami, Sai natomiast używała jedyne go sztuczka na stole - łyżki stołowej, zwijała z boku talerza *roti* i nakładała na nie łyżką farsz. Zauważywszy różnicę, poczuli się zażenowani i postanowili zignorować to spostrzeżenie.

Nazwał ją *kiśmiś*, żeby zatuszować zakłopotanie, a ona jego nazwała *kadźu*, z rodzynkami i orzechami nerkowca, słodkie, orzechowe i drogie. Jako że młoda miłość zamienia pary w zwiedzających, nawet w rodzinnym mieście, zrobili sobie wycieczki do rezerwatu przyrody Mong Pong, do jeziora Delo; urządzili pikniki nad Tistą i Relli. Udali się do zakładu hodowli jedwabników, skąd dolatywała woń na

grzanych owadów. Kierownik pokazał im sterty żółtawych kokonów poruszających się nieznacznie w kącie, maszyny badające odporność na wodę, elastyczność; podzielił się z nimi także swymi marzeniami co do przyszłości — o wodoodpornym i suszonym bez wyżymania sari, odpornym na zaplamienia, fabrycznie fałdowanym, zapinanym na suwaki, dwustronnym, super-hiper sari nowego tysiąclecia, nazwanym tytułem ponadczasowego przeboju kinowego z Bollywood w rodzaju *Disco Dancer*. Miniaturową kolejką pojechali do zoo w Dardżylingu i w swej wolnej, aroganckiej, nowoczesnej miłości oglądali pozbawiające wolności prastare kraty, za którymi mieszkała panda czerwona, prze-śmiesznie poważna w związku z tym, że jest tak niesamowicie pięknym stworzeniem — przeżuwała liście bambusa z taką samą sumiennością, z jaką urzędnik bankowy podlicza słupki. Odwiedzili klasztor Zang Dog Palri Fo Brang na Durpin Dara, gdzie małych mnichów zabawiali ci siwowłosi, którzy biegali w tę i we w tę, przeciągając dzieci na ryżowych workach po wypolerowanych klasztornych podłogach, przed malowidłami ściennymi przedstawiającymi demony i guru Padmasambhawę z jego gniewnym uśmiechem pod kręconym wąsem, w karminowej pelerynie, z brylantowym berłem i lotosowym nakryciem głowy z piórem sępa; przed duchem na śnieżnym lwie i Zieloną Tarą na jaku; przeciągali dzieci przed drzwiami, które otwierały się wszędzie jak ptasie skrzydła na górskie krajobrazy.

Z Durpin Dara, skąd widać było tak daleko i tak wysoko, świat przypominał mapę z boskiej perspektywy. Widać było rozciągającą się poniżej panoramę z rzekami i płaskowyżami. Gjan zapytał Sai o jej rodzinę, nie była jednak pewna, co powinna mu powiedzieć, wydawało jej się bowiem, że jeśli opowie mu o programie kosmicznym, może poczuć się kimś gorszym i zawstydzi się.

- Moi rodzice uciekli, żeby się pobrać, i od tamtej pory nikt się z nimi nie kontaktował. Umarli w Rosji, gdzie ojciec pracował jako naukowiec.

Jego rodzinna saga, powiedział jej dosyć dumnie, też prowadzi za granicę. Mają więcej wspólnego, niż im się wydaje.

*

Saga ta rozpoczynała się następująco:

Na początku dziewiętnastego wieku jego przodkowie opuścili wioskę w Nepalu i przybyli do Dardżylin-gu zwabieni obietnicami pracy na plantacji herbaty. Tam, w maleńkiej wiosce na pograniczu jednego z najdalej położonych majątków, hodowali krowę słynącą z zadziwiająco tłustego mleka. Z czasem nadeszła armia brytyjska i w wioskach na zboczach rozpoczęło się mierzenie potencjalnych rekrutów taśmą mierniczą i linijką, aż wreszcie żołnierze natrafili na imponujące ramiona pradziadka Gjana, który na mleku ich krowy wyrósł na takiego siłacza, że pokonał w pojedynku zapaśniczym syna handlarza słodyczy, młodzieńca wyjątkowo dorodnego i pięknego. Wcześniejszy rekrut z ich wioski donosił, że żołnierzom zapewnia się wygody jak kobietom - ciepłe, suche koce i skarpety, śmietana i *ghi*, baranina dwa razy w tygodniu, codziennie jajko, w kranach zawsze woda, leki na każdą chorobę, każdą dolegliwość i zadrapanie. Bez wstydu można szukać pomocy, jeśli zaswędzi cię pupa albo użądli osa, a wszystko za służbę, która ogranicza się do maszerowania w jedną i drugą stronę wzdłuż Grand Trunk Road. Armia proponowała dużo więcej pieniędzy temu wyrosłemu na krowim mleku chłopakowi, niż jego ojciec kiedykolwiek zarobił, gdyż ojciec pracował jako tragarz za

rządcy plantacji; wychodził przed świtem z wielkim stożkowatym, podzielonym na przegródki koszem na plecach i starał się wrócić przed zachodem słońca z targu, mozolnie wspinając się pod górę. Kosz był wówczas wypełniony warstwą warzyw, żywym kurczakiem dziobiącym jego splot, jajami, papierem toaletowym, mydłem, szpilkami do włosów i papierem listowym na wierzchu, żeby *mem-sahib* mogła napisać: „Kochana córeczko, jest tutaj niesamowicie pięknie i to piękno niemal rekompensuje mą samotność...”. Złożył więc przysięgę wierności Koronie i wyjechał, czym zapoczątkował ponadstuletnie zaangażowanie rodziny w wojny Anglików.

Początkowo dostał to, co mu obiecano - przez wiele pomyślnych lat wszystkim, co robił pradziadek Gjana, było maszerowanie, zdobył też żonę i dorobił się trzech synów. Potem jednak wysłano go do Mezopotamii, gdzie tureckie kule zrobiły sito z jego serca i życie wyciekło z niego z krwią na polu bitwy. We wspaniałomyślnym geście, żeby rodzina nie straciła dochodu, armia zwerbowała jego najstarszego syna, chociaż słynna krowa już wtedy nie żyła i nowy rekrut był chuderlawy. Żołnierze z Indii walczyli w Birmie, na Gibraltarze, w Egipcie i we Włoszech.

Dwa miesiące przed swymi dwudziestymi trzecimi urodzinami, w 1943 roku, chuderlawy żołnierz zginął w Birmie, bez przekonania broniąc Brytyjczyków przed Japończykami. Służbę zaproponowano jego bratu i ten chłopak też zginął, we Włoszech, pod Florencją, wcale nie w trakcie walk, lecz podczas przyrządzania konfitur morelowych dla majora batalionu w willi, gdzie stacjonowali brytyjscy żołnierze. Sześć cytryn, poinstruowano go, i cztery szklanki cukru. Mieszał w garnku na spokojnej włoskiej prowincji,

gdzie nad gajami oliwnymi i winnicami z furkotem przelatywały bażanty, a członkowie ruchu oporu wykopywali w lasach trufle.

Wiosna była wyjątkowo hojna i wtedy rozpoczął się nalot...

Kiedy Gjan był jeszcze całkiem mały, ostatni rekrut z jego rodziny wysiadł pewnego dnia z autobusu na dworcu w Kalimpangu i zjawił się bez palca u nogi. Nikt go nie pamiętał, lecz wreszcie ożyły wspomnienia z dzieciństwa ojca Gjana i rozpoznano w tym mężczyź- nie jego wujka. Mieszkał z rodziną do śmierci, nigdy jednak się nie dowiedzieli, gdzie podróżował ani z kim walczył. Należał do pokolenia, któremu — na całym świecie - łatwiej było zapomnieć, niż pamiętać, a im bardziej naciskały dzieci, tym bardziej pustoszała ich pamięć. Kiedyś Gjan zapytał:

- Wujku, ale jak jest Anglia?

- Nie wiem... - odpowiedział.

— Jak możesz nie wiedzieć???

— Nigdy tam nie byłem.

Tyle lat w armii brytyjskiej i nigdy nie był w Anglii! Jak to możliwe?

Myśleli, że dobrze mu się powodziło i zapomniał o nich, żyjąc w Londynie jak jakiś lord...

No to gdzie w takim razie był?

Wujek nie chciał powiedzieć. Raz na cztery tygodnie szedł na pocztę po rentę, siedem funtów miesięcznie. Zazwyczaj siedział na składanym krześle i w ciszy obracał pozbawioną wyrazu twarz jak słonecznik, ze ślepym upośledzonym uporem podążał za słońcem, jedynym celem, jaki pozostał mu w życiu, było bowiem dopasowanie tych dwóch kół - swej twarzy i koła światła.

Tymczasem rodzina związała swe losy z nauczaniem i ojciec Gjana zaczął uczyć w szkole na plantacji herbaty za Dardżylingiem.

I w tym miejscu urywała się rodzinna saga.

- A twój ojciec? Jaki jest? — zapytała Sai, lecz nie naciskała.

Ostatecznie wiedziała coś o historiach, które należy w pewnym momencie przerwać.

*

Noce robiły się już chłodne i zmierzch zapadał wcześniej. Sai, wracając późno do domu i po omacku wyszukując stopami drogi, wstąpiła do wujka Pottyego po latarkę.

- A gdzie twój przystojniak? - droczyli się z nią wujek Potty i ojciec Booty. - Boże, ci młodzi Nepalczycy, wydatne kości policzkowe, muskularne ramiona, szeroki bary. Do tego wszystko potrafią, Sai, ściąć drzewo, zbudować ogrodzenie, dźwigać ciężary... mmm mmm. Kiedy wreszcie dotarła do Czo Oju, przy bramie czekał z latarnią kucharz. Jego skrzywiona, pomarszczona twarz wyglądała zza kilku warstw ciepłych szali i swetrów.

- Czekam i czekam... Wszędzie ciemno, a ciebie w domu nie ma! - narzekał, człapiąc przed nią ścieżką prowadzącą od bramy do domu, sprawiał przy tym wrażenie krągłego i kobiecego.

- Daj mi spokój - powiedziała, zdając sobie po raz pierwszy sprawę z nieznośnej lepkości rodziny i przyjaciół, kiedy odnalazła swobodę i przestrzeń w miłości.

Kucharz poczuł się urażony do swej ćatniowej głębi.

- Jak cię zaraz pacnę - krzyknął. - Wychowywałem cię od małego! Tyle miłości! A ty tak mi odpyskujesz? Niedługo umrę, a wtedy w kim będziesz mieć oparcie? Tak, tak, ja niedługo umrę. Może wtedy będziesz zadowolona. Ja

się tu zamartwiam, a ona, patrzcie ją, bawi się w najlepsze, nic jej nie obchodzi... - Ohhoho.

Jak zwykle skończyło się na próbach udobruchania go. Nie dawał się udobruchać, aż w końcu dawał - ale tylko troszeczkę.

W Gandhi Cafe światło przygaszano, żeby lepiej ukryć plamy. Daleka stąd była jeszcze droga do lokali w stylu *fusion*, koziego sera, samosy z bazylią i margarity z mango. Był to lokal prawdziwie, rdzennie indyjski, którego całe wyposażenie można było zamówić w jednym sklepie albo nawet przez telefon: złożone i czerwone krzesła, plastikowe róże z syntetycznymi kroplami rosy na stoliku, makatki ukazujące...

O nie, znowu to samo... Tak, znowu...

Krisznę w towarzystwie *gopi*, wiejskiej piękności przy studni...

1 to menu...

O nie, znowu to samo... Tak, znowu...

Tikka masala, tandoori grill, nawrattan w sosie curry, dal makhni, pappadum. Hariś-Harry mówił: „Odszukaj swoich klientów. Przyjrzyj się swoim klientom. Zaspokój swoich klientów”. Podaż - popyt.

Indyjsko-amerykari-ska płaszczyzna porozumienia. Dlatego dobrzy są z nas imigranci. Idealne dopasowanie. (Co więcej, panie i panowie, my uprawialiśmy wysoce rozwiniętą formę kapitalizmu na długo, zanim Ameryka stała się Ameryką; tak, możecie sobie myśleć, że to wasz sukces, ale cała cywilizacja wywodzi się z Indii, tak).

Ale czyżby nie doceniał swojego rynku? Mało go to obchodziło. Klienci - biedni studenci, profesorowie bez etatu - napełniali brzuchy przy bufecie. JESZ, ILE CHCESZ, ZA 5,99 \$, a potem wytaczali się oszołomieni hipnotyzującą muzyką zaklinacza węży i obfitością posiłku.

*

Żeby podliczyć nowe sumy, które pojawiały się z brzękiem, w niedzielne przedpołudnia po umyciu włosów przychodziła żona Hariśa-Harry'ego. Z końskiego ogona wilgotnych pukli, związanych luźno złotą wstążką z pudełka z owocami i orzechami na święto Diwali, kapało za nią na podłogę.

- *Are, Bidźu... to sunao kabani* - mówiła zawsze - *ba-tao...* i co mi powiesz?

Ale nie było ważne, że nie miał jej nic do powiedzenia, bo od razu szła do ksiąg trzymany pod rzędem bóstw i kadzidełek.

- *Hai hai* — śmiał się z przyjemnością jej mąż, a na czarnym aksamicie jego źrenic iskrzyły diamentowe i złociste błyski. — Malini nikt nie przegada. Jak ona jest przy telefonie, od każdego wyciągnie najlepszą ofertę.

*

Właśnie ona, Malini, zaproponowała, żeby pracownicy zamieszkali na dole, w kuchni.

- Mieszkanie za darmo - Hariś-Harry przekazał Bidźu.

Dając im wytchnienie od nowojorskich czynszów, mogli obciąć ich zarobki do jednej czwartej minimalnej

pensji, wszystkie napiwki zgarniać dla siebie, mieć personel na oku i zmuszać ich do pracy po piętnaście, szesnaście, siedemnaście godzin dziennie. Saran, Dziw, Ri-szi, pan Lalkaka, a teraz Bidżu. Wszyscy pracujący nielegalnie.

- Jesteśmy tutaj jedną szczęśliwą rodziną - mówiła, energicznie wmasowując olej roślinny w ramiona i twarz - nie potrzeba kremów ani innych wynalazków, *baba*, to nie działa wcale gorzej.

Bidżu opuścił suterenę w Harlemie wcześniej rano, kiedy liście postrzępionego drzewa na ulicy, jędrne i świetliste, były pomarańczową niespodzianką. Miał ze sobą jedną torbę i materac - prostokąt pianki ze wzorem jak kratka na jaja, zwinięty w rulon i związany sznurkiem. Zanim się spakował, raz jeszcze spojrzął na blaknącą fotografię ślubną rodziców, którą zabrał ze sobą z Indii; teraz już było to zdjęcie dwóch duchów z poważnymi minami. Kiedy miał odejść, zza rogu wyłonił się Jacinto, który zawsze zjawiał się po czynsz we właściwym momencie.

-*Adios, adios* - pożegnał się Jacinto, a jego złoty ząb błyszczał jak skarb górnika.

Bidżu obejrzał się po raz ostatni na tę niszczącą fasadę dawnej świetności. W oddali stało mauzoleum Gran-ta, jak okrągły szary tort pogrzebowy z barbarzyńskim przybraniem. Bliżej, na tle horyzontu rysowały się biedne czynszówki jak ciasno stłoczone elementy wykresu kolumnowego.

W Gandhi Cafe, pośród ogromnych kotłów i oproszonych trocinami worków masali, na nowo zorganizował sobie życie. Mężczyźni myli twarze i płukali usta nad kuchennym zlewem, czesali włosy przed przypiętym nad nim lustrem wielkości znaczka pocztowego, wieszali spodnie na sznurze w tym samym pomieszczeniu,

razem ze ścierkami. W nocy rozkładali legowisko tam, gdzie było jeszcze miejsce.

Szczury z poprzednich miejsc pracy nie opuściły Bidżu. Tutaj też były, ciesząc się śmieciami, przegryzając się przez drewno, robiąc dziury, które Hariś-Harry zapychał wełną stalową i zasłaniał cegłami, odsuwały jednak tak drobne przeszkody. Piły mleko, jak nakazywały reklamy na billboardach, karmiły się białkiem; witaminy i minerały aż wylewały się z ich niezwykniętych uszu i pazurów, dziąseł i sierści. Kwashiorkor, beri-beri, wole (przez nie w Kalim-pangu po zboczach włączyła się populacja szalonych karłów o gardłach jak ropuchy), tego typu choroby niedożywionych były nieznane wśród szczurzej populacji.

Jeden w nocy wygryzał Bidżu włosy.

— Na gniazdo - wyjaśnił Dżiw. - Pewnie będzie miała młode.

Zaczęły zakradać się i zasypiać na stołach. O świcie niechętnie schodziły na dół przed przybyciem Hariśa-Harryego.

— *Cało, cało*, nowy dzień, nowy zarobek.

*

Dla swego personelu Hariś-Harry był dobrotliwy, żartobliwy, nagle jednak mógł wpaść w złość i zrobić się apodyktyczny.

— Stul pysk, zamknij japę — mówił wtedy i potrafił grzmocić ich po głowach. Lecz kiedy amerykański klient przechodził przez drzwi, jego zachowanie ulegało natychmiastowej i drastycznej metamorfozie i wydawało się, że ogarnia go panika.

— Halo, halo — mówił do dziecięcia w różowym atłasie rozsmarowującego jedzenie na stołowych nogach. -

Mamusia ma przez ciebie za dużo zmartwień, ha, ha? Ale pewnego dnia będzie z ciebie dumna, prawda? Wyrośnie z ciebie wielki chłop i bogaty, co mówisz? Chcemy pysznego kurczaczka w sosie curry? — Uśmiechał się i przyklękał.

Hariś-Harry — te dwa imiona, zaczynał rozumieć Bidźu, odzwierciedlały głęboki rozłam, którego istnienia nie podejrzewał, kiedy po raz pierwszy wszedł tu i go zobaczył, ideał owej czystości zasad, do której Bidźu dążył. Ten datek na schronisko dla krów był na wypadek, gdyby hinduska wersja życia pozagrobowego okazała się prawdziwa i gdyby po śmierci poddany został hinduskim machinacjom tamtego świata. A co, jeśli inni bogowie zasiadają na tronie? Próbował trzymać się właściwej strony, starał się być lojalny wobec tyłu rzeczy, że sam już się pogubił i nie wiedział, które z jego jestestw, jeśli w ogóle któreś, jest autentyczne.

*

Nie chodziło tylko o Hariśa-Harryego. Niepewność szerzyła się wśród gości, tych „pół na pół” hinduskich studentów, którzy przychodzili z amerykańskimi przyjaciółmi — jeden akcent z jednej strony ust, drugi z drugiej; mieszały im się, a czasem przechodzili całkowicie na hindi, żeby pokazać jeden drugiemu: Kto? Nie, nie, oni na pewno nie udają kogoś, kim nie są. To nie oni odwracają się od największej kultury, jaką widział świat...

I te romanse - problemem były zwłaszcza te mieszane, indyjsko-białe związki.

Desi wchodzili bardzo spięci i kelnerzy zaczynali uśmiechać się szyderczo, z wyższością, unosząc brwi, żeby im pokazać, co o nich myślą.

„Wersja ostra, średnia czy łagodna?”, pytali. „Ostra”, mówili niezmiennie goście, popisując się, informując partnerkę, że są produktem egzotycznym i autentycznym, w kuchni zaś wybuchano śmiechem, „ha, ha”, po czym ujawniała się nagle czysta złość: „*sala!*”.
Złoczyńcy wgryzali się w *windalu*...

A *windalu*... odgryzało im się.

Z piekącymi policzkami, ze szczypiącymi uszami i oczami, ze zdrętwiałymi językami, słabym głosem prosili

0 jogurt, wyjaśniając zebranych przy stole:

- Tak robimy w Indiach, zawsze przekąszamy jogurtem dla równowagi...

Wiesz, równowagi. Wiesz, no, wiesz...

Ostre łagodne, słodkie kwaśne, gorzkie pikantne, prastara mądrość Ajurwedy, która może przynieść całkowity spokój...

- Za ostre? — pytał Bidźu, szczerząc zęby.

- Nie, nie — padała łzawa odpowiedź.

W tym procederze nie było czystości. Ani dumy. Znalazł się w domu, lecz nie czekała go klarowna wizja.

*

Hariś-Harry winił swą córkę za to, że ostudziła żarliwość jego wiary.

Dziewczyna stawiała się Amerykanką. Przekłuty nos uznała za pasujący do wojskowych butów

1 ubrań w moro z demobilu.

Jego żona powiedziała:

- Co to za głupoty, daj jej parę razy mocno po gębie i już...

- Dobrze, że na ciebie to podziałało - powiedział, ale razy nie pomogły.

- Jesteś *cool*! — usiłował tym razem wziąć pod uwagę jej zamerykanizowanie. — Jesteś *cool*! *WW* — Ale to też nie pomogło.

- Nie prosiłam się na ten świat - oznajmiła. - Urodziliście mnie dla swoich egoistycznych celów, chcieliście mieć służącą, tak? Ale w tym kraju, *daddy*, nikt nie będzie podcierał ci dupy za friko. Nawet nie tyłka! Podcierał ci dupy! *Daddy*! Nawet nie *papa-dzi*. Nie podcierał ci tyłka, *papa-dzi*. *Daddy* i dupa. Hariś-Harry upił się i incydent ten z czasem stał się czymś znajomym i nużącym; siadał przy kasie i nie chciał wracać do domu, chociaż personel kuchenny czekał z niecierpliwością, żeby móc położyć się na stołach i przykryć obrusami.

- I myślą, że ich podziwiamy! - Zaczął się śmiać. - Za każdym razem, kiedy jeden z nich wchodzi do tego lokalu, uśmiecham się. - Wyszczrzył kościotrupie zęby. - „Hej, jak leci?”, tymczasem ja chciałbym im tylko połamać karki. Nie mogę, ale może mój syn to zrobi, i w tym cała moja nadzieja. Pewnego dnia Dżajant-Dżaj uśmiechnie się, zaciśnie dłonie na szyjach ich synów i ich udusi.

- Widzisz, Bidżu, widzisz, jaki jest świat? - powiedział i rozplakał się z ręką na ramieniu Bidżu.

Uspokajało go dopiero przypomnienie sobie o pieniądzach, które zarabia. W tej myśli odnajdował całkowicie racjonalny powód pozostania w Ameryce, moralność do przyjęcia, most nad rozłamem - i tę prostą prawdę, w której nie dostrzegał żadnej sprzeczności interesów między narodami, szeroko rozgłaszał.

- Nowy dzień, nowy zarobek, ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka, bez pracy nie ma kołaczy, interes to interes, jak mus to mus.

Te aksjomaty były luksusem niedostępnym dla Bidżu, rzecz jasna, ale i tak je powtarzał, ciesząc się tymi pogodnymi słowami i poczuciem wspólnoty.

- Trzeba zarabiać na chleb, nie ma wyjs'cia - mawiał Bidżu.

- Masz rację, Bidżu. Nie mam wyjścia. Czekają nas... — zastanawiał się — nowe perspektywy. Siła wyższa?

Liczył na duży dom, potem liczył na większy dom, nawet jeśli przez pewien czas miał pozostać nieumeblowa-ny, jak dom jego *nemezis*, pana Saha, który posiadał siedem pokoi, a wszystkie były puste: nic prócz telewizora, sofy i białej wykładziny. Nawet telewizor był biały, biel symbolizowała bowiem dla społeczności indyjskiej sukces poza krajem.

- *Hai, hai*, nie będziemy się spieszyć z meblami - zapowiedział pan Sah - ale dom już jest.

Zdjęcia fasady zostały rozesłane wszystkim krewnym w Gudżaracie, z zaparkowanym przed domem białym autem. Lexusem, tą superluksusową limuzyną. Na masce siedziała z wielce zadowoloną miną jego żona. Wyjechała z Indii jako potulna młoda małżonka, cała wymazana henną, w sari przetykanym taką ilością złota, że włączała każdy wykrywacz metalu na lotnisku - a teraz proszę bardzo - w białym spodniem, z podciętymi włosami, kosmetyczką, do tego umiała zatańczyć macarenę.

Zabrali Mutt do zakładu głuchych krawców Apollo, żeby wziąć z niej miarę na zimowe wdzianko, które miało być uszyte z koca, bo nadeszła już zima, i chociaż w Kalim-pangu nie śnieżyło, zrobiło się tylko pochmurno, wszędzie dookoła granica śniegu schodziła coraz niżej, a wysokie góry wokół miasteczka spowijały białe smugi. Rano znajdowali cienki lód w strumykach, szron na grzbietach i w pachwinach wzgórz.

Przez szczeliny i szpary Czo Oj u sączył się jałowy zapach zimy. Łazienkowe krany i kontakty raziły prądem. Swetry i szale jeżyły się podniesionymi włóknami, iskrząc. „Au, au”, wołała Sai. Jej skóra była łuszczącym się deseniem suchości. Kiedy zdejmowała ubranie, suchy naskórek opadał jak sól z solniczki, a włosy, kpiąc z prawa ciężenia, unosiły się jak trzeszczące atenki nad czaszką. Kiedy się uśmiechała, pękały i krwawiły jej usta.

Nasmarowana na święta Bożego Narodzenia wazeliną, lśniąca i miękka, dołączyła do ojca Bootyego i wujka Pottyego w Mon Ami, gdzie poza wonią wazeliny rozchodził się odór mokrych owiec - lecz to były tylko ich wilgotne swetry. Strzecha z włosów anielskich na doniczkowej jodle połyskiwała w świetle ognia, który olśniewał i trzaskał, a mróz szczypał poza jego zasięgiem.

Ojciec Booty i wujek Potty śpiewali razem:

Kto do zupy pani Murphy wrzucił spodnie? Nikt się nie przyznał, więc zapytali głośniej: KTO DO ZUPY PANI MURPHY WRZUCIŁ SPODNIĘ?

I wszyscy się przyłączyli, pijani i rozbawieni.

*

Przepiękny wieczór...

Przepyszna zupa w miedzianym garnku *gjakok*, fosa z rosółem wokół węglowego komina, barania para we włosach, wesołe migotanie złocistego tłuszczu, suszone grzybki tak śliskie, że gorące ześlizgiwały się, nim można było nagryźć ich mięsień.

- Co na WETY? - Lola, kiedy wypowiadała to słowo w Anglii, z niepokojem zauważyła, że Anglicy jej nie rozumieją... Nawet Pixie udawała zdziwienie...

Tutaj jednak rozumieli ją doskonale i Kesang przydźwi-gała ciężki pudding, który przez dodatek brandy ustanowił braterstwo owoców i orzechów, a oni uświęcili ów deser koroną płomienia podpalonej brandy.

Mustafa wspiał się znowu na swoje ulubione miejsce, na kolana Sai, najpierw zwracając pyszczek, a potem zadek do ognia, powoli miękł, aż popuścił trochę moczu na krzesło i podskoczył ze zdumionym miaukiem, wpatrzony w Sai, jak gdyby to ona była odpowiedzialna za tę nieprzyzwoitość.

Na tę okazję siostry wyciągnęły ozdoby z Anglii — różne różności, które wyglądały, jak gdyby miały posmak miętó-wek - śniegowe płatki, bałwanki, sople, gwiazdy. Były tam

figurki małych trolli i szewców-elfów (jaki związek szewcy, trolle i elfy mają z Bożym Narodzeniem, zastanawiała się Sai), które przez pozostałą część roku przechowywano w pudełku po butach Baty na strychu razem z książką o angielskiej zjawie w falbaniastej koszuli, którą straszły Sai, kiedy się po raz pierwszy pojawiła:

— Co ona mówi?

— Hmm, myślę, że robi uuu-uuu jak sowa, takie buczenie, uuu-uuu, urocze i poważne. A raz na jakiś czas mówi: „Masz ochotę na kropelkę sherry, kochanie?“, drżącym, lecz nad wyraz kulturalnym głosem. Były też prezenty, zrobione na drutach skarpety z wioski tybetańskich uchodźców, z kawałkami słomy i rzepów w wełnie — potwierdzały autentyczność i budziły współczucie dla uchodźców, choć drapały w stopy. Były bursztynowe i koralowe kolczyki, butelki morelowej brandy roboty ojca Boory'ego, notesy z półprzezroczystymi kartkami ryżowego papieru i żebrowanymi bambusowymi grzbietami - wychodziły one spod rąk gadatliwych pracowników siedzących przy jednym stole i częstujących się nawzajem różnymi smakołykami w porze obiadu; czasem upuściły jakiegoś pikla, toteż na niektórych stronach widniała wesoła żółta plama...

*

Więcej rumu. W stanie głębszego upojenia alkoholowego, kiedy ogień przygasł, Lola złagodniała i z zakamarków pamięci wydobyła czyste wspomnienie:

— W tamtych czasach, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych - zaczęła - do Sikimu albo Bhutanu podróżowało się wciąż bardzo długo, bo prawie nie było dróg. Poruszaliśmy się konno, zabierając worki z grochem dla

koników, mapy i piersiówki z whisky. W porze deszczowej pijawki spadały na nas z drzew, jak akrobaci, precyzyjnie wybierając odpowiedni moment. Myliśmy się w słonej wodzie, żeby się przed nimi uchronić, posypywaliśmy solą buty i skarpety, nawet włosy. Lecz burze wywiewały sól, musieliśmy więc robić postoje i znów się nią posypywać. Lasy wówczas były olbrzymie i złowieszcze, jeśli ktoś mówił, że mieszka w nich jakaś czarodziejska bestia, wierzyliśmy. Wychodziliśmy z lasu na szczyty gór, gdzie wznoszą się klasztory przyczepione do skał, otoczone przez posągi i modlitewne flagi, ich białe fasady skupiają światło zachodzącego słońca, słomkowożółtego, a góry są poszarpanymi liniami w kolorze indygo. Przystawaliśmy i odpoczywaliśmy, dopóki pijawki nie zaczęły nam się wciskać do skarpet. Buddyzm był tutaj stary, starszy niż gdziekolwiek indziej - jeden z klasztorów zbudowano, jak mówiono, w czasach, kiedy latający lama przelatywał z jednego szczytu na drugi, z Menak Hill na Enchey, a inny, kiedy tęcza połączyła Kanczendzongę z grzbietem wzgórze. Często gompy były opuszczone, bo mnisi pracowali też na roli; wyjeżdżali na swoje pola i zbierali się tylko kilka razy do roku na *pudzę*, w związku z czym słychać tam było tylko hulający wiatr. Przez drzwi wpadały chmury i mieszały się z chmurami na obrazach. Wnętrza były mroczne, przybrudzone dymem i próbowaliśmy oglądać malowidła ściennie przy świetle lampek maślanych...

Żeby dostać się do Thimphu, trzeba było wędrować w trudnych warunkach dwa tygodnie. Po drodze, w dżungli, zatrzymywaliśmy się w tych przypominających okręty fortecach zwanych *dzong*, wznoszonych bez ani jednego gwoździa. Puszczaliśmy kogoś do przodu z wiadomością o naszej wizycie, a oni wysyłali nam prezent, którym witano nas w połowie drogi. Sto lat temu byłaby to tybetańska

herbata, ryż z szafranem, jedwabne szaty z Chin podbite futerkiem nienarodzonych jagniąt, coś w tym stylu; ale wtedy czekał na nas kosz piknikowy z kanapkami z szynką i piwo Gymkhana. Dzongi były w pełni samowystarczalne, z własną armią, chłopami, arystokratami i więźniami w lochach — morderców i mężczyzn przyłapanych na łowieniu ryb za pomocą dynamitu wrzucano tam razem. Jeśli potrzebowali nowego kucharza albo ogrodnika, zrzucali linę i wyciągali kogoś. Kiedy przyjeżdżaliśmy, w jasno oświetlonych salach czekał na nas kalafior w sosie serowym, kiełbaski w bekonie. Był tam taki jeden, zamknięty za brutalne morderstwo, miał smykałkę do wypieków... Prawdziwy mistrz. Nigdy nie jadłam tak pysznej tarty agrestowej.

— I te wanny — wtrącił ojciec Booty — pamiętacie wanny? Kiedyś, jak brałem udział w akcji propagowania mleczarstwa, zatrzymałem się u matki króla, siostry Dzig-me Dordzi, bhutańskiego agenta i władcy dystryktu Ha, który mieszkał niedaleko ciebie, Sai, w Taszidingu... skupił w swoich rękach taką władzę, że król nasał na niego zabójców, choć był bratem królowej. Wanny w ich dzongu zrobione były z wydrążonych pni z wyżłobieniem pod spodem na rozgrzane kamienie, które podgrzewały wodę, i kiedy się moczyłeś, służący wchodzili i wychodzili, wymieniali kamienie i cię szorowali. A kiedy rozbijaliśmy obóz, wykopywali rów nad rzeką, napełniali go wodą i opuszczali do niego gorące kamienie; tak więc można się było pluskać w otoczeniu himalajskich śniegów i lasów rododendronów.

Wiele lat później, kiedy ponownie zawitałem w Bhutanie, królowa koniecznie chciała, żebym udał się do łazienki.

- „Ale ja nie mam potrzeby”.

- „Nie, ale musisz”.
- „Ale ja nie mam potrzeby”.
- „Och, ale MUSISZ”.

Poszedłem więc i okazało się, że łazienka została wyremontowana, nowoczesne instalacje, różowe kafelki, różowe prysznice i różowe sedesy. Kiedy stamtąd wyszedłem, królowa czekała na mnie, zaróżowiona z dumy jak jej łazienka.

- „Widzisz, jak jest ładnie? WIDZIAŁEŚ?”
- Jedźmy tam raz jeszcze - zaproponowała Noni. - Zaplanujmy wyprawę. Czemu nie?

*

Tamtej nocy Sai położyła się do łóżka w nowych skarpetkach z trójwarstwowym wzorem - takich samych używali Szerpowie w ekspedycjach wysokogórskich, takie nosił Tenzing podczas wspinaczki na Mount Everest.

Sai i Gjan niedawno zrobili sobie wycieczkę, żeby obejrzeć skarpety Tenzinga wyeksponowane w muzeum w Dardżylingu w sąsiedztwie jego pomnika, i dobrze im się przyjrzeni. Oglądali także jego nakrycie głowy, czeka-nomłotek, plecak, próbki liofizowanej żywności, którą mógł zabrać ze sobą, napój Horlicks, latarki oraz okazy ciem i nietoperzy z wysokich Himalajów.

- Tenzing był prawdziwym bohaterem - powiedział wtedy Gjan. - Hillary nie dokonałby tego, czego dokonał, bez Szerpów dźwigających jego rzeczy. - Wszyscy dookoła przyznali mu rację. Tenzing z pewnością pierwszy dotarł na szczyt albo kazano mu poczekać z torbami, żeby Hillary mógł pierwszy postawić tam stopę zgodnie z ową kolonialną praktyką zatykania flagi na tym, co do ciebie nie należy.

Sai zastanawiała się: Czy ludzie powinni zdobywać górę, czy powinni pragnąć, żeby góra zdobyła ich? Szerpowie wchodzili na nią i schodzili, po dziesięć, w niektórych wypadkach po piętnaście razy, bez chwały, bez prób zawłaszczania, a byli i tacy, którzy twierdzili, że góra jest świętym miejscem, którego nie wolno w ogóle kłać.

Zdarzyło się to po Nowym Roku — Gjan kupował właśnie na targu ryż i kiedy ryż ważono, dobiegły go krzyki. Wszedł ze sklepu i wtedy porwał go pochód pnący się Mintri Road, prowadzony przez młodych mężczyzn wymachujących wysoko nożami *kukri* i skandujących „*Dźaj Gorkha* . W kotłowaniu twarzy dostrzegł kolegów z *college u*, których odkąd wdał się w romans z Sai, zaniedbywał: Padama, Dźangiego, Dawę, Dilipa.

- Czang, Bhang, Sowa, Osioł! - wołał przyjaciół ich przezwiskami.

*

„Zwycięstwo dla Gorkhijskiej Armii Wyzwolenia!", krzyczeli, nie słysząc go. Siłą tych, którzy popychali ich od tyłu, i rozpędem tych, którzy szli z przodu, wszyscy stopili się w jeden byt. Gjan spostrzegł, że bez żadnego wysiłku płynie ulicą kupców z regionu Marwar siedzących po turecku na białych platformach z materacy. Mijali sklepiki z antykami, gdzie malowidła *tanka* stawały się coraz bardziej antyczne z każdym podmuchem spalin przejeżdżających pojazdów, warsztaty złotników, paryjski* gabinet homeo-

* Parsowie (zaratustrianie) - jedna z grup etnicznych zamieszkujących głównie Indie. Wywodzi się od starożytnych Persów.

r

patyczny, zakład głuchych krawców, którzy wyglądali na poruszonych, wyczuwając wibracje okrzyków, nie potrafiąc wydobyć z nich natomiast żadnego znaczenia. Szalona kobieta z puszkami zwisającymi z uszu i ubrana w krawieckie s'cinki, która piekła martwego ptaka na węglach przy drodze, machała do demonstrantów jak królowa.

Płynący z tłumem Gjan odnosił wrażenie, że w tym momencie dokonuje się historia, jej koła obracają się pod nim, ludzie bowiem zachowywali się, jak gdyby brali udział w wojennym filmie dokumentalnym, i Gjan patrzył już na tę scenę z nostalgicznego punktu widzenia, z pozycji rewolucjonisty. Potem jednak wrażenie to ulotniło się na widok prastarej i typowej sceny, zmartwionych sklepikarzy przyglądających się im ze swoich poplamionych monsunem grot. Wtedy zaczął krzyczeć razem z tłumem i samo połączenie jego głosu z tym ogromem i do-nośnością zdawało się tworzyć coś istotnego, podniosłość, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył, i znów dał się wciągnąć w tworzenie historii.

Potem, kiedy spojrział w stronę gór, wrażenie to znów odeszło. Jak można zmienić coś, co jest stałe i niezmiennie?

Czy ci ludzie są całkowicie oddani tej demonstracji, czy może jest jakiś element przypadku w ich poczynaniach? Czy czerpią inspirację ze starych historii o buncie czy z nadziei, że opowiedzą nową historię? Czy ich serca wznoszą się i opadają ku czemuś prawdziwemu? Czy od tego, że zaczną maszerować i krzyczeć, to uczucie nabierze autentyczności? Czy widzą siebie z perspektywy wykraczającej poza tę chwilę, ci spuszczeni ze smyczy wielbiciele Bruce'a Lee w sprowadzonych z Katmandu „amerykańskich” T-shirtach *made in China?*

Pomyślał o tym, jak często chciał ustawić się w kolejce pod ambasadą amerykańską lub brytyjską i wyje-

chać. „Posłuchaj mnie, *Momo* — zwrócił się do zachwyconej Sai — wyjedźmy do Australii". Odlecieć, do widzenia, pa, pa! Uwolnić się od historii. Od oczekiwań rodziny i skumulowanego długu stuleci. Ten patriotyzm jest fałszywy, pomyślał nagle, maszerując; bez wątpienia wynika z frustracji — przywódcy wykorzystują naturalne rozdrażnienie i buntowniczość wyrostków do swoich cynicznych celów; chcą zaspokoić swe ambicje i zdobyć tę samą władzę, jaką sprawują teraz urzędnicy państwowi, tę samą sposobność obdarowywania miejscowych biznesmenów kontraktami w zamian za łapówki; możność rozdawania posad krewnym, miejsc w szkołach dzieciom, połączeń gazowych do kuchenek...

Lecz pozostali skandowali i widział po ich twarzach, że nie ma w nich jego cynizmu. Ich słowa były szczere; naprawdę odczuwali brak sprawiedliwości. Przeszli obok magazynów pamiętających czasy, kiedy Kalimang był centrum handlu wełną, minęli biuro podróży Śnieżny Lew, budkę telefoniczną STD, restaurację Ferrazzinis Pionier In Fast Food, dwie siostry Tybetanki ze sklepu z szalami Ciepłe Serce; minęli bibliotekę z komiksami i połamane parasole wiszące dziwacznie jak ranne ptaki wokół naprawiających je mężczyzn. Zatrzymali się przed posterunkiem policji, gdzie policjanci, których zazwyczaj można było zobaczyć plotkujących przed budynkiem, zamknęli się w środku. Gjan przypominał sobie porywające historie o czasach, kiedy obywatele powstawali, całe ich miliony, przeciwko Brytyjczykom i żądali, by ci odeszli. Była w tym szlachetność, śmiałość, chlubny ogień - „Indie dla Hindusów. Bez reprezentacji nie ma podatków.

Odmawiamy pomocy w czasie wojny. Ani jednego żołnierza, ani jednej rupii. Precz z brytyjskimi rządami!". Jeśli jakiś naród ma w swej

r

historii, w swoim sercu, taki punkt kulminacyjny, czyż nie zapragnie go znowu?

*

Jakiś mężczyzna wszedł na ławkę:

— W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, bracia i siostry, Brytyjczycy podarowali Indiom wolność, muzułmanom Pakistan, specjalne zabezpieczenia dla wyznaczonych kast i ludów, o wszystko zadbali, bracia i siostry...

Wszystko prócz nas. PRÓCZ NAS. Indyjskich Nepal-czyków. Wtedy, w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego,

Komunistyczna Partia Indii zażądała utworzenia państwa *Gorkhów*, lecz żądanie to zignorowano... Jesteśmy robotnikami na plantacjach herbaty, kulisami dźwigającymi ciężkie ładunki, żołnierzami. A czy możemy zostać lekarzami, urzędnikami państwowymi, właścicielami plantacji herbaty? Nie! Utrzymuje się nas na poziomie służby.

Walczyliśmy za Brytyjczyków przez dwieście lat. Braliśmy udział w pierwszej wojnie światowej. Byliśmy w Afryce Wschodniej, w Egipcie, w Zatoce Perskiej. Przerzucano nas to tu, to tam, jak im pasowało.

Przelewaliśmy naszą krew w drugiej wojnie światowej. W Europie, Syrii, Persji, na Malajach i w Birmie. Gdzież by oni byli bez odwagi naszych? Wciąż za nich walczymy. Kiedy dzielono pułki po uzyskaniu niepodległości, niektóre udały się do Anglii, niektóre zostały, ci z nas, którzy pozostali tutaj, walczyli w ten sam sposób za Indie. Jesteśmy żołnierzami, lojalnymi i odważnymi. Indie ani Anglia nigdy nie miały powodów, by wątpić w naszą lojalność. W wojnach z Pakistanem walczyliśmy przeciwko naszym byłym towarzyszom broni po drugiej stronie granicy. Jakże płakały nasze dusze. Ale jesteśmy *Gorkhami*.
Jesteśmy

żołnierzami. Naszego charakteru nigdy nie kwestionowano. I czy jakoś nas nagrodzono? Czy otrzymaliśmy jakąś rekompensatę?? Czy darzy się nas szacunkiem? N i e! Oni na nas pluja.

Gjan przypomniał sobie ostatnią rozmowę kwalifikacyjną sprzed ponad roku, kiedy pojechał nocnym autokarem aż do Kalkuty do biura zagrzebanego w sercu betonowego budynku, wypełnionego drzeniem świetlówki, której światło nie chciało się ustabilizować.

Wszyscy wyglądali na pozbawionych nadziei, pracownicy w biurze i mężczyzna prowadzący rozmowę kwalifikacyjną, który w końcu wyłączył rozedrgane światło - „niskie napięcie” - i dokończyli rozmowę po ciemku. „Doskonale, zawiadomimy pana o decyzji”. Gjan wiedział, przechodząc po omacku przez labirynt i wychodząc na bezlitosne letnie słońce, że na pewno przyjęty nie zostanie.

- Oto stanowimy osiemdziesiąt procent populacji, w regionie jest dziewięćdziesiąt plantacji herbaty, ale czy choćby jedna jest w rękach Nepalczyka? — zapytał mężczyzna.

-Nie.

- Czy nasze dzieci mogą się uczyć naszego języka w szkole?

-Nie.

- Czy możemy starać się o posady, kiedy zostały one już przyobiecane innym?

-Nie.

- We własnym kraju, w kraju, o który walczyliśmy, traktuje się nas jak niewolników. Codziennie ciężarówki wywożą drewno z naszych lasów, sprzedawane przez cudzoziemców, żeby napełnić kieszenie cudzoziemcom. Codziennie nasze kamienie z dna Tisty wywozi się na

budowę ich domów i miast. My jesteśmy robotnikami pracującymi boso w każdą pogodę, chudymi jak patyki, gdy oni tłuści siedzą w dyrektorskich domach z tłustymi żonami, z tłustymi kontami bankowymi i tłustymi dziećmi wyjeżdżającymi za granicę. Nawet ich fotele są tłuście. Musimy walczyć, bracia i siostry, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. Musimy się zjednoczyć pod banderą Gorkhijskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego. Wybudujemy szpitale i szkoły. Damy pracę naszym synom. Przywrócimy godność naszym córkom uginającym się pod dźwiganymi ciężarami, rozłupującym kamienie przy drodze. Będziemy bronić naszej ojczyzny. Tutaj się urodziliśmy, tutaj urodzili się nasi rodzice, nasi dziadowie. Będziemy załatwiać własne sprawy w swoim języku. Jeśli będzie trzeba, obmyjemy zakrwawione *kukri* w matczynych wodach Tisty. *Dżaj Gorkha*. - Przemawiający zamachał swoim *kukri*, a potem wbił go w kciuk, który podniósł, żeby wszyscy mogli ujrzeć ten nieprzyjemny widok.

— *Dżaj Gorkha! Dżaj Gorkha! Dżaj Gorkha!* — wrzeszczał tłum, a jego krew dudniła, pulsowała, wzbierała na widok dłoni przemawiającego. Trzydziestu uczestników demonstracji wystąpiło z tłumy i też przebiło sobie kciuki nożami *kukri*, żeby narysować krwią plakat domagający się utworzenia Gorkhalandu.

„Odważni żołnierze gorkhijscy broniący Indii, usłyszcie wezwanie - można było przeczytać w ulotkach zasypujących wzgórza - natychmiast wystąpcie z wojska. Bo kiedy przejdziecie w stan spoczynku, będą was traktować jak cudzoziemców”.

GFWN miał oferować pracę swoim, a także utworzyć czterdziestotysięczną gorkhijską armię, budować uniwersytety i szpitale.

Później Czang, Bhang, Sowa i Osioł siedzieli wśród wielu innych w ciasnym baraku byłej kantyny wojskowej Thapas na Ringkingpong Road. Mały, ręcznie wykonany napis z boku informował: „brojlery”. Przed wejściem na beczce po oleju ustawiono stół do gry w ka-rambol i dwaj schorowani obdarci żołnierze na krzywych nogach, pierwotnie z 8. Regimentu Strzelców Gurkhijskich, toczyli pojedynek, gdy chmury kłębiły się i przepływały im między nogami. Góry ucinają się nagle i opadały po obu stronach do bambusowych zarośli, szarych od skroplonej pary.

Powietrze stawało się coraz zimniejsze, w miarę jak zapadał wieczór. Gjan, który w demonstracji wziął udział przypadkowo, porwany przez nią, który skandował hasła pół żartem, pół serio, który na wpół przeżywał, na wpół odgrywał rolę, zauważył, że udzielił mu się zapał innych. Sarkazm i zażenowanie zniknęły. Rozpalony alkoholem, wreszcie poddał się nieodpartemu przyciąganiu historii i dostrzegł, że jego krew pulsuje w rytm czegoś, co wydaje się w pełni autentyczne. Opowiedział historię swego pradziadka i jego synów.

— I myślicie, że dostawali taki sam żołd jak Anglicy w tej samej randze? Narazali własne życie, ale czy dostawali tyle samo pieniędzy? Gniew wszystkich zebranych w kantynie przywitał jego gniew, poklepał go po plecach. Nagle stało się jasne, dlaczego nie ma pieniędzy i nie trafiła mu się żadna porządna praca, dlaczego nie może polecieć na studia do Ameryki, dlaczego wstydzi się zaprosić kogokolwiek do domu. Pomyślał o tym, jak zbył Sai w dniu, kiedy zaproponowała, że odwiedzi jego rodzinę. Przede wszystkim zaś
uzmy

słowił sobie, dlaczego łagodność ojca tak bardzo go mierzi i dlaczego nie może się zmusić do rozmowy z nim, z człowiekiem, który ma tak skromne wyobrażenie o szczęściu, że nie zasmuca go nawet codzienne źródło irytacji w postaci pięćdziesięciu dwóch rozwrzeszczanych chłopaków w jego szkole na plantacji, nawet oddalenie od własnej rodziny ani samotność tej pracy. Gjan chciał nim potrząsnąć, ale jaką satysfakcję można odczuć po potrząśnięciu skarpetą? Próby przemówienia do takiej osoby tylko zdwaja-ją frustrację...

Przez chwilę wszystkie pozory, które zachowywał, wstyd, który odczuwał, przyszłość, która nie chciała go przyjąć - te wszystkie rzeczy stopiły się w jedną prawdę.

Mężczyźni siedzieli i podsycali wzajemnie swój gniew, przekonując się, jak wszyscy w tym kraju, prędzej czy później, że starą nienawiść można przywołać w każdej chwili.

I kiedy ją odgrzebali, odnaleźli nienawiść czystą, czystsza niż mogła być kiedykolwiek przedtem, ponieważ przeminęła zgryzota przeszłości. Pozostała tylko furia, przedestylowana, wyzwalająca. Należała im się z urodzenia, mogła ich odurzyć, była jak narkotyk. Siedzieli w podniosłym nastroju na wąskich drewnianych ławach, tupiąc zmarzniętymi stopami w klepisko.

Atmosfera była męska i Gjan zawstydził się, przypomniawszy sobie herbatki z Sai na werandzie, tosty z serem, babeczki z piekarni i — co gorsza — tę niewielką ciepłą przestrzeń, którą oboje zamieszkiwali, ich dziecinne przekomarzenia...

Nagle to wszystko zaczęło się kłócić z wymogami jego dorosłości.

Wygłosił stanowczą opinię, żeby ruch gorkhijski podjął jak najbardziej radykalne działania.

Markotny i podminowany Gjan przyszedł do Czo Oju następnego dnia, wściekły, że musiał przejść taki kawał drogi w zimnie za nędzne wynagrodzenie, jakie wypłaca mu sędzia. Wściekał się, że mieszkają tutaj, w tej ogromnej rezydencji, biorą gorące kąpiele, śpią osobno, każde w swoim pokoju, i przypomniał sobie nagle kotlety z gotowanym groszkiem, kolację z Sai i sędzią oraz sędziowskie: „zdrowego rozsądku nie masz za grosz”.

— Ale się spóźniłeś — powiedziała Sai na jego widok i Gjan poczuł złość inną od tej z poprzedniego dnia, kiedy przybrawszy wojenne barwy, wypinał tyłek w jedną, a pierś w drugą stronę, i odkrywał pozy świętego oburzenia, nowy rodzaj języka. Ta złość była małostkowa, ściągała go w dół, krępowała duszę, sprawiała, że był skłonny do irytacji. Takiego rozdrażnienia z jej powodu nie czuł jeszcze nigdy.

*

Żeby mu poprawić nastrój, Sai opowiedziała o przyjęciu bożonarodzeniowym...

— Wiesz, trzy razy próbowaliśmy podpalić łyżkę wazową z brandy i połączyć ją pudding...

Gjan zignorował ją i otworzył podręcznik do fizyki. Och, żeby się w końcu przymknęła, tej jej rozpromienionej naiwności, której wcześniej nie zauważył, teraz nie mógł znieść, zbyt był rozdrażniony. Zwróciła się niechętnie ku książce; już dawno nie zaglądali do fizyki i nie uczyli się jej jak należy.

- Jeśli dwa przedmioty, jeden o wadze... i drugi o wadze... zrzuci się z krzywej wieży w Pizie, po jakim czasie i z jaką prędkością spadną na ziemię?

- Jesteś dzisiaj w podłym nastroju — skonstatowała i ziewnęła z rozkoszą, wskazując, że istnieją inne, lepsze możliwości.

Udał, że jej nie usłyszał.

Po chwili on też ziewnął, wbrew sobie.

Sai ponownie ziewnęła, ekspresyjnie jak lew, pozwalając ziewnięciu rozkwitnąć.

Ziewnął on, skromnie, próbując pohamować i połknąć swoje ziewnięcie.

Ziewnęła...

Ziewnął.

- Znudziła ci się fizyka? - zapytała zachęcona pozornym pojednaniem.

- Nie, skąd.

- No to dlaczego ziewasz?

- BO JESTEM ŚMIERTELNIE ZNUDZONY TOBĄ, DLATEGO.

Pełne zdumienia milczenie.

- Mam gdzieś Boże Narodzenie! - krzyknął. - Dlaczego obchodzicie Boże Narodzenie? Jesteście Hindusami i nie obchodzicie Id-ul-Fitr ani urodzin guru Nana-ka czy nawet Durga Pudzi ani Daśahry albo tybetańskiego Nowego Roku.

Zastanowiła się: dlaczego? Zawsze obchodziła Boże Narodzenie. Nie ze względu na klasztorne wychowanie, jej nienawiść do niego była zbyt głęboka, lecz...

- Jesteście jak niewolnicy, tak, właśnie tak, gonicie za Zachodem, przynosicie sobie wstyd. Przez takich ludzi jak wy nigdy do niczego nie dojdziemy.

Dotknięta tak nieoczekiwanym wybuchem złości, odpowiedziała:

- Nie, nie o to chodzi.

- W takim razie o co?

- Jeśli chcę obchodzić Boże Narodzenie, robię to, a jeśli nie chcę obchodzić Diwali, to nie obchodzę. Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce sobie sprawić trochę przyjemności, a Boże Narodzenie jest tak samo indyjskie jak każde inne święto.

Te słowa pogłębiły jego antyświeckie, antygandyjskie nastroje.

- Rób, co chcesz - wzruszył ramionami - nic mi do tego... pokazujesz tylko całemu światu, jaka jesteś GŁUPIA.

Wypowiedział te słowa powoli i wyraźnie, koniecznie chcąc dostrzec na jej twarzy urazę.

- No to czemu nie pójdziesz sobie do domu, skoro jestem taka głupia? Jaki jest sens uczenia mnie czegokolwiek?

- W porządku, pójdę sobie. Masz rację. Jaki jest sens uczenia ciebie?

Jest jasne, że ty chcesz tylko papugować. Nie umiesz myśleć samodzielnie. P a p u g a . . Nie wiesz, że ci ludzie, których papugujesz, CIEBIE NIE CHCĄ!!!!

- Nikogo nie papuguję!

- Myślisz, że jesteś oryginalna, świętując Boże Narodzenie? Daj spokój, nie mów mi, że jesteś aż tak głupia.

— No to skoro jesteś taki mądry — odparowała — jakim cudem nie możesz znaleźć przyzwoitej pracy? Każda rozmowa kwalifikacyjna to fiasko. Fiasko za fiaskiem.

— Przez takich jak ty!

— Ach, przeze mnie... i ty mi mówisz, że to ja jestem głupia? Kto tu jest głupi? Niech ktoś to rozsądzi i zobaczymy wtedy, kto jest głupi. Chwyciła szklanę, lecz woda rozlała się, nim trafiła do jej ust, tak bardzo trzęsły jej się ręce.

Sędzia rozmyślał o swej nienawiści.

*

Kiedy wracał z Anglii, witali go ci sami geriatryczni muzycy, którzy żegnali go przed podróżą, lecz tym razem byli niewidzialni z powodu kłębow dymu i kurzu powstałych po rzuceniu na tory sztucznych ogni, które eksplodowały, gdy pociąg wjeżdżał na stację. Rozległy się gwizdy i okrzyki z gardeł dwóch tysięcy gapiów, którzy chcieli być świadkami tego historycznego wydarzenia, powrotu pierwszego członka ich społeczności mającego wstąpić do Indyjskiej Służby Cywilnej. Obwieszono go girlandami, a na rondzie jego kapelusza osiadły płatki kwiatów. I tam, na końcu stacji, w cieniu szerokości ostrza noża, stał ktoś jeszcze, kto wyglądał z lekka znajomo; nie siostra ani kuzynka; była to Nimi, jego żona, którą sprowadzono z domu jej ojca, gdzie czekała na niego do tego dnia. Oprócz krótkich wymian zdań z właścicielkami wynajmowanych pokoi oraz „dzień dobry” w sklepach od lat nie rozmawiał z żadną kobietą. Podeszła do niego z girlandą. Nie patrzyli na siebie, gdy przekładała mu ją przez głowę. On skierował oczy

do góry, ona - w dół. On miał lat dwadzieścia pięć, ona dziewiętnaście. — Tacy nieśmiali, tacy nieśmiali. — Zachwycony tłum był przekonany, że widzi ich lęk przed miłością. (Zdumiewający jest optymizm publiczności, nigdy nie chce wierzyć w nieistnienie romansu).

Co on z nią pocznie?

Zapomniał, że ma żonę.

Cóż, wiedział o tym, oczywiście, lecz oddaliła się jak wszystko inne z przeszłości, seria faktów, które przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ten jednak miał go nie odstąpić, tak jak żony w tamtych czasach nie odstępowały swych mężów.

*

Przez te całe pięć lat Nimi pamiętała o ich przejażdżce rowerowej i swoim kwitującym sercu, jak śliczna musiała mu się wydać... Uznał ją za pociągającą, a ona była gotowa okazać wdzięczność każdemu, kto tak ją postrzegał. W kosmetyczce, którą Dżemubhai przywiózł z Cambridge, znalazła słoiczek z zielonym balsamem, szczotkę do włosów i grzebień ze srebrnymi rączkami, poduszeczkę z jedwabną pętelką w okrągłym pojemniczku z pudrem - i pierwszy raz w życiu złowiła delikatny zapach lawendy. Rześkie lekkie wonie, które unosiły się z jego nowych rzeczy, pachniały dalekim miejscem. Piphit pachniał piaskiem i tylko od czasu do czasu pojawiał się zdumiewający zapach deszczu. Perfumy Piphitu odurzały, były ciężkie i oszalamiające. Nie wiedziała zbyt wiele o Anglikach, a cała jej wiedza opierała się na strzępach rozmów, które docierały do nich w odosobnieniu komnat dla kobiet, na

przykład że Angielki w klubie grają w tenisa ubrane tylko w bieliznę.

- W szorty! - zawołał jej młody wujek.

- W bieliznę - upierały się panie.

Jak odnalazłaby się pośród tych dam ubranych w bieliznę, z raketami tenisowymi w dłoni?

Wzięła do ręki puszek do pudru sędziego, rozpięła bluzkę i przypudrowała piersi. Zapięła bluzkę i wcisnęła pod nią ten puszek, tak obcy, tak miękki; była za duża na dziecięce złodziejstwa, wiedziała o tym, lecz porwała ją chciwość.

*

Popołudnia w Piphicie trwały tak długo, Patelowie odpoczywali, usiłując oddalić od siebie straszną myśl, że czas już nigdy nie drgnie - wszyscy prócz Dżemubhaia, który odzwyczyił się od takiej kapitulacji. Usiadł, powiercił się, spojrzął na skrzydlatego dinozaura, drzewo bananowca z fioletowym dziobem, okiem kogoś, kto widzi coś takiego po raz pierwszy. Był cudzoziemcem... cudzoziemcem... krzyczała każda jego cząstka. Wyłamał się tylko układ trawienny, który przypominał mu, że jest w domu: kucając z trudem w ciasnym wychodku, przeklinając po angielsku *bloody heli*, podczas gdy trzaskały jego kolana dżentelmena, czuł, że jego układ trawienny działa superwydajnie jak... jak zachodnia komunikacja.

Z nudów postanowił przejrzeć swoje rzeczy i wtedy odkrył, że czegoś nie ma.

- Gdzie mój puszek do pudru? - krzyknął Dżemub-hai w stronę kobiet z rodziny Patelów rozłożonych na matach w cieniu werandy.

— Co? - podniosły głowy, osłaniając oczy przed eksplodującym światłem.

— Ktoś grzebał w moich rzeczach.

Tak naprawdę wtedy już wszyscy domownicy przejrżeli jego rzeczy i zupełnie nie rozumieli, dlaczego miałby robić z tego problem. Jego nowe wyobrażenia na temat prywatności były zupełnie niezrozumiałe; dlaczego miałby mieć coś przeciwko temu i jaki to ma związek z kradzieżą?

— Ale co zginęło?

— Puszek.

— Co to takiego? Próbował wyjaśnić.

— Ale, do licha, do czego to służy, *babał* — Spoglądali na niego z konsternacją.

— Różowobiałe co? Ze niby nakłada się na skórę? Po co?

— Różowe?

Jego matka zaczęła się martwić.

— Czy coś jest nie tak z twoją skórą? - zapytała zatroskana.

Ale...

— Ha, ha - zaśmiała się jego siostra, która uważnie im się przysłuchiwała - wysłaliśmy cię za granicę, żebyś stał się dżentelmenem, a tymczasem stałeś się damą!

Podekscytowanie rosło i z dalszych domów klanu Pa-telów zaczęli schodzić się krewni. *Kaka kaki mausa mausi phua phoi*. Potworne dzieci wszystkie razem, masa, z której jednego dziecka nie można było odróżnić od drugiego, przypominały bowiem potwora złożonego z wielu rąk i nóg, który zjawił się, wykonując akrobatyczne sztuki, wzbijając kurz i wrzeszcząc; setki rąk zasłaniały setki chichoczących ust. Kto co ukradł?

- Zginął mu puszek do pudru - oznajmił ojciec Dże-mubhaia, który myślał chyba, że przedmiot ten niezbędny jest synowi w jego pracy. Wszyscy używali wyrażenia angielskiego, gdyż naturalnie w języku gudzarati nie było słowa na ten wynalazek. Już sama ich wymowa irytowała sędziego. W ich ustach „puszekdo-pudru” brzmiał jak nazwa jakiejś paryjskiej potrawy.

Wyciągali z szafy wszystkie rzeczy i przy wtórze okrzyków oglądali każdą z nich, jego garnitury, bieliznę, lornetkę teatralną, przez którą oglądał *tutu* baletnic przemykających bokiem przez scenę w *Giselle*, rozwijających się we wzory ciast i tortów.

Ale nie, tam go nie było. Ani w kuchni, na werandzie też nie. Nigdzie go nie było.

Matka wypytała najbardziej niegrzecznych kuzynów.

- Widzieliście to? -Co?

- Puszekdołpudru.

- Co to jest puszektołbudru? Puszektołbyrdu?

- Chroni skórę.

- Chroni skórę przed czym?

I znów musiał znosić wstyd wyjaśniania wszystkiego od początku.

- Różowobiały? Po co?

*

- A co wy wszyscy, do diabła, wiecie? - pieklił się Dże-mubhai. Banda złodziei i ignorantów.

Myślał, że będą mieli dość dobrego smaku, by okazać podziw, a nawet pewien respekt dla tego, kim się stał, tymczasem oni tylko się śmiali.

- Ty musisz coś wiedzieć — sędzia w końcu oskarżył Nimi.
- Nie widziałam go. Do czego mi on potrzebny? - zapytała. Serce waliło jej za dwiema lawendowo upudrowa-nymi, różowobiałymi piersiami, za przywiezionym z Anglii puszką męża.
Nie podobała mu się twarz żony, szukał w niej swojej nienawiści, odnalazł piękno, odrzucił je. Kiedyś było czymś przerażającym i kuszącym, co zamieniało jego serce w wodę, teraz jednak wydawało się nieistotne. Hinduska nigdy nie dorówna urodą Angielce.
I wtedy kiedy już się od niej odwracał, zauważył coś...
Kilka delikatnych włókienek wystających spomiędzy haftek.
- Ty diablico! - krzyknął i spomiędzy jej smutnych piersi wydobył jak zabawny kwiat albo eksplodujące zranione serce... swój dandysowaty puszek do pudru.

*

- Połamcie łożko - krzyknęła wiekowa ciotka, słysząc przepychanki w pokoju, i wszyscy zaczęli chichotać i kiwać głowami z satysfakcją.
- Teraz się opamięta - powiedziała inna starucha głosem wiedźmy. — Ta dziewczyna jest za bardzo rozbastwiona.
W pokoju, specjalnie opuszczonym przez wszystkich, którzy zazwyczaj tam spali, Dżemubhai, z twarzą nabrzmiałą od gniewu, próbował schwytać żonę.
Wymykała mu się, co rozsierdziło go jeszcze bardziej.

Ta, która ukradła. Ta, przez którą się z niego śmiali. Ta niepiśmienna wieśniaczka. Znow spróbował ją chwycić. Uciekała, a on ją gonił. Podbiegła do drzwi. Lecz drzwi były zamknięte. Spróbowała znowu. Nawet nie drgnęły.

Zamknęła je na klucz ciotka — na wszelki wypadek. Tyle się słyszało o pannach młodych, które próbowały uciekać... od czasu do czasu wyślizgiwali się ponoć nawet panowie. Wstydihańbawstydihańba dla rodziny.

Rzucił się na nią z morderczym spojrzeniem.

Pobiegła w stronę okna.

Zastąpił jej drogę.

Bez zastanowienia chwyciła pudełeczko z pudrem ze stolika przy drzwiach i rzuciła mu nim w twarz, przerażona tym, co robi, lecz strach był nieodłączną częścią tego gestu i po kilku sekundach stało się...

Pudełeczko otworzyło się, buchnął z niego puder powoli opadał.

Jak upiór przysypany słodkim, cukierkowym pigmentem, runął na nią, przygniótł do ziemi, i gdy powoli opadała na nich ta idealna różowa karnacja rozbita na miliony pyłków, w gęstym przemieszaniu pożądania i wściekłości - z rozciągającym się penisem, ciemnopur-purowym jak od gniewu, dżgającym na oślepie, poszukującym korytarza, o którym słyszał - niezdarnie wepchnął się w nią. Starzejący się wujek, pomarszczony mężczyzna o ptasiej twarzy w *dhoti* i okularach, podglądając przez szparę w ścianie, poczuł swoje rozbudzone pożądanie i — trach - spowodowało ono, że zaczął jak ptak skakać po podwórzu.

*

Dżemubhai cieszył się, że może ukryć swój brak wprawy, swoją niezdarność za maską nienawiści i wściekłości -ta sztuczka miała mu dobrze służyć przez całe życie w różnych sferach - lecz, mój Boże, jakże groteskowe było to spotkanie lgnących ku sobie organów w paskudnym akcie agresji i konsumpcji; kalekie, sine, napierające i cofające się formy życia; cierpkie, owłosione gardło; stymulująca węzowa umięśniona wrogość; odór moczu i kału zmieszany z wonią stosunku; plaskanie, morskie tryskanie, ten niekontrolowany strumień — to wszystko burzyło jego cywilizowane wnętrzości.

Powtarzał jednak ten rynsztokowy akt raz za razem. Do znudzenia nawet, bez końca, nawyku tego nie mógł w sobie znieść. Ten niesmak i własna uporczywość budziły w nim gniew większy niż kiedykolwiek, a wszelkie przejawy okrucieństwa wobec żony stały się czymś, czemu nie umiał się oprzeć. Chciał dać jej taką samą nauczkę samotności i wstydu, jaką dostał kiedyś on. W miejscach publicznych nigdy się do niej nie odzywał, nigdy nie patrzył w jej stronę.

Przyzwyczała się do jego obojętnego wyrazu twarzy, kiedy się w nią wpychał, do tego spojrzenia w dal, całkowicie zaabsorbowanego sobą, pustego spojrzenia psów lub małąp ruchających się na bazarze; do chwili, aż nagle wydawało się, że traci nad sobą panowanie i z jego twarzy zsuwa się maska. Zaraz potem, nim cokolwiek mogło zostać ujawnione, maska znów osiadała na swoim miejscu, a on oddalał się do łazienki, gdzie spędzał mnóstwo czasu z mydłem, gorącą wodą i dettolem. Po tych ablucjach wypijał dokładnie odmierzoną porcję whisky, jak gdyby spożywał środek dezynfekujący.

Sędzia i Nimi dwa dni jechali pociągiem i samochodem, a kiedy przybyli do Bondy, sędzia wynajął dom na skraju strefy cywilnej za trzydzieści pięć rupii miesięcznie, bez wody i elektryczności. Nie mógł sobie pozwolić na nic lepszego do czasu, aż spłaci długi, udawało mu się wygospodarować jednak trochę pieniędzy na zatrudnienie towarzyski dla Nimi. Niejakiej Enid Pott, która wyglądała jak buldog w kapeluszu. Poprzednio pracowała jako guwernantka dzieci pana Singha, komisarza, i tak wychowała swoje podopieczne, by zwracały się do matki „Mam”, do ojca „Pa”, podawała im tran na niestrawność i uczyła recytować z pamięci *Nellie Bly*. Noszone przez nią w torebce zdjęcie ukazywało ją z dwiema ciemnowłosymi dziewczynkami w marynarskich sukienkach; skarpetki były wyraźne, a twarze zamazane.

Nimi nie nauczyła się angielskiego i sędzia uważał, że przyczyną jest jej uparty charakter.

- Co to jest? - pytał ze złością, podnosząc gruszkę.
- Co to jest? - wskazywał na sosjerkę kupioną w komisie, sprzedaną przez rodzinę, której monogram, z fantastycznymi zawijasami, szczęśliwie pasował - *DPP*. Kupił ją w tajemnicy i ukrył w innej torbie, żeby jego żalosne aspiracje i skąpstwo nie wyszły na jaw. David Peter Peterson czy Dżemubhai Popatlal Patel. Co za różnica.

*

- Co to jest? - zapytał, podnosząc bułkę. Milczenie.
- Jeśli nie wypowiesz tego słowa, to jej nie zjesz.

Dalsze milczenie. Zabrał jej bułkę z talerza.

Później tego samego dnia wyrwał jej napój Ovaltine, który popijała drobnymi łyčzkami. — Jeśli ci nie smakuje, nie pij.

Nie mógł jej nigdzie zabrać i wił się jak piskorz, kiedy pani Singh groziła mu palcem ze słowami: „Gdzie jest pańska żona, panie Patel? Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z praktyką[^]zr[^]?”.

Odgrywając swoją rolę w karierze męża, pani Singh usiłowała naśladować idealne wyważenie pogodnej uprzejmości i stanowczej rzeczowości typowej Angielki, i w ten sposób udało jej się przy-krócić cugli wielu miejscowym, którzy szczycili się nedorzecznym zazwyczaj zachowaniem.

*

Nimi nie towarzyszyła mężowi podczas objazdów, inaczej niż inne żony, które podróżowały wierzchem na koniu, na słońiu, na wielbłądzie albo w *palki* dźwiganych przez tragarzy (z których wszyscy, ze względu na tłuste tyłki tych dam, umierali młodo), gdy za nimi stukały transportowane garnki i rondle, butelka whisky i butelka porto, licznik Geigera-Miillera i licznik scyntylacyjny, puszki z tuńczykiem i oszalały ze zdenerwowania żywy kurczak. Nikt mu nigdy tego nie mówił, lecz on wiedział; to tkwiło w jego duszy, owo oczekiwanie na topór.

Nimi zostawała sama w Bondzie; trzy tygodnie z czterech, przemierzała pokoje, snuła się po ogrodzie. Dziewiętnaście lat spędziła w obrębie posiadłości ojca i wciąż nie mogła pomyśleć nawet o przekroczeniu bramy. Jej widok, otwartej, kuszącej, przepelniał ją bólem samotności.

Nikt się o nią nie troszczył, jej wolność była bezużyteczna, a mąż zaniedbywał swe obowiązki.

Wspinała się schodami na płaski dach wśród leniwej dostojności letnich zmierzchów i patrzyła, jak Jamuna przepływa przez krajobraz ujęty czule w kokon kurzu. Krowy wracały z pastwisk; w świątyni dzwoniły dzwony; widziała ptaki testujące najpierw jedno drzewo na nocleg, potem następne, cały czas wydając z siebie odgłosy wielkiego ożywienia jak kobiety w sklepie z sari. Na drugim brzegu rzeki, w oddali, widziała ruiny pawilonu myśliwskiego pochodzącego z czasów jednego z Mogołów, cesarza Dżahangi-ra: zaledwie kilka bladych łuków wciąż podtrzymujących rzeźbione irysy. Mogołowie zeszli z gór, by najechać Indie, lecz pomimo wojennego kunsztu mieli tak miękkie serca, że ronili łzy nad tym kwiatem usychającym w upale; uporczywy sen o irysie był rzeźbiony wszędzie, przez rękodzielników, którzy odczuwali nostalgię, doceniali piękno tego, co stworzyli, a czego nigdy nie poznali.

Scena ta, widok historii przemijającej i trwającej, przejmowała Nimi wielkim smutkiem. Całkowicie oddaliła się od życia. Mijały tygodnie, a ona do nikogo się nie odzywała, służący rzucali jej resztki swoich posiłków; bez żadnych oporów kradli zapasy; bez wyrzutów sumienia pozwalali, by dom zarastał brudem - do dnia przed przyjazdem Dżemubhaia, kiedy nagle znów wszystko odzyskiwało blask, nastawiano zegar, wodę przegotowywano przez dwadzieścia minut, owoce nasączano odpowiednio długo w roztworze nadmanganianu potasu. W końcu nowy używany samochód Dżemubhaia — który bardziej przypominał łagodną grubą krowę niż automobil — przejeżdżał z terkotem przez bramę.

Wchodził do domu dziarskim krokiem, a kiedy zastawał żonę w stanie beczelnie podważającym jego pozycję...

Cóż, jego irytacja była nie do opanowania.

Denerwowały go nawet jej miny, lecz ponieważ stopniowo zastępował je pusty wyraz twarzy, z czasem zaczął go irytować ich brak.

Co miał z nią zrobić? Bez inicjatywy, niezdolna zapewnić sobie rozrywkę, stworzona z nicości, a jednak zakłócająca spokój.

Porzuciła ją panna Enid Pott, która rzekła:

— Nimi najwyraźniej podjęła decyzję, żeby się niczego nie nauczyć.

Ma pan pod samym nosem *swaradżist-kę*, panie Patel. Ona nie chce się nawet kłócić, w ten sposób można by było wykrzesać jakąś reakcję, przeprowadzić rozmowę - lecz ona tylko obojętnieje.

Do tego dochodził jeszcze jej typowo indyjski tyłek - leniwy, szeroki jak zad bawołu. Gryzący zapach czerwonego olejku w jej włosach, który odbierał jak fizyczny dotyk.

— Zdejmij te idiotyczne świecidełka - poinstruował ją doprowadzony do furii brzękiem bransolet.

— Dlaczego musisz się ubierać w tak krzykliwe stroje? Żółte i różowe? Zwariowałaś? - Wyrzucił buteleczki z olejkiem i jej długie włosy wymykały się bez względu na to, jak starannie upinała je w kok. Sędzia znajdował je, jak przemierzają pokój w powietrzu; jeden znalazł w zupie, owinięty wokół grzybka.

Pewnego dnia zauważył ślady stóp na desce klozetowej—k u c a ła n a niej, k u c a ła n a niej! —nie potrafił pohamować wściekłości, chwycił jej głowę i wepchnął do muszli klozetowej; po pewnym czasie Nimi, zniewolona swym nieszczęściem, popadła w całkowite otępienie, zasypiała w oślepiającym słońcu i budziła się w środku nocy.

Wyglądała na świat, lecz nie mogła się na nim skupić, nigdy nie podchodziła do lustra, bo nie widziała

w nim siebie, zresztą nie chciała poświęcać ani chwili strojeniu się i trefieniu włosów, czynnościom zarezerwowanym dla szczęśliwych i kochanych.

Kiedy Dżemubhai ją widział z policzkami obsypanymi krostami, odbierał jej podupadłą urodę jako kolejny afront i obawiał się, że zarazi się od niej jakąś chorobą skóry. Kazał służącym przemywać wszystko dettolem, żeby zabić zarazki. Pudrował się ze szczególną starannością nowym puszkciem, za każdym razem przypominając sobie ten stary, który skrył się pomiędzy jej nieprzyzwoitymi piersiami o noskach klauna.

- Nie pokazuj twarzy nigdzie poza domem — nakazał jej. - Ludzie uciekliby przed tobą z krzykiem. - Nim rok dobiegł końca, wstręt, który czuli do siebie nawzajem, był już tak silny, jak gdyby podłączyli się do nieograniczonego źródła goryczy, które poniosło ich poza granice tego, co człowiek jest zazwyczaj w stanie poczuć. Należeli do tego uczucia bardziej niż do siebie, doświadczali złości o sile, która wystarczyłaby całym narodom złączonym w nienawiści.

— Boże Narodzenie! — zawołał Gjan. — Co za głupota! Wychodząc, usłyszał, jak Sai zaczyna szlochać.

— Ty podły draniu — krzyknęła przez łązy — wracaj tu. Tak się zachowujesz, a potem uciekasz??

Zatrważający był widok dewastacji, do której doprowadzili, i jego gniew zaczął go przerażać, gdy widział jej twarz przez kraty deformującego uczucia. Zdał sobie sprawę, że Sai niekoniecznie jest przyczyną tego, co czuje, lecz na odchodnym trzasnął bramą.

Boże Narodzenie nigdy wcześniej mu nie przeszkadzało...

Pomyślał, że Sai definiuje jego nienawiść, za jej pośrednictwem dostrzega ją... och... a potem nie może się powstrzymać, żeby tej nienawiści nie wyostrzyć, choćby tylko w imię klarowności.

Nie ma w tobie ani krzty dumy? Próbujesz robić wszystko na zachodnią modłę. Oni ciebie nie chcą!!!! Pojedź tam, a przekonasz się, czy przyjmą cię z otwartymi ramionami. Będziesz szorować im kible, a nawet wtedy nie będą ciebie chcieli.

*

Gjan wrócił do Czo Oju.

— Słuchaj - powiedział - przepraszam cię.

Potrzebna była łagodna perswazja.

- Tak się zachować! — oburzała się Sai.

- Przepraszam.

W końcu jednak przyjęła przeprosiny, z ulgą bowiem odrzuciła myśl o tym, że nie jest dla niego najważniejsza w ich romansie. Myliła się - była najważniejsza dla siebie, jak to zwykle bywa, i była też drobnym pionkiem odgrywającym swoją rolę w historii kogoś innego.

Odwróciła się od tej myśli ku jego pocałunkom.

- Nie mogę ci się oprzeć, na tym polega problem... - powiedział Gjan.

Ona, kusicielka, roześmiała się.

Lecz natury ludzkiej nie da się zmienić. Pocałunki okazały się zbyt cikliwe. Minęło kilka chwil, a przeprosiny ze szczerych zamieniły się w nieszczerze, i Gjan był zły na siebie za to, że jej uległ.

★

Udał się do kantyny - zachodzące słońce wyglądało jak rozszalała Kali - i raz jeszcze usłyszał w sobie głos czystości. Będzie musiał złożyć głupie pocałunki na ołtarzu dorosłości. Ogarnęło go poczucie męczeństwa, a z czystością dla sprawy przyszły bardziej niż kiedykolwiek dojmujące zmartwienia dotyczące nieczystości. Ten romans zbrukał go, rozstroiła go łatwość, z jaką Sai ofiarowała mu siebie. Nie tak należało się zachowywać. To było niesmaczne.

Przypomniał sobie środek buddyjskiego koła życia w szponach lub kłach demona symbolizującego piekło, które na nas czyha:

kogut-wąż-świnia; pożądanie-agresja-niewiedza; goniące się, karmiące się sobą nawzajem i stanowiące pokarm dla innych.

Sai w Czo Oj u też rozmyślała nad żądzą, furią i głupotą. Próbowwała pohamować gniew, lecz ten nie przestawał w niej narastać; próbowała sprzeniewierzyć się własnym uczuciom, te jednak nie dawały za wygraną.

Właściwie co jest złego w znajdowaniu pretekstu do świętowania? Idąc dalej za tym argumentem, można by sprzeciwiać się też mówieniu po angielsku lub jadaniu hamburgerów w barze Hasty Tasty — przed tym wszystkim Gjan raczej nie mógł się obronić. Jeszcze przez jakiś czas drążyła w myślach ten temat, by wykazać mu wszystkie niedoskonałości jego rozumowania.

— Ty draniu — rzuciła w pustkę. — Moja godność jest warta tysiąca takich jak ty.

- Gdzie on polazł tak szybko? - zapytał wieczorem kucharz.

- Kto go tam wie? - odparła. - Ale miałeś rację co do ryb i Nepalczyków. On nie jest zbyt inteligentny. Im dłużej się uczymy, tym mniej zdaje się wiedzieć, a jeśli pojawia się coś, czego on nie wie, a ja tak, wpada w furię.

— Tak — przyznał kucharz ze współczuciem, sam przecież przepowiedział głupotę tego chłopaka.

*

W knajpie Thapas Gjan powiedział Czangowi, Bhan-gowi, Sowie i Osłowi o tym, że jest zmuszony dawać lekcje, żeby trochę zarobić. Jak bardzo by się cieszył, gdyby znalazł normalną pracę i zostawił tę rozkapryszoną parkę, Sai i jej dziadka ze sztucznym angielskim akcentem i twarzą przypudrowaną na białoróżowo na ciemnobrązowym tle. Wszyscy w knajpie śmiali się do rozpuku, gdy małpował

jego akcent: „Jakich poetów się teraz czytuje, miody człowieku?”. A ośmielony ich „Ha, ha, ha”, czując mrowienie w rozpuszczonym pod wpływem alkoholu języku, przeskoczył gładko do opisu domu, strzelb na ścianach i dyplomu z Cambridge, o którym nawet nie wiedzieli, że nie jest powodem do dumy.

*

Dlaczego miałby nie zdradzić Sai?

Jej, która nie mówi w żadnym innym języku prócz angielskiego i łamanego hindi; jej, która nie potrafi rozmawiać z nikim spoza swej cieniuteńkiej warstwy społecznej.

Jej, która nie umie jeść palcami; nie przykuca na ziemi, czekając na autobus; która nigdy nie była w świątyni w innym celu niż dla jej architektonicznych walorów; nigdy nie żuła *panu* i nie spróbowała większości słodczy *mithai*, bo wywołują w niej odruch wymiotny; jej, która wyszła z hollywoodzkiego filmu tak wycieńczona emocjami i łzami, że szła do domu jak chora i padła na sofę bez sił; jej, która uważa za coś wulgarnego wcieranie olejku we włosy i używa papieru do podcierania tyłka; preferuje tak zwane angielskie warzywa, groch, fasolę, dymkę i boi się... bo i się... *loki, tinda, kanthal, kaddu, patrel* i miejscowego *sag* na rynku.

Spożywając razem posiłek, zawsze czuli się zażenowani - on zakłopotany jej wybrednością i powściągliwością, ona jego energią i palcami wymazanymi sosem *dal*, jego siorbaniem i mlaskaniem. Sędzia sztucami jadł nawet *ćapati, puri* i *paratha*. Nalegał, żeby Sai w jego obecności robiła tak samo.

A jednak Gjan był całkowicie przekonany, że Sai jest dumna ze swego zachowania; może i chowa tę dumę pod maską zawstydzienia swym brakiem indyjskości, lecz wyznacza ona jej status. O tak. Pozwala jej na ten przewrotny luksus - przyjemność z upokarzania siebie, krytykowania siebie, by uzyskać wręcz odwrotny efekt... nie upadła, tajemniczo się podnosiła.

Tak więc w chwilowym rozemocjonowaniu powiedział. O strzelbach i dobrze zaopatrzonej kuchni, o alkoholu w szafce, o braku telefonu i o tym, że nie mają kogo wezwać na pomoc.

Lecz następnego dnia, kiedy się obudził, znów poczuł wyrzuty sumienia. Przypomniało mu się, jak przed rokiem leżeli splątani w ogrodzie, na szorstkiej trawie pod wysokimi drzewami zamieniającymi niebo w układankę, z gwiazdami jak świetlna pajęczyna za prehistorycznymi paprociami.

Jakże płynna jest natura miłości. Poznawał, że nie jest czymś stałym, nie jest jak święta księga; jest chwiejnością, która aż się prosi, by ją wykorzystać do zdrady — przybiera formę wszystkiego, w co się przelewa. I prawdę mówiąc, trudno mu się było powstrzymać przed przelewaniem jej w różne naczynia. Mogła być zastosowana do przeróżnych celów... Żałował, że nie jest czymś bardziej określonym. Zaczęła go naprawdę przerażać.

Zmartwiony coraz większymi problemami na targu i przerwami w zaopatrzeniu wywołanymi strajkami, kucharz wkładał właśnie bawole mięso, które coraz trudniej było dostać, do posiłku Mutt. Rozwinął łąkę z przesiąkniętej krwią gazety i nagle przysłała mu do głowy natarczywa myśl, że oto trzyma w ręku dwa kilogramy ciała syna, martwego jak to mięso.

Przed laty, kiedy żona kucharza nieszczęśliwie spadła z drzewa, na którym zrywała liście dla kozy, wszyscy w wiosce mówili, że jej duch mógł porwać Bidzu, umarła bowiem śmiercią gwałtowną. Kapłani twierdzili, że duch przechodzący na tamten świat w taki sposób pozostaje rozgniewany. Jego żona była osobą cichą — właściwie prawie nie pamiętał, żeby się odzywała - oni upierali się jednak, że Bidzu naprawdę widział matkę, przezroczystą nocną zjawę, jak próbowała go porwać. Bliżsi i dalsi krewni kucharza pokonywali szmat drogi na pocztę w najbliższym miasteczku, żeby słać telegramy na adres sędziego. W tamtych czasach telegramy przynosił pocztowy goniec, który biegał od wioski do wioski, potrząsając włócznią. — W imię królowej Wiktorii dajcie mi przejść — wołał śpiewnym, wysokim głosem. Nie wiedział, że Wiktoria dawno już nie żyje, ani go to specjalnie nie interesowało.

„Kapłan powiedział, że *bali* trzeba odczynić w *amawas*, najciemniejszą bezksiężycową noc miesiąca. Musisz złożyć ofiarę z kury”.

Sędzia nie chciał o tym słyszeć.

- Zabobony. Ty głupcze! Dlaczego tutaj nie ma duchów? Nie powinny straszyć tak samo tutaj, jak w twojej wiosce?

— Bo tutaj jest elektryczność — stwierdził kucharz. — One boją się elektryczności, a w naszej wiosce nie ma prądu, dlatego...

— Po cożeś przeżył tyle lat? — zapytał sędzia. — Mieszkasz ze mną, chodzisz do normalnego lekarza, nawet nauczyłeś się trochę czytać i pisać, czasem czytasz gazetę, i wszystko na darmo! Kapłani wciąż mogą cię omamić i okraść z pieniędzy.

Wszyscy pozostali służący utworzyli chór doradzający kucharzowi zlekceważyć opinię pracodawcy i uratować syna, bo duchy przecież istnieją:

- *Hota hai bota hai*, musisz to zrobić.

Kucharz stanął przed sędzią z wyssaną z palca historyjką o dachu jego domu, który zwiało podczas ostatniej burzy. Sędzia dał wreszcie za wygraną i kucharz udał się do swojej wioski.

Teraz, choć minęło tyle lat, zaczął się martwić, że tamta ofiara nie spełniła swego zadania, że ponieważ skłamał sędziemu, jej działanie zostało zniwelowane, że ducha żony nie udało się tak naprawdę udobruchać, że ofiara nie została dostrzeżona albo nie była wystarczająco duża. Złożył wtedy w ofierze kozę i kurę, ale jeśli duch wciąż ma apetyt na Bidżu, to co?

Kucharz po raz pierwszy podjął próbę wysłania syna za granicę cztery lata wcześniej, kiedy w Kalimangu pojawił się agent werbujący chętnych do pracy na liniowcu w charakterze kelnerów, pomocy kuchennych do krojenia warzyw, sprzątaczy toalet — najniższy personel do najgorszej harówki - z których wszyscy mieli się pojawić na pożegnalnym galowym obiedzie w garniturach i muszkach, ślizgając się na łyżwach, stojąc jeden drugiemu na ramionach, z ananasami na głowach, i z płonącymi naleśnikami.

„Zapewni legalne zatrudnienie w USA!!!!” - krzyczały ogłoszenia, które ukazały się w lokalnej gazecie i wisiały na murach w różnych punktach miasta.

Pośrednik założył tymczasowe biuro w pokoju w hotelu Sinclair. Kolejka, która uformowała się przed budynkiem, otoczyła hotel i zawinęła aż do samego wejścia, a wtedy początek kolejki zmieszał się z jej końcem, dzięki czemu część osób wślizgnęła się poza kolejnością. Wśród zadowolonych z tego, że dostali się do pośrednika wcześniej, niż się spodziewali, był Bidżu, którego kucharz wezwał do Kalimangu pomimo obiekcji sędziego. Czyż Bidżu nie powinien zacząć pracować dla niego po przejściu kucharza na emeryturę? Bidżu wziął ze sobą niektóre z podrobionych listów polecających kucharza, żeby udowodnić, że pochodzi z uczciwej rodziny, a także list od ojca Booty'ego zaświadczający o jego godnym zaufania charakterze i jeszcze jeden, od wujka Potty'ego, z informacją, że nikt nie robi tak cholernie dobrej pieczeni, chociaż wujek Potty nie jadł niczego, co byłoby ugotowane przez tego chłopaka, który także nigdy nie jadł niczego ugotowanego przez siebie, bo po prostu nigdy nie gotował. Babka karmiła go i rozpieszczała

od małego, chociaż byli jedną z najbiedniejszych rodzin w biednej wiosce.

Tak czy inaczej rozmowa kwalifikacyjna zakończyła się pomyślnie.

— Potrafię przyrządzić najróżniejsze desery. Kontynentalne i indyjskie.

— Świetnie się składa. Co wieczór przygotowujemy bufet z siedemnastoma deserami.

W jednej wspaniałej chwili Bidżu został przyjęty i złożył podpis na przerywanej linii podetkniętego mu formularza.

Kucharz chodził dumny jak paw:

— To dzięki temu, że powiedziałem chłopakowi o tych wszystkich deserach... Na tym statku co wieczór wystawiają wielki bufet, bo tam, widzicie, jest jak w hotelu prowadzonym jak kluby za dawnych czasów. Zapytał go, co potrafi zrobić, a on odpowiedział: „Umiem to i tamto, wszystko, co potrzeba. Deser Alaska, zupełnie nic, rurki oblewane czekoladą”.

— Jesteś pewien, że to nie żaden oszust? - zapytał stróż z pensjonatu MetalBox.

— Absolutnie - odparł kucharz, broniąc człowieka, który tak się poznał na jego synu.

Następnego wieczoru wrócili do hotelu z wypełnionym kwestionariuszem medycznym i przelewem bankowym na osiem tysięcy rupii za rozpatrzenie podania i szkolenie, które miało się odbyć w Katmandu, wydawało im się bowiem zupełnie naturalne, że aby dostać pracę, najpierw trzeba zapłacić. Agent wypisał pokwitowanie na przelew, sprawdził kwestionariusz wypełniony za darmo przez barzarową lekarkę, która była tak miła, że wpisała niższe ciśnienie, niż Bidżu miał w rzeczywistości, i wyższą wagę, a w rubryce ze szczepieniami powpisywała daty, które

byłyby właściwymi datami, gdyby rzeczywiście miał zrobione szczepienia.

- Papiery muszą wyglądać idealnie, w przeciwnym razie ci z ambasady zaczną robić trudności i co wtedy? — Wiedziała o tym, bo kilka lat wcześniej w taką samą podróż wysłała swojego syna. W zamian za tę przysługę Bidżu obiecał, że zabierze paczkę suszonego sera *ćurbi* do Ameryki i prześle ją jej synowi, który odbywał staż medyczny w Ohio -chłopak uczył się kiedyś w szkole z internatem w Dardży-lingu i nabrał zwyczaju żucia *ćurbi* w trakcie nauki.

Dwa tygodnie później Bidżu pojechał autobusem do Katmandu na tygodniowe szkolenie w centrali agencji.

Katmandu było miastem wyrzeźbionym w drewnie, pełnym świątyń i pałaców uwieczonych w rozpadającej się płataninie nowoczesnego betonu, która niknęła w kurzu i wyciągała się ku niebu.

Szukał gór, lecz na próżno; gdzie się podziewał Mount Everest?

Przemierzał płaskie główne ulice i wchodził w labirynt średniowiecznych zaułków wypełnionych pradawnymi odgłosami, w uliczkę kowali, uliczkę garncarzy łączących glinę, słomę i piasek bosymi stopami; w świątyni Ganeśa szczury zajadały słodycze. W pewnym momencie otworzyły się skrzywione okiennice z wyrytymi gwiazdami i wyjrzała zza nich twarz jak z bajki, czysta pośród brudu, lecz kiedy spojrzał znowu, młoda dziewczyna zniknęła; jej miejsce zajęła pomarszczona starucha, rozmawiała z inną staruchą przechodzącą z tacą z darami na *pudźę*; a potem znów trafił pomiędzy bloki betonu, skutery i autobusy. Na tablicy namalowano reklamę bielizny z gigantyczną wybrzuszoną wewnętrzną kieszonką; na wybrzuszeniu widoczna była czarna siatka. „Kieszonkowcom wstęp wzbroniony”, informował napis. Kilku roześmianych cudzoziemców robiło sobie przed plakatem zdjęcie. Nieco dalej, za rogiem, za kinem, mieścił się mały zakład rzeźni

czy z rzędem żółtych kurzych nóżek tworzących dekoracyjne frędzle nad drzwiami. Na zewnątrz, nad miską z zabarwioną rdzawo przez krew wodą stał mężczyzna z rękami ociekającymi mięsnymi sokami; numer na drzwiach pasował do adresu, który Bidzu miał w kieszeni: 223, blok A, parter, za kinem Pun.

— Jeszcze jeden! — mężczyzna na zewnątrz zawołał w stronę zaplecza, gdzie kilku innych mężczyzn mocowało się z oporną kozą, która właśnie zauważyła serce swojej towarzyszki wyrzucone na podłogę.

— Oszukano cię — zaśmiał się rzeźnik. — Tylu już tu było i chciało wyjeżdżać do Ameryki.

Mężczyźni związali kożę i wyszli, szczerząc zęby, wszyscy w zakrwawionych fartuchach.

— Ech, idiota. Kto idzie i tak daje pieniądze? Skądżeś się urwał? Myślisz, że z kogo składa się świat? Z samych złodziei! Złodziei! Idź złożyć zeznanie na policji. Ale i tak nic nie zrobią...

Bidzu słyszał, jak rzeźnik, zanim zarznął kożę, rozbudza w sobie pogardę, wrzeszcząc do niej: „Ty dziwko, kurwo, pizdo, *sa li*”. Potem zaciągnął ją na podwórze i zabił.

Żeby uśmiercić jakieś stworzenie, trzeba je obrzucić wyzwiskami.

Gdy Bidzu stał tam oszołomiony, zastanawiając się, co ma teraz począć, obdarli ją ze skóry i powiesili do góry nogami, żeby obciekła.

*

Jego druga próba wyjazdu do Ameryki była zwykłym, normalnym wystąpieniem o wizę turystyczną.

Ktoś z jego wioski próbował piętnaście razy i niedawno, w szesnastym podejściu, dostał wizę.

— Nigdy się nie poddawajcie - radził chłopcom ze swojej wioski — kiedyś nadejdzie wasz szczęśliwy dzień.

— Czy to ambasada amerykańska? — Bidźu zapytał stróża przed majestatyczną fasadą.

— *Amrika nahin, bewakuf.* Ambasada USA! Poszedł dalej.

— Gdzie jest ambasada amerykańska?

— Tutaj. — Mężczyzna wskazywał mu ten sam budynek.

— Ta jest USA.

— Jedno i to samo — rzucił niecierpliwie mężczyzna. — Lepiej, żebyś o rym wiedział, zanim wsiądziesz do samolotu, *bhai*.

Na zewnątrz koczował, jak się zdawało, od wielu dni tłumek nędznie wyglądających ludzi. Całe rodziny, które przyjechały z odległych wiosek, jedzące spakowany i przywieziony ze sobą prowiant; kilka osób bez butów, kilka w popękany, plastikowym obuwiu; od wszystkich zalały już odwiecznym potem niekończącej się podróży. W środku wnętrza były klimatyzowane i można było czekać w rzędach pomarańczowych krzesełek, które trzęsły się, jeśli ktoś w tym samym rzędzie zaczynał nerwowo poruszać nogą.

★

Imię: Balwinder Nazwisko: Singh

Inne imiona:.....

Czyli jakie??

Te pieszczotliwe, odpowiedział ktoś, pisali więc ufnie: Guddu, Baryłeczka, Tłuścioszek, Wisienka, Złotko, Prosiaczek, Kurczaczek, Myszka, Vicky, Dicky, Słoneczko, Króliczek, Cukierczek, Misio...

Po krótkim zastanowieniu Bidźu wpisał „Baba”.

— Potrzebny wyciąg? Potrzebny wyciąg? — pytali handlarze przejeżdżający w rikszach. — Zdjęcie paszportowe *ćahijej* Zdjęcie paszportowe? Campa cola *ćahijej* Campa cola?

Zdarzało się, że wszystkie dokumenty przedstawiane przez petenta były fałszywe: metryka, zaświadczenie lekarskie o szczepieniach, deklaracja wsparcia finansowego. Można się było udać w pewne fantastyczne miejsce, gdzie przed maszynami do pisania siedziało po turecku kilkuset urzędników gotowych, żeby pomóc ze stemplami i odpowiednim prawniczym językiem na każdą okazję, jaką tylko można sobie wyobrazić...

— Skąd pan wzięłeś aż tyle pieniędzy? — Ktoś w kolejce zmartwił się, że jego podanie zostanie odrzucone z powodu niewielkiej kwoty na koncie.

— Och, nie można wykazać tylko tyle — roześmiał się ktoś inny, zaglądając mu przez ramię i szczerze oceniając sytuację. - Nie wie pan, jak to się robi?

-Jak?

— Cała moja rodzina - wyjaśnił - wujowie z Duba-ju, Nowej Zelandii, Singapuru, zewsząd, przesłali pieniądze na konto mojego kuzyna w Tulsie, bank wydrukował wyciąg, kuzyn przesłał poświadczony przez notariusza list popierający, a potem odesłał pieniądze tam, skąd przyszły. Inaczej nie da się zdobyć takiej sumy, żeby ich zadowolić! Z niewidocznych głośników podano komunikat: „Prosimy, by osoby ubiegające się o wizę ustawiły się pod okienkiem siódmym w celu pobrania numerków”.

— Co, co, co powiedzieli? — Bidźu, jak połowa sali, nie zrozumiał, lecz widząc tych, którzy zrozumieli i teraz biegli, zadowoleni z uzyskanej przewagi, zobaczył, co ma robić.

Śmierdzieć, pluć, krzyczeć i szarżować; rzucili się w stronę okienka, próbowali rozpląszczyć się na szybie tak mocno, żeby przywrzeć do niej i już nie dać się oderwać; młodzi mężczyźni przedzierali się, odpychając bezzębne babcie, tratując dzieci. W tym miejscu nie obowiązywały żadne uprzejmości i tak oto uformowała się kolejka: na początku samotni mężczyźni o wilczych twarzach, później mężczyźni z rodzinami, samotne kobiety i Bidżu, a na końcu niedołęźni. Ten, który przepychał się najmocniej — wylądował na samym początku; jakże był zadowolony z siebie i uśmiechnięty; otrzepał się, prezentując nienaganne maniery kota. Jestem człowiekiem cywilizowanym, proszę pana, gotowym na Amerykę, jestem człowiekiem cywilizowanym, proszę pani. Bidżu zauważył, że jego spojrzenie, tak ożywione na użytek cudzoziemców, gdy obejrzał się na rodaków i rodaczki, natychmiast się zaszklilo, stało się martwe.

Niektórzy mieli być przyjęci, inni odrzuceni i kryterium sprawiedliwości w ogóle nie wchodziło tu w rachubę. Co stało za tą decyzją? Kaprys - komuś nie spodobała się twoja twarz, czterdzieści pięć stopni na zewnątrz i zniecierpliwienie wszystkimi Hindusami, takie były powody; a może jedynie to, że stoisz w kolejce po „tak”, więc teraz jest większe prawdopodobieństwo usłyszenia „nie”. Bidżu drżał na myśl o tym, co może uczynić tych ludzi obojętnymi.

Przypuszczalnie rozpoczną pracę uprzejmi i odprężeni, a potem, mając do czynienia z tymi wszystkimi głupcami i irytującymi osobnikami z ich kłamstwami i zwariowanymi historiami oraz chęcią pozostania za granicą nieudolnie skrywaną pod żarliwymi obietnicami powrotu, będą odpowiadać seriami z karabinów maszynowych, na oślep:

NIE!NIE!NIE!NIE!NIE!

Z drugiej strony tym z przodu kolejki przyszło teraz do głowy, że na początku, wypoczęci i czujni, urzędnicy będą

bardziej skłonni staranniej sprawdzać dokumenty i wynajdywać luki w ich wyjaśnieniach... Albo przekornie zaczną od odmów, jak gdyby dla wprawy.

Niemożliwe było przeniknięcie umysłów i serc tych wielkich Amerykanów, ale Bidżu uważnie przyglądał się okienkom, usiłując odkryć jakiś wzór, który mógłby mu coś przekazać. Niektórzy urzędnicy wydawali się bardziej sympatyczni niż inni, niektórzy wydawali się pogardliwi, inni skrupulatni, niektórzy oznaczali pewne nieszczęście, odprawiali bowiem wszystkich z kwitkiem.

Wkrótce miał się zmierzyć ze swoim losem. Stał w kolejce i powtarzał sobie w kółko: Zachowaj spokojny wyraz twarzy, jak gdybyś nie miał nic do ukrycia. Mów jasno i pewnie, kiedy odpowiadasz na pytania, i patrz urzędnikowi prosto w oczy, żeby pokazać, że jesteś uczciwy.

Lecz kiedy jest się na skraju hysterii, tak pełnym niepokoju i tłumionej frustracji, można starać się wyglądać spokojnie i uczciwie tylko dzięki nieuczciwości. Tak więc uczciwy czy nie, nieuczciwie wyglądający na uczciwego, będzie musiał stanąć przed kuloodporną szybą, wciąż powtarzając w myślach odpowiedzi na pytania, których się spodziewa, pytania, na które musiał mieć idealnie przygotowane odpowiedzi.

— Ile ma pan pieniędzy?

— Może pan nam udowodnić, że nie zostanie w Stanach Zjednoczonych?

Bidżu przyglądał się, jak te słowa kierowane są do innych z całkowitą bezceremonialnością, z nieruchomym i nieskrępowanym spojrzeniem — dziwne wobec takiej nietaktowności pytań. Stojąc tam, czując olbrzymi ciężar tego, jak bardzo się nim gardzi, będzie musiał odpowiadać w sposób inteligentny, ale i pokorny. Jeśli będzie bełkotać, za bardzo się starać, wyda się zbyt pewny

siebie, spieszy się, jeśli szybko i łatwo nie dostaną tego, czego chcą, będzie po nim. W tej sali faktem uznanym przez wszystkich było to, że Hindusi są skłonni znieść każde upokorzenie, aby dostać się do Stanów. Można było wyrzucać im na głowę śmieci, a oni i tak błagaliby o to, by móc tam wpełznąć...

★

- A jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Co mamy mówić, co mamy mówić? - dopytywali się w kolejce. — Powiemy, że *habśi* napadł na sklep i zabił szwagierkę, i teraz musimy jechać na pogrzeb.

- Nie mówcie tego. - Student wydziału inżynieryjnego, który uczył się już na Uniwersytecie Karoliny Północnej, a tutaj znalazł się, by odnowić wizę, wiedział, że nie zabrzmiałoby dobrze.

Został jednak zakrzyczany. Był antypatyczny.

- Czemu nie?

- Posuwacie się za daleko. To typowa historyjka. Będą coś podejrzewać.

Upierali się jednak przy swoim. Przecież było faktem znanym wszystkim na całym świecie, że:

- Niby kto robi takie rzeczy, jeśli nie czarni?

- No właśnie - zgodziło się jeszcze kilka innych osób w kolejce. -

Właśnie, właśnie.

Czarni, żyjący na drzewach jak małpy, nie to co my, tacy cywilizowani.

Później przeżyli wstrząs, kiedy za kontuarem ujrzeli Afroamerykanę. (Boże, jeśli Amerykanie ich przyjmują, to Hindusów powitają chyba z otwartymi ramionami? Czy nie będą szczęśliwi na nasz widok?!)

Ale... kilka osób przed nim już odprawiono z niczym. Niepokój Bidzu wzrósł, gdy ujrzał kobietę, która zaczęła się wydzierać wniebogłosy i rzucać w ataku rozpacz.

- Ci ludzie nie pozwolą mi wyjechać, moja córka właśnie urodziła, ci ludzie nie pozwolą mi wyjechać, nie mogę nawet zobaczyć wnuczka, ci ludzie... ja już nie chcę żyć... nie pozwolą mi nawet zobaczyć twarzy mojego wnusia...

Podbiegli ochroniarze, żeby odciągnąć ją czystym korytarzem spryskanym środkami dezynfekującymi.

*

Ten z historyjką o *habśi* i morderstwie trafił do okienka z *habśi*. *Habśi habśi bandar bandar*, próbował coś szybko wymyślić - o nie, normalne hinduskie uprzedzenia, pogarda i chamstwo tutaj nie zadziałają - gdy jego historyjka rozpadała mu się w głowie na kawałki.

- Meksykanin, powiedz Meksykanin - syknął ktoś inny.

- Meksykanin?

Podszedł do okienka, w chwili zagrożenia mobilizując swe najlepsze maniery.

- Dzień dobry pani (Lepiej nie denerwować tej *habśi, jar...* tak bardzo pragnął emigrować do USA, że mógł nawet zachowywać się grzecznie wobec czarnych). Tak, proszę pani, coś w tym rodzaju, Meksykanin albo Teksykanin, nie wiem dokładnie - rzekł do kobiety, która przyszpiliła go wzrokiem kolekcjonera motyli. (Teksykanin??) - Nie wiem, proszę pani - wił się - coś w tym rodzaju mówił mój brat, ale wie pani, jest tak roztrzęsiony, że nie chcę pytać o wszystkie szczegóły.

- Nie, nie możemy przyznać panu wizy.

-Ale dlaczego, proszę pani, ja bardzo proszę, kupiłem już bilety... I ci, którzy czekali na wizy, a posiadali przestronne domy, wygodne życie, dzinsy, znajomość angielskiego, prowadzone przez szoferów samochody czekające na zewnątrz, by zabrać ich na ocienione ulice, i kucharzy opuszczających drzemkę, żeby poczekać dłużej z lunchem (coś lekkiego... makaron z serem), przez cały ten czas próbowali się oddzielić od tego nieprzebranego, nędznego tłumu. Swoim zachowaniem, ubiorem, artykulacją próbowali przekazać urzędnikom, że są wyselekcjonowaną, ograniczoną liczebnie, idealnie nadającą się do zagranicznych wojaży grupą, wprawnie posługującą się nożem i widelcem, bez głośnych beknięć, bez wdrapywania się na muszlę klozetową, żeby na niej kucnąć, co wiele wieśniaczek robiło w tymże właśnie momencie, nigdy w życiu nie widziały bowiem takiej toalety i podmywały się strumieniami wody z wysoka, zalewając podłogę kawałkami rozmoczonego kału.

- Byłem już za granicą i zawsze wracałem. Wystarczy zajrzeć do paszportu. - Anglia. Szwajcaria. Ameryka. Nawet Nowa Zelandia. Nie mogli się doczekać w Nowym Jorku najnowszego filmu, pizzy, kalifornijskiego wina, także chilijskiego, bardzo dobrego i w przyzwoitej cenie. Jeśli raz ci się poszczęściło, poszczęści ci się znowu. Bidźu podszedł do wyznaczonego okienka, które ob-ramowywało czystego młodego mężczyznę w okularach. Biali wyglądają czysto, bo mają jaśniejszą karnację; im ciemniejszą masz skórę, pomyślał Bidźu, tym brudniej wyglądasz.

- W jakim celu pan jedzie?

- Jako turysta chciałbym.

- Skąd mamy wiedzieć, że pan wróci?

- Moja rodzina, żona i syn są tutaj. I mój sklep.
- Jaki sklep?
- Z aparatami fotograficznymi. - Czy on naprawdę uwierzy w to wszystko?
- Gdzie planuje się pan zatrzymać?
- U przyjaciela w Nowym Jorku. Ma na imię Nandu, a tutaj jest jego adres, jeśli chce pan zobaczyć.
- Na jak długo?
- Dwa tygodnie, jeśli można. - (Och, proszę, tylko dzień, jeden dzień. Wystarczy, żeby dopiąć swego...)
- Ma pan środki na pokrycie kosztów podróży? Pokazał sfałszowany wyciąg z banku uzyskany przez kucharza od skorumpowanego urzędnika banku w zamian za dwie butelczyny black label.
- Proszę zapłacić przy okienku za rogiem i może pan odebrać wizę po siedemnastej.

Jak to możliwe?

Mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał, wciąż w kolejce za nim, zawołał przenikliwie:

- Udało się, Bidżu? Bidżu, udało się? B i d ż u? B i d ż u! — Na dźwięk tego pełnego pasji pawiego krzyku Bidżu odniósł wrażenie, że ten człowiek jest gotów za niego umrzeć, lecz w swej desperacji, rzecz jasna, myślał tylko o sobie.
- Tak, udało się.
- Jesteś największym szczęściarzem na świecie - skwitował mężczyzna.

★

Największy szczęściarz na świecie. Przeszedł przez park, by w samotności nacieszyć się tą nowiną. Nie-czyszczonymi ściekami podlewano skrawek trawy, bujnej i cuchnącej, uśmiechającej się lśniąc o zmierzchu. Bidżu

przegonił rządęk świń z czarnymi smugami po ściekach na brzuchu, biegł za nimi rozradowany. „Hopsa, hopsa”, krzyczał. Wrony, które siedziały na grzbietach świń, podniosły się z oburzeniem do lotu - musiały zawrócić. Biegacz w dresie zatrzymał się, żeby popatrzeć, tymczasem szofer czekający na biegacza i czyszczący zęby gałązką *nim* przerwał ów zabieg, żeby też popatrzeć. Bidźu biegł za krową. „Hopsa, hopsa”. Przeskakiwał ozdobne rośliny, skakał na drążkach do ćwiczeń, podciągał się i robił pompki.

*

Nazajutrz wysłał do ojca telegram „największy szczęściarz na całym świecie” i wiedział, że kiedy dojdzie, jego ojciec będzie najszczęśliwszym ojcem na świecie. Nie wiedział, oczywiście, że i Sai ogromnie się ucieszy, że kiedy przyjechał do Kalimpangu na tę nieszczęsną rozmowę w sprawie pracy na statku, uświadomiła sobie z przerażeniem, że kucharz ma swoją rodzinę i myśli o niej w pierwszej kolejności. Gdyby miał syna w pobliżu, nią interesowałby się tylko pobieżnie. Ona była wyłącznie substytutem, tą, którą obdarzał uczuciem, skoro nie mógł mieć Bidźu, osoby właściwej.

- Ojej! - zawołała, kiedy usłyszała o wizie. - Hip, hip, hurra!

*

W Gandhi Cafe nieco ponad trzy lata od dnia, kiedy otrzymał wizę, największy szczęściarz na całym świecie poślizgnął się na zgniłym liściu szpinaku w kuchni Hari-śa-Harry'ego, poleciał do przodu na mazistej zielonej pla

mie i upadł z głośnym chrupnięciem. Kolano. Nie mógł się podnieść.
- Może pan sprowadzić lekarza? — zwrócił się do Hariśa-Harry'ego, kiedy Saran i Dziw pomogli mu położyć się na materacu między warzywami.

- Lekarza! Czy ty wiesz, ile kosztują usługi medyczne w tym kraju?!

-To się zdarzyło tutaj. Pan jest odpowiedzialny.

- Ja odpowiedzialny! - Hariś-Harry stał nad Bidżu rozwścieczony. — Ty się poślizgnąłeś w kuchni. Gdybyś się poślizgnął na ulicy, kogo byś obwiniał, hm? - Ten chłopak wyrobił sobie o nim błędną opinię. Okazał mu za dużo serca i Bidżu opacznie zrozumiał te wieczory, kiedy trzymał rozdartą duszę szefa na kolanach, sklejjąc ją jego ulubionymi aksjomatami. - To ja przyjmuję cię do pracy, zatrudniam bez papierów, traktuję jak własnego syna i tak mi się teraz odpłacasz! Mieszkasz tu za darmo. W Indiach by ci zapłacili? Jakie masz prawo? Moja wina, że nawet nie sprzątniesz podłogi? To TY MNIE powinieneś zapłacić za to, że nie sprzątasz, że mieszkasz tu jak w chlewie. Ja ci każę mieszkać jak w chlewie?

Pulsowanie bólu w kolanie Bidżu dodawało mu odwagi, zmuszało do zwierzęcej bezpośredniości. Piorunował wzrokiem Hariśa-Harry'ego, skończyło się udawanie; w tym momencie fizycznego cierpienia jego uczucia były widoczne jak na dłoni.

- Gdybyśmy nie mieszkali jak w chlewie - powiedział Bidżu - co byście mieli za interes? W ten sposób zarabiacie: prawie nic nam nie płacicie, bo i tak wiadomo, że nic nie możemy zrobić, zmuszacie nas do pracy w dzień i w nocy, bo przebywamy tu nielegalnie. Czemu nie za-sponsoruje nas pan na zieloną kartę?

Wulkaniczna erupcja.

— Jak mogę cię zasponsorować?! Jeśli zasponsoruję cię, będę musiał zasponsorować R i s z i e g o, a jeśli zasponsoruję R i s z i e g o, będę musiał zasponsorować S a r a n a, a jeśli j e g o, to i D ź i w a, a potem przyjdzie p a n L a l k a k a i powie: Ale ja tu pracuję najdłużej i mam największe zasługi, powinienem być pierwszy w kolejce. Jak mogę robić wyjątki? Muszę iść do urzędu imigracyjnego i wyjaśnić, że żaden Amerykanin nie weźmie tej pracy. Muszę to udowodnić. Muszę udowodnić, że zamieszczałem ogłoszenia. Zainteresują się moim lokalem. Będą sprawdzać dokumenty i zadawać pytania. I tak to wygląda, że za zatrudnianie nielegalnych imigrantów idzie siedzieć właściciel. Jeśli nie jesteś zadowolony, to już cię tu nie ma. Idź i poszukaj kogoś, kto cię zasponsoruje. Wiesz, jak łatwo mogę znaleźć chętnych na twoje miejsce? Wiesz, jakim jesteś szczęściarzem!!! Myślisz, że w tym mieście nie ma tysięcy szukających roboty? Mogę znaleźć kogoś na twoje miejsce o tak... - Pstryknął palcami. — Na każde moje skinienie w sekundę zjawiają się setki chętnych. Zejdź mi z oczu! Ale jako że Bidzu nie mógł chodzić, to Hariś-Harry musiał odejść. Wszedł na górę, a potem wrócił, ponieważ w okamgnieniu zmienił mu się nastrój, zawsze tak z nim było — nawałnica z piorunami, która szybko się przetacza.

- Słuchaj no - rzekł bardziej życzliwie - kiedy ja cię źle potraktowałem? Przecież nie jestem złym człowiekiem, prawda? Dlaczego na mnie napadasz? Prawda jest taka, że nadstawiam za ciebie karku, Bidzu, powiedz, czego jeszcze możesz ode mnie chcieć? Nie mogę aż tak ryzykować. — Odliczył pięćdziesiąt dolarów z portfela. - Masz. Odpocznij sobie. Możesz na leżąco pomóc przy krojeniu warzyw, a jeśli nie wyzdrowiejesz, wracaj do domu. W Indiach są

bardzo tani i bardzo dobrzy lekarze. Zapewnij sobie najlepszą opiekę medyczną, a później zawsze możesz wrócić.

Na podłogę padał skromny geometryczny kształt porannego światła, niewielki romb prześwitujący przez kratę.

- Niegrzeczny - Hariś-Harry pogroził mu niby to żartobliwie palcem.

Z geometrycznego kształtu zaczęło wyciekać światło, stał się ruchomy, oddalił się, pełznąc po ścianie.

Wrócić.

Przyjechać z powrotem.

Ktoś w jednej z kuchni z przeszłości Bidżu powiedział kiedyś:

- Nie może być tak ciężko, bo nie siedziałyby was tutaj aż tyłu.

Ale było ciężko, a jednak siedziało ich tutaj aż tyłu. Było strasznie, strasznie ciężko. Miliony narażało się na śmierć, było poniżane, nienawidzone, traciło rodziny - jednak siedziało ich tutaj aż tyłu.

Hariś-Harry wiedział o tym. Jakże inaczej mógłby powiedzieć możesz wrócić-przyjechać z powrotem w sposób tak łatwy i gładki?

- Niegrzeczny... — powtórzył, kiedy przyniósł Bidżu *prasad* ze świątyni w Queens. - Tyle z tobą zmartwień i kłopotów.

I Bidżu wiedział, że po tym *prasad* nie może oczekiwać zbyt wiele. To była pułapka, stara indyjska sztuczka pana wobec sługi, sztuczka łaskawego patriarchy zaskarbiającego sobie lojalność służby; proponującego niewolnicze stawki, lecz od czasu do czasu pudełko słodkości, hojny dar...

Tak więc Bidżu leżał na materacu i obserwował ruch słońca przez kratę na szeregu przeciwległych budynków.

Z każdej perspektywy, z jakiej patrzyło się na to miasto bez horyzontu, widziało się kolejne budynki wyrastające jak wygłodniałe słońca tropikalne pnącza; utrzymywały wieczny półmrok zastygły na dole, gdy dzień przeciskał się przez ten labirynt, wślizgiwał do mieszkań przelotnie i dokładnie o tej samej porze, miedziawa cząstka wpadająca z wizytą może między dziesiątą a dwunastą albo między dziesiątą a dziesiątą czterdzieści pięć, między drugą trzydzieści a trzecią czterdzieści pięć. Jak w siedliskach nędzy, gdzie luksus się wypożycza, dzieli i przekazuje od sąsiada do sąsiada, jego nadejście było odnotowywane i wyczekiwane przez koty, rośliny, starszych ludzi, którzy mogli posiedzieć z nim przez krótką chwilę na kolanach. Lecz to światło zjawiało się na zbyt krótko, by naprawdę pomóc, i wydawało się raczej przebłyskiem pięknego wspomnienia niż czymś autentycznym.

★

Po dwóch tygodniach Bidzu mógł już chodzić, podpierając się laską. Kolejne dwa tygodnie i opuścił go ból, czego nie można było powiedzieć, oczywiście, o wiszącym nad nim problemie zielonej karty. Ten nadal przyprawiał go o ból głowy.

Papiery, papiery. Zielona karta, zielona karta, *maćod sala ullu kapatha ćarsau bis* zielona karta, która nawet nie jest zielona. Sprawa ta zalegała ciężko, niezgrabnie, różo-wawo na jego umyśle za dnia i w nocy; nie mógł myśleć

o niczym innym, i wymiotował czasem, obejmując muszlę klozetową, gdy opróżniał swoje gardło w jej gardło i leżał na niej jak pijak. Poczta przynosiła kolejne listy od ojca

1 kiedy brał je do ręki, płakał. Potem je czytał i ogarniała go dzika wściekłość.

„Proszę Cię, pomóż Oniemu... prosiłem Cię w poprzednim liście, lecz nie odpowiedziałeś... Poszedł do ambasady i zrobił na Amerykanach wielkie wrażenie. Przyjeżdża za miesiąc... Może będzie mógł zatrzymać się u Ciebie, dopóki czegoś nie znajdzie...” Bidźu zaczął zgrzytać zębami przez sen, gdy śniły mu się koszmary, i pewnego ranka obudził się z pękniętym zębem.

- Wydajesz z siebie odgłosy jak betoniarka - poskarżył się Dziw. - Nie mogę spać, kiedy ty rżesz, a szczury tupoczą.

Pewnej nocy Dziw obudził się i złapał szczura w metalowym pojemniku na śmieci, gdzie zwierzę szukało pokarmu.

Nalał do pojemnika benzyny z zapalniczki i podpalił szczura.

- Kurwa, zamknij się, skurwielu - krzyczeli mężczyźni z góry. - Kretyn. Odpierdoliło ci? Ja pierdolę. Dupek. Pierdol się. - Wokół nich roztrzaskał się deszcz butelek po piwie.

*

- Zapytaj mnie o cenę jakichkolwiek butów na Manhattanie, a ja ci powiem, gdzie je dostać najtaniej. - Znowu Sajid Sajid. Jak on to robił, że wyrastał niespodziewanie przed Bidźu w różnych częściach miasta? — No, zapytaj.

- No nie wiem.

- Stary, posłuchaj mnie uważnie - powiedział Sajid z surową życzliwością. - Teraz jesteś tutaj, nie jesteś u siebie w kraju. Jeśli czegoś chcesz, musisz próbować, a dopniesz swego. — Jego angielszczyzna była całkiem niezła teraz, kiedy czytał dwie książki, *Przestań się martwić, zacznij żyć* i *Jak dzielić życie z drugą osobą*.

Był w tym momencie właścicielem dwudziestu pięciu par butów; niektóre miały zły rozmiar, ale i tak je kupił — ze względu na ich wyjątkową urodę.

Noga Bidżu zagoiła się.

A jeśli nie?

Chyba tak.

Może jednak, może wróci. Czemu nie? Na przekór sobie, na przekór losowi, żeby sprawić radość swoim wrogom - tym, którzy chcieli, żeby stąd wyjechał, i tym, którym jego powrót da złośliwą satysfakcję... może jednak wróci do domu.

Podczas gdy Sajid kolekcjonował obuwie, Bidżu praktykował uzalanie się nad sobą. Ujrzawszy martwego owada w worku z basmati, który przybył aż z Dehradunu, o mało się nie popłakał ze smutku i zdziwienia jego wędrówką, co było wyrazem tęsknoty za własną podróżą. W Indiach prawie nikogo nie stać na kupowanie tego ryżu i trzeba przejechać pół świata, żeby móc jeść takie rzeczy w kraju, gdzie jest tani i można się nim zajadać, nie będąc bogatym; a po powrocie do domu, do miejsca gdzie rośnie, już nie można sobie nań pozwolić. „Zostań tam jak najdłużej - napominał go kucharz. -Zostań. Zarób. Tutaj nie wracaj”.

Był marzec. Ojciec Booty, wujek Potty, Lola, Noni i Sai siedzieli w jeepie „Szwajcarskiej Mleczarni” i jechali do klubu Gymkhana w Dardżylingu, żeby wymienić książki w bibliotece, zanim w okolicy zrobi się naprawdę niebezpiecznie.

Od kradzieży broni w Czo Oj u minęło kilka tygodni, sporządzony zaś niedawno w Ghum program działania ruchu separatystycznego zapowiadał:

Blokady drogowe, żeby sparaliżować gospodarkę i uniemożliwić wywożenie na równiny drzew ze wzgórz i głazów z rzecznych koryt. Wszystkie pojazdy miały być zatrzymywane.

Wywieszenie czarnych flag trzynastego kwietnia.

Trzydniowy strajk w maju.

Ignorowanie wszelkich uroczystości państwowych. Żadnego Dnia Republiki, Dnia Niepodległości ani urodzin Gandhiego.

Bojkot wyborów pod hasłem: „Nie pozostaniemy w obcym dla nas Bengalu Zachodnim”.

Niepłacenie podatków i niespłacanie kredytów (bardzo sprytnie).

Spalenie traktatu indyjsko-nepalskiego z 1950 roku.

Od wszystkich - Nepalczyków i nie-Nepalczyków -oczekiwano (wymagano), by okazywali wsparcie finansowe

1

i kupowali kalendarze oraz kasety z przemówieniami Ghi-singa, przywódcy GFVN w Dardżylingu, oraz Pradhana, przywódcy z Kalimpangu.

Proszono (wymagano), by każda rodzina — bengalska, lepczańska, tybetańska, sikimska, marwarska, nepalska czy jeszcze jakaś inna w tym narodowościowym tyglu - przysłała reprezentanta płci męskiej na każdą demonstrację, także na podpalenie traktatu indyjsko-nepal-skiego.

Jeśli nie, dowiedzą się o tym i... cóż, nikt nie chciał, by kończyli to zdanie.

*

- Gdzie twój tyłek? - wujek Potty zapytał ojca Booty'ego, gdy ten wsiadł do jeepa.

Przyglądał się przyjacielowi surowo. Grypa tak bardzo wychudziła ojca Bootyego, że jego ubrania zdawały się spowijać wklęsłości.

- Zgubiłeś tyłek!

Pastor usiadł na nadmuchiwanym kole do pływania, żeby nie rozbolała go wychudzona pupa podczas przejazdu tym spartańskim wehikułem na olej, tą szkieletową konstrukcją z prętów i blachy, z dołączonym prymitywnym silnikiem, z przednią szybą pokrytą pajęczyną pęknięć od kamieni wylatujących spod kół na podziurawionych drogach. Wóz miał dwadzieścia trzy lata, wciąż jednak był na chodzie i ojciec Booty twierdził, że żaden pojazd na rynku nie może się z nim równać.

Z tyłu wieziono parasole, książki, panie i kilka kół sera, które ojciec Booty miał dostarczyć do hotelu Windame-re i klasztoru Loretanek, gdzie jadano go rano na tostach, a jeden dodatkowy ser wiózł do restauracji Glenarys na

wypadek, gdyby udało mu się ich przekonać do rezygnacji z sera amul, choć szanse były marne. Kierownik lokalu uważał, że skoro coś przychodzi w fabrycznym opakowaniu z przystemplowaną nazwą, jeśli jest zachwalane w ogólnokrajowej kampanii reklamowej, to naturalnie musi być lepsze niż coś, co wyprodukuje rolnik z sąsiedztwa, jakiś podejrzany Thapa z jedną podejrzaną krową, który mieszka nieopodal.

— Ale to jest produkt miejscowych rolników, nie chce ich pan wesprzeć? - pytał ojciec Booty.

— Kontrola jakości, ojciec — odpowiadał — ogólnokrajowa reputacja, wyrobiona marka, szacunek klientów, międzynarodowe normy higieny.

Ojciec Booty i tak nie tracił nadziei, mknąc jeepem przez wiosnę, gdy każdy kwiat, każde stworzenie stroiło się, rozsiewało feromony.

Ogród w klasztorze Świętego Józefa wrzał taką bujnością, że Sai zastanawiała się, kiedy przejeżdżali obok, czy siostry nie są nią odurzone. Ogromne, otwarte szeroko lilie lepiły się od pyłku; owady goniły za sobą szaleńczo po niebie, bzz, bzz; a kochliwe motyle, ogórkowozielone, przefruwały za oknami jeepa ku głębokim jak morze dolinom; miłosa delikatność i elegancja manier dawały się zauważyć nawet wśród pomniejszych stworzeń.

*

Gjan i Sai — wracała myślami do ich wspólnych chwil, do kłótni o Boże Narodzenie, paskudnej i tak bardzo kontrastującej z przeszłością. Wspominała swoją twarz przy jego szyi, ręce i nogi z góry i od dołu, brzuchy, palce, najpierw tutaj, potem tam, czasem całowała go i uzmysławiała sobie, że pocałowała siebie.

„Nadchodzi Jezus”, napisano na zabezpieczeniach przed osuwiskami, kiedy nurkowali w stronę Tisty.

„Żeby przejść na hinduizm”, dodał ktoś kredą pod spodem.

Ojca Bootyego bardzo to rozbawiło, lecz mina mu zrzędła, kiedy minęli billboard z reklamą sera amul.

Cudownie przepysznie maślany...

- Gumowy! Jak mogą nazywać go maślanym serem? Nieprawda.

Nadaje się najwyżej do uszczelniania rur!

★

Lola i Noni machały przez okno jeepa.

- Halo, pani Thondup.

Pani Thondup, z arystokratycznej tybetańskiej rodziny, siedziała na świeżym powietrzu z córkami Pem Pem i Domą w wielobarwnych *baku* i bladych jedwabnych bluzkach z subtelnie wplecionymi w nie ośmioma szczęśliwymi znakami buddystów. Oczekiwano, że panny te, które uczęszczały do szkoły przy klasztorze Loretanek, zaprzyjaźnią się z Sai — kiedyś, dawno temu, tak zmówili się dorośli - nie chciały jednak się z nią zadawać. Już miały swoje przyjaciółki. Wszystkie miejsca pozajmowane. Nie starczyło ich na dziwaczność.

— Cóż to za elegancka kobieta — mawiały Lola i Noni na jej widok, lubiły bowiem arystokratów i lubiły chłopów; tylko to, co znajduje się pomiędzy, budziło w nich niesmak: klasa średnia napływająca zza horyzontu nieprzejrzanym tłumem.

Dlatego też nie pomachały do wychodzącej z poczty pani Sen.

— „Ciągłe tylko błagają moją córkę: proszę przyjąć zieloną kartę”. -
Lola naśladowała sąsiadkę. - Fe, nieładnie! Któż tak kłamie?

Znów pomachały, kiedy mijali afgańskie księżniczki usadowione w
wyplatanych fotelach pośród kwitnących białych azalii, dziewiczych,
lecz prowokujących jak dobry numer striptizowy. Z ich domu
dolatywał wyraźny zapach kurczaka.

— Zupa? — zawołał wujek Potty, już głodny, z nosem drżącym z
łakomstwa. Nie zjadł na śniadanie swojego omleta z resztkami z
poprzednich dni.

- Zupa!

Pomachały później do sierot na placu zabaw Graharns School — miały
tak anielskie twarzyczki, że wyglądały, jak gdyby już umarły i poszły
do nieba.

Nadbiegli żołnierze pokryci flirtującymi motylami i kolorowymi —
niebieskimi, czerwonymi, pomarańczowymi - kreskami ważek
zawieszonych w mocno akrobatycznych pozach miłosnego zespolecia.
Mężczyźni dyszeli i sapali, a ich patykowate nogi wystawały z
komicznie szerokich szortów: jak obronią Indie przed Chińczykami
tak blisko za górami w Nathu-La?

Z kuchni wojskowej kantyny nadchodziły plotki o coraz
popularniejszym wegetarianizmie.

Lola często spotykała młodych oficerów, którzy byli nie tylko
wegetarianami, ale i abstynentami. Nawet ci z najwyższego
dowództwa.

- Będąc w wojsku, moim zdaniem trzeba jeść przynajmniej ryby —
orzekła.

— Dlaczego? — zapytała Sai.

- Żeby zabijać, trzeba być mięsożercą, w przeciwnym razie stajesz się
ofiara. Wystarczy popatrzeć na przyrodę,

jelenie, krowy. W końcu też jesteśmy zwierzętami i żeby zatriumfować, trzeba posmakować krwi.

Lecz wojsko odchodziło od modelu brytyjskiego i stawało się armią iście indyjską. Nawet w doborze kolorów. Minęli Klub Atakującego Lwa, który pomalowano na ślubny róż.

- Cóż - skomentowała Noni - pewnie mają już dość koloru błota na wszystkim.

„KWIATY”, napisano na wielkim szyldzie w ramach „programu upiększania armii”, chociaż akurat w tym miejscu na wzgórzu kwiatów nie było.

★

Zatrzymali się, żeby przepuścić dwóch młodych mnichów przechodzących przez jezdnię do bram kupionej niedawno przez zakon rezydencji.

- Za pieniądze z Hollywood - powiedziała Lola. - A kiedyś ci mnisi byli wdzięczni Indiom, jedyjnemu krajowi, który ich przyjął! Teraz nami gardzą. Czekają, aż Amerykanie zabiorą ich do Disneylandu. Akurat!

- Boże, ale oni przystojni - zachwycił się wujek Potty. — Kto by chciał, żeby wyjechali?

Przypomniał sobie, jak poznali się z ojcem Bootym... nie mogli oderwać oczu od tego samego mnicha na targu... początek wielkiej przyjaźni...

- Wszyscy mówią: biedni Tybetańczycy... biedni Tybe-tańczycy — kontynuowała Lola — ale co to za brutalny naród, rzadko który dalajlama dożywał starości, prawie wszyscy ginęli przedwcześnie. A ten pałac Potala... obecny dalajlama musi dziękować swym szczęśliwym gwiazdom, że przebywa w Indiach, a nie tam, lepszy klimat i, powiedzmy sobie szczerze, lepsze jedzenie. Dobre tłuste *momo* z baraniną.

Noni:

— Ale o n pewnie jest wegetarianinem, nie?

— Ci mnisi nie są wegetarianami. Jakie świeże warzywa rosną w Tybecie? A zresztą Budda zmarł przez swoją słabość do wieprzowiny.

- Co za sytuacja - skomentował wujek Potty. - Żołnierze są wegetarianami, a mnisi obżerają się mięsem...

★

Mknęli w dół między drzewami *sal* i *pani saadź*, a głos Kiri Te Kanawy z taśmy szybował z poziomu doliny, by zawisnąć nad pięcioma szczytami Kanczendzongi.

Lola:

— Marii Callas mogłabym słuchać codziennie. Nie ma to jak stara gwardia. Pavarotti nie umywa się do Carusa.

W ciągu godziny zjechali ku tropikalnej gęstości powietrza ciężkiego i gorącego nad rzeką i ku jeszcze większej koncentracji motyli, żuków, wazek.

- Fajnie byłoby tu zamieszkać, prawda? - Sai wskazała na rządowy dom wypoczynkowy z widokiem nad trawami i piaszczystym nadbrzeżem na niecierpliwą Tistę...

Potem znowu wjechali wyżej pomiędzy sosny i eter pośród strużek złocistego deszczu.

- Kwiatowy deszcz, *metok-czharp* — rzekł ojciec Booty. — Bardzo pomyślny znak w Tybecie, deszcz i słońce jednocześnie. — Przez popękaną szybę posyłał słonecznym pąkom promienne uśmiechy, siedząc na swoim kole do pływania.

★

Chcąc rozwiązać problem nagłego wzrostu liczby ludności, rząd wydał niedawno zarządzenie, które zezwalało

na dobudowanie dodatkowego piętra na każdym domu w Dardżylingu; ciężar betonu przyspieszył nierówne opadanie miasta i wywołał częstsze niż kiedykolwiek osuwiska. Z daleka miasto wyglądało jak góra śmieci, która piętrzy się u góry i opada na dole, sprawiało więc wrażenie uwiecznionego na fotografii, zastygłego w chwili zapadania się.

- Dardżyling naprawdę się stoczył - powiedziały z satysfakcją panie, mając na myśli też drugie znaczenie tego słowa. - Pamiętacie, jakie to kiedyś było cudowne miasto?

Nim znaleźli miejsce do zaparkowania i stanęli jedną stroną samochodu w rynsztoku za targowiskiem, ich opinia aż nadto się potwierdziła, a ich samozadowolenie przeszło w irytację, gdy wysiedli między krowami konsumującymi owocowe obierki, minęli cuchnący strumień płynący ulicami i przedzierali się przez korki na targowej ulicy. Zamieszanie i hałas powiększały jeszcze małpy, które skakały po blaszanych dachach z głośnym łoskotem. I wtedy gdy Lola już miała rzucić kolejny komentarz na temat upadku Dardżylingu, chmury rozstały się nagle i zamajaczyła za nimi Kanczendzonga - widok był zdumiewający; wznosiła się t u ź-1 u ź; można ją było prawie polizać: osiem tysięcy pięćset osiemdziesiąt sześć metrów. W oddali widoczny był Mount Everest, skromny trójkącik.

Jakaś turystka zaczęła się wydzierać na całe gardło, jak gdyby zobaczyła gwiazdę muzyki pop.

*

Wujek Potty się oddalił. Nie przyjechał do Dardżylingu po książki, chciał zakupić tyle alkoholu, żeby mu starczyło do zakończenia zamieszek. Wykupił już cały zapas rumu ze sklepów w Kalimpangu, a po dodaniu kilku

kartonów stąd miał być przygotowany na godzinę policyjną i przerwy w zaopatrzeniu w okresie strajków i blokad drogowych.

- Żaden z niego czytelnik — rzekła z dezaprobatą Lola.

- Czyta komiksy - poprawiła ją Sai. W ubikacji był bowiem wdzięcznym pożeraczem *Asteriksa*, *Tintina*, a także *Believe It or Not* i nie uważał tej literatury za niegodną siebie, chociaż kiedyś studiował języki w Oksfordzie. Panie znosiły go jakoś ze względu na jego wykształcenie, a także dlatego, że pochodził ze znanej rodziny z Lucknow i nazywał swoich rodziców Mater i Pater. Mater była w swoim czasie taką pięknością, że nazwano jej imieniem jeden z gatunków mango: Haseena.

- Była znaną kokietką — powiedziała Lola, która słyszała od kogoś, kto słyszał od kogoś o sari ześlizgującym się z ramienia, bluzkach z dużym dekoltem i tak dalej... Kiedy już się wyszalała, wyszła za dyplomatę imieniem Al-phonso (także, rzecz jasna, nazwa znakomitego gatunku mango). Haseena i Alphonso uczcili ślub zakupem dwóch koni wyścigowych, Czyngis-chana i Tamerlana, który kiedyś trafił na pierwszą stronę „Times of India”. Sprzedano je razem z domem niedaleko Marble Arch w Londynie, a Mater i Pater, prześladowani pechem i nastaniem nowych czasów, w końcu przekonali się do Indii i wrócili jak myszy do aśramy, lecz z tak smutnym końcem tych niezwykłych osobowości syn nie mógł się pogodzić.

- Co to za aśrama? - zapytały go kiedyś Lola i Noni. -Co tam praktykują?

- Głodzą się, pozbawiają snu - biadolił wujek Potty - i składają dary. Doprowadzają się do takiego stanu, że wyją do Boga, żeby ich ocalił. — Lubił opowiadać historię o tym, jak do tego czysto wegetariańskiego przybytku

(nawet bez czosnku lub cebuli do rozgrzania krwi) przemycił porcję pieczeni z dzika, którego zastrzelił, gdy rył na jego polu czosnku. Mięso miało zapach ostatniego posiłku zwierzęcia. - Wyjedli wszystko co do ostatniego okruszka, Mater i Pater! Ustalili, że spotkają się na obiedzie, i wujek Potty z resztkami rodzinnej fortuny w kieszeni udał się do sklepu monopolowego, gdy pozostali poszli dalej do biblioteki.

*

Biblioteka w klubie Gymkhana była mrocznym, przypominającym kostnicę pomieszczeniem przesyconym piżmowym zapachem starzejących się książek, nieznośnie słodkim i intensywnym. Tytuły dawno już wyblakły na odkształconych okładkach; niektórych nie tknięto od pięćdziesięciu lat i rozpadały się w rękach jak chitynowe kawałki owada. Na ich stronach odbiły się kształty kolekcji paproci, które dawno się pokruszyły albo podziurawiły je termyty, tworząc coś, co wyglądało jak plan instalacji kanalizacyjnej. Pożółkły papier, gdy się go dotykało, powodował lekkie swędzenie jak od kwasu i z łatwością rozpadał się na mozaikowe kawałeczki, ledwo widoczne między palcami — skrzydełka ćmy na granicy wieczności i prochu. Znajdowały się tam oprawione numery „The Himalayan Times” „Jedynego angielskiego tygodnika dla Tybetu, Bhutanu, Sikimu, Duarsu i plantacji herbaty w Dar-dżylingu” oraz „Illustrated Weekly”, gdzie kiedyś zamieszczono wiersz o krowie pióra ojca Booty ego. Oczywiście mieli *Dalekie pawilony* i *Kwartet angloin-dyjski* — lecz Lola, Noni, Sai i ojciec Booty byli jednomyślni co do tego, że nie lubią, kiedy o Indiach piszą angiels

cy pisarze; żołądek się przewraca; delirium i gorączka idą tam w parze ze świątyniami, węzami, perwersyjnymi romansami, przelewem krwi i poronieniami; co nie odpowiada prawdzie. Dobrze było, kiedy angielscy pisarze pisali o Anglii: P.G. Wodehouse, Agatha Christie, angielska prowincja, gdzie wspomina się o krokusach zakwitających wcześniej w rym roku, a najlepsze były powieści o starych wiejskich rezydencjach. Czytając je, można było odnieść wrażenie, że ogląda się jeden z filmów wyświetlanych w klimatyzowanej sali British Council w Kalkucie, gdzie często zabierano w dzieciństwie Lolę i Noni: na podjeździe towarzyszy ci płynna skrzypcowa muzyka... drzwi rezydencji otwierają się i wychodzi lokaj z parasolem, bo, rzecz jasna, leje... pierwsze spojrzenie na dziedziczkę pada na jej but wystający zza drzwi i po wyglądzie tej stopy można z rozkoszą przewidzieć wyniosły wyraz jej twarzy.

Istniało nieskończenie wiele opisów podróży po Indiach i raz za razem, książka po książce, pojawiała się w nich scena późnego przybycia do bungalowu *dak*, gdzie kucharz gotuje coś w ciemnej kuchni, i Sai zdała sobie sprawę, że jej przyjazd do Kalimpangu w takich, a nie innych okolicznościach stanowi jedynie część monotonii, nie oryginału. Ta powtarzalność powołała ją do życia, przewidziała ją, przeklęła, a pewne ruchy poczynione dawno temu stworzyły ich wszystkich: Sai, sędziego, Mutt, kucharza, a nawet samochód z ziemniaczanego puree.

Szperając między regałami, Sai nie tylko zlokalizowała siebie, lecz przeczytała *My Vanishing Tribe*, co jej uzmysłowiło, że nie wie nic o ludach, które pierwsze osiedliły się na tej ziemi. O Lepczach, Rong pa, zamieszkujących dolinę wyznawcach bon przekonanych, że pierwsi Lep-czowie Fodongthing i Nuzongnjue powstałi ze świętego śniegu Kanczendzongi.

Był też James Herriot, zabawny weterynarz, Gerald Durrell, wieprz Sam i świnka Ann, miś Paddington, Scratchkin Patchkin, który żył jak liść na jabłoni.

I:

Indyjski dżentelmen, z całym szacunkiem dla samego siebie, nie powinien wsiadać do przedziału zarezerwowanego dla Europejczyków — tak jak nie powinien wchodzić do przedziału wyznaczonego dla pań. Chociaż mogłeś już nabrać nawyków i manier Europejczyka, miej odwagę pokazać, że nie wstydzisz się swojej indyjskości, i we wszystkich tego typu wypadkach winien jesteś utożsamiać się z rasą, do której przynależysz.

- H. Hardless, *The Indian Gentleman's Guide to Etiquette*.

Zdziwiła ją nagła fala gniewu. Postępowała niemądrze, czytając stare książki; furia, którą rozpalały, nie była stara; była nowa. Skoro nie mogła dostać w swoje ręce tego nadętego buca, chciała odszukać potomków H. Hardlessa i zaciukać ich na śmierć. Ale przecież dziecka nie powinno się winić za grzechy ojca, próbowała sobie tłumaczyć. W takim razie czy dziecko powinno korzystać też z bezprawnie uzyskanych zdobyczy ojca?

*

Sai podsłuchiwała tymczasem, jak Noni rozmawia z bibliotekarką o *Zbrodni i karze*:

— Z jednej strony czułam podziw dla tego, jak to zostało napisane, a z drugiej zdumiewały mnie — opowiadała Noni - te chrześcijańskie pojęcia, takie jak wyzna-

f

nie winy i przebaczenie... ciężar zbrodni przerzuca się na ofiarę! Skoro nie można cofnąć rego, co się stało, to dlaczego można zniwelować grzech?

Wydawało się, że cały system tak naprawdę sprzyja grzesznikowi, a nie człowiekowi prawemu. Można oto zrobić coś złego, a potem powiedzieć, że się tego żałuje, i w ten sposób, zabawiwszy się czyimś kosztem, uzyskać taki sam status jak osoba, która w niczym nie zawiniła, która nie tylko padła ofiarą występku, ale i musiała doświadczyć trudu przebaczenia, bez żadnych dodatkowych premii. I oczywiście wtedy, wiedząc o takim zabezpieczeniu, można poczuć, że wolno nam grzeszyć do woli: żałuję, żałuję, och, tak bardzo żałuję. Słowa można było wypuszczać jak pierzaste ptaki do lotu.

Bibliotekarka, szwagierka lekarki, do której chodzili wszyscy w Kalimpangu, rzekła:

- My, hindusi, mamy lepszy system. Dostajemy to, na co zasłużyliśmy, i nie można uciec przed naszymi uczynkami. I przynajmniej nasi bogowie wyglądają jak bogowie, no nie? Jak Radharani. Nie jak ten Budda albo Jezus — żebracze typy.

Noni:

- Ale my też możemy się wywinąć od odpowiedzialności! Nie w tym życiu, mówimy, może w następnych...

Sai dodała:

- Najgorsi są ci, którzy uważają, że biedni powinni głodować, bo sprowadzili sobie na głowę kłopoty uczynkami w poprzednich wcieleniach...

Prawda była taka, że człowiek zostaje z pustymi tęgami. Bez systemu, który zlikwidowałby niesprawiedliwość tego wszystkiego; sprawiedliwość jest wybiórcza; może dorwać złodzieja kurczaków, lecz na wielkie, nieuchwytnie zbrodnie

trzeba przymknąć oko, ponieważ gdyby je wskazano i rozliczono, doprowadziłoby to do upadku całej struktury tak zwanej cywilizacji. Za zbrodnie popełniane w gigantycznych starciach między narodami, za zbrodnie popełniane w intymnych przestrzeniach między dwojgiem ludzi bez świadków, za te zbrodnie winni nigdy nie zapłacą. Nie było takiej religii ani takiego rządu, które złagodziłyby to piekło.

★

Przez chwilę ich rozmowę zagłuszały odgłosy demonstracji z ulicy.

- O co im chodzi? - zapytała Noni. - Wykrzykują coś po nepalsku.

Patrzyli przez okna, jak przechodzi z transparentami grupa chłopców.

- To pewnie znowu ci Gurkhowie.

- Ale co mówią?

- Nie mówią rego po to, żeby ktoś zrozumiał. Robią tylko dużo hałasu, *tamaśa* - powiedziała Lola.

- Ha, tak, chodzą tam i z powrotem, w jedną i drugą stronę... — potwierdziła bibliotekarka. — Wystarczy, że zbierze się paru degeneratów, a zaraz ściągnie do nich zgraja analfabetów i wszystkich obiboków, co to nie mają nic innego do roboty...

*

W bibliotece zjawił się wujek Potty, odniósł już bowiem zapas rumu do samochodu, a ojciec Booty wyłonił się zza regałów z książkami o mistycyzmie.

- Zjemy tutaj, w klubie?

Udali się do sali restauracyjnej, wyglądała jednak na opuszczoną, z odwróconymi do góry dnem talerzami i szkłem na znak, że lokal jest zamknięty.

Z zaplecza wyszedł kierownik z zasępioną miną.

- Bardzo was, panie, przepraszam. Mamy problemy z płynnością finansową i musieliśmy zamknąć restaurację. Coraz trudniej jest cokolwiek utrzymać.

Przerwał, żeby pomachać do cudzoziemców.

— Idziecie zwiedzać. Tak? Kiedyś wszyscy radżowie przybywali do Dardżylingu, radża Kuć Biharu, radża Bar-dwanu, radża Purnii... Nie omińcie klasztoru Ghum...

— Chyba zarabiacie jakieś pieniądze na tych turystach?

Klub Gymkhana zaczął wynajmować pokoje, żeby się z czegoś utrzymać.

- Ha! Jakie pieniądze? Tak się boją, że się z nich zedrże, bo są tacy bogaci, że próbują wytargować niższą cenę za najtańszy pokój... A mimo to zobaczcie tylko... - Pokazał im pocztówkę, którą para turystów zostawiła w recepcji do wysłania: „Zjedliśmy rewelacyjną kolację za cztery i pół dolara. Nie możemy uwierzyć, jak tutaj tanio!!! Jest cudownie, ale z radością wrócimy do naszego kraju, gdzie, nie ukrywajmy *{sorry, ale nigdy nie byliśmy politycznie poprawni!}*, dezodoranty są powszechnie dostępne...”. -A to jedyni turyści, jakich mamy. Cieszymy się, że w ogóle są. Te zamieszki na pewno wszystkich odstraszą.

W tejże sali restauracyjnej klubu Gymkhana, w jednym z kątów, między porożami i skórami nadgryzionymi przez mole unosił się duch ostatniej rozmowy sędziego z jego jedynym przyjacielem Bose'em. Wtedy spotkali się po raz ostatni. Po raz ostatni sędzia wyjechał swym samochodem przez bramę Czo Oju. Mieli spotkać się po trzydziestu trzech latach.

*

Bose podniósł szklanę.

- Za dawne czasy - powiedział i napił się. - Ahhh. Mleko matki. Przywiózł butelkę taliskera, żeby ją razem rozpili, i to on, czego można się było spodziewać, zainicjował spotkanie. Doszło do niego miesiąc przed przyjazdem Sai do Kalimpangu. Napisał do sędziego, że zatrzyma się w Gym-khanie. Dlaczego sędzia tam pojechał? W nadziei, płonnej zresztą, że uśpi w ten sposób wspomnienia? Z ciekawości? Później powtarzał sobie, że pojechał na to spotkanie w klubie Gymkhana, bo gdyby tego nie zrobił, Bose przyjechałby do Czo Oju.

— Musisz przyznać, że mamy najlepsze góry na świecie - rzekł Bose. - Wchodziłeś kiedyś na Sandak Fu? Wybrał się tam Micky... pamiętasz go? Tego idiotę? Włożył nowe buty i nim dotarli do bazy, narobił sobie tyle pęcherzy, że musiał zostać na dole, gdy jego żona Mithu - pamiętasz ją? pełna werwy? wspaniała dziewczyna? — na sam szczyt weszła w hawajskich sandałkach.

Pamiętasz Dickyego, tego w tweedowej marynarce, z wiśniową fajką, który udawał, że jest angielskim lordem, i mówił rzeczy w rodzaju: „Popatrzcie tylko na to siwe... siwe... zimowe... światło...”, i takie tam? Urodziło mu się niedorozwinięte dziecko i to go przerosło... zabił się. Pamiętasz Subramaniama? Z żoną, grubym, kwadratowym babskiem? Pocieszenie znalazł w ramionach angielskiej sekretarki i ta jego żona wywaliła go z domu i zabrała cały majątek... a gdy tylko zniknęły pieniądze, zniknęła i Angieleczka. Znalazła sobie jakiegoś innego frajera...

Bose odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, a wtedy opadła mu z trzaskiem sztuczna szczeka. Szybko pochylił głowę i wstawił ją na miejsce. Sędziego zmęczyła ta scena z nimi dwoma w rolach głównych, zanim jeszcze wspólny wieczór rozpoczął się na dobre - dwóch siwowłosych absolwentów Fitzwilliam College w kącie sali, poplamione wodą kilimy *dari*, skrzywiona paszcza obwisłego wypchanego niedźwiedzia, połowa wypełniacza już bowiem wypadła. W zębach tego stworzenia zamieszkały osy, mole zaś zamieszkały w futrze, które zwabiło również kilka kleszczy — pewne, że znajdą krew, wgryzły się w skórę i padły z głodu. Nad kominkiem, gdzie kiedyś wisiał portret króla i królowej Anglii w koronacyjnych strojach, teraz wisiał Gandhi, chudy, z odznaczającymi się zębami. Taki widok nie zwiększa ani apetytu, ani poczucia komfortu w klubie, pomyślał sędzia.

Można było sobie wyobrazić, jak to kiedyś musiało wyglądać, plantatorzy w wygotowanych koszulach pokonujący konno wiele mil we mgle, z połamami w kieszeniach, żeby spotkać się przy zupie pomidorowej. Czy ten kontrast ich podniecał, melodyjki wygrywane przez łyżki i widelce, tańce w otoczeniu gloryfikującym krwawe sporty i brutalność? W przechowywanych w bibliotece księgach gości myśliwskie masakry opisywano pismem o kobiecej delikatności i idealnej równowadze, które świadczyło o wrażliwości i zdrowym rozsądku. Z połowów na Tiście ledwie czterdzieści lat wcześniej wracano z pięćdziesięcioma kilogramami *mahsira*. Twain zastrzelił trzynaście tygrysów na drodze między Kalkutą a Dar-dżylingiem. Myszy nie zostały jednak wytrzebione i gdy ci dwaj rozmawiali, one skubały maty i przemykały po podłodze.

— Pamiętasz, jak cię zabrałem do Londynu, żebyś sobie kupił płaszcz? Pamiętasz tę straszną szmatę, którą wtedy nosiłeś? I wyglądałeś jak prawdziwy *gauwala*? Pamiętasz, jak wymawiałeś *Gigli* zamiast *DžiiliP*. Pamiętasz? Ha, ha.

W sercu sędziego wezbrały jadowite uczucia: j a k ten człowiek ś m i e ! Po to przejechał taki szmat drogi, żeby siebie wywyższać, a sędziego poniżyć? Chciał przywołać przewagę z przeszłości, żeby móc szanować siebie w terażniejszości?

— Pamiętasz Grantchester? Zostało jeszcze trochę miodu na podwieczorek?

On i Bose w łodzi, trzymający się na uboczu, żeby przypadkiem nie otrzeć się o innych i nie obrazić ich swoją brązową skórą.

Sędzia próbował odnaleźć kelnera. Powinni zamówić obiad, mieć to już za sobą i pójść wcześniej spać. Pomyślał o Mutt, która na niego czeka.

Pewnie stoi przy oknie z oczami wlepionymi w bramę, z podwiniętym ogonem, napiętym od czekania ciałem, z pomarszczonym czołem.

Kiedy wróci, weźmie do ręki kij.

- Mam go rzucić? A ty złapiesz? Mam rzucić? - zapyta ją.

Tak, tak, tak, tak - będzie podskakiwać, nie mogąc znieść tego wyczekiwania ani chwili dłużej.

*

Próbował więc ignorować Bose'a, lecz ten, histerycznie, jak już raz zaczął, przyspieszył tempo i ton swojej natarczywości.

Należał do tych członków Indyjskiej Służby Cywilnej, o czym sędzia wiedział, którzy walczyli w sądzie o emerytury na takim samym poziomie jak te, które otrzymują biali urzędnicy; oczywiście przegrał, a wtedy jakby zgasło w nim światło.

Pomimo licznych listów wystukanych do przyjaciela przez Bose'a na przenośnej maszynie do pisania Olivetti sędzia nie chciał się zaangażować. Wtedy już poznał się na jego cynizmie, wiedział ponadto, że Bose zachowuje przy tym naiwność - był to prawdziwy cud. Co jeszcze dziwniejsze, naiwność najwyraźniej odziedziczył po nim syn, gdyż wiele lat później on też podał do sądu swego pracodawcę, firmę Shell Oil — i też przegrał. Syn utrzymywał, że przecież żyją w innych czasach, teraz panują inne reguły, okazało się jednak, że są one inną wersją starego.

- Utrzymanie w Indiach kosztuje mniej - usłyszał w odpowiedzi.

A gdyby tak zechcieli spędzić urlop we Francji? Kupić butelkę alkoholu w sklepie bezcłowym? Wysłać dziecko

do amerykańskiego *college'u*? Kto mógłby sobie pozwolić na coś takiego? Jeśli będzie im się płacić mniej, jak Indie mają przestać być biedne? Jak Hindusi mają podróżować po świecie i funkcjonować w tym świecie tak samo jak mieszkańcy Zachodu? Te różnice dla Bose'a były nie do zaakceptowania.

Zyski można czerpać tylko z różnic między narodami, gdy jeden działa przeciwko drugiemu. Skazywano Trzeci Świat na pozostanie Trzecim Światem. Spychano Bose'a i jego syna na gorszą pozycję — dotąd i ani centymetra bliżej - a on nie mógł się z tym pogodzić. Nie po tym, jak uwierzył, że jest ich przyjacielem. Myślał o tym, jak angielski rząd i jego urzędnicy odpłynęli, wyrzucając za burtę swoje *topi*, zostawiając tylko tych śmiesznych Hindusów, którzy nie mogli pozbyć się tego, co im wpojono kosztem złamania duszy.

Znowu poszli do sądu i znowu pójdą do sądu z niezachwianą wiarą w system sprawiedliwości. Znowu przegrali. Znowu przegrają.

Mężczyzna w białej peruce z lokami i ciemną twarzą pokrytą pudrem uderzający młotkiem, zawsze przeciwko miejscowym, w świecie, który wciąż jest światem kolonialnym.

*

W Anglii bez wątpienia mieli niezły ubaw, lecz w Indiach też wszyscy się śmiali, radując się widokiem takich osób jak Bose, oszukanych.

Osób, którym się wydaje, że są kimś lepszym, i zadzierają nosa, a przecież są tacy sami - prawda? - jak cała reszta.

Im bardziej zaciskały się usta sędziego, z tym większym zdecydowaniem Bose ciągnął tę rozmowę, dopóki nie pęknie.

— Najlepsze lata mojego życia — powiedział. — Pamiętasz? Wiosłowaliśmy, mijając po drodze King's College, Trinity, co za widok, mój Boże, a potem co było? Ach tak, Corpus Christi... Nie, pokręciłem coś, prawda? Najpierw Trinity, potem St. John's. Nie. Najpierw Clare, potem Trinity, potem coś żeńskiego, Primrose... Primrose?

— Nie, kolejność była zupełnie inna. — Sędzia usłyszał siebie mówiącego poirytowanym, obrażonym tonem, jak nastolatek. - Najpierw było Trinity, a potem Clare.

— Nie, nie, co ty wygadujesz. King's, Corpus Christi, Clare, potem St. John's. Pamięć ci szwankuje, staruszkule...

— Zdaje się, że to twoja pamięć zawodzi cię! Bose pił jedną whisky za drugą, próbując koniecznie coś wycygnąć — wspólne wspomnienie, jakąś prawdę, którą potwierdziłyby choćby dwie osoby...

— Nie, nie! King's! Trinity! - Odstawił swoją szklanę z hukiem na stół. — Jezu! Clare! Gonville! A potem na podwieczorek do Grantchesteru!

Sędzia nie był w stanie dłużej tego znieść, podniósł rękę do góry i zaczął liczyć na palcach:

1. St. John's!
2. Trinity!
3. Clare!
4. King's!

Bose zamilkł. Wydawało się, że ten pojedynek przyniósł mu ulgę.

— Zamówimy kolację? - zapytał sędzia.

*

Bose szybko zmienił stanowisko - czemu i tym razem towarzyszyła satysfakcja, lecz także pewna głębia, stanów

czość. Nad Bose'em wciąż wisiało pytanie: czy powinien potępić przeszłość, czy odszukać w niej jakiś sens?

- Dranie! - zawołał z wielką goryczą, pijany, z oczami pławiącymi się we łzach. — Ale z nich byli dranie! — dodał, podnosząc głos, jak gdyby próbował zabrzmieć bardziej przekonująco. - Ci *gora...* oni na wszystko mogą sobie pozwolić, no nie? Cholerne białasy. Są odpowiedzialni za wszystkie zbrodnie tego stulecia!

Milczenie.

- Cóż — dodał przy pełnej dezaprobaty ciszy, próbując się z nią pogodzić — w jednym mieliśmy szczęście, *ba p re*, że tu nie zostali, dzięki Bogu. Przynajmniej się stąd wynieśli....

Wciąż ani słowa ze strony sędziego.

- Co innego w Afryce... tam wciąż siedzą... Milczenie.

- Cóż, to pewnie nie ma teraz większego znaczenia... teraz mogą załatwiać te swoje brudne sprawy na odległość...

Szczęki zaciśnięte rozluźnione ręce zaciśnięte rozluźnione zaciśnięte.

- Och, nie wszyscy pewnie byli źli... Nie wszyscy... Szczęki zaciśnięte rozluźnione ręce zaciśnięte rozluźnione zaciśnięte rozluźnione...

★

W końcu sędzia wybuchnął, wbrew sobie: -TAK! TAK! TAK! Byli źli. Byli częścią problemu. I my byliśmy częścią problemu, Bose, dokładnie w takim samym stopniu, w jakim... jak mógłbyś utrzymywać... byliśmy częścią rozwiązania. — I: — Kelner! Kelner!

Kelner? Kelner!!

- K E L N E R!!! — wrzasnął sędzia, doprowadzony do ostateczności.
- Pewnie poszedł złapać kurę — rzekł słabo Bose. — Zdaje się, że nikogo się nie spodziewali.

*

Sędzia wszedł do kuchni i zastał tam dwie zielone pa-pryczki chilli, które wyglądały absurdalnie w blaszanym pucharze na drewnianej podstawce z napisem „Najlepszy ziemniak, wystawa 1933”.

I nic innego.

Przeszedł do recepcji.

- Nikogo nie ma w kuchni. Recepcjonista prawie już spał.
- Jest bardzo późno, proszę pana. Proszę pójść do Glenarys tutaj obok. Mają tam dużą restaurację i bar.
- Przyszliśmy na kolację tutaj. Mam złożyć skargę u kierownika? Mężczyzna z urażoną miną udał się na zaplecze i w końcu przy ich stoliku zjawił się, acz niechętnie, kelner; zaschnięte strupy po soczewicy wyglądały na jego niebieskiej marynarce jak maźnięcia żółtą farbą. Właśnie uciął sobie drzemkę w wolnym pokoju — był jednym z tych wszechobecnych kelnerów starej daty, którzy funkcjonują jak w systemie komunistycznym, zachowując bezpieczny dystans wobec strasznych kapitalistycznych zasad uprzejmego usługiwania bogatym.
- Pieczeń baranią w sosie miętowym. Baranina jest miękka? - zapytał władczo sędzia.

Kelner nie tracił rezonu.

- Kto teraz dostanie miękką baraninę? - zapytał pogardliwie.

- Zupa pomidorowa?

Rozważył tę możliwość, lecz zabrakło mu przekonania, żeby wyjść poza etap rozważań. Po kilku minutach niezdecydowania Bose przerwał zakłętę milczenie:

- *Rissolesi*

To mogło uratować ten wieczór.

- O nie - rzekł kelner, kręcąc głową i uśmiechając się bezczelnie. - Nie, tego dostać nie można.

- No to w takim razie co macie?

-

Baraninęwsosiecurrypulaozbaraninywarzywawsosie-currypulaozjarzyn...

- Ale przecież mówiłeś człowieku, że baranina nie jest miękka.

- No właśnie, mówiłem.

*

Przyniesiono jedzenie. Bose dokonał śmiałej próby wycofania się i rozpoczęcia rozmowy od nowa:

- Właśnie znalazłem nowego kucharza — oznajmił. — Stary Seru kopnął w kalendarz po trzydziestu latach służby. Ten nowy jest nieszkolony, ale dzięki temu tani. Wyciągnąłem książki kucharskie i czytałem, a on spisywał przepisy po bengalsku. Słuchaj, mówię do niego: nic wymyślnego, same proste rzeczy. Po prostu naucz się robić sos brązowy i sos biały - biały, cholera, dajesz do ryby, brązowy, cholera, do baraniny.

Nie zdołał ciągnąć tego dłużej.

Zwrócił się teraz bezpośrednio do sędziego:

- Wciąż jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Jesteśmy czy nie?

— Czas mija, wszystko się zmienia — odparł sędzia, odczuwając klaustrofobię i zażenowanie.

— Ale to, co jest w przeszłości, pozostaje niezmienione, prawda?

- Chyba jednak się zmienia. Teraźniejszość zmienia przeszłość.

Spoglądając za siebie, nie znajdujemy tego, co za sobą zostawiliśmy, Bose.

Sędzia wiedział, że już nigdy nie spotka się z Bose'em. Ani nie chciał udawać, że był kiedyś jego przyjacielem (ci wszyscy żałośni Hindusi wysławiający przyjaźń, którą później ta druga [biała] strona uznaje za niebyłą), ani nie zamierzał dać się przeciągnąć przez błoto. Zachowywał dotąd idealne milczenie i nie chciał dopuścić do tego, żeby Bose teraz je zniszczył. Pod koniec życia nie będzie narażał na szwank swej dumy i popadał w egzaltację, wiedział też, czym grożą zwierzenia — na zawsze mogły zniweczyć godność. Ludzie rzucają się na to, co im się podsuwa, jak na surowe serce, które natychmiast pożerają.

Sędzia poprosił o rachunek, raz, drugi, ale nawet rachunek nie był dla kelnera ważny. Musiał znów pofatygować się do kuchni.

Bose i sędzia wymienili wilgotny uścisk dłoni i sędzia wytarł ręce o spodnie, kiedy już skończyli, chociaż spojrzenia Bose'a wciąż wydawały mu się czymś śluzowatym.

- Do widzenia. Cześć. Na razie. - Nie w hindi, po angielsku. Może dlatego tak chętnie uczyli się nowego języka: jego świadomość, wysiłek, gramatyka wynoszą cię wyżej; nowy język zapewnia dystans i sprawia, że serce pozostaje nietknięte.

Mgła przyczepiła się mocno do krzewów herbaty po obu stronach drogi, kiedy wyjeżdżał z Dardżylingu, i sędzia mało co widział. Jechał powoli, dookoła nie było innych samochodów, niczego i wtem, cholera...

Wspomnienie...

Sześciu chłopców na przystanku autobusowym.

Dlaczego Chińczyk jest żółty? Bo sika pod wiatr, HA, HA. Dlaczego

Hindus jest brązowy? Bo sra do góry nogami, HA, HA, HA.

Naśmiewali się z niego na ulicy, obrzucali kamieniami, szydzili, robili małpie miny. Jakież to było dziwne: bał się dzieci, stracha napędzały mu stworzenia o połowę od niego niższe.

Przypomniął sobie jeszcze jeden, gorszy incydent. Za pubem na rogu kopano i katowano Hindusa, chłopaka, którego nie znał, lecz bez wątpienia kogoś takiego jak on, jak Bose. Jeden z napastników rozpiął spodnie i oddawał na niego mocz, otoczony przez tłumek szydzących mężczyzn o zaczerwienionych twarzach. A przyszły sędzia, kiedy przechodził obok, wracając do domu z wieprzowiną w cieście na kolację - co wtedy zrobił? Nic nie powiedział. Nic nie zrobił. Nie wezwał pomocy. Odwrócił się i uciekł, wbiegł po schodach do wynajętego pokoju i tam się schował.

*

Sędzia bez zastanowienia wykonywał mechaniczne ruchy, znajome skręty po drodze do Czo Oju, dzięki czemu nie zjechał w przepaść. Blisko domu o mało nie staranował wojskowego jeepa zaparkowanego przy drodze ze zgaszonymi światłami. Kucharz z dwoma żołnierzami ukrywali skrzynki z alkoholem w krzakach. Sędzia przeklął, pojechał jednak da

lej. Wiedział o dodatkowym zajęciu kucharza, lecz nic go ono nie obchodziło. Miał w zwyczaju być panem, a kucharz - sługą, coś się jednak zmieniło w ich stosunkach w ramach systemu, który dawał słudze i panu iluzję bezpieczeństwa.

Mutt czekała na niego przy bramie i wyraz twarzy sędziego złagodniał - naciśnął klakson, żeby zasygnalizować swoje przybycie. W jednej chwili z najbardziej nieszczęśliwego psa pod słońcem zamieniła się w najbardziej szczęśliwego i serce Dżemubhaia odmłodziło pod wpływem radości.

Kucharz otworzył bramę, Mutt wskoczyła na siedzenie obok kierowcy i przejechali razem od bramy do garażu - była to dla niej wielka gratka i nawet kiedy przestał gdziekolwiek wyjeżdżać, robił przejażdżki po posiadłości tylko dla jej przyjemności. Gdy tylko zajmowała swoje miejsce, przyjmowała królewską pozę, unosiła wysoko głowę i posyłała uśmiechy na prawo i lewo.

Na stole, kiedy sędzia wszedł do domu, znalazł czekający na niego telegram. „Z Zakonu Sióstr Augustynek do sędziego Patela w sprawie Pańskiej wnuczki Sai Mistry”.

Sędzia rozważał prośbę sióstr w tym krótkim okresie słabości po wizycie Bose'a, kiedy musiał się zmierzyć z myślą, że tolerował pewne sztuczne konstrukcje, żeby podtrzymać swą egzystencję. Kiedy buduje się na kłamstwie, konstrukcja jest mocna i solidna. Gubi cię prawda. Nie mógł zburzyć kłamstw, w przeciwnym razie rozpaść by się mogła jego przeszłość, a za nią teraźniejszość... Teraz jednak uległ czemuś z przeszłości, co przetrwało, wróciło, co mogło, i to bez jakichś szczególnych zabiegów z jego strony, odkupić jego grzechy...

Sai mogła opiekować się Mutt, rozumował. Kucharz coraz bardziej niedołążniał. Byłoby dobrze mieć w domu kogoś, komu nie trzeba płacić, kto z upływem lat będzie mu pomagał w różnych sprawach. Po przyjeździe Sai sędzia martwił się, że dziewczynka rozbudzi uśpioną nienawiść w jego naturze i że będzie chciał się jej pozbyć lub traktować ją jak kiedyś jej matkę, jej babkę. Okazało się jednak, że Sai jest mu bliższa, niż mogło mu się wydawać. Było w niej coś znajomego; miała taki sam akcent i maniery. Była zeuropeizowaną Hinduską wychowaną przez angielskie zakonnice, wyobcowaną Hinduską mieszkającą w Indiach. Podróż, którą rozpoczął tak dawno temu, trwała nadal w jego potomkach. Może popełnił błąd, wydziedziczając córkę... potępił ją, nie poznawszy jej. Czuł, że gdzieś poza jego wolą, w zakamarkach podświadomości, zaczyna się równoważyć nierównowaga wśród jego uczynków. Ta wnuczka, której nie nienawidził, była może jedynym cudem, jaki przyniósł mu los.

Sześć miesięcy po wyprawie Sai, Loli, No ni, wujka Pottyego i ojca Booty'ego do biblioteki klub Gymkhana przeszedł w ręce Gorkhijskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego, którego bojownicy koczowali w sali balowej i na lodowisku, niwecząc tym samym resztki pretensji, jakie klub ten mógł wciąż jeszcze mieć, choć i tak upadł już dostatecznie nisko za sprawą swego personelu.

Uzbrojeni mężczyźni odpoczywali w damskiej toalecie, z przyjemnością korzystali z wygodnych sprzętów łazienkowych, na których wciąż widniał napis przystemplo-wany literami w kolorze morwy: PATENT: BARHEAD, SZKOCJA, i wystawiali przed dużym lustrem, ponieważ jak większość mieszkańców tego miasteczka rzadko mieli okazję widzieć siebie całych, od stóp do głów.

Salę restauracyjną wypełniali mężczyźni w strojach khaki, pozujący do zdjęć, ze stopami wspartymi na wypchanej głowie lamparta, z whisky w dłoni, przy rozpalonym kominku wciąż ozdobionym ceramicznymi rozetami. Wypili wszystko z baru, a w chłodne noce zdejmowali skóry ze ścian i spali w ich zatęchłych fałdach.

Późniejsze dowody pokazały, że gromadzili także wielkie zapasy broni, sporządzali mapy, przygotowywali akcje wysadzania mostów, snuli plany, których śmiałość rosła, im więcej zarządców uciekało z plantacji herbaty ciągnących

się przez pasmo gór Singalila wokół Gymkhana, od Szczęśliwej Doliny, Makajbari, Czonglu i Paśoku.

Później, kiedy było już po wszystkim, kiedy podpisali traktat pokojowy i się wynieśli - tutaj, w tym właśnie miejscu, w klubie Gymkhana, na tych stołach w sali restauracyjnej, ustawionych jeden obok drugiego w rzędzie

- odegrali publiczne złożenie broni.

Drugiego października 1988 roku, w dzień urodzin Gandhiego, siedem tysięcy mężczyzn złożyło ponad pięć tysięcy strzelb i rewolwerów domowej roboty, pistoletów, jedno- i dwururek, karabinów maszynowych. Oddali tysiące nabojów, trzy tysiące pięćset bomb, lasek żelatyny wybuchowej, detonatorów i min lądowych, kilogramy materiałów wybuchowych, pociski moździerzowe, armaty. Sami tylko ludzie Ghisinga mieli ponad dwadzieścia cztery tysiące sztuk. Na tej stercie znalazły się należące do sędziego strzelba typu *pump action* BSA, strzelba Springfield i dubeltówka Holland & Holland, z którą kiedyś po popołudniowej herbatce włóczył się po terenach wokół Bondy.

*

Lecz kiedy Lola, Noni, ojciec Booty, wujek Potty i Sai nie zostali wpuszczeni do sali restauracyjnej w Gymkhanie, nie spodziewali się wcale, że klub tak marnie skończy. Jego ponurość, zgodnie z sugestiami kierownika, wzięli za efekt aktualnych trudności, nie za zapowiedź przyszłości.

No to gdzie mogliby zjeść?

- W tym nowym lokalu, Lets B Veg? - zapytał ojciec Booty.

- Tylko nie *ghas phus*, żadnych tam listków i gałązek!

- zaprotestował stanowczo wujek Potty. Jeśli tylko mógł temu zapobiec, nie wkładał do ust zieleniny.

- Lung Fung? - Była to nędzna chińska knajpka z dyndającymi pod sufitem papierowymi smokami, które wyglądały na martwe.

- Niezbyt tam przyjemnie.

- Windamere?

- Za droga, raczej dla cudzoziemców. Zresztą dobrą mają tylko herbatę, obiady dają w stylu misyjnego pensjonatu... *thanda khićri...* tłusta karkówka barania... pieprz i sól, jeśli ma się dużo szczęścia...

W końcu jak zwykle wylądowali w restauracji Glenarys.

- Przynajmniej mają duży wybór, każdy sobie zamówi to, na co ma ochotę.

Ruszyli więc gromadą do Glenarys. Przy stoliku w rogu siedzieli ojciec Peter Lingdamu, ojciec Pius Marcus i ojciec Boniface D'Souza — zjadali strudel z jabłkami.

- Dzień dobry, monsinior - zwrócili się do ojca Booty'ego, dzięki czemu powiało Europą. Jak to wykwintnie brzmi: m o n s i n i o r...

W sali restauracyjnej jak zwykle pełno było kręcących się, rozradowanych uczniów jedzących obiad, jako że szkoły z pensjonatem są jednym z głównych obok uprawy herbaty gospodarczych przedsięwzięć Dardżylingu. Były tam starsze dzieci świętujące urodziny same, bez żadnego nadzoru, młodsze w towarzystwie rodziców, którzy przyjechali z wizytą z Kalkuty, a nawet Bhutanu i Sikimu albo z Bangladeszu, Nepalu, albo też z okolicznych plantacji herbaty. Kilku patriarchów w wielkodusznym nastroju wypytywało dzieci o postępy w nauce, lecz matki - zbierając talerze i poprawiając włosy — protestowały: „Daj-że im raz spokój, *baba*, patrzyły na dzieci tak, jak dzieci patrzyły na jedzenie, próbując wepchnąć w siebie najwięcej, jak tylko się da.

Po latach specjalnych posiłków w Glenarys znały *menu* na pamięć. Potrawy hinduskie, europejskie albo chińskie; szaszłyki, zupa z kurczaka i kukurydzy, lody w sosie z gorącej czekolady. Szybko wykorzystywały łagodnienie oczu rodziców — zaraz trzeba się będzie pożegnać — może jeszcze lody w sosie czekoladowym? „Proszę, *ma*, proszę, *ammi*, proszę, mamó”, oczy matki zwracają się ku ojcu, „Priti, nie, dosyć już, nie rozpieszczaj go”, ojciec daje jednak za wygraną, wiedząc, że *ma*, *ammi* lub mama będzie wyplakiwać oczy przez całą samotną drogę na plantację, lotnisko lub dworzec kolejowy. Czy i jej matka była taka? A ojciec? Sai poczuła się nagle osierocona, zazdrościła tym wszystkim dzieciom. Jedna Tybetanka była tak nieprawdopodobnie śliczna w swoim *baku* koloru nieba i fartuchu z tymi bezładnymi pasami wesołego koloru, który sprawia, że człowieka od razu ogarnia błogostan i czuje się kochany. „Ojej, jakie słodkie, słodkie policzki”, mówiła cała rodzina i wszyscy, śmiejąc się, udawali, że chcą zjeść maleńkie dziecko, tak jakoś życzliwie i łagodnie, a dziecko śmiało się najgłośniej. Czemu nie mogła być częścią takiej rodziny? Wynając pokoju w czyimś życiu?

Panie wyczyściły serwetkami sztucce, wytarły talerze i szklanki, oddały jedną, która wyglądała na niedomytą.

- A może po małym drinczku, drogie panie? — zaproponował wujek Potty.

- Och, Potty, za wcześnie na alkohol.

- Jak tam chcecie. Gin z tonikiem - zamówił i zanurzył pałeczkę chlebową w maselnicy. Wydobył z niej wesołą złocistą górę. - Lubie masło z odrobiną chleba -oznajmił.

- Robią tu dobrą smażoną rybę z frytkami z sosem tatarskim - powiedział ojciec Booty z nadzieją w głosie, myśląc o słodkowodnej rybie w chrupiącym złocistym mundurku z tartej bułki.

r

- Ryba jest świeża? - zażądała od kelnera wyjaśnień Lola. - Z Tisty?
- Czemu nie? — odparł kelner.
- Czemu nie????!! Nie wiem! To pan wie c z e m u , jeśli nie!!!
- Lepiej nie ryzykować. A może kurczak w sosie serowym?
- Z jakiego sera? - zapytał ojciec Boory. Wszyscy zamarli... groźne milczenie. Wiedzieli, że zaraz padnie zniewaga...

Cudownie przepysznie maślany... Najlepszy w całych Indiach...

- AMUL!!

- USZCZELNIACZ DO RUR!! - zawołał ojciec Booty. Jak zawsze, omówili różne możliwości i wybrali chińszczyznę.

- To oczywiście nie jest prawdziwa chińszczyzna. -Lola przypomniała wszystkim, że Dźojdip, jej świętej pamięci mąż, odwiedził kiedyś Chiny i relacjonował później, że chińskie jedzenie w Chinach to zupełnie coś innego. I, prawdę mówiąc, dużo gorszego. Opowiadał o studniowym jaju (a czasem, mówił, dwustudniowym) zakopywanym w ziemi i odkopywanym jako wielki przysmak, i wszyscy jęknęli z podszytym respektem przerażeniem. Po powrocie był duszą towarzystwa na przyjęciach. „Ich wygląd też pozostawia wiele do życzenia - mawiał -rysy *ćapta*. U nas wszystko dużo lepsze, indyjskie kobiety, indyjskie zabytki, indyjska muzyka, indyjscy Chińczycy...”
A w całych Indiach nie ma lepszych Chińczyków niż w Kalkucie!
Pamiętacie Ta Fa Shun? Gdzie spotykały się panie podczas zakupów przy pieprznej zupie, do której dorzucały pieprzne plotki...

- No to co zamawiamy? - zapytał wujek Potty, gdy już pochłonał wszystkie pałeczki chlebowe.
 - Kurczaka czy wieprzowinę?
 - *Chi chi*. Kurczaka. Lepiej nie ryzykować z wieprzowiną, pełno w niej tasiemców. Kto wie, skąd wzięli świnie?
 - W takim razie kurczak w sosie chili?
- Z ulicy dobiegał hałas przechodzącej znowu demonstracji.
- Boże, co za zgiełk. Te wszystkie radykalne hasła. Przyniesiono kurczaka w sosie chili i postawiwszy go na stoliku, kelner wytarł nos w zasłonę.
 - No popatrzcie tylko - skomentowała Lola. - Nie dziwota, że my, Hindusi, nigdy do niczego nie dojdziemy. -Zaczęli jeść. - Ale jedzenie mają tutaj dobre.

Chrupanie.

*

W chwili gdy wychodzili z restauracji, ten sam pochód, który zakłócał im spokój podczas jedzenia i podczas pobytu w bibliotece, wrócił tą samą drogą po przejściu całego Dardżylingu.

- Gorkhaland dla *Gorkhów*.

- Gorkhaland dla *Gorkhów*.

Cofnęli się, żeby demonstranci mogli przejść, i kto niemal nastąpił Sai na palce? G j a n !!

W pomidorowym sweterku, skandując żarliwie w sposób, jakiego nie rozpoznawała.

Co on tutaj robi?! Dlaczego przyszedł na demonstrację GFWN i domaga się niepodległości dla indyjskich Nepalczyków?

Otworzyła usta, żeby krzyknąć do niego, lecz w tym samym momencie zauważył ją i po wyrazie konsternacji na jego twarzy nastąpił drobny, gwałtowny ruch głową oraz zimne spojrzenie przymrużonych oczu, które ostrzegało, żeby się nie zbliżała. Zamknęła usta jak ryba, zdumienie przelewało się jej przez skrzela.

Wtedy już ją minął.

- Czy to przypadkiem nie twój korepetytor? — zapytała Noni.
- Chyba nie — wybąkała, rozpaczliwie próbując odzyskać godność, odzyskać sens. - Podobny, sama myślałam nawet, że to on, ale nie...

*

W drodze powrotnej, kiedy zjeżdżali stromo do Tisty, zauważyli, że Sai zzieleniała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał ojciec Booty.
- Choroba lokomocyjna.
- Patrz na horyzont, to zawsze pomaga.

Wbiła spojrzenie w najwyższy grzbiet Himalajów, w jego absolutny bezruch. Nic to jednak nie zmieniło. Zakręciło jej się w głowie i nie rejestrowała już tego, co widzą oczy. W końcu do jej gardła podeszła ostra żółć, przypiekając wnętrzości, paląc usta, korodując zęby — czuła, jak zamieniają się w kredę zaatakowane powrotem kurczaka w sosie chili.

- Zatrzymać się, stop! - zawołała Lola. - Wypuście ją. Sai zaczęła wymiotować na trawę, dobywając z siebie coś w rodzaju ostrej zupy curry i dając im kolejną możliwość zerknięcia na nieszczęsny obiad, teraz w dużo bardziej przetworzonej postaci. Noni naląła jej kubek lodowatej wody ze srebrnej kapsuły kosmicznego termosu i Sai

spoczęła na skale w słońcu przy przezroczystych wodach pięknej Tisty.

— Weź parę głębokich wdechów, kochanie, to danie było bardzo tłuste, naprawdę zeszli na psy... brud w kuchni... och, sam widok tego kelnera powinien być wystarczającym ostrzeżeniem.

Na drugim końcu mostu, gdzie znajdował się punkt kontrolny, strażnicy rewidowali niektóre przejeżdżające samochody. Przezorni w tych niespokojnych czasach pootwierali tobołki i walizy wszystkich pasażerów autobusu i powyrzucali z nich zawartość. Pasażerowie czekali spokojnie w środku; biedacy, z twarzami przyciśniętymi do szyb, setkami par oczu na wpół martwymi, wyglądali jak zwierzęta wiezione na ubój; jak gdyby podróż była tak wyczerpująca, że prawie zgasiła w nich życie. Boki autobusu nosiły ślady po wymiocinach, wielkie brązowe chorągwie rozwinięte przez wiatr. Kilka innych wozów czekało w kolejce za autobusem na takie samo potraktowanie, drogę zagradzał im metalowy szlaban.

Popołudniowe słońce tworzyło grubą złocistą polewę na drzewach i w tak jasnym świetle cienie wśród liści, przy samochodzie oraz między źdźbłami trawy i skałami były czarne jak noc. Tutaj, w dolinie, panował upał, lecz rzeka, kiedy Sai zanurzyła w niej dłoń, zmroziła jej żyły.

- Nie spiesz się, Sai, i tak będziemy długo czekać, samochody stoją. Ojciec Booty też wysiadł, pokręcił się dookoła wozu, rozprostowując kości, zadowolony, że może dać odpocząć obolałemu tyłkowi, kiedy dostrzegł niezwykłego motyla.

Dolina Tisty słynęła ze swych motyli i ich miłośnicy zjeżdżali się z całego świata, żeby je malować i uwiecznić. Rzadkie i przepiękne gatunki opisane w bibliotecznym tomie *Marvelous Butterflies of the North-Eastern Himalayas*

fruwały teraz wokół nich. Kiedy miała dwanaście lat, Sai wymyślała dla nich nazwy - Japońska maska, Motyl dalekiej doliny, Ikar spadający ze słońca, Motyl, którego uwolnił flet, Święteczny latawiec — i zapisywała je w zeszycie z napisem „MOJA KOLEKCJA MOTYLI”, przy czym nazwom towarzyszyły ilustracje.

- Zdumiewające - rzekł ojciec Booty. - Spójrzcie tylko na tego tutaj. — Pawi kolor i wydłużone szmaragdowe skrzydła. — O Boże, a ten. — Czarny z białymi plamkami i różowym płomykiem pośrodku... - Gdzie mój aparat... Potty, możesz poszperać w schowku?

Wujek Potty czytał właśnie *Asterixa: Ave Gallowiel Na*

*Toutatisa!!!#@***H*, lecz dźwignął się i podał przez okno mały aparat marki Leica.

Gdy motyl trzepotał zniewalająco skrzydłami na linie mostu, ojciec Booty pstryknął zdjęcie.

- Oj, chyba zadrżała mi ręka, może być zamazane. Już miał podjąć drugą próbę, kiedy strażnicy zaczęli krzyczeć i jeden z nich przybiegł pędem.

— Robienie zdjęć na moście jest surowo wzbronione. Czyżby nie wiedział?

Ojej, wiedział, wiedział, pomyłka, w podnieceniu zapomniał.

— Bardzo przepraszam, oficerze. — Wiedział, wiedział. Ten most jest bardzo ważny, łączy Indie z północą, z granicą, na której może będą musieli walczyć kiedyś znów z Chińczykami, a teraz, oczywiście, dochodził do tego jeszcze bunt Gurkhów.

Nie pomogło, że jest cudzoziemcem. Zabrali aparat i zaczęli przeszukiwać wóz. Niepokojący zapach. Co tak śmierdzi? Ser. *Cheese*.

- *Kja cíz?* - zapytał chłopak z Merathu.

Nigdy nie słyszeli o *cheese*. Nie wyglądali na przekonanych. Ten zapach był zbyt podejrzany i jeden z nich zameldował, że jego zdaniem w jeepie s'mierdzi materiałami wybuchowymi.

- *Gaz mar raha hai* — rzekł chłopak z Merathu.

- Co on powiedział? - zapytał ojciec Booty.

- Coś jest w y b u c h a j ą c y m gazem. Coś jest z a p a l a j ą c y m gazem.

- Wyrzućcie to — rozkazali ojcu Bootyemu. — Zepsuł się.

- Wcale nie.

- A tak, cuchnie w całym samochodzie.

Strażnicy z punktu kontrolnego zaczęli teraz przeglądać stertę książek z tak samo pomarszczonymi nosami, jak wtedy gdy oglądali nieprzyjęty przez Glenarys ser.

- Co to jest? - Liczyli na literaturę o charakterze an-tynarodowym i wywrotowym.

- Trollope - odparła pogodnie Lola, podniecona i roz-emocjonowana takim obrotem spraw. — Zawsze mówiłam

— zwróciła się do pozostałych w sposób żartobliwy — że Trollope'a zachowam na starość; wiedziałam, że to będzie idealna, powolna lektura w czasie, kiedy nie będę miała nic innego do roboty, no i proszę, wypożyczyłam go sobie. Lubię staromodne powieści. Nie te współczesne, bez początku, bez środka i bez końca, tylko taka...

plazma...

- Angielski pisarz - poinformowała strażnika.

Przerzucił kartki: *Ostatnia kronika Barse: Archidiakon udaje się do Framley, Pani Dobbs Broughton gromadzi drewno na opał.*

- Wiedzieliście — Lola zapytała pozostałych — że on wynalazł też skrzynkę pocztową?

- Dlaczego pani to czyta?

- Żeby nie myśleć o tym wszystkim. - Wskazała odruchowo i nieuprzejmie otaczającą ich scenę i samego strażnika. Który miał swoją dumę. Wiedział, że jest nie byle kim. Wiedział, że jego matka wie, że syn jest nie byle kim. Niecałą godzinę wcześniej nakarmiła swoją wiarę i swego syna *puri alu* z cytrynowo-limetkowo-słod-kim napojem limca, którego bąbelki zakręciły mu troszeczkę w nosie.

Rozzłoszczony bezczelnością Loli, z twarzą wciąż pobudzoną mgiełką z gazowanego napoju, wydał rozkaz, żeby książkę umieszczono w policyjnym jeepie.

- Nie można jej zabrać — zaprotestowała — to książka z biblioteki, ty głupcze. Będę miała problemy w klubie Gymkhana. Przecież nie zapłacicie za jej odkupienie.

- A to? - Strażnik oglądał następną książkę.

Noni wypożyczyła smutną historię policyjnych aktów okrucieństwa z czasów wystąpień naksalitów pióra Mahas-wety Deviego, przetłumaczoną przez Spivak, która, o czym niedawno z zainteresowaniem przeczytała w „Indian Express”, wprowadziła nową modę na noszenie do sari wojskowych butów. Wybrała też książkę Amita Chaudhuriego zawierającą opis awarii prądu w Kalkucie, która ludzi w całych Indiach przepełniła zbiorową nostalgią za przerwami w dostawie prądu. Czytała już ją kiedyś, lecz wracała do niej, żeby na wpół się zanurzyć, na wpół utonąć w tych przepięknych scenach. Ojciec Booty wziął traktat o buddyjskim ezoteryzmie, napisany przez uczonego z jednego z legendarnych klasztornych uniwersytetów w Lha-sie, oraz *Pięć małych świnek* Agathy Chrisie. A Sai miała w swojej torbie *Wichrowe Wzgórze*.

- Musimy je zabrać na posrerek na inspekcję.

- Dlaczego? Bardzo pana proszę - Noni próbowała go przekonać - pojechaliśmy specjalnie... Co będziemy teraz

czytać?... Nie mogąc się ruszyć z domu... W związku z godziną policyjną...

— Ależ oficerze, wystarczy na nas spojrzeć, a wiadomo, że chyba nie jesteśmy typem ludzi, na który warto wam tracić czas - przekonywał ojciec Booty. - W okolicy tyłu jest gundów...

Funkcjonariusze nie mieli jednak pobłażania dla moli książkowych i Lola zaczęła się pieklić.

— Złodzieje z was, a nie policja. Wszyscy o tym wiedzą. Wcale nie jesteście lepsi niż gundowie. Pójdę do majora, pójdę do przewodniczącego zarządu okręgu. Co to ma być, zastraszacie ludność, panoszycie się, banda łobuzów. Nie będę was przekupywać, jeśli na to liczycie... możecie wybić to sobie z głowy. Jedziemy — zakomenderowała po królewsku.

— *Cało jar*— rzekł wujek Potty i zerknął na swoje butelki, dając do zrozumienia, że mogą wziąć jedną lub dwie, JEŚLI...

Strażnik powiedział jednak:

— Poważne kłopoty. Nawet pięć butelek nie załatwi sprawy. - I stało się jasne, co może czekać Kalim pang.

— Proszę się uspokoić — policjant zwrócił się do Loli, jeszcze bardziej ją obrażając. — Jeśli w tych książkach nic nie będzie, zwrócimy je.

Świeżo wypożyczone książki z biblioteki zostały ostrożnie odniesione. Skonfiskowano także aparat ojca Bootyego, który znalazł się na biurku ich przełożonego; sprawa pastora miała być rozpatrzona osobno.

*

Sai nie zauważyła zbyt wiele, wciąż bowiem myślała o Gjanie, który ją zignorował, i nie obchodziło jej, że stracili książki.

r

Dlaczego się tam znalazł? Dlaczego nie chciał jej pozdrowić? Kiedyś mówił: „Nie mogę ci się oprzeć... Muszę ciągle do ciebie wracać...”. W domu czekał na nią kucharz, lecz położyła się bez kolacji, czym niezmiernie go uraziła - uznał, że skoro zjadła wykwintny posiłek w restauracji, to teraz gardzi domowym jedzeniem.

Świadoma jego wrażliwości na tym punkcie, zwykle po powrocie do domu narzekała:

— Przyprawy nie były dobrze zmielone... o mało nie złamałam sobie zęba na ziarnku pieprzu, a mięso było tak twarde, że musiałam połykać bez przeżuwania, jeden kawał ugotowany w kilku szklankach wody. Kucharz śmiał się do rozpuku.

— Ha, ha, tak, teraz już nikomu się nie chce dobrze oczyścić i zmiękczyć mięsa, zmielić przypraw, uprażyć ich... — Po czym, poważniejąc nagle, wołał, unosząc palec jak polityk, aby zaznaczyć to, co chce powiedzieć: — I zdzierają za to tyle pieniędzy! — Kiwał energicznie głową, świadom licznych potworności tego świata. Teraz, w złym nastroju, zaczął walić garnkami.

- Co tam się dzieje! - krzyknął sędzia. Stwierdzenie, nie pytanie, na które odpowiedzią miała być cisza.

- Nic - odrzekł kucharz, udając obojętność - a co może się dziać?

Bejbi-dzi poszła spać. Zjadła w hotelu.

Tydzień po wyprawie do biblioteki książki zwrócono, uznawszy je za nieszkodliwe, inaczej jednak policja potraktowała fotografię motyla, na której za olśniewającymi skrzydłami w kolorach czarnym, białym i różowym widniało stanowisko wartownicze na moście oraz sam most rozpięty nad rzeką. Co więcej, ostrość ustawiono nie na motyla, lecz na most.

— Spieszyłem się — tłumaczył ojciec Booty — zapomniałem dobrze ustawić ostrość, a kiedy chciałem spróbować jeszcze raz, dopadli mnie. Policjanci nie chcieli jednak słuchać żadnych wyjaśnień i tego wieczoru odwiedzili go w domu, przewrócili wszystko do góry nogami; zabrali budzik, radio, kilka zapasowych baterii, pudełko z gwoździami, które kupił, żeby skończyć prace remontowe w oborze, oraz butelkę nielegalnie sprowadzonego z Sikimu rumu Black Cat. To wszystko mu zabrali.

- Gdzie są pańskie papiery?

Okazało się teraz, że ojciec Booty mieszka w Indiach nielegalnie. Ojej, nie spodziewał się, że władze będą się z nim jeszcze kontaktować; stare pozwolenie na pobyt straciło ważność na dnie zatechłej szuflady, a on nie odnawiał go, bo to byłby istny biurokratyczny koszmar, zresztą nie zamierzał już nigdy wyjeżdżać z Indii... Wiedział,

że jest cudzoziemcem, lecz nie miał poczucia, że jest kimś więcej, niż tylko indyjskim cudzoziemcem...

Dali mu dwa tygodnie na opuszczenie Kalimpangu.

- Ale ja mieszkam tu od czterdziestu pięciu lat.

- Mało to nas obchodzi. Pobyt tutaj był dla pana przywilejem, nie możemy jednak tolerować nadużywania przywilejów.

Później posłaniec nieco złagodniał, przypomniawszy sobie, że jego syna uczą jezuici, i miał nadzieję wysłać chłopaka do Anglii lub Ameryki. A nawet Szwajcaria nie byłaby taka zła...

- Przykro mi, ojcze - powiedział - ale w tych czasach... sam straciłbym pracę. Innym razem może udałoby mi się przymknąć na ojca oko, ale teraz... proszę się udać do biura podróży Śnieżny Lew i zarezerwować bilet. Zapewnimy darmowy przejazd rządowym jeepem do Siliguri. Proszę to potraktować, ojcze, jak urlop i pozostać w kontakcie. Kiedy sytuacja się unormuje, wystara się ojciec o nowe papiery i wróci. Bez problemu.

Jak gładko wypowiadało mu się te słowa. Wypogodniał na myśl o tym, jak bardzo jest cywilizowany i miły.

Wróci. Bez problemu. Urlop. Odpoczynek.

Ojciec Booty udał się do wszystkich, których znał, a którzy mogliby mu pomóc - do komendanta policji, przewodniczącego zarządu okręgu, który regularnie przyjeżdżał do mleczarni po słodki twaróg, do majora Alu w garnizonie, który przepadał za wyrabianymi przez niego czekoladowymi cygarami, do urzędników departamentu leśnictwa, którzy ofiarowali mu grzybnię bocznika, żeby w sezonie miał w ogrodzie swoje grzyby. Pewnego roku, kiedy na terenie jego posiadłości zakwitła kępa bambusów i na białe kwiaty opadły, brzęcząc, pszczoły z całej okolicy, departament leśnictwa odkupił od niego cenne nasiona

ponieważ bambus kwitnie tylko raz na sto lat. Kiedy kępa po tym nadzwyczajnym wysiłku obumarła, dali mu do zasadzenia nowe rośliny, młode tyczki z końcówkami jak warkocze.

Teraz jednak ci wszyscy, którzy w spokojnych czasach lubili jego towarzystwo i gawędzili z nim na takie tematy jak ser, grzyby i bambus, teraz byli zbyt zajęci lub zbyt wystraszeni, żeby mu pomóc. — Nie możemy tolerować zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa narodowego.

- A co z moim domem? Co z moją mleczarnią, krowami?

Były tak samo nielegalne jak on.

Obywatele obcych krajów nie mogą nabywać nieruchomości i ojciec dobrze o tym wie. A w ogóle to w jakim celu ojciec to wszystko zakupił?

Mleczarnia była formalnie własnością wujka Potry'ego, ponieważ dawno temu, kiedy wypłynęła ta drażliwa sprawa, podpisał za przyjaciela wszystkie dokumenty...

Lecz niezamieszкана posiadłość stwarzała wielkie niebezpieczeństwo, gdyż Kalim pang już dawno został zakwalifikowany jako „rejon newralgiczny” i armia, zgodnie z prawem, mogła zawłaszczyć niezajętą przez nikogo ziemię. Wojsko płaciło minimalną dzierżawę, rozlewało wszędzie beton, a przejmowane domy wypełniało sznureczkiem tymczasowych lokatorów, którzy o nic nie dbali i zamieniali budynek w ruinę. Tak zwykle się działo.

Ojciec Booty czuł, jak serce mu zamiera w piersi na myśl o tym, że jego krowy zostaną przepędzone, a na ich miejsce sprowadzi się czołgi; rozglądał się po swoim skalistym kawałku zbocza — fioletowe storczyki i bladiorude lilie nadawały wonność powietrzu; w dole mignięcie Tisty, która w tym momencie nie miała żadnego koloru, była

jedynie ciemnym światłem połyskującym w drodze do Brahmaputry. Taka dzika przestrzeń nie mogła wzbudzać miłości łagodnej - kochała ją ogniście, intensywnie.

Lecz dwa dni później ojca Booty'ego odwiedził kolejny gość, nepalski lekarz... pragnął otworzyć prywatny dom opieki i bez zaproszenia przeszedł przez bramę, by omieść wzrokiem ten sam widok, który ojciec Booty wcześniej podziwiał i pieścił spojrzeniem. Lekarz dokładnie obejrzał solidnie wzniesiony dom, któremu ojciec Booty nadał nazwę Sukhtara. Gwiazda Szczęścia. Stukał knykciami w oborę z uznaniem właściciela. Dwudziestu pięciu bogatych pacjentów jeden po drugim... Po czym złożył ofertę kupna „Szwajcarskiej Mleczarni” za grosze.

- Więcej warta jest sama obora, nie mówiąc już o domu.
- Nie dostanie pan innych propozycji.
- Dlaczego?
- Już ja się o to postarałem i nie ma pan wyjścia. Ma pan szczęście, że dostanie pan tyle, ile proponuję. Przebywa pan w tym kraju bezprawnie i albo pan sprzeda, albo wszystko straci.

*

- Zaopiekuję się krowami, Booty - obiecał jego przyjaciel wujek Potty.
- Głowa do góry. A kiedy zamieszki się skończą, wrócisz i wszystko będzie po staremu.

Siedzieli razem, ojciec Booty, wujek Potty i Sai. W tle grała kasetka z Abidą Parveen. *Allah hu, Allah hu Allah hu...* Bóg jest tylko pustynią i przestrzenią, przekonywał matowy głos, niedbający o utratę miłości. Zabiera cię na skraj tego, co można znieść, a potem - puszcza, puszcza cię... *Mudźhe dźaaaaane do...* Pragnąć należy jedynie wolności.

Lecz ojca Booty'ego nie pocieszały zapewnienia wujka Potty'ego, jego przyjaciel był bowiem — co należało przyznać - alkoholikiem, człowiekiem, na którym trudno było polegać. W stanie zamroczenia mógł pozwolić na wszystko, podpisać każdy dokument, wina jednak leżała po stronie ojca Booty'ego: dlaczego nie wystarał się o indyjski paszport? Bo to było tak samo niemądre jak NIEubiega-nie się o paszport amerykański lub szwajcarski? Wyczuwał w sobie jakiś brak, gardził swoją uległością wobec zasad panujących na świecie, choć się z nimi nie zgadzał.

Mangusta sadziła susami jak przelewająca się woda przez trawę, kolorem stopiona z wieczorem, zdradzał ją tylko ruch.

Gniew z całej siły napierał na serce Sai. To sprawka Gjana, myślała.

Oto, czego narobił i co nawyprawiali ludzie tacy jak on w imię przyzwoitości i edukacji, w imię szpitali dla Nepalczyków i kierowniczych stanowisk. Ostatecznie ojciec Booty, kochany ojciec Booty, który, szczerze mówiąc, zrobił dużo więcej dla rozwoju tej okolicy niż którykolwiek z miejscowych, bez wrzasków i wymachiwania *kukri*, ojciec Booty miał być złożony w ofierze.

W dolinach już zapadła noc, światła zapalały się w omszałym, chropowatym ile, pachnąca świeżością ciemność rozszerzała się, rozwijała swe liście. Pili we trójkę rum Old Monk, patrzyli, jak czerni pnie się przez ich palce u stóp, kolana, cienie jak liście kapusty wyciągają się i dotykają ich policzków, nosów, spowijają twarze. Czern minęła czubki ich głów i uleciała dalej, żeby zgasić Kanczen-dzongę płonąca ostatnim bezwstydnym pornograficznym różem... każde z nich z osobna wspominało, ile spędzili takich wspólnych wieczorów... jak bardzo nie mogło im się pomieścić w głowach, że te wkrótce się skończą. Tutaj Sai nauczyła się, w jaki sposób muzyka, alkohol i przy-

r

jaźń razem mogą stworzyć wielką cywilizację. „Nie ma nic słodsze”, mawiał wujek Potty, podnosząc szklanę przed napiciem się.

W Europie znajdowały się sale koncertowe, do których ojciec Booty miał niebawem powrócić, teatry operowe, gdzie muzyka stapia publiczność w jedno lamentujące lub radujące się serce i gdzie aplauz brzmi jak ulewa...

Lecz czy tam mogli poczuć się tak jak tutaj? Na skraju góry, z sercem na wpół pełnym, na wpół pustym, tęskniącym za pięknem, za niewinnos'cią, która teraz wie. Z namiętnością do ukochanej osoby, do wielkiego świata lub do światów poza tym tutaj...

Sai pomyślała o czasach, kiedy było dla niej niejasne, za czym dokładnie tęskni, na początku pobytu w Czo Oju, gdy sama tęsknota znajdowała echo w jej obolałej duszy. Ta tęsknota już przeminęła, pomyślała, ból zaś ukonkret-nił się.

Jej myśli wróciły do dnia, kiedy z Czo Oju zrabowano broń — wtedy wszystko zaczęło się psuć.

Co za głupota, żeby zostawić te strzelby na ścianie, nieużywane artefakty zesłane na emeryturę historii, widywane zbyt często, by je zauważyć lub o nich myśleć. Gjan ostatni zdjął je i oglądał - chłopcy lubią takie rzeczy. Sai czytała, że nawet Dalajlama ma kolekcję gier wojennych i żołnierzyków. Nie przyszło jej do głowy, że można je jeszcze wskrzesić. Czy popełnione zostaną zbrodnie, których tropy, kiedy się je połączy, będą prowadzić do ich drzwi?

*

- Dziadek kiedyś polował. - Sai poinformowała Gjana, próbując zrobić na nim wrażenie, ale czy aby na pewno powinna być dumna? Z czegoś, co raczej przynosi wstyd?

Te historie opowiadał jej kucharz.

- Był z niego, *Saibejbi*, wielki *śikari*. Bardzo przystojny, a jak odważnie i szykownie prezentował się na koniu. Wzywali go wieśniacy, jeśli w okolicy pojawiał się jakiś ludojad.

- A często się pojawiał? - Gęsia skórka.

- Oj, ciągle. *Rrr-rrr*, słyszało się je, a dźwięk ten przypominał piłowanie drewna. Pamiętam, jak się budziłem i nasłuchiwałem. Rano widać było ślady nad rzeką, czasem nawet wokół namiotów.

Kucharzowi opowieści te sprawiały przyjemność, nic nie mógł na to poradzić, a im częściej je powtarzał, tym bardziej stawały się prawdziwsze od samej prawdy.

*

Policja przybyła przeprowadzić dochodzenie w sprawie rabunku i w chacie kucharza zaczęły fruwać listy Bidżu...

- Musieli tak - powiedział kucharz. - Sprawa jest poważna.

Opinia ta uzyskała potwierdzenie, kiedy pewnego ranka, niedługo po tym jak ojciec Booty usłyszał o swym zesłaniu, do Czo Oju przybył przewodniczący zarządu okręgu. Sędzia i Sai byli akurat na trawniku, musiał więc ich odnaleźć ukrytych w kamuflażu własnych cieni i cieni liści.

— Sprawcy wciąż przebywają na wolności — oznajmił PZO w otoczeniu trzech policjantów uzbrojonych w broń palną i bambusowe *lathi* — ale proszę się nie martwić. Zdusimy to w zarodku.

Rozprawimy się z elementami antyspołecznymi.

- Wie pan, mój ojciec też był wielkim *śikari* — kontynuował przy herbacie. - Gdybyś nie był takim mistrzem, powiedziałem mu, zostałoby coś dla nas! Prawda? Ha, ha - zaśmiał się, lecz ten śmiech zaróżowiłby papierek lakmusowy. - Panie sędzio, wy, *śikari*, byliście zbyt dobrzy, lwy, lamparty... Teraz, gdy człowiek pójdzie do lasu, ma szczęście, jeśli zobaczy kure, która skądś uciekła, nie jest tak?

Milczenie. Czyżby posunął się za daleko?

— Ale bez obaw, złapiemy tych bandziorów. Wykorzystują problemy w Bhutanie i Asamie jako pretekst do wywoływania burd tutaj. Ten nasz kraj zawsze jest rozdarty i to smutne dla ludzi naszego pokroju, wychowanych w poczuciu patriotyzmu, a zwłaszcza dla kogoś takiego

jak pan, panie sędzio, kto w pocie czoła budował naszą wolność... Ci anarchiści nie mają szacunku dla niczego i dla nikogo, nawet dla siebie... Cała gospodarka jest zagrożona. Czy wiesz — zwrócił się do Sai — jakie są trzy największe bogactwa dystryktu Dardżyling? Możesz mi powiedzieć?

Pokręciła głową. Rozczarowany nią, rriumfująco dumny z siebie, wyrecytował:

— Herbata! Drewno! Turystyka!

Po wyjściu zatrzymał się przy kwitnącym pnączu.

— Piękne kwiaty, panie sędzio. Kredy się widzi coś takiego, człowiek zyskuje pewność, że istnieje Bóg. - Passiflora, której każde kwitnienie trwa jeden dzień, przepiękna i osobliwa roślina, z pasiastymi fioletowo-białymi mackami, na wpół ukwiał, na wpół kwiat, samotnie stanowi wystarczający powód, by uwierzyć.

— Stałem się zapalonym ogrodnikiem — wyznał PZO - odkąd przybyłem do Kalimangu. Opiekuję się moimi roślinkami, zupełnie jak gdyby były dziećmi. Proszę mnie powiadomić, jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś kłopoty. Nie przypuszczam, lecz sytuacja bez wątpienia jest bardzo drażliwa. - Zawiązał chustę jak nacjonalista... - Raz-dwa! Tyle spraw na głowie! Nie ma czasu do stracenia! Naród wzywa! - I wskoczył z powrotem do jeepa. Kierowca wycofał przez bramę i odjechali z warkotem.

— Zobaczmy, co wskóra — powiedział kucharz.

— Nigdy nikogo nie znajdują — powiedział sędzia. Sai nic nie powiedziała, ponieważ nie mogła przestać myśleć o tym, że Gjan jej unika.

*

Kilka dni później policja zatrzymała podejrzanego, nędznego pijaczynę. Często go widywano, jak leży w rowie przy drodze na targ nieświadom świata wokół siebie. Jakiś prze-

r

chodzień czasem wyciągał go stamtąd, klepał po policzkach i wysyłał do domu, do którego szedł chwiejnym krokiem, poprzecinany śladami po trawie, z gwiazdami w oczach.

Teraz natomiast przewieziono pijaczka na posterunek policji, gdzie usiadł na podłodze ze związanymi rękami i nogami. Policjanci stali dookoła i sprawiali wrażenie znudzonych. Nagle jednak, pobudzeni do działania czymś niejasnym, otrząsnęli się z apatii, przyskoczyli do niego i zaczęli go bić.

Im głośniej krzyczał, tym mocniej go bili; zrobili z niego miazgę, tłukli jego głowę, aż twarz zalała się krwią, wybili mu zęby, kopali go, łamiąc żebra...

Słysząc go było w całej okolicy, jak błaga o litość i krzyczy. Policjanci patrzyli na niego z obrzydzeniem. Zapewniał o swej niewinności.

- Nikomu nie ukradłem broni, nie byłem w żadnym domu, niczego nie zrobiłem, niczego, jakaś pomyłka...

Jego wrzaski rozbrzmiały pierwsze i zapowiadały koniec normalnego życia na wzgórzu.

- Niczego nie zrobiłem, ale przepraszam.

Jeszcze wiele godzin powietrze rozdzierały rozpaczliwe krzyki.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam... Policja ćwiczyła już techniki tortur, przygotowywała

się do tego, co miało nastąpić. Kiedy nieszczęśnik wyczołgał się stamtąd na kolanach, jego oczy już zgasły. Zagoiły się w pozbawione światła puste spojrzenia, które już zawsze sprawiały, że inni wzdrygali się na ich widok ze strachu i obrzydzenia.

Jedyną pozytywną rzeczą było to, że nie widział, jak się wzdrygają, i mógł teraz całkowicie uciec w alkohol, który zawsze przynosił mu pociechę.

Powiedział mu o tym, jak gdyby nigdy nic, pan Iype, kioskarz, wymachując numerem „India Abroad”:

- Jesteś z okolic Dardżylingu, nie? Teraz tam niebezpiecznie...
- Dlaczego?
- Nepalczycy sieją zamęt... bardzo kłopotliwy naród...
- Strajki?
- Dużo gorzej, *bhai*, nie tylko strajki, cała okolica odcięta.
- Tak?
- Ta sytuacja trwa od kilku miesięcy. Nie słyszałeś?
- Nie. Od dłuższego czasu nie dostaję listów.
- A jak sądzisz, dlaczego?

Za przerwę w korespondencji ojca Bidżu winił typowe czynniki - złą pogodę, niekompetencję.

- Powinni wykopać drani do Nepalu - ciągnął pan Iype. —
Banglijczyków do Bangladeszu, Afgańczyków do Afganistanu,
wszystkich muzułmanów do Pakistanu. Tybetańczycy, Bhutańczycy,
po co siedzą w naszym kraju?
- A po co my siedzimy tutaj?
- Tutaj jest inaczej - powiedział bez wstydu. - Co oni by bez nas
zrobili?

RirlTii wrócił do pracy.

Przez cały dzień, ze stopniowo narastającym rozpędem, nabierał przekonania, że ojciec nie żyje. Sędzia nie wiedziałby, jak się z nim skontaktować, gdyby w ogóle próbował. Niepokój zaczął się zaciskać jak pętla.

*

Następnego dnia nie mógł już tego znieść; wymknął się z kuchni i kupił za dwadzieścia pięć dolarów numer od gościa, który miał dar ich zapamiętywania — kręcił się koło budki telefonicznej, podsłuchiwał, jak ludzie podają swoje kody i rejestrował je w głowie. Stał raz w pobliżu niczego niepodejrzewającego pana Onopolousa, który za rozmowę płacił platynową kartą...

— Tylko się pośpiesz — poinstruował Bidzu — nie jestem pewien tego numeru, parę osób już z niego korzystało...

Słuchawka była wciąż ciepła i wilgotna po ostatniej intymnej wiadomości, którą przekazała, i posyłała Bidzu ze swym oddechem niskie gruźlicze rżenia. Jako że w Czo Oju nie było telefonu, Bidzu wykręcił numer pensjonatu MetalBox na Ringkingpong Road.

— Możecie sprowadzić ojca? Zadzwońię znowu za dwie godziny.

*

Tak więc pewnego wieczoru, kilka tygodni ptzed odcięciem linii telefonicznych, przed zbombardowaniem dróg i mostów, zanim pograżyli się w całkowitym szaleństwie, do Czo Oju przybiegł strażnik z MetalBoksu i zaczął szarpać za bramę. Kucharz nastawił właśnie wywar na kościach i dymce...

- Z[^]/Telefon! Lz/Telefon! Telefon od syna. *La/Z* Ameryki. Zadzwoń znowu za godzinę. Szybko!

- *Bejbi-dzi!*- Kucharz zostawił stukający szkielet kości przykryty roztańczoną zieleniną pod okiem Sai.

I natychmiast wybiegł z domu...

- Dokąd to? - zapytała Sai, która usuwała rzepy z pan-talonów Mutt, rozmyślając o nieobecności Gjana...

Lecz kucharz nie odpowiedział. Był już za bramą i biegł.

★

Aparat stał w salonie pensjonatu, zabezpieczony łańcuchem i kłódką, żeby złodziejska służba mogła tylko odbierać telefony. Kiedy telefon znowu zadzwonił, strażnik rzucił się na aparat, wołając: „Telefon, *Az/Telefon! La mai!*”, a wtedy cała jego rodzina wybiegła z chaty. Za każdym razem, kiedy dzwonił, nadbiegali z pełną oddania lojalnością. Stróże nowoczesnych urządzeń nie mogli, nie mogli pozwolić, by te spowszedniały.

-HALO?

- HALO? HALO?

Zebrali się wokół kucharza, chichocząc w rozkosznym wyczekiwaniu.

-HALO?

- HALO? *PITA-DŹn?*

- BIDŹU? - Było czymś naturalnym i logicznym, że podniósł głos, by pokonać dzielącą ich odległość, przesłać swój głos aż do Ameryki.

- Bidżu, Bidżu - powtórzyła chórem rodzina stróża. — To Bidżu - mówili jeden drugiemu. - Och, to twój syn - mówili kucharzowi. - To jego syn - mówili do siebie. Patrzyli, czy zmieni się wyraz jego twarzy, próbowa

li odczytać z niej, co się mówi po drugiej stronie, pragnąc głębiej wniknąć do tej rozmowy, a właściwie stać się nią.

- HALO HALO????

- ??? HA? NIE SŁYSZĘ. BARDZO SŁABO SŁYCHAĆ.

- NIE SŁYSZĘ. TY SŁYSZYSZ?

- On nie słyszy. -CO?

- Wciąż nie słyszysz? — pytali kucharza.

Atmosfera Kalimpangu dotarła aż do Bidżu w Nowym Jorku; pęczniała i gęstniała na linii, a on wyczuwał puls lasu, zapach wilgotnego powietrza, zielono-czarną bujność; mógł sobie wyobrazić całą tę różnorodną fakturę, liście bananowca, gołe maczugi kaktusów, delikatne gesty paproci; słyszał rechot *trrr łonk, ty ci ty ci ty lek ty lek* żab w szpinaku, których wzbierająca muzyka zlewała się niepostrzeżenie z wieczorem...

- HALO? HALO?

- Szumy, szumy — powtarzała rodzina stróża. — Nie słychać? Kucharz machnął na nich ze złością. „C i i i i c i i i”, natychmiast przerażony utratą bezcennej sekundy z synem. Odwrócił się do telefonu, lecz wciąż przeganiał ich od tyłu, tak gwałtownie, że omal nie urwał sobie ręki.

Na chwilę się odsunęli, lecz oswoiwszy się z odpędzającymi gestami, przewyciężyli onieśmielenie i wrócili.

-HALO?

-*KJA?*

-*KJA?*

Cień słów był większy niż treść. Echo ich głosów połykało odpowiedź z drugiego końca świata.

- STRASZNIE SZUMI.

Żona stróża wyszła na dwór, żeby spojrzeć na delikatny drut telefoniczny, kruche połączenie drżące nad wąwozami i górami, nad Kanczendzongą dymiącą jak wulkan lub cygaro - jakiś' ptak mógł na nim usiąs'ć, lelek kozo-dój mógł śmignąć przez rwący się sygnał, satelita na firmamencie mógł piknąć...

- Za silny wiatr, wieje wiatr - zakomunikowała żona stróża. - Drut się chwieje o tak, o tak. - Falisty ruch ręką.

Dzieci wdrapały się na drzewo i próbowały unieruchomić linię.

W przestrzeń między ojcem i synem wprosił się huragan trzasków.

- CO SIĘ STAŁO? - wrzeszczał jeszcze głośniej - WSZYSTKO W PORZĄDKU?!

- CO MÓWISZ?

- Puście - rozkazała żona, ściągając dzieciaki z drzewa - jest jeszcze gorzej.

- CO SIĘ DZIEJE? SĄ ROZRUCHY? STRAJKI? -TERAZ NIE MA ZAMIESZEK - Lepiej go nie martwić.-TERAZ NIE!!

- Wraca? - zapytał stróż.

- WSZYSTKO W PORZĄDKU? - Bidzu wydzierał się do słuchawki na nowojorskiej ulicy.

- NIE MARTW SIĘ O MNIE. O NIC SIĘ TUTAJ NIE MARTW. W HOTELU DOBRZE DAJĄ JEŚĆ? RESTAURACJA DAJE ZAKWATEROWANIE? JEST TAM JESZCZE KTOŚ Z UTTAR PRADEŚU?

- Dają zakwaterowanie. Darmowe wyżywienie. WSZYSTKO JAK NAJLEPIEJ. ALE CZY U CIEBIE WSZYSTKO W PORZĄDKU? - zapytał znowu Bidzu.

- TERAZ WSZĘDZIE SPOKOJNIE.

- ZE ZDROWIEM WSZYSTKO W PORZĄDKU?

- TAK. WSZYSTKO W PORZĄDKU.

- Aj, wszystko w porządku — mówili wszyscy, kiwając głowami. —
Wszystko w porządku? Wszystko w porządku.

Nagle nie zostało już nic więcej do powiedzenia, bo choć emocji nie brakowało, rozmowa się urwała; jedno rozkwitło, ale nie drugie, i raptownie wpadli w nicość.

- Kiedy przyjeżdża? - odpowiedział stróż.

- KIEDY PRZYJEŹDŹASZ?

- NIE WIEM. SPRÓBUJĘ... Bidzu zachciało się płakać.

- NIE MOŻESZ DOSTAĆ URLOPU?

Nie osiągnął nawet luksusu uzyskiwania od czasu do czasu urlopu. Nie mógł pojechać do domu odwiedzić ojca.

- KIEDY DOSTANIESZ URLOP?

- NIE WIEM. -HALO?

- *La ma ma ma ma ma ma*, nie może dostać urlopu. Czemu nie? Nie wiadomo, nie mają tam lekko, dużo zarabiają, ale jedno jest pewne, muszą ciężko harować na swoje pieniądze... Nigdzie na świecie... nie daje się niczego za darmo...

- HALO? HALO?

- *PITA-DŹI*, SŁYSZYSZ MNIE? Znów się od siebie oddalili...

Biip biip honk bonk trr ty lek, telefon zamilkł i zostali uwięzieni w przestrzeni, która ich dzieliła.

- HALO? HALO? - w zastygły grymas słuchawki.

- Halo? Halo? Halo? Halo? - powtarzali jak echo sami do siebie.

Kucharz odłożył słuchawkę rozdygotany.

- Zadzwoń znowu - powiedział stróż. Lecz telefon zachował milczenie.

Na zewnątrz żaby powtarzab/ *tttt tttt*, jak gdyby połknęły sygnał w słuchawce.

Próbował potrząsać urządzeniem, żeby pobudzić je do życia, chciał przekazać jeszcze przynajmniej zwyczajowe słowa pożegnania. W końcu nawet wyświechtane zwroty można natchnąć prawdziwymi emocjami.

- Pewnie jakieś problemy na linii.

- Tak, tak, tak.

Jak zawsze, problemy na linii.

- Wróci tłuści. Słyszałam, że wszyscy wracają tłuści - wtrąciła niespodziewanie szwagierka srróža, próbując pocieszyć kucharza.

*

Rozmowa się skończyła i pustka, którą Bidżu miał nadzieję rozproszyć, doskwierała mu teraz jeszcze silniej.

Nie umiał rozmawiać z ojcem; nie pozostało im nic prócz gorączkowych zdań, skrótowych telegraficznych kwestii wykrzykiwanych jak podczas wojny. Nie miały już żadnego znaczenia dla życia rozmówcy poza nadzieją, że n a b i o r ą znaczenia. Stał nieruchomo z głową w budce telefonicznej wysadzanej kawałkami zaschniętej gumy do żucia i typowymi KurwaChujDupaCipaKochamWojna, swastykami i sercami przeszytymi strzałą wśród gęstej roślinnością napisów graffiti, zbyt cukierkowych zbyt gniewnych zbyt perwersyjnych - mdła słodka gnijąca mierzwa ludzkiego serca.

Jeśli pozostanie w Nowym Jorku, być może już nigdy nie zobaczy swego *pita-dzi*. Takie rzeczy ciągle się zdarzały; mijało dziesięć lat, piętnaście, i nadchodził telegram albo dzwonił telefon, rodzic odszedł, dziecko się spóźniło. Albo wracało i okazywało się, że zgubili jedną czwar

tą życia, a ich rodzice stali się negatywami zdjęcia. Dochodziło też do gorszych tragedii. Kiedy mijały pierwsze emocje, często stawało się jasne, że miłość odeszła; uczucie było ostatecznie tylko nawykiem, a ludzie zapominali lub przyzwyczajali się do jej nieobecności. Wracali i znajdowali tylko fasadę; wyjedzoną od środka - tak jak Czo Oju było zżerane od wewnątrz przez termity.

*

- Oni tam wszyscy obrastają tłuszczem...

Kucharz wiedział, że tam wszyscy tyją. Jedną z tych rzeczy, o których powszechnie wiadomo:

„Obrastasz tłuszczem, *beta*, jak wszyscy w Ameryce?“, napisał do syna dawno temu, co stanowiło odejście od typowej dla nich formuły.

„Tak, obrastam w tłuszcz - odpisał Bidżu - kiedy mnie znowu zobaczysz, będzie mnie dziesięć razy więcej“. Śmiał się, pisząc te słowa, i kucharz śmiał się głośno, kiedy je czytał; leżał na wznak i wierzgnął nogami w powietrzu jak karaluch.

„Tak - napisał Bidżu - obrastam w tłuszcz... będzie mnie dziesięć razy więcej“, po czym przeżył szok, kiedy udał się do 99 Cent Store i okazało się, że koszule musi kupować w dziale dziecięcym.

Pochodzący z Lahau-ru sprzedawca siedział na wysokiej drabinie pośrodku sklepu i pilnował, żeby nikt niczego nie zwinął - utkwiał wzrok w Bidżu w chwili, kiedy ten wszedł, aż zapiekło go poczucie winy. Ale przecież niczego nie zrobił. Wszystkim jednak wydawało się, że jest inaczej, widzieli przecież jego minę winowajcy.

Tęsknił za Sajidem. Chciał spojrzeć raz jeszcze na ten kraj, choćby przez chwilę, przez różowe okulary jego oczu.

Bidźu wrócił do Gandhii Cafe, gdzie nie zauważono jego nieobecności.

- Przyjdźcie wszyscy, obejrzymy mecz krykieta, OK? - Hariś-Harry przyniósł album ze zdjęciami, żeby pokazać pracownikom fotografie mieszkania w New Jersey, na które właśnie wpłacił zaliczkę.

Zainstalował już gigantyczną antenę satelitarną na samym środku głównego dziedzińca, chociaż zarząd tej doborowej wspólnoty nalegał, by umieścić ją bardziej dyskretnie z boku niczym podsłuchujące ucho; nie ustąpił jednak pod naciskami, sprytnie krzyżąc:

- Rasizm! Rasizm! Nie będę mógł dobrze odbierać indyjskich kanałów.

Jedynym zmartwieniem pozostała córka. Ich przyjaciółka i konkurentka, żona pana Saha, złowiła narzeczonego, wysyłając mu priorytetem aż do Oklahomy domowej roboty kebaby *gelawati*.

- To jakaś rodzina *dehati* na głuchej prowincji - pocieszał żonę Hariś-Harry. - I powinnaś widzieć tego chłopaka, którym tak się chwala... co za *lutu*. Amerykańskie gabaryty... wygląda jak coś, czym się wyważa drzwi.

Poradził córce:

- Kiedyś dla dziewczyny miła osobowość była powodem do dumy.

Zachowuj się jak kretynka, a możesz tego później żałować do końca życia... Tylko potem nie przychodź do nas z płaczem, OK?

R

37

Sytuacja się poprawi, zapewniał PZO, lecz chociaż zaczęto torturować przypadkowych ludzi z różnych części miasta, tak się nie stało.

Przez serię strajków sklepy były pozamykane.

Strajk jednodniowy.

Strajk trzydniowy.

Potem strajk tygodniowy.

Kiedy pewnego dnia otwarto na krótko sklep spożywczy Skowronek, Lola stoczyła z afgańskimi księżniczkami zwycięską batalię o ostatnie słoiki i puszki. W tym miesiącu, kiedy mordowano i palono domy, księżniczki nie myślały o niczym innym, tylko o dżemie, złoszcząc się: „Ten przeokropny babsztyl!”.

Lola uśmiechała się ze złośliwą satysfakcją każdego dnia, kiedy rozsmarowywała dżem Druks - cienko, żeby wystarczył na jak najdłużej.

Strajk trzynastodniowy.

Strajk trzytygodniowy.

Więcej strajkowania niż niestrajkowania.

Więcej wilgoci w powietrzu niż powietrza. Ciężko było oddychać i człowiek odnosił wrażenie, że się dusi - w rejonie świata, który akurat przestrzeni nikomu nie żałuje.

W końcu przestano w ogóle otwierać sklepy i urzędy - biuro podróży Śnieżny Lew i budka telefoniczna, sklep

z chustami, głusi krawcy, kioski Kanshi Nath & Sons -wszyscy byli tak zastraszeni, że pozastaliali witryny i nie wyściubiali zza nich nosa. Blokad drogowe wstrzymywały ruch, nie pozwalały na wyjazd ciężarówek z drewnem i kamieniami, wstrzymywały transport herbaty. Na drodze widać było porozrzucone gwoździe, plamy rozlanego oleju Mobil Oil. Chłopcy z GFVN pobierali wysokie opłaty, jeśli w ogóle godzili się kogoś przepuścić, i zmuszali do kupowania przemówień przywódców ruchu na kaserach i kalendarzy z widokami Gorkhalandu.

ZTindhariji i znad Mahanadi przyjeżdżali ciężarówkami mężczyźni, zbierali się przed posterunkiem policji i obrzucali budynek cegłami i butelkami. Nie mógł ich rozpędzić gaz łzawiący; ani szarża z pałkami *lathi*.

- No to ile oni chcą ziemi? - zapytała ponuro Lola. Noni:

- Okręgi Dardżyling, Kalimpong i Kurseong, i części dystryktów Dżalpaiguri i Kuć Behar, ciągnące się aż do podgórze, od Bengalu do Asamu.

- Nie ma pokoju dla bezbożników — stwierdziła pani Sen, wywijając drutami, dziergała bowiem sweter dla premiera, współczując mu kłopotów. Nawet w Delhi robi się zimno... zwłaszcza w tych pełnych przeciągów willach, w których umieszczają najwyższych rangą członków rządu. Nie była jednak sprawną dziewiarką. Pracowała bardzo powoli. W przeciwieństwie do jej matki, która w czasie trwania filmu potrafiła wydziergać na drutach całą kołderkę dla dziecka.

- Kto jest bezbożny? - zapytała Lola. - Chyba nie my. To oni są bezbożni. A my nie mamy spokoju. Nie ma pokoju dla niebezbożnych.

Czym jest kraj, jeśli nie wyobrażeniem o nim? Indie były dla niej pewnym pojęciem, nadzieją lub pragnieniem. Jak często można je było atakować, nim się rozsypią? Nisz

czenie wymaga wprawy; to mroczna sztuka, a oni ją doskonalili. Z każdym konfliktem następny będzie łatwiejszy, stanie się czymś niekontrolowanym i, jak w rozpadającym się małżeństwie, niemożliwe będzie zachowanie dystansu, powstrzymanie się od rozdrapywania ran, nawet jeśli są one twoimi ranami.

*

Przeczytały już książki z biblioteki, lecz oczywiście nie było mowy o ich zwróceniu. Pewnego ranka, kiedy do klubu Gymkhana przybył ów schludny major, który nim zarządzał, okazało się, że bojownicy GFWN rozpędzili bibliotekarki i recepcjonistów, a potem korzystali z przestrzeni i komfortu, jakich w życiu jeszcze nie zaznali — sypiali między regałami, hasali w damskiej toalecie, gdzie jeszcze nie tak dawno Lola dmuchnęła w puszek i przypudrowała sobie nos.

Z Kalkuty przestali przyjeżdżać ruryści śmiesznie okutani w wiele warstw, jak gdyby wybierali się na Antarktydę, rozsiewający po mieście ostry zapach kulek naftalinowych. Nie przybywali żadni goście ze swym bogatym miejskim tłuszczem, który przygniatał pokryte strupami szkapy podczas przejażdżek konnych. W tym roku górskie koniki miały wolne.

Nikt nie przyjeżdżał do Himalayan Hotel i nie zasiadał pod obrazem Roericha z oświetloną księżycowym blaskiem górą jak zjawa w prześcieradle, żeby „przenieść się do czasów dawno minionych”, jak pisano w broszurze, albo zamówić potrawkę po irlandzku i żuć, żuć, żuć mięso wychudłych kóz z Kalimpangu.

Pensjonaty pozamykały podwoje. Stróżom, którzy zawsze o tej porze roku musieli się przenosić z zajmowa

nych zimną pomieszczeń w głównych budynkach do chat na uboczu; którzy musieli zmienić wyraz twarzy z pełnego godności na unżone *Dzi huzur*, zdjęć kłódki z szaf, żeby wydobyć z nich telewizory i grzejniki *made in Japan* - w tym roku nikt miał im nie przeszkadzać w korzystaniu z wszelkich wygód.

I podczas gdy oni nie ruszali się ze swoich miejsc, z okolicznych szkół z internatem zabierano dzieci, gdy rodzice otwierali gazety i ze zgrozą czytali o tym, że zdrowy górski klimat psują separatyści i działania partyzanckie. Ta narastająca wszędzie histeria być może tłumaczyła kompromitujące zachowanie ostatniej grupy wychowanków z St. Xavier's. Kiedy poproszono ich o pomoc w przygotowaniach do kolacji (ponieważ kucharze rozplłynęli się we mgle), odkryli, że głowę kurczaka najlepiej usunąć, kręcąc nią i wyciągając jak korek z butelki - metoda duża lepsza niż odcinanie jej tępym nożem. Wywiązała się orgia krwi i piór, wielka jatka, podczas której bezgłowe ptaki biegały dookoła, gubiąc wnętrzności i odchody. Chłopcy krzyczeli, aż ten haniebny śmiech doprowadzał ich do łez, śmiech tonął w łkaniach i tłumił je, a łkania gulgotały i wzbierały razem ze śmiechem.

Odpowiedzialny za nich nauczyciel włączył szlauch, żeby zimną wodą przywołać ich do opamiętania się, lecz oczywiście wtedy w zbiornikach nie było już wody.

*

Nie było też gazu ani nafty. Wszyscy wrócili do gotowania na ogniu drzewnym. Nie było wody.

— Wystawiłam wiadra do ogrodu — Lola poinformowała Noni — na deszczówkę. Może nie spuszczaemy wody

w ubikacji. Lepiej dodać trochę *sunny fresh*, żeby zabić fetor. Dopiero jak się uzbiera więcej...

Nie było prądu, ponieważ spalono budynek dostawcy prądu w proteście przeciwko aresztowaniom na blokadach drogowych. Kiedy lodówka zatrzęsa się i zamilkła, siostry musiały natychmiast ugotować wszystkie nietrwałe produkty. Tego dnia Kesang miała wolne.

Na dworze padał deszcz i niedługo zaczynała się godzina policyjna; przechodząca nieopodal grupka szukających schronienia chłopców z GFWN, zwabiona mocnym zapachem gotującej się baraniny, wdrapała się do środka przez kuchenne okno.

— Dlaczego frontowe drzwi są zamknięte, cioteczko? Olbrzymie kłódki, które zazwyczaj strzegły blaszanych kufrów z kosztownościami, zostały przeniesione na frontowe i tylne drzwi jako dodatkowe zabezpieczenie. Nad ich głowami, na strychu, kilka cennych przedmiotów pozostawiono bez zabezpieczenia.

Rodzinne srebra na *pudźę* z ich przedateistycznych dni; dziecinne kubeczki z Bond Street z łopatkowatymi łyżeczkami, które kiedyś nakładały i wsuwały papki Farex do ich otwartych buzi; wyprodukowany w Niemczech teleskop; perłowy kolczyk do nosa ich babki; okulary z lat sześćdziesiątych; srebrne łyżeczki do wybierania szpiku (ich rodzina zawsze przepadała za szpikiem); adamaszkowe serwetki z wszytymi kieszonkami na trójkątne kanapki z ogórkiem „Pamiętajcie, żeby zwilżyć wodą materiał przed piknikiem...”. Srocze przedmioty wydobyte z romantycznej wersji Zachodu i fantazyjnej wersji Wschodu, które posiadały moc zachowywania godności wobec obrzydliwych konfliktów między narodami.

— Czego chcecie? — Lola zapytała chłopców, a jej twarz zdradzała im, że jest coś, co chciałyby ukryć.

- Sprzedajemy kalendarze, cioteczko, i kasety na rzecz ruchu.
- Jakie kalendarze, jakie kasety?

Ich niepokojąca uprzejmość stanowiła przeciwwagę dla brutalnego wtargnięcia i maskujących rebelianckich strojów.

Na kasety nagrano ulubione przemówienie o „obmywaniu zakrwawionych *kukri* w matczynych wodach Tisty”.

- Niczego im nie dawaj - szepnęła Lola po angielsku. Czuła się słabo i sądziła, że jej nie rozumieją. - Jak raz im coś dasz, będą ciągle przychodzić.

Zrozumieli jednak. Zrozumieli jej angielski, a ona nie rozumiała ich nepalskiego.

- Wszelkie datki na rzecz Gorkhalandu są mile widziane.
- Przez was, ale nie przez nas.
- Ciii - uciszała siostrę Noni. - Bądź rozsądna - wy-sapała.
- Damy pokwitowanie - powiedzieli chłopcy, wbijając wzrok w jedzenie na blacie... przypominające jelita kiełbasy Essen Farm; wyjęte z zamrażarki salami z roztopiającym się szronem.
- Wykluczone - oznajmiła Lola.
- Ciiii - powiedziała znowu Noni. - No to dajcie nam kalendarz.
- Tylko jeden, cioteczko?
- No dobrze, niech będą dwa.
- Ale wiecie, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy... Zainwestowały w trzy kalendarze i dwie kasety. Chłopcy wciąż jednak nie odchodzili.
- Możemy się przespać na podłodze? Policja nie wpadnie na to, żeby nas tutaj szukać.

- Nie - odpowiedziała Lola.
- Dobrze, ale proszę, nie hałasujcie i zachowujcie się spokojnie — poprosiła Noni.

Chłopcy, nim położyli się spać, zjedli cały zapas jedzenia.

*

Lola i Noni zabarykadowały drzwi do swojej sypialni, starając się jak najciszej przysunąć do nich komodę. Chłopcy usłyszeli jednak i zas'miali się głośno:

- Nie martwcie się. Widzicie, jesteście dla nas trochę za stare.

W nocy siostry nie mogły zasnąć, aż rozbolały je oczy od wpatrywania się w ciemność. Mustafa siedział sztywno w ramionach Noni, czując, że jego szacunek do samego siebie został nadszarpnięty, punkt odbytu był zaciśniętą kropką wykrzyknika, ogon zaś prostą i bezkompromisową linią powyżej.

A Budhu, ich stróż?

Czekali, aż przybędzie z bronią i wypłoszy chłopców, lecz Budhu nie przyszedł.

- A nie mówiłam... — powiedziała palącym szeptem Lola. - Ci Nepalczycy! Jedna banda...

- Może ci chłopcy mu zagrozili - fuknęła Noni.

- Oj, daj spokój. Pewnie jest wujem jednego z nich! Powinnyśmy ich wyprosić, a teraz, kiedy raz im uległaś, Noni, ciągle będą przyłazić.

- A co miałam zrobić? Gdybyśmy się nie zgodziły, dostałybyśmy za swoje. Nie bądź naiwna.

- To ty jesteś naiwna. „Mają trochę racji, maaaają rację, trzy czwarte racji, jeśli nie całkowitą rację", no i masz... ty głupia babo!

— Pewnie boicie się, że zatrzyma was policja — zapytał je rano jeden z nich z ironicznym uśmieszkiem na twarzy — za udzielenie nam schronienia? Tego się boicie? Policja nie tyka bogatych, tylko takich jak my, ale jeśli coś piśniecie, będziemy zmuszeni podjąć przeciw wam pewne kroki.

— Jakie kroki?

— Zobaczysz, cioteczko. Wciąż nienaganne maniery.

Odeszli, zabierając ryż i mydło, olej i roczne płody ogrodu zamknięte w pięciu słoikach pomidorowego *ćatni*, i kiedy schodzili po schodach, zauważyli coś, czego nie widzieli w wieczornym mroku - jak ładnie posiadłość przechodzi w trawnik i dalej opada tarasowo.

Wystarczyłoby miejsca na niewielki szereg chat. Smutne skórzaste pomponiki porażonych prądem nietoperzy, które wisiały na drutach między drzewami, świadczyły o dostatecznych dostawach prądu w spokojnych czasach. Targ był blisko; piękna asfaltowa droga tuż pod nosem; można dojść do sklepów lub do szkoły w dwadzieścia minut, a nie w dwie-trzy godziny w każdą stronę...

Nie minął miesiąc, gdy pewnego dnia siostry obudziły się i zauważyły, że pod osłoną nocy na świeżo wykrojonym kawałku na końcu ogródka warzywnego Mon Ami wyrosła jak grzyb chata. Patrzyły z przerażeniem, jak dwaj chłopcy spokojnie ścinają bambus z terenu ich posiadłości i przenoszą na ich oczach długą sztywną tyczkę, wciąż zaparowaną i drżącą od popychania i przeciągania, konflikt elastyczności z nieustępliwością - tyczkę na tyle długą, by połączyć końce całkiem sporego domu.

Wybiegły na dwór.

— To nasza ziemia!

— Nie jest wasza. Należy do wszystkich — odparli, ogłaszając swój wyrok stanowczo i bezwzględnie.

— To nasza ziemia.

— Nie jest przez nikogo zajęta.

— Wzywamy policję.

Wzruszyli ramionami, odwrócili się i wrócili do pracy.

To wszystko nie wzięło się z niczego, nawet Lola o tym wiedziała, powstało ze starego uczucia gniewu, którego nie dało się oddzielić od Kalimpangu. Było częścią każdego oddechu. Tkwiło w spojrzeniach, które się przyczajają, a potem wpijają w ciebie, gdy się zbliżasz, i wskakują ci na plecy, gdy idziesz dalej, z wymamrotaną uwagą, której nie udało ci się dosłyszeć; tkwiło w chichocie zebranych w Thapas, w Gompus, przy każdej anonimowej przydrożnej budzie, gdzie się sprzedaje jaja i zapalki.

Ci ludzie umieli ich nazwać, rozpoznać - owych nielicznych bogatych - tymczasem Lola i Nomi z trudem rozróżniały poszczególne osoby z tłumu biedoty.

Wcześniej siostry nie zwracały na to większej uwagi z tej prostej przyczyny, że nie musiały. Było czymś naturalnym, jak sądziły, że wzbudzają zazdrość, a prawa prawdopodobieństwa pozwalały mieć nadzieję, że siostry prześlizgną się przez życie, mając do czynienia najwyżej z jakimiś wymamrotanymi złośliwościami. Lecz od czasu do czasu ktoś ma to nieszczęście, że trafia w złe miejsce w złym czasie, kiedy wszystko się kumuluje — i spadają nań animozje tłumione przez kilka pokoleń. I kiedy Lola sądziła, że następne sto lat będzie wyglądało jak to poprzednie - Trollope, BBC, wybuch wesołości w Boże Narodzenie - nagle wszystko, co brali za nie-

r

winne, zabawne, śmieszne, niewiele *znaczące*, okazało się niewłaściwe.

Jednak miało znaczenie — kupowanie szynki konserwowej w kraju *dal* z ryżem; miało znaczenie mieszkanie w dużym domu i siedzenie wieczorem przy grzejniku, nawet takim, który iskrzy i razi prądem; miało znaczenie latanie do Londynu i wracanie z czekoladkami wypełnionymi wiśniowym likierem; miało znaczenie, że inni nie mogą zrobić tego samego. Udawały, że to nie ma żadnego znaczenia i nie ma z nimi żadnego związku, a nagle okazało się, że jest wręcz odwrotnie. Zamożność, która chroniła je jak koc, była teraz tym, co je obnażało. One, pośród skrajnej nędzy, były bezczelnie bogate, a statystyki różnic przekazywano przez głośniki, krzyczały głośno zapisane na murach. Ten gniew zastygł w hasła i broń, a wtedy okazało się, że one, właśnie one, Lola i Noni, są tymi nieszczęściami, które się nie prześlizgną, i spłacą narastający od wielu pokoleń dług.

*

Lola wybrała się do Pradhana, ekstrawaganckiego szefa skrzydła GFWN w Kalimangu, żeby złożyć skargę na nielegalnie powstające na terenie Mon Ami domy zwolenników jego ruchu.

Pradhan rzekł:

- Muszę przecież gdzieś ulokować moich ludzi.

Wyglądał jak pluszowy miś bandyta, z długą brodą i bandaną na głowie, ze złotymi kolczykami. Lola nie wiedziała o nim zbyt wiele, tyle tylko, że w gazetach nazywa się go „samotnikiem z Kalimangu”, renegatem, wybuchowym, nieprzewidywalnym buntownikiem, nie negocjatorem, który kieruje swoim skrzydłem GFWN jak król

królestwem, herszt bandą. Jest bardziej dziki, mawiano, bardziej zawzięty niż Ghising, przywódca skrzydła w Dar-dżylingu, który był lepszym politykiem i którego ludzie zajmowali teraz klub Gymkhana. Jego życiorys pojawił się w ostatnim numerze „Indian Express”, jaki przedostał się przez blokady drogowe: „Urodzony na plantacji herbaty w Mańdżu; wykształcenie, plantacja herbaty w Singbuli; ekszołnier 8. Regimentu Strzelców Gurkhij-skich, walki w stanie Nagaland; grywał w sztukach teatralnych; beletrysta i poeta [dwadzieścia dwie książki, czy to możliwe?]; bokser wagi koguciej; związkowiec”.

Za Pradhanem stał żołnierz ze strzelbą wymierzoną w pokój. W oczach Loli wyglądał jak brat Budhu z bronią Budhu.

— Przy drodze, moja ziemia — Lola, ubrana we wdowie sari, które miała na sobie w elektrycznym krematorium po śmierci Dżojdipa, wymamrotała łamaną angielszczyzną, jak gdyby udawała, że to po angielsku nie mówi dobrze, nie chcąc zwracać uwagi na to, że nigdy nie nauczyła się nepalskiego.

Dom Pradhana wznosił się w tej części Kalimpangu, w której nigdy wcześniej nie była. Pod zewnętrznymi ścianami rozcięte łodygi bambusów wypełniono ziemią i obsadzono sukulentami. Kaktusy z kolcami lub wąsami rosły w puszkach po oleju Dalda i plastikowych torbach wzdłuż schodów prowadzących do małego prostokątnego domu z blaszanym dachem. Pokój pełen był gapiących się mężczyzn, z których część stała, część siedziała na składanych krzesłach, a wszyscy tłoczyli się jak w poczekalni u lekarza. Wyczuła ich intensywne pragnienie pozbycia się jej niczym jakiejś dolegliwości. Przed Lolą czekał ktoś inny ze swoją sprawą, kupiec marwarski, który starał się o przepuszczenie przez blokady drogowe transportu lampek modli

tewnych. O dziwo, to właśnie Marwarczycy kontrolowali handel tybetańskimi akcesoriami - lampkami i dzwonkami, piorunami, śliwkowymi szatami mnichów i szafranowymi podkoszulkami, mosiężnymi guzikami ozdobionymi motywem kwiatu lotosu. Kiedy wprowadzono go przed Pradhana, rozpoczął tak uniżony taniec z pochylaniem się, kłanianiem i skręcaniem ciała, że nie śmiał nawet podnieść oczu. Sypał kwiecistymi pochlebstwami: „Wielce Szanowny Panie i *Huzur*, Wasza Łaskawość, Wasze Życzenie dla mnie Rozkoszą, Proszę o Pozwolenie, Wasze Błogosławieństwo jest Niezbędne, Wasza Wielmożność, Wasza Magnificencjo, Niech Łaska Boga Spłynie na Pana i Pańską Rodzinę, Niech Wasza Szacowna Łaskawość Dozna Wszelkiej Pomyślności i Uniżonym Suplikantom Udzieli Pozwolenia...”. Wygłosił przemowę przypominającą zbyt bujny ogród kwiatowy, na próżno jednak i w końcu wycofał się, wciąż rozrzucając różane pochlebstwa i prośby, modlitwy i błogosławieństwa...

Pradhan odprawił go:

- Nie ma wyjątków. Przyszła kolej na Lolę.
- Proszę pana, doszło do bezprawnego wkroczenia na teren prywatny.
- Jak się nazywa posiadłość?
- Mon Ami.
- Co to za nazwa?
- Francuska.
- Nie wiedziałem, że mieszkamy we Francji. Co? Proszę mi powiedzieć, dlaczego w takim razie nie mówię po francusku? Próbowałem odprawić ją od razu, machnięciem ręki zbywając plany geodezyjne i dokumenty nieruchomości z pomiarami działki, które chciała przed nim rozwinąć.

1

— Muszę gdzieś ulokować moich ludzi — oświadczył Pradhan.

— Ale to nasza ziemia...

— Wzdłuż dróg, do pewnej szerokości, ziemia należy do państwa i właśnie ją przejmujemy.

Chałupy, które powyrastały w błyskawicznym tempie, były zamieszkałe przez kobiety, mężczyzn, dzieci, świnie, kozy, psy, kury, koty i krowy. Za rok, przewidywała Lola, nie będą już budowane z gliny i bambusa, lecz z betonu i płytek.

— Ale to nasza ziemia...

— Korzystacie z niej?

— Uprawiamy tam warzywa.

— Możecie to robić gdzie indziej. Bliżej domu.

— Wcinają się w zbocze, słaba ziemia, może dojść do osuwiska - mamrotała. - Bardzo niebezpieczne dla pańskich ludzi. Osuwiska na drogach... - Trzęsła się jak osika ze strachu, chociaż wmawiała sobie, że z gniewu.

— Osuwiska? Nie budują wielkich domów jak ten wasz, cioteczko, tylko małe bambusowe chatki. Tak naprawdę to wasz dom może wywołać osunięcie się ziemi. Za ciężki, nie? Za duży? Mury szerokie na kilkadziesiąt centymetrów? Kamień, beton? Jest pani bogatą kobietą? Dom-ogród-służba!

Wtem zaczął się uśmiechać.

— Tak naprawdę - powiedział, wskazując ręką za okno

- jak pani widzi, jestem radzą Kalimpangu. Radza musi mieć wiele królowych. — Przechylił głowę w stronę odgłosów z kuchni, które dolatywały zza zasłony w drzwiach.

- Mam ich cztery, a może zechciałybyś, droga cioteczko

- zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, odchylił krzesło do tyłu, przekrzywił głowę figlarnie, z wypływającą na twarz fałszywie nieśmiałą miną — może byś zechciała zostać piątą?

Mężczyźni w pokoju zaśmiali się gromko, „HA, HA, HA”. Miał ich lojalność. Wiedział, że siłę można przywabić, udając, że istnieje, a wtedy urośnie, dopasowując się do rozmiarów swej reputacji... Lola stała się - co nie zdarzało się w jej życiu często — obiektem żartów, pogardzana, śmieszna, nie tam, gdzie być powinna.

- I wiesz, w tym wieku nie urodzisz mi już synów, więc spodziewam się sporego posagu. Nie ma też na czym oka zawiesić, ani na górze - poklepał przód koszuli khaki - ani na dole - poklepał się po tyłku, który uniósł z krzesła...

- Tak naprawdę, to już ja mam więcej ciała i tu, i tam!

Słyszała ich śmiech, gdy wychodziła. Jak jej stopom udawało się poruszać? Będzie im dziękować do końca życia.

- Aj, głupia — usłyszała czyjąś uwagę, gdy schodziła po schodach. To kobiety śmiały się z niej z kuchennego okna.

- Zobaczcie, jaką ma minę - powiedziała jedna z nich.

Śliczne dziewczyny o włosach w jedwabistych lokach i z kolczykami w uroczych, marszczących się noskach...

*

Mon Ami wydawał się nieziemskim gołębiem błękit-no-białego pokoju z wieńcem róż w dziobie, pomyślała Lola, przechodząc pod trelią nad bramą.

- No i co? Co powiedział? Widziałaś się z nim? - zasypała ją pytaniami Noni.

Lecz Lola nie mogła się zdobyć na rozmowę z Noni, która czekała na powrót siostry.

Lecz Lola zamknęła się w łazience i usiadła, cała drżąc, na zamkniętej klapie muszli klozetowej.

Dźojdip — krzyknęła w myślach do męża, nieżyjącego od tak dawna — *zobacz, coś narobił, ty skończony idioto!!!*

Wstyd rozciągał jej usta i otwierał je szeroko.

Zobacz, z czym mnie zostawiłeś! Wiesz, jak cierpiałam, czy ty masz o tym jakiegokolwiek pojęcie??? *Gdzie jesteś?! Ty i twoje żałosne życie, i popatrz tylko, na co mi przyszło, popatrz tylko. Straciłam już nawet przyzwoitość.*

Ścisnęła wyśmiewane piersi starej kobiety i potrząsała nimi. Jak mogą teraz stąd wyjechać? Jeśli wyjadą, wprowadzi się wojsko. Albo dzicy lokatorzy wystarają się o prawo nabycia własności przez zasiedzenie. Przepadnie dom, który we dwoje, Lola i Dźojdip, kupili z jakże nierealną wizją życia na emeryturze — pachnący groszek, mgła, kot i książki.

*

Cisza dźwięczała w rurach, osiągnęła nieznośne napięcie, ucichła, znów wezbrała. Lola odkręciła kran, szarpiąc za kurek — nie spadła nawet kropla — brutalnie go zakręciła, jak gdyby skręcała mu kark. Drań! Nigdy cienia zwątpienia na jego pewności siebie, opanowaniu. Nie pomyślał, żeby kupić dom w Kalkucie — o nie. Nie. Nie Dźojdip ze swym romantycznym wyobrażeniem życia na wsi; z kaloszami, lornetką i książką o obserwacji ptaków; z Yeatsem, Rilkiem (po niemiecku), Mandelsztamem (po rosyjsku); w różowawych górach Kalimpangu ze swoją cholerną whisky i skarpetkami we wzór Burberry (pamiątka po urlopie w Szkocji pod hasłem golf + wędzony łoś + gorzelnia). Dźojdip ze swoim staromodnym urokiem. Chodził zawsze tak, jak gdyby świat był stabilny pod jego stopami i nigdy nie nurtowały

go żadne wątpliwości. Był postacią z kreskówki. Byłeś głupcem, krzyczała do niego.

Lecz potem,

w jednej chwili,

całkiem niespodziewanie,

zrobiło jej się słabo

Ciemne, głębokie oczy twe krasne Kiedyś całował te lśniące kule, kiedy wychodził do pracy, do swoich papierów.

Lecz ja obietnic muszę dotrzymać Najpierw jedno, potem drugie... I mil wiele przejść, nim z tobą zasnę I mil wiele przejść, nim ze mną zaśniesz? Dołączała do niego w duecie... I mil wiele przejść, nim z tobą zasnę. Odpowiadał jak echo. Do samego końca, a nawet później, potrafił wskrzesić dowcip, który rozpałił jej miłość, kiedy byli jeszcze prawie dziećmi. „Napij się za mnie tylko oczyma”, śpiewał jej na weselu, a potem wyjechali na miesiąc miodowy do Europy.

*

Noni przy drzwiach:

- Dobrze się czujesz?

Lola odpowiedziała - głośno:

- Nie, nie czuję się dobrze. Możesz mnie zostawić?

- Możesz otworzyć drzwi?

- Mówię ci, idź stąd, idź na ulicę do tych swoich chłopaków, których wiecznie bronisz.

- Lola, otwórz drzwi. -Nie.

— Otwieraj.

— Odwal się — rzuciła Lola.

— Lola? Przygotowałam ci rum i *nimbu*.

— Odchrzań się.

— Siostro, w tego typu sytuacjach popełnia się potworności pod przykrywką legalnych działań...

— Brednie.

— Ale jeśli zapomnimy, że jest trochę prawdy w tym, co mówią, nie uwolnimy się od problemów. Gurkhowie byli wykorzystywani...

— Bujda na resorach — przerwała jej gwałtownie. — To nie są dobrzy ludzie. Gurkhowie to najemnicy, ot i co. Zapłacisz im, a będą lojalni każdemu. Nie ma tu żadnych ideałów, Noni. I o co chodzi z tymi GOrkhami? Zawsze mówiło się GURkhowie. A poza tym tutaj nie ma ich zbyt wielu... oczywiście jest ich trochę, część niedawno wróciła z Hongkongu po przejściu na emeryturę, ale prócz nich są tylko Szerpowie, kulisi...

— Zangielszczona pisownia. Chcą ją zmienić, żeby...

— Srutututu! Po co piszą po angielsku, jeśli chcą, żeby w szkołach uczono nepalskiego? Ci ludzie to hołota, taka jest prawda, Noni, wiesz o tym, wszyscy o tym wiemy.

— Ja nie.

— No to idź i dołącz do nich, jak mówiłam. Zostaw dom, zostaw książki, zostaw ovaltine i swoje długie przesiadywania w kiblu. HA! Chciałabym cię zobaczyć, ty fałszywa obłudnico!

— A pójdę.

— No to już. A po tym wszystkim skończysz w piekle!

— W piekle? — zapytała Noni, szarpiąc za drzwi po drugiej stronie.

- Dlaczego w piekle?

- Bo to będzie ZBRODNIA, dlatego! - wrzasnęła Lola.

Noni wróciła do salonu, by usiąść na sofie na poduszkach ze smokami. Och, myliły się. Nigdy naprawdę nie zrozumiały tego miejsca. Obie były naiwne, czując, że robią coś ekscytującego jedynie poprzez zajmowanie tego malowniczego domu, poprzez uwodzenie siebie tymi starymi książkami podróżniczymi z biblioteki, poszukiwanie światła padającego pod pewnym kątem, dzięki któremu mogłyby snuć fantazje i odnaleźć coś, co zostało wymyślone jedynie jako opowieść dla Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, kiedy autor wraca, by wygłosić pogadankę przy sherry i zwiniętym w rulon dyplomie spryskanym złotym sprayem za badanie dalekich himalajskich krain... lecz dalekich od czego? Egzotycznych dla kogo? To miejsce było centrum dla sióstr, nigdy jednak nie traktowały go w ten sposób. Równoległe żywoty wiedli tutaj ci - Budhu, Kesang - dla których nie było takiego rozdwojenia ani samoświadomości, podczas gdy Noni i Lola udawały z zapamiętaniem, że oto toczą codzienny bój o utrzymanie cywilizacji w tym miejscu górującej nad nimi, rozmigotanej zieleni. Trzymały sprzęt obozowy, latarki, moskitiery, płaszcze przeciwdeszczowe, termofory, brandy, radio, apteczkę, szwajcarski scyzoryk, książkę o jadowitych wężach. Te przedmioty były talizmanami z funkcją przetwarzania rzeczywistości w coś innego, sprzętem wyprodukowanym przez świat, który utożsamia je z odwagą. A tak naprawdę odpowiadały tchórzostwu. Noni próbowała się podnieść. Może wszyscy tak się czują na pewnym etapie, kiedy zaczynają rozumieć, że w życiu człowieka kryje się głębia oraz emocje wykraczające poza znaczenie jego samego.

Ostatecznie tym, co Sai i Gjanowi wyszło najlepiej, był pierwszy dotyk, tak delikatny, nieskończenie delikatny; dotykali siebie, jak gdyby byli ze szkła, i Sai nie mogła tego zapomnieć.

Pamiętała surowe spojrzenie, które jej rzucił w Dardży-lingu, ostrzegając, żeby się doń nie zbliżała.

Po tamtym dniu, kiedy tak ją zignorował, Gjan raz jeszcze przyszedł do Czo Oju. Siedział przy stole jak spętany łańcuchami.

Kilka miesięcy wcześniej ta żarliwa pogoń, a teraz zachowywał się, jak gdyby Sai dopadła go i zamknęła w klatce, do której trafił z podwiniętym ogonem!

Co to za mężczyzna, zastanawiała się. Nie mogła uwierzyć, że pokochała coś tak nikczemnego. Jej pocałunek nie zmienił go w księcia; przepoczwarzył go w cholerną ropuchę.

- Co z ciebie za mężczyzna? — zapytała. — Jak można tak się zachowywać?

- Nie wiem, co mam myśleć - powiedział wreszcie, niechętnie. - Jestem tylko człowiekiem i mam chwile słabości. Przepraszam.

To „przepraszam” uwolniło w niej demona wściekłości:

- Czyim kosztem jesteś słabym człowiekiem?! Do niczego w życiu nie dojdiesz, mój drogi - krzyczała Sai

jeśli to jest twoim zdaniem wystarczające usprawiedliwienie.
Morderca też mógłby się tak tłumaczyć i myślisz, że by go uniewinniono?

Stało się to, co zwykle, dokładnie to, co zawsze się działo, kiedy się kłócili. Zaczął odczuwać poirytowanie, no bo właściwie kim jest Sai, żeby go pouczać?

- Gorkhaland dla *Gorkhów*. Jesteśmy armią wyzwolenia.

Był męczennikiem, mężczyzną; co więcej, człowiekiem ambitnym i z zasadami.

— Nie muszę tego wysłuchiwać — rzucił, zerwał się z miejsca i wypadł z domu, kiedy ona dopiero się rozkręcała.

I Sai rozplakała się, była to bowiem niesprawiedliwa prawda.

*

Uwięziona w domu podczas godziny policyjnej, chora przez Gjana, chora od pragnienia bycia pożądaną, wciąż miała nadzieję na jego powrót. Utraciła dawną zdolność znoszenia samotności.

Czekała, przeczytała dwa razy *Wichrowe Wzgórza*, czując za każdym razem, że siła tego utworu rozbudza w niej dziką zwierzęcość - i po dwa razy przeczytała ostatnie strony - Gjan wciąż nie przychodził.

*

Po schodach wspiął się patyczak wielki jak gałązka. Zuk z niedyplomatycznym czerwonym tyłkiem. Martwy skorpion rozparcelowywany przez mrówki -najpierw przeszło ramię Popeye'a dźwigane przez rząd

mrówczych kulisów, potem kolec jadowy, wreszcie, oddzielnie, oko. Ale nie Gjan.

Udała się z wizytą do wujka Potty'ego. -Ahoj! - zawołał do niej z werandy jak z pokładu okrętu.

Lecz ona, zauważył, uśmiechnęła się tylko przez grzeczność, i poczuł błysk zazdrości, jak to przyjaciele, kiedy miłość odbiera im kompana, zwłaszcza ci, którzy zrozumieli, że przyjaźń wystarczy, jest stabilniejsza, zdrowsza, nie forsuje tak serca. Zawsze dodaje, a nigdy nie odejmuje.

Widząc ją tak sponiewieraną, wujek Potty przestraszył się i zaśpiewał:

Jesteś w dechę

Jak francuskie brandy

Jesteś w dechę

Jak Mahatma Gandy!

Lecz jej śmiech był kolejną czekoladką wyprodukowaną po to, żeby go nie urazić, starała się udawać, że ich przyjaźń jest tym, czym była kiedyś.

Przewidział to i dawno temu już próbował jej wskazać, jak powinna patrzeć na miłość; to misternie utkany gobelin i sztuka; smutek z niej płynący, jej utrata winny być częścią mądrości i nawet nieszczęśliwy romans wart jest więcej niż zwykła głupkowata szczęśliwość. Lata temu, jako student w Oksfordzie, wujek Potty uważał się za miłośnika miłości. Odnalazł to słowo w bibliotecznym katalogu i przynosił sobie naręcza książek; palił krótkie cygara, pił porto i maderę, czytał wszystko, co się dało, od psychologii do nauk ścisłych, pornografii i poezji, czytał egipskie listy miłosne i tamilskie erotyki z dziewiątego wieku... Była tam rozkosz pogoni i rozkosz ucieczki, a kiedy ruszał na praktyczne wyprawy badawcze, znajdował czystą

miłość w najbardziej plugawych miejscach, w podejrzanej części miasta, gdzie nie zapuszczała się policja; w średniowiecznych, tworzących tunele uliczkach tak wąskich, że trzeba było mijać bokiem dilerów narkotykowych i kurwy; gdzie w nocy mężczyźni, których nigdy nie widział, wpychali mu język do ust. Był Louis i André, Guillermo, Rassoul, Johan i Yoshi, a także „Humberto Santamaria” -krzyknął kiedyś ze szczytu góry w Krainie Jezior dla eleganckiego kochanka. Niektórzy go kochali, a on nie kochał ich; innych znów kochał szaleńczo, głęboko, a oni, oni nie kochali go wcale. Sai stała jednak zbyt blisko, by mogła docenić jego perspektywę.

Wujek Potty podrapał się po stopach, aż sfrunął z nich martwy naskórek:

— Jak raz zaczniesz drapać, moja droga, to już nie możesz przestać...

*

Podczas następnej wizyty Sai w Mon Ami siostry śmiały się i zgadywały, zadowolone z tej odrobiny wesołości pośród samych zmartwień:

- Kim jest ten szczęściarz? Wysoki, jasnowłosy i przystojny?

-1 bogaty? - dodała Noni. - Miejmy nadzieję, że bogaty?

*

Sai dopisała jednak odrobina szczęścia, przysłaniając ten uszczerbek na jej godności. W sukurs przyszło jej zwykłe domowe przeziębienie. W samą porę pochwyciło ją zwykłe domowe przygnębienie, zamaskowało źródło łzawienia oczu i drapania gardła, przemieszało symptomy

wirusa i haniebnego upadku z liny romantycznej miłości. Osłonięta w ten sposób przed prostą diagnozą, spowiła twarz w obszerne fałdy męskiej chusteczki. „Przeziębienie!” Smark, smark. Jedna część zwykłego przeziębienia na dziewięć części zwykłego przygnębienia. Lola i Noni przygotowały napój z miodu, cytryny, rumu i gorącej wody.

— Sai, wyglądasz strasznie, no strasznie.

Oczy miała czerwone i obolałe, cieknące. Ciśnienie ugniatało jej mózg jak gestapowski but.

W Czo Oj u kucharz wygrzebał z apteczki coldrin i vicks vaporub.

Znalazł jedwabny szal na szyję i Sai zanurzyła się w zimnych i gorących dreszczach vicks, owiewana arktycznymi wiatrami eukaliptusa, wciąż odczuwając nieustanną, dręczącą niecierpliwość i intensywność oczekiwania, nadziei nieumierającej pomimo braku pokarmu. Nadzieja musiała karmić się sobą. Sai czuła, że zwariuje. Czy jej uczucie do Gjana było tylko nawykiem? Jak, u licha, mogła o kimś tyle myśleć?

Im bardziej myślała, tym bardziej myślała, tym bardziej myślała.

Mobilizując siły, przemówiła prosto do swego serca:

- Och, dlaczego tak się nade mną pastwisz? Nie chciało jednak złagodzić swego stanowiska. Przypomniała mu, że w zapomnieniu i rezygnacji kryje

się łaska; dziecinadą było tego nie zrobić — wszyscy muszą się pogodzić w życiu z niedoskonałością i stratą.

Wielka kałamarnica, ostatni dront dodo.

Pewnego ranka, gdy przeziębienie zelzało, zdała sobie sprawę, że nie będzie już mogła wykorzystywać tego kamuflażu. Gdy zniesiono godzinę policyjną, Sai, chcąc ratować swą godność, wyruszyła z upokarzającą misją odszukania Gjana.

Nie było go nigdzie na targu ani w sklepie z płytami i kasetami wideo, gdzie Rinzy i Tin Tin Dordzi wypożyczali wyeksploatowane kasety z filmami z Bruce'em Lee i Jackie'em Chanem.

- Nie, nie widziałem go - powiedział Dawa Bhutija, którego głowa wychynęła z kłębow pary nad gotującą się kapustą w kuchni restauracji Chin Li.

— Nie przyszedł jeszcze — powiedział Taszi w biurze podróży Śnieżny Lew, który wobec braku turystów zwinął podróżniczą część swojego interesu i ustawił stół bilardowy. Na ścianach wciąż wisiały plakaty: „Obejrzyj majestatyczne pozostałości brytyjskiego imperium; przyjedź do Sikimu, krainy ponad dwustu klasztorów”. Wciąż trzymał zamknięte na zapleczu skarby, które sprzedawał zamożniejszym podróżnikom: rzadkie malowidła *tanka* ukazujące łamów płynących na magicznych morskich stworach, żeby szerzyć dharmę w Chinach; kolczyk arystokraty; przemyconą z tybetańskiego klasztoru filizankę z jadeitu, tak przezroczystą, że prześwitujące przez nią światło tworzyło zielono-czarny burzowy krajobraz chmur. „Tragedia, co się dzieje w Tybecie — mówili turyści, lecz ich twarze wyrażały jedynie radość ze zdobytego łupu. — Tylko dwadzieścia pięć dolarów!”

Teraz jednak sytuacja uzależniała go od rodzimej waluty. Upośledzony kuzyn Tasziego kursował z butelkami

pomiędzy Gompus i stołem bilardowym, żeby mężczyźni mogli się napić przy bilardzie i rozmowach na temat ruchu. Na ziemi leżały mydliny rzygowin.

Sai minęła opuszczone sale *college u* w Kalimpangu, ze stertami martwych owadów na parapetach pod oszronionymi szybami, z pszczołami uduszonymi jedwabną nicią pajaków, tablicą z wciąż naniesionymi na nią symbolami i wyliczeniami. Tutaj, w tej chloroformowej atmosferze, studiował Gjan. Przeszła na drugą stronę góry, z której rozciągał się widok na rzekę Relli i Bong Basti, gdzie mieszkał. Zejs'cie do jego domu w biednej części Kalimpangu, całkiem jej obcej, trwało dwie godziny.

Opowiadał jej o swych dzielnych przodkach w armii, czemu jednak nigdy nie wspominał o rodzinie żyjącej tu i teraz? W głębi duszy Sai wiedziała, że powinna była zostać w domu, lecz nie mogła się powstrzymać.

Minęła kilka kościołów: świadków Jehowy, adwentystów, mormonów, zielonoświątkowców. W samym sercu miasta stał stary angielski kościół, Amerykanie zaś ulokowali się na obrzeżach, lecz ci nowi mieli więcej pieniędzy i więcej tamburynowej energii, szybko więc nadrabiali straty. Doskonale opanowali też technikę nagłego wyskakiwania zza drzew, żeby zaskoczyć tych, którzy mogliby próbować uciec; umiejętność kamuflażu w salwarach (żeby cię smacznie zjeść, moja ty dziecińco...); a jeśli rozpoczęło się z nimi nieszkodliwą pogawędkę o lekcjach angielskiego (żeby lepiej tłumaczyć Biblię, moja ty dziecińco...), to już był koniec - trudniej było się ich pozbyć niż ameby.

Sai przeszła jednak, przez nikogo nienagabywana. W kościołach było ciemno; misjonarze zawsze wyjeżdżają w niebezpiecznych czasach, by zajadać się herbatnikami z kawałkami czekolady i pomnażać fundusze u siebie w kraju, aż robi się na tyle spokojnie, by znów wyruszyć

w drogę i przypuścić atak, ze wzmożoną siłą, przeciwko osłabionej i zdesperowanej ludności.

Mijała pola i niewielkie skupiska domów, zdezorientowana w kapilarnej sieci ścieżek pokrywającej góry - pięły się jak pnącza, urywały i rozdzielały w jeszcze więcej ścieżek, a te prowadziły do chat położonych wzdłuż cieniuteńkich półek skalnych w gęstych bambusowych zaroślach. Blaszane dachy obiecywały tężec; wychodki były usytuowane tak, żeby odchody spadały do doliny. Rozcięte łodygi bambusów transportowały wodę na poletka kukurydzy i dyni, a podłączone do pomp glistowate rurki prowadziły ze strumienia do chałup. Wyglądały ślicznie w słońcu, te chatynki, przy których raczkowały maluchy z zaczerwienionymi pupami pod gatkami z wyciętymi z tyłu dziurami, żeby mogły robić *susu* i załatwiać się do nocnika; fuksje i róże - wszyscy w Kalimpangu kochali kwiaty i nawet pośród tak wielkiej botanicznej obfitości jeszcze ją wzbogacali. Sai wiedziała wszak, że gdy tylko dzień zgaśnie, nędzy nie będzie już można ignorować i stanie się jasne, że w tych domach panuje ciasnota i wilgoć, od gryzącego dymu można się udusić, mieszkańcy jedzą skąpe posiłki w świetle świec zbyt słabym, by można przy nim coś zobaczyć, a szczury i węże na krokwiach walczą o owady i ptasie jaja. Wiadomo było, że deszcz zbiera się na dole i zamienia klepisko w błoto, że wszyscy mężczyźni piją za dużo, a rzeczywistość stacza się ku koszmarom, burdom i przemocy.

Minęła ją kobieta z dzieckiem. Pachniała ziemią i dymem, dziecko zaś roztaczało przesłodzoną intensywną woń, jakby gotującej się kukurydzy

- Wie pani, gdzie mieszka Gjan? - zapytała Sai.

Kobieta wskazała dom tuż przed nimi; stał tam, a Sai przeżyła wstrząs.

Był małą, pobrudzoną kostką; ściany musiały powstać z betonu zepsutego piaskiem, bo wysypywał się jak z przedziurawionej torby. Splecione z przewodów elektrycznych gniazda wron zwisały z rogów tej konstrukcji, podzielonej na części, które niknęły w oknach zabezpieczonych cienkimi więziennymi kratami. Wyczuła orwarty odpływ, co świadczyło

0 niezbyt sprawnej instalacji kanalizacyjnej, która zapewne codziennie zawodziła pomimo tak prostej konstrukcji. Odpływ biegł od domu pod nierówną mozaiką z kamieni

1 wylewał swą zawartość do otoczonej kolczastym drutem zagrody; zza tego drutu widać było zaniepokojony harem cuchnących kur, za którymi uganiał się jurny kogut.

Górne piętro domu było niedokończone, przypuszczalnie budowę zarzucono z braku funduszy i w czasie gdy gromadzono środki na jego dokończenie, popadło w ruinę; bez ścian i dachu, podstawowy zarys tego, co miało nastąpić, tworzyło jedynie kilka słupów z wystającymi z nich żelaznymi prętami. Podjęto próbę uchronienia prętów przed rdzą za pomocą nadzianych na nie butelek po napojach, ale i tak metal przybrał jasnopoma-rańczową barwę.

Mimo wszystko dostrzegą, że jest to czyjś ukochany dom. Werandę okalały nagietki i cynie; frontowe drzwi były uchylone i za ich pomarszczonym fornirem zauważyła na murszejącej ścianie połączony zegar i plakat przedstawiający złotowłose dziecko w czepku — dokładnie coś takiego, z czego bezlitośnie wyśmiewały się Lola i Noni. Takie domy były oczywiście wszędzie, powszechne wśród tych, którzy usiłowali się przebić do klasy średniej - tylko do jej dolnej warstwy, ledwo, ledwo, rozpaczliwie jej uczepieni - lecz z każdą chwilą marniały, osuwając się z powrotem nie w malowniczą biedę, którą turyści tak

bardzo lubią fotografować, lecz w coś naprawdę okropnego, nowoczesność w swej najpodlejszej formie, nowiuteńką jednego dnia, rozlatującą się następnego.

*

Ten dom nie pasował do mowy Gjana, do jego angielskiego, aparycji, ubrań ani wykształcenia. Nie pasował do jego przyszłości. Każdą rzecz, która była w posiadaniu członków tej rodziny, inwestowano w niego, musieli więc mieszkać w dziesiątkę w takich warunkach, by wyprodukować tego chłopca, uczesanego, wykształconego, ich największą szansę na wielki świat. Śluby sióstr, studia młodszych braci, zęby babci — wszystko wstrzymano, zawieszono do czasu, aż chłopak wyjedzie, zawalczy i przyśle coś z powrotem.

Sai poczuła wtedy wstyd, za niego. Jak bardzo musiał liczyć na to, że jego milczenie zostanie odebrane jako godność. Nic dziwnego, że trzymał ją jak najdalej od tego miejsca. Nic dziwnego, że nigdy nie wspominał o ojcu. Dylematy i napięcia, które musiały istnieć w tym domu — nie mógł pozwolić, by wydostały się na zewnątrz. I poczuła wtedy niesmak do siebie. Jak bardzo była związana z tym przedsięwzięciem, bez swojej wiedzy i zgody?

Stała i wpatrywała się w kury, nie wiedząc, co począć.

*

Kury, kury, kury kupowane, by uzupełnić mizerne dochody. Prawda o tych ptakach nigdy nie ukazała się jej tak wyraźnie — groteskowa banda, w której dochodzi do gwałtów i przemocy, a kury, maltretowane i dziobane, wydzierają

się i łopoczą skrzydłami, próbując się wyrwać kogutowi gwałcicielowi. Minęło kilka minut. Powinna odejść czy zostać?

Pchnięte drzwi otworzyły się szerzej i z domu wyszła dziewczynka w wieku około dziesięciu lat z garnkiem, by wyczyścić go błotem i żwirem przy kranie na dworze.

— Czy tu mieszka Gjan? - zapytała Sai wbrew sobie.

Twarz dziewczynki zacięła podejrzliwość. Było to odwieczne przekonanie, bez krzty zdziwienia, o istnieniu ukrytych motywów, dziwny wyraz twarzy u dziecka.

— Uczy mnie matematyki.

Wciąż z miną, jak gdyby ktoś taki jak Sai mógł tylko sprowadzić kłopoty, postawiła garnek na ziemi i weszła z powrotem do domu.

Nadbiegł kogut i zaczął wydzioby-wać ziarna przyklejone do dna, cały pakując się do garnka - kury miały chwilę wytchnienia.

W tym momencie wyszedł Gjan, zauważył niesmak na jej twarzy, zanim zdążyła go zatuszować, i oburzył się. Jak śmie szukać go tutaj i pozwalać sobie na litość! Miał wyrzuty sumienia z powodu przedłużającego się milczenia, rozważał, czy jej nie odwiedzić, teraz jednak wiedział, że miał całkowitą rację. Kogut wyskoczył z garnka i zaczął się przechadzać. Był w okolicy jedyną dumną istotą, z grzebieniem, ostrogami, piejąc po kolonialnemu.

*

— Czego chcesz?

Patrzyła, jak jego oczy i usta przeobrażają się pod wpływem myśli, przypomniała sobie, że to on ją porzucił, a nie odwrotnie, i ogarnęła ją wielka złość.

Obrzydliwy hipokryta.

Udaje jedno, robi drugie. Same kłamstwa, tylko kłamstwa.

Za nim widziała wychodek z czterech bambusowych drągów i przetartej tkaniny workowej nad zatrważającym urwiskiem. Może miał nadzieję, że wkręci się do Czo Oj u; gdyby dobrze to rozegrał, cała jego rodzina mogłaby się tam przenieść i korzystać z przestronnych łazienek, z których każda jest wielkości całego jego domu. Może i Czo Oju popada w ruinę, kiedyś jednak było imponującą rezydencją; miało przeszłość, jeśli nie przyszłość, i to mogło wystarczyć - brama z czarnej koronki, nazwa na imponujących kamiennych filarach z omszałymi kulami armatnimi na górze, jak w *Szlachetnie urodzonej*.

Siostra przyglądała im się z ciekawością.

- Czego chcesz? - powtórzył zmrożony głos Gjana.

I pomyśleć, że chciała go nazwać *momo*, kuleczką mielonej baraniny w cudownej poduszczyce z dołeczkiem, że chciała wejść mu na kolana, zapytać, dlaczego jej nie wybaczył, jak wcześniej podczas kłótni o Boże Narodzenie, teraz jednak nie zamierzała dać mu tej satysfakcji i przyznać się do swej obecnej kruchości.

Powiedziała za to, że przyszła w sprawie ojca Bootyego.

*

Oburzenie niesprawiedliwością, jaka spotkała jej przyjaciela, wróciło do niej w jednej chwili. Kochany ojciec Booty, który musiał wsiąść do jeepa jadącego na lotnisko w Siliguri, straciwszy wszystko prócz wspomnień: o dniu, kiedy wygłosił prelekcję na temat mleczarni, które mogą stworzyć w Kalimangu minigospodarkę w szwajcarskim stylu, i dostał owację na stojąco; o wierszu poświęconym krowie w „Illustrated Weekly”; o „nie ma nic słodszeo”

wieczorach na werandzie u wujka Potty'ego, kiedy muzyka kończyła się na rozciągniętej nucie z miodu, a Księżyc — w pełni — szybował do góry, niczym oświetlony ser, cud alchemika. Jak szybko wirowała wtedy Ziemia! To wszystko się skończyło.

Miał zamieszkać tam — rozpaczał — gdzie zostanie zdegradowany do roli emeryta utrzymywanego przez państwo i zapakowanego w czyściutkie pudełko obok innych staruszków rzekomo pod każdym względem do niego podobnych...

Opuścił swego przyjaciela, wujka Potty'ego, w rozpacz i nietrzeźwości, a świat wokół niego rozpadał się wśród fal — w rozkołysanej kuchni krzesło odpłynęło w jedną stronę, stół i piec w drugą.

*

- Co wy najlepszego wyprawiacie? — oskarżyła Gjana.

- Niby co? Co ja mam wspólnego z ojcem Bootym?

- Nie wiesz?

- Cóż, jeśli jest to cena, którą trzeba zapłacić, no to trudno. Nepalczycy powinni siedzieć cicho przez kolejne dwieście lat, żeby policja nie miała powodu wyrzucać ojca Booty'ego? - Wyszedł przez bramę i odciągnął ją dalej od domu.

- Tak - powiedziała Sai. - Lepiej by się stało, gdybyś zniknął ty, a nie ojciec Booty. Myślisz, że jesteś taki wspaniały... A wiesz, co? Nie jesteś! On dla tutejszych ludzi zrobił więcej, niż tobie się kiedykolwiek uda.

Gjan rozsierdził się nie na żarty.

- Właściwie dobrze się stało, że go wykopali - powiedział. - Kto tu potrzebuje Szwajcarów? Przez ile tysiącleci sami produkowaliśmy tutaj mleko?

- Proszę bardzo. Wyprodukuj ser!

- Mieszkamy w Indiach, obejdzie się. Nie chcemy tutaj sera, a ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to czekoladowe cygara.

- Ach, znowu ta sama śpiewka. — Sai miała ochotę rzucić się na niego z pazurami. Chciała wydrapać mu oczy i skopać tyłek. Krew, słonawa, mroczna - poczuła jej przedsmak. — Cywilizacja jest ważna — powiedziała.

- Ale ty głupia, to nie cywilizacja. Szkoły i szpitale. To jest cywilizacja. „Ale ty głupia”... jak on śmie!

- Trzeba naśladować dobre wzory. W przeciwnym razie wszystko się stoczy do poziomu, na jakim jesteś ty i twoja rodzina.

Była zaszokowana samą sobą, gdy wypowiadała te słowa, lecz w tym momencie była gotowa uwierzyć we wszystko, co nie leży po jego stronie barykady.

- Ach rozumiem, szwajcarski luksus to dla nas wzór, czekoladki i zegarki ro dla nas wzór... Tak, pocieszaj swoje nieczyste sumienie, głuptasie, i módl się, żeby ktoś nie podpalił ci domu z tego prostego powodu, że jesteś taka głupia.

Znów mówi, że jest głupia...

- Jeśli cały czas miałeś takie poglądy, dlaczego nie bojkotowałeś sera, tylko go pożerałeś, aż ci się uszy trzęsły? Teraz krytykujesz? Hipokryta! Ale fajnie było objadać się serem, kiedy miałeś okazję, nie? Te wszystkie tosty z serem? Pochłonałeś ich setki. Nie wspominając o czekoladowych cygarach... Łakomczuch, chrupałeś je jak tłusta świnia. I tosty z tuńczykiem, i ciasteczka z masłem orzechowym!

Teraz, kiedy rozmowa tak się zaostrzyła, Gjanowi wróciło poczucie humoru i zachichotał, oczy mu złagodniały

i Sai zauważyła, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Odzyskiwali poufałość, wspólną płaszczyznę, brudną szarość. Po prostu zwykli ludzie w zwykłym mętnym świetle w jajcznym kolorze, bez wdzięku, bez olśnienia, składający się ze sprzeczności, łatwych zasad, kłócący się o rzeczy, w które nie wierzą do końca albo nie wierzą w nie w ogóle, pragnący wygody tak samo jak surowej prostoty, autentyczności tak samo jak udawania, kameralności rodziny i porzucenia jej na zawsze. Chcieli sera i czekolady, ale też chcieli wyrzucić te wszystkie cholerne obce rzeczy. Chcieli dzikiej i nieustraszonej miłości, która wyniesie ich pod niebiosa, lecz także miłości pod znakiem soczewicy z ryżem pobłogosławionej monotonią codzienności, o niespodziankach bezpiecznie osadzonych w czymś tak znajomym jak poślubienie syna lub córki najlepszego przyjaciela ojca i narzekanie na ceny ziemniaków, ceny cebuli. Pragnęli każdej sprzeczności, jaką mogłaby im podsunąć historia lub los, każdej sprzeczności, jaką odziedziczyli. Lecz oczywiście pragnęli tego równie mocno jak czystości i braku sprzeczności.

*

Sai też zaczęła się trochę uśmiechać. - *Momo!* — zwróciła się do niego, przyjmując błagalny ton.

Wtedy w jednej sekundzie dokonał zwrotu, znów zagotowała się w nim złość. Przypomniawszy sobie, że nie jest to rozmowa, którą chciałby zakończyć śmiechem. To infantylne przewisko, czułość przebłyaskująca w jej oczach -rozbudziły w nim gniew. Próby zmuszenia go do przeprosin, przytłoczenia go, opatulenia, wciągnięcia, żeby uto

nał w tej papce *piśpaś*, lepkiej, bardzo lepkiej dziecinnej słodyczy...
bleeee...

Musi być mężczyzną. Musi nosić głowę wysoko i być szorstki.
Oschłość, przestrzeń, zdecydowane gesty. Nie to ciuciuruciu, to pap
ranie się w cukrze...

*

O tak, musi być silny...

Bo, prawdę mówiąc, z upływem tygodni on, Gjan, zaczął się bać - on,
który sądził, że nie ma większej radości niż ogłaszanie zwycięstwa nad
uciskiem; on, który wygrażał pięścią władzom; on, który uznał ogień
swych kolegów ze studiów za oczyszczający; on, który zgłaszał pre-
tensje do tutejszej ziemi i którego cieszyła myśl, że te siostronie z Mon
Ami z ich fałszywym angielskim akcentem mogłyby drzeć i blednąć ze
strachu - on, który był bohaterem walczącym o ojczyznę...

Słuchał z coraz większą trwogą, jak rośnie temperatura rozmów w
Gompus. Kiedy to krzyki i strajki cokolwiek zmieniły, mówiono tam i
nawoływano do spalania budynku sądu, kradzieży benzyny na stacji.
Kiedy Czang i Bhang, Gjan, Sowa i Osioł wskoczyli do jeepów,
zatankowali na stacji benzynowej i odjechali bez płacenia, Gjan drżał
tak samo jak kierownik stacji po drugiej stronie okna, a mięśniami jego
serca wstrząsały niekontrolowane spazmy.

Są tacy, których mobilizują wyzwania, lecz Gjan przekonał się, że do
nich nie należy. Wściekał się, że rodzina nie pomyślała o tym, żeby mu
czegoś zakazać, zatrzymać go w domu. Nienawidził swego żalosego
ojca, matki, która oczekiwała od niego wskazówek, zawsze tak było,

nawet w dzieciństwie, tylko dlatego że był chłopcem. Nie przesypiał nocy, martwiąc się, że nie dochowa wierności wygłaszanym hasłom. Zresztą jak można zachować szacunek do samego siebie, wiedząc, że tak do końca w nic się nie wierzy? Jak można przyjąć coś za swoje, jeśli się czegoś za to nie da? Jak tworzy się wtedy życie pełne sensu i godności?

*

Tak, zawdzięczał wiele odrzuceniu Sai.

Szpara, przez którą pokazała mu inny świat, dała mu dość miejsca, żeby się rozepchać; mógł walczyć przeciwko niej, określić konflikt w swoim życiu, który wyczuwał cały czas, lecz jakby otoczony watą. Poprzez odepchnięcie jej rodziła się energia, kształtował cel. Nie zamierzał się czule z nią pogodzić.

- Nienawidzisz mnie - powiedziała Sai, jak gdyby czytała w jego myślach — z jakichś wydumanych powodów, które nie mają ze mną nic wspólnego. Nie jesteś wobec mnie sprawiedliwy.

- A co jest sprawiedliwe? Co jest sprawiedliwe? Czy ty masz jakieś pojęcie o świecie? Czy w ogóle chce ci się otworzyć oczy? Czy ty w ogóle rozumiesz, jak funkcjonuje, a raczej jak nie funkcjonuje sprawiedliwość? Nie jesteś już dzieckiem...

- Dorosły się znalazł! Boisz się nawet przyjść na lekcję, bo wiesz, że nieprzyzwoicie się zachowałeś, i nie masz odwagi się do tego przyznać! Pewnie siedzisz tu i czekasz, aż mamusia wybierze ci żonę. Prostacka rodzina, bez kultury, co to jeszcze kojarzą małżeństwa... znajdą ci jakąś kre-tynkę, a ty do końca życia będziesz zachwycony, że żyjesz z kukłą. Nie mam racji, Gjan??

Nazywa go tchórzem! Jak śmie? Kto się z nią ożeni!

— Uważasz, że siedząc u ciebie na werandzie, wykazuję się odwagą?

Nie mogę do końca życia jeść tostów z serem, prawda?

— Nikt cię nie zmuszał. Robiłeś to z własnej nieprzymuszonej woli, a jeśli tak o tym wszystkim myślisz, zapłać za nie. — Znalazła nowy cel ataku i rzuciła się nań, chociaż stopniowo coraz bardziej ją przerażała złośliwość przelewająca się przez jej usta, czuła się jednak, jak gdyby była na scenie; rola stała się silniejsza od niej. — Obzerałeś się za darmo... typowe dla was, poprosić o coś, wziąć, a potem splunąć na to, co zostało wam dane. Jest dokładnie jeden powód, dlaczego nigdy niczego nie osiągniesz... Bo na to nie zasługujesz. Dlaczego się objadałeś, skoro to było poniżej twojej godności?

- Wcale nie. Jaki to ma związek z czymkolwiek, ALE TY GŁUPIA...

- Nie mów mi, że jestem GŁUPIA. Przez całą tę rozmowę powtarzasz tylko GŁUPIA, GŁUPIA...

Rzuciła się na niego z rękami i paznokciami, nauczywszy się czegoś od zwykłych kur kilka minut wcześniej, wy-drapała mu na ramionach czerwone rysy i...

-To ty im powiedziałaś o strzelbach, co? —krzyczała teraz.— Powiedziałaś, żeby przyszli do Czo Oj u? To byłeś ty, prawda, PRAWDA?

To wszystko wystrzeliło z niej gwałtownie, chociaż wcześniej nie miała takiego zamiaru. Nagle jej złość, nieobecności Gjana, zignorowanie jej przez niego w Dardży-lingu — wszystko się skumulowało.

Jego wina, przyszpilona zniecka, ukazała się w oczach, znikła, pojawiła się na nowo. Wyrwał się, odskoczył, wyslizgnął jak złowiona ryba.

— Oszalałaś.

— Widziałam. — Sai znowu się na niego rzuciła. Podskoczyła, żeby schwycić to coś w jego oczach. Lecz on zdążył ją złapać, nim go dosięgła, a potem rzucił ją w gąszcz lantany i obił kijem.

*

— Gjan *bhaija*? — Niepewny głosik jego siostry, gdy Sai udało się wstać.

Oboje odwrócili się z przerażeniem. Wszystko widziała. Wyrzucił kij.

— Nie wtrącaj się — rozkazał siostrze. — Wracaj albo zaraz ci przyłożę.

A do Sai zawołał:

— Nigdy tu nie przychodź. - Och, teraz mała wszystko wypaple rodzicom.

Sai krzyknęła do jego siostry:

— Dobrze, że wszystko widziałas i słyszałas. Idź, powiedz rodzicom, do czego jest zdolny twój brat, mówi, że mnie kocha, obiecuje różne rzeczy, a potem przysyła złodziei do naszego domu. Pójdę na policję, a wtedy zobaczymy, co się stanie z waszą rodziną. Wyłupię Gjanowi oczy, odetnę mu głowę, a wtedy zobaczymy, wszyscy przybiegniecie z płaczem i będziecie skomleć... H a!

Siostra Gjana próbowała słuchać, lecz on trzymał ją za warkocze i ciągnął do domu. Sai już dawno go zdradziła, kusiła, żeby zdradził innych, własnych rodaków, swoją rodzinę. Wabiła go, podkradała się, szpiegowała go i zepsuła, zmusiła do złego zachowania. Nie mógł się doczekać dnia, kiedy matka pokaże mu zdjęcie dziewczyny, którą weźmie za żonę, czarującej dziewczyny, miał nadzieję, z policzkami jak dwa jabłka z Simli, któ

ra nie pozwoliła swoim myślom wędrować po rynsztokach i brudach, a on będzie ubóstwiał ją za to, jakim jest cudem.

Sai nie była cudem; była nieciekawą osobą, odzwierciedleniem wszystkich otaczających ją sprzeczności, lustrem, w którym mógł zobaczyć - zbyt wyraźnie, by dobrze się z tym czuł — siebie.

*

Sai zaczęła iść za bratem i siostrą, lecz po chwili się zatrzymała. Dopadł ją wstyd. Co ona wyprawia? To z niej będą się śmiać, ze zdesperowanej dziewczyny, która doszła aż tutaj z powodu nieodwzajemnionej miłości. Gjana będzie się klepać po plecach i chwalić za ten podbój. Zostanie upokorzona. Wszedł w starą jak świat rolę, która zrobiła z niego bohatera, rolę „pożądanego faceta”... Im bardziej będzie ją obrażał za jej plecami - „Och, ta wariatka nie daje mi spokoju...” - tym głośniej będą wiwatować, tym lepszą zyska sobie reputację w kantynie Thapas, tym bardziej Sai przeobrazi się w szaloną dziewczynę, tym bardziej Gjan będzie się puszył... Czuła, jak opuszcza ją godność, patrzyła na nią z oddali, gdy Gjan i jego siostra odchodzili ścieżką do domu. Kiedy zniknęli w środku, ją też straciła z oczu.

*

Szła do domu bardzo powoli, było jej niedobrze, niedobrze. Mgła gęstniała, do zmierzchu i pary wodnej dochodził jeszcze dym. Przez całą drogę z chat *basti* dolatywał zapach gotowanych ziemniaków, zapach, który duszom na całym świecie z pewnością przynosi pociechę,

lecz jej pocieszyć nie mógł. Nie czuła już ani trochę tego współczucia, które rozbudzały w niej wcześniej te widoki; nawet wieśniacy mogli mieć miłość i szczęście, lecz nie ona, nie ona...

*

Kiedy przywędrowała do domu, zobaczyła dwie osoby rozmawiające z kucharzem i sędzią. Jakaś kobieta:

- Biednemu zawsze wiatr w oczy. Tacy jak my muszą cierpieć.

Wszyscy gundowie na wolności, a policjanci wcale nie lepsi od nich.

- Kim jesteście?

Kobieta, która błagała o zlitowanie, była żoną tego pijaczyny, którego zatrzymano i przesłuchano w sprawie kradzieży broni i na którym policjanci przetestowali nową procedurę tortur. Oni, w Czo Oju, zapomnieli o tym człowieku, lecz żona nieszczęśnika dowiedziała się o nich i przyszła z teściem do sędziego - szli pół dnia z wioski na drugim brzegu Relli.

- Co z nami będzie - biadoliła. - Nie jesteśmy nawet Nepalczykami, jesteśmy Lepczami... Niewinny był, a policjanci go oślepiłi. Nic o was nie wiedział, był na targu, jak zwykle, wszyscy widzieli — łkała żona, zerkając na teścia, żeby ją wsparł.

Na co się zdadzą skargi i płacz kobiety?

Lecz teść był zbyt wystraszony. Nic nie mówił, stał tylko; wyrazu jego twarzy nie można było wyłonić z za zmarszczek. Syn, kiedy nie pił, pracował przy remoncie dróg w dystrykcie, kamienie z dna Tisty załadowywał na ciężarówki wykonawców robót, rozładowywał je na budowie, oczyszczał osuwiska, które staczały się i staczały nie

powstrzymanie jak płynąca rzeka. Synowa też pracowała przy budowie dróg, lecz teraz, kiedy GFWN ustawił blokady, prace wstrzymano.

— Czemu przychodzicie z tym do mnie? Idźcie na policję. To oni złapali pani męża, nie ja. Nie moja wina — sędzia mówił potoczyście pod wpływem niepokoju. - Lepiej się stąd zabierajcie.

— Nie można tej kobiety odesłać na policję — stwierdził kucharz - jeszcze ją tam wykorzystają.

Kobieta już wyglądała na zgwałconą i pobitą. Ubranie miała bardzo pobrudzone, a zęby przypominały rząd zgniłych ziaren kukurydzy, niektórych nie było, inne poczerniały, i całkiem ją przygięło od noszenia kamieni — tego rodzaju kobiety w górach to częsty widok. Paru cudzoziemców nawet sfotografowało ją jako żywy dowód potworności tutejszego życia...

— Georg e!...! Georg e! — zawołała wstrząśnięta turystka do męża z aparatem.

Wychylił się z samochodu: Pstryk!

— Zrobiłem, kochanie...!

— Pan nam pomoże - błagała.

Sędzia jakby nagle przypomniał sobie o swej osobowości: wyprostował się sztywno i nic nie powiedział, twarz ułożył w maskę i nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, wrócił do gry w szachy.

W tym życiu, przypomniał sobie znowu, trzeba powstrzymać myśli, jeśli chce się zachować obojętność, inaczej poczucie winy i współczucie odbiorą ci wszystko, nawet siebie. Był zażenowany tym, że znowu zwraca się uwagę na jego upokorzenie, nakrycie stołu obrusem, śmiech, kradzież strzelb, które nigdy nie włączyły się do baletu śmierci w sezonie polowań na kaczki.

Teraz, naturalnie, bałagan narastał.

Dlatego przeszedł na emeryturę. W Indiach panuje zbyt wielki bałagan, żeby mogła zapanować sprawiedliwość; kończy się to zawsze upokorzeniem przedstawiciela władzy. Spełnił swój obowiązek, zważywszy, że obowiązkiem każdego obywatela jest zgłaszanie wszelkich problemów policji, i na tym wyczerpała się jego odpowiedzialność. Dać tym ludziom palec, a po chwili już zawsze będzie się miało na utrzymaniu całą rodzinę, i to jeszcze wiecznie rozrastającą się rodzinę, bo choć nie mają co włożyć do garnka, mąż jest niewidomy i ma połamane nogi, a kobieta anemiczna i zgarbiona, ale i tak co dziewięć miesięcy wyprodukują dzieciaka. Dać takim ludziom trochę, a zabiorą wszystko — te rodziny trzymają się razem ze względu na poczucie winy z jednej strony i nieskończoną chciwość i brak samodzielności z drugiej - i jeśli się dowiedzą, że jesteś wrażliwy, wszyscy zrzucą na ciebie swoje poczucie winy: stare poczucie winy, nowe, jakiegokolwiek przekazane poczucie winy.

*

Kucharz spojrział na tych dwoje i westchnął. Oni spojrzeli na Sai.
- *Didi...* - zaczęła kobieta. Nie można jej było spojrzeć prosto w oczy, było w nich zbyt dużo rozpacz.

Sai odwróciła się i wmówiła sobie, że nic jej to nie obchodzi. Nie była w nastroju na dobroć. Może gdyby bogowie byli jej przychylni... ale teraz nie, pokaże im, że jeśli zrobili jej coś takiego, rozpęta na ziemi zło na ich podobieństwo, najlepsza piekielna uczennica piekielnych bogów...

Minęło trochę czasu, zanim odeszli. Poszli sobie i usiedli za bramą, kucharz przegonił ich jak krowy, a potem

przez dłuższy czas siedzieli w kucki i nie ruszali się z miejsca, tylko patrzyli przed siebie bez emocji, jak gdyby nadzieja i inicjatywa całkowicie ich opuściły.

Obserwowali sędziego, jak wyprowadza Mutt i karmi ją. Był wściekły i skrępowany, wiedząc, że mu się przyglądają. Czemu stąd nie PÓJDA!?

— Każ im się wynosić albo wezwę policję - powiedział kucharzowi.

— *Dżao, dżao* — kucharz wołał przez bramę, oni jednak oddalili się tylko trochę, za krzewy i znów się rozsiedli z tym samym pustym spojrzeniem.

Sai wspięła się do swojego pokoju, zatrzasnęła drzwi i zwróciła się do swego odbicia w lustrze. Co ze mną będzie?!

Gjan znajdzie dorosłość i czystość w pogoni za swoim krajem, a ona pozostanie na zawsze dorastającą dziewczyną uwięzioną w żalnym melodramacie. Oto historia jej życia: rodzina, której Sai nigdy nie obchodziła, kochanek, który zapomniał...

Płakała przez chwilę i łzy nabrały własnej dynamiki, lecz chociaż się przed nim broniła, obraz błagającej kobiety powrócił. Zeszła na dół i zapytała kucharza:

— Dałeś im coś?

— Nie - odpowiedział kucharz, też przygnębiony. - Co można zrobić? - dodał beznamiętnie, jak gdyby podawał odpowiedź, a nie zadawał pytanie.

Potem wyszedł z domu z workiem ryżu.

— Hss sss hsss! — zasyczał. Lecz wtedy oboje już zniknęli.

Niebo nad Manhattanem wyglądało niechlujnie, czego tam nie było - gałęzie, gołębie i poszarpane chmury podświetlone dziwnym żółtym światłem. Wiatr wiał mocno, a na tym wzburzonym tle kołysały się różowe pompony wiśniowych drzew w Riverside Park.

Niepokój, który pojawił się po telefonie Bidżu do Kalimpangu, nie był już zwykłym ściskaniem w dołku; tak się rozrósł, że to Bidżu znajdował się w jego dołku.

Próbował jeszcze dzwonić następnego dnia i dwa dni później, lecz linia była zupełnie głucha.

- Znowu zamieszki - powiedział pan Iype. - Nie skończą się szybko. Bardzo brutalny naród. Te wszystkie wojskowe typy...

Na Hudson wiał wiatr, którego podmuchy zdążyły w górę rzeki, podrywały i marszczyły wielkie fale.

- Spójrz pan tylko. Kurwa, robi się jak w Biblii - powiedział do niego ktoś z boku przy barierce. - Księga Hioba, kurwa. Dlaczego? Dlaczego?

Bidżu przesunął się dalej, lecz mężczyzna też się przesunął.

- Wie pan, jak brzmi prawdziwa nazwa tej rzeki? - Z twarzą tłustą od fast foodów, rzadkimi włosami był jednym z wielu w tym mieście ludzi szalonych i inteligentnych, którzy koczują w księgarni Barnes & Noble.

R

Wichura porwała jego słowa; do uszu Bidżu dotarły dziwnie pourywane, lecąc gdzieś dalej. Mężczyzna odwrócił się w stronę Bidżu, żeby wiatr nie ciął w ten sposób ich rozmowy. — Muhheakunnuk, Muhheakunnuk, rzeka, która płynie w dwie strony - dodał z uniesionymi znacząco brwiami - w dwie strony. To jest, kurwa, prawdziwa nazwa. — Zdania wypływały z jego ust razem z soczystą śliną. Uśmiechał się i ślinił do tej informacji, pożerając ją i wypluwając jednocześnie.

W takim razie jak brzmi fałszywa nazwa? Bidżu nie miał żadnej nazwy na tę czarną wodę. Nie należała do jego historii.

A potem pojawił się, kurwa, Moby Dick. Rzeka pełna, kurwa, martwych wielorybów. Ich ciała, kurwa, holowano w górę rzeki. Potem, kurwa, obrabiano je w fabrykach.

- Tran, wie pan - powiedział z nabrzmiałą wewnętrzną frustracją. - Jak nie tran, kurwa, to ropa. I bielizna.

Brwi i deszcz śliny. - Gorsety!! - dodał nagle.

- Nie mówić angielski - powiedział Bidżu przez tunel ze złożonych dłoni i odszedł szybkim krokiem.

*

Zawsze odpowiadał „Nie mówić angielski” szaleńcom zagadującym go w tym mieście, gniewliwym i zaczepnym włóczęgom i gościom od Biblii ubranym w krzykliwe garnitury i czapki z wyprzedazy, czekającym na rogach ulic, którzy swój moralny i fizyczny trening zawdzięczali ściganiu niewiernych. Członkom Kościoła Chrystusowego i Kościoła Syjonu, Kościołów odnowy ewangelicznej,

rozdającym broszury z najnowszymi wiadomościami wartymi milion dolarów o poczynaniach diabła. „SZATAN CZEKA, ŻEBY USMAŻYĆ CIĘ ŻYWCEM - krzyczały nagłówki. - NIE MASZ CHWILI DO STRACENIA”.

Pewnego razu zaczepił go Litwin z Ruchu Świadomości Kriszny, do Nowego Jorku trafił przez Wilno i Vrindavan. Broszurze dla byłego specjalisty od steków towarzyszyło pełne wyrzutu spojrzenie wegetarianina. Bidźu popatrzył na niego i musiał odwrócić wzrok jak od jakiejś nieprzy-zwoitości. Wydawało mu się, że ma przed sobą prostytutkę, która pokazuje zbyt wiele. Książeczka w jego dłoni przedstawiała na okładce Krisznę na polu bitwy w krzykliwych kolorach, takich samych, jakich używa się na plakatach filmowych. Czym są Indie dla tych ludzi? Ilu żyje z fałszywym wyobrażeniem o swoich krajach, z fałszywym wyobrażeniem

o cudzych krajach? Czy ich życie wydaje im się tak samo nierealne jak jemu?

Co robi i dlaczego?

Przed jego przyjazdem tutaj takie pytanie w ogóle się nie pojawiało. Oczywiście, jeśli człowiek mógł wyjechać, wyjeżdżał. A jeśli wyjechał, oczywiście, jeśli można było, z o s t a w a ł . . .

Parkowe latarnie zapaliły się już, gdy Bidźu wchodził po śmierdzących uryną kamiennych stopniach na ulicę

1 światła te rozpływały się w mroku — wszystkim, którzy na nie patrzyli, wydawało się, że płaczą. Na tle tego teatralnego nocnego oświetlenia miasta dostrzegł bezdomnego, który sunął sztywno, jak gdyby na sztucznych nogach, zmierzając ze sklepowym wózkiem pełnym śmieci do swego plastikowego igloo, gdzie miał przeczekać burzę.

Bidźu zawrócił do Gandhi Cafe, czując w sobie coraz większą pustkę. Mijały lata, a jego życie nie nabierało żad

nej wartości; w przestrzeni, która powinna zawierać rodzinę, przyjaciół, powietrze wypierał tylko on. A mimo to kolejna jego część rozrosła się: jego samoświadomość, jego litość nad samym sobą - och, jakie to było męczące. Niezdara w Ameryce, gigantyczny karzełek, gargantuiczna porcja małego... Czyż nie powinien wrócić do takiego życia, w którym mógłby ograniczyć swoje znaczenie, zaprzestać tej przereklamowanej kontroli nad własnym losem i być może całkowicie dać się odsunąć od jego kształtowania? Może wtedy doświadczyłby tego wielkiego luksusu, jakim jest całkowite niezauważanie siebie. A jeśli zostanie tutaj? Co się stanie? Czy wzorem Hariśa--Harry'ego wyprodukuje fałszywą wersję siebie i wykorzystując jako wskazówki to, co stworzył, zrozumie siebie, spoglądając wstecz? Dla niego życie nie miało w sobie już nic z życia, a śmierć — cóż nawet ona by dla niego znaczyła? Nie miałyby nic wspólnego ze śmiercią.

*

Właściciel nowo otwartego niedaleko Gandhi Cafe biura podróży Shangri-la Travel zamawiał codziennie na lunch „niewegetariański” zestaw specjalny: jagnięci-nę w sosie curry, *dal*, jarzynowe *pilau* i *khir*. Nazywał się pan Kakkar.

- *Are*, Bidżu - pozdrawiał go, bo właśnie Bidżu otrzymał zadanie dostarczania mu posiłku. — Znów uratowałeś mnie przed kuchnią mojej małżonki, ha, ha! To jej żarcie spuścimy w kiblu!

- Może powinien pan dać je temu obdartusowi - zaproponował Bidżu, próbując pomóc bezdomnemu i jednocześnie go znieważać.

— O nie — odparł. — Ona jest typem czarownicy, akurat będzie przechodzić, żeby złożyć mi niespodziewaną wizytę, i przyłapie go, jak zajada to, co ugotowała, tego typu zbiegi okoliczności zawsze się jej przytrafiają, a wtedy byłby koniec ze mną.

Minutę później.

— Jesteś pewien, że chcesz wrócić? — zapytał zatrwożony z wytrzeszczonymi oczami. — Popełniasz wielki błąd. Trzydzieści lat w tym kraju, bez kłopotów, nie licząc oczywiście czarownicy, i nigdy tam nie wróciłem. Nawet te ich ubikacje... - Wskazał na dźwięk bulgoczącej wody w toalecie za sobą. — Powinni umieścić je na fladze, tak jak my mamy kołowrotek, pierwszorzędne udogodnienie w tym kraju. Wracać? - kontynuował - chyba zupełnie ci odbiło... nie będziesz mógł się opędzić od krewnych proszących o pieniądze! Nawet obcy będą przychodzić... no wiesz, może tylko na próbę, bo może ty srasz dolarami. Mówię ci, przyjacielu, dopadną cię; a jeśli nie oni, to złodzieje; a jeśli nie złodzieje, to jakaś choroba; a jeśli nie choroba, to upał; a jeśli nie upał, jakiś szalony *sardar-dźi* wysadzi twój samolot, zanim wylądujesz.

Podczas nieobecności Bidżu w kraju sikhowie zamordowali Indirę Gandhi w imię swej ojczyzny; władzę przejął Rajiv Gandhi...

*

— Tylko kwestia czasu. Ktoś i jego dopadnie — przewidywał pan Kakkar.

Ale Bidżu powiedział:

— Muszę wyjechać. Mój ojciec...

— Ach, sentymenty, donikąd nie prowadzą. Mój ojciec, póki żył, zawsze mi mówił: „Dobrze, zostań tam, nie wracaj do tego bagna”.

R

Pan Kakkar rozgryzał kostki lodu, wyławiając je z kubka diet coke długopisem z modelem samolotu na drugim końcu.

Tak czy inaczej sprzedał Bidżu bilet linii lotniczych Gulf Air: Nowy Jork-Londyn-Frankfurt-Abu

Zabi-Du-baj-Bahrajn-Karaczi-Delhi-Kalkuta. Najtańszy, jaki dało się znaleźć. Taki powietrzny autokar.

- Nie mów potem, że cię nie ostrzegałem. - Po chwili wpadł w bardziej refleksyjny nastrój. - Wiesz - rzekł — Ameryka wykupuje cały świat. Wrócisz, to się przekonasz, że trzymają w swoich rękach cały biznes. Pewnego dnia wylądujesz w amerykańskiej firmie, nieważne: tu czy tam. Pomyśl o dzieciach. Jeśli zostaniesz, twój syn będzie zarabiał sto tysięcy dolarów w tej samej firmie, dla której mógłby pracować w Indiach, lecz za tysiąc dolarów. No to jak wtedy pošlesz dzieci do najlepszego międzynarodowego *college* v? Popełniasz wielki błąd. To wciąż świat, przyjacielu, gdzie jedna strona podróżuje, żeby służyć, a druga podróżuje, żeby traktowano ich po królewsku. Chcesz, żeby twój syn był po której stronie? Ach - dodał, machając długopisem - w chwili, kiedy znajdziesz się na miejscu, zaczniesz od razu kombinować, jak się do cholery jasnej stamtąd wyrwać.

*

Lecz Bidżu udał się do Jackson Heights i w sklepie wielkim jak hangar kupił: telewizor i magnetowid, aparat fotograficzny, okulary przeciwsłoneczne, baseballów-ki z „NYC”, „Yankees” i „Piwo lubię zimne, a kobiety gorące”, podwójny cyfrowy zegar, radio, magnetofon, wodoszczelne zegarki, kalkulatory, elektryczną maszynkę do golenia, toster, zimową kurtkę, nylonowe swetry, koszule z poliestrowobawełnianej mieszanki, kołdrę z poliuretanu,

kurtkę przeciwdeszczową, składany parasol, zamszowe buty, skórzany portfel, japoński grzejnik, zestaw ostrych noży, termofor, fixodent, szafran, nerkowce i rodzynki, płyn po goleniu, T-shirty z napisami „/ *love NY*” i „*Bom in the USA*” przetykanymi świecącymi koralikami, whisky i, po chwili zastanowienia, butelkę perfum o nazwie Windsong... dla kogo? Nie znał jeszcze jej twarzy.

*

Kiedy robił zakupy, przypomniał sobie, że jako dziecko należał do paczki łobuziaków, którzy wracali do domów wykończeni po wspólnych harcach. Rzucali kamieniami i kapciami w drzewa, żeby strącić owoce *ber* i *dża-mun*; ganiłi jaszczurki, aż odpadały im ogony, i rzucali tymi odpadkami w dziewczynki; wykradali ze sklepu kulki *ćuran*, które wyglądały jak kozie bobki, lecz były tak bardzo, bardzo pyszne, kiedy chrupały trochę jak piasek między zębami. Przypomniał sobie kąpiele w rzece, gdy czuł dotyk chłodnych, jędrnych mięśni rzeki, i jak siedział na skale ze stopami zanurzonymi w wodzie i obgryzał trzcinę cukrową, wysysając z niej słodycz, nie bacząc na to, jak bardzo bolą go szczęki, całkowicie pochłonięty tą czynnością. Grał w krykieta krykieta krykieta. Bidżu złapał się na tym, że uśmiecha się na wspomnienie dnia, kiedy cała wioska oglądała zwycięski pojedynek indyjskiej reprezentacji z Australią w telewizorze, który podłączono do samochodowego akumulatora, bo w wiosce spalił się transformator. W całych Indiach na polach gniły plony, prostytutki narzekały na brak ruchu w interesie, bo wszyscy panowie w całym kraju nie odrywali wzroku od ekranu. Pomyślał o samosie obok plamy *ćatni* na talerzu z liścia. Tam nie mógłby być na zdjęciu sam.

Oczywiście nie wracał do wspomnień z wiejskiej szkoły, o jej dyrektorze, który zostawiał uczniów na drugi rok w tej samej klasie, jeśli nie dostał łapówki od rodziców. Nie myślał o dachu, który zwiewało z nadejściem każdej pory monsunowej, ani o tym, że teraz już nie żyje nie tylko jego matka, ale i babka. Nie myślał o żadnej z tych rzeczy, które skłoniły go do wyjazdu.

Chociaż potulnie uległa przekupstwu, gdy tylko Gjan wyszedł z domu, jego mała siostra, która była świadkiem kłótni między bratem a Sai, zmieniła front i poddała się przemożnej chęci wygadania wszystkiego, kiedy więc wrócił, okazało się, że wszyscy w domu wiedzą o całym zdarzeniu, rozdmuchanym do operowych rozmiarów. Rozmowa o strzelbach miała jeden zadziwiający efekt - wyrwała z otępienia jego babkę (zresztą echo wznowionych walk pobudzało do nowego życia ludzi starych w całej okolicy), która zakradła się powoli ze zwiniętą gazetą. Gjan widział, jak podchodzi, i gdy zastanawiał się, co babcia wyprawia, ta trzasnęła go mocno przez łeb.

— Weź ty się za siebie. Biegasz wszędzie jak głupi i zapominasz o nauce! Do czego cię to doprowadzi? Do więzienia, tam wylądujesz. Rąbnęła go w tyłek, kiedy próbował od niej uciec.

— Jak się wpakujesz w jaką kabałę — i znów go huknęła na dokładkę - będziesz płakał jak dziecko.

- Może nic nie zrobił - zaczęła jego matka.

- No to po co ta dziewczyna przeszłaby taki kawał drogi? Bez powodu? Trzymaj się z dala od tych ludzi - warknęła babka, zwracając się do Gjana. — Zobaczysz, w co się wpakujesz... a my jesteśmy biedni... będziemy na ich łasce... Szalejesz, jak nie ma ojca, a matka za słaba jest, żeby cię zdyscyplinować. - Rzuciła gniewne spojrzenie sy

nowej, ciesząc się, że ma ku temu okazję. Zamknęła Gja-na na kłódkę. Tego samego dnia, kiedy przyjechali po niego koledzy, na dźwięk nadjeżdżającego jeepa z domu wykuśtykała jego babka, rozglądając się dookoła kaprawymi oczkami.

- Przynajmniej im powiedz, że się źle czuję. Zrujnujesz mi reputację — wrzasnął Gjan, oddając głos swej mentalności nastolatka.

- Chory jest - powiedziała babka. - Bardzo. Nie może z wami jechać.

- Co się z nim dzieje?

- Siedzi w wychodku, cały czas robi *tatti* — wyjaśniła, a on jęknął. - Musiał zjeść coś przejrzałego. Leci z niego jak z kranu.

- Każda rodzina musi wysłać kogoś na demonstrację. Mówili o marszu, który miał się odbyć następnego dnia, dużej demonstracji rozpoczynającej się na placu Mela Ground.

- Jutro palimy traktat indyjsko-nepalski.

- Jeśli chcecie, żeby wam robił *tatti* podczas tego całego marszu...

Odjechali i odwiedzili wszystkie domy w okolicy, żeby przypomnieć o konieczności przysłania kogoś na marsz, chociaż wielu zgłaszało problemy gastryczne, choroby serca, zwichnięte kostki, bóle kręgosłupa... i chcieli się usprawiedliwiać zwolnieniami lekarskimi: „Pan Catterdzi musi unikać stresu i zdenerwowania, cierpi bowiem na nadciśnienie”.

Ale nie dawali się zbyć:

- W takim razie przyślijcie kogoś innego. Chyba cała rodzina nie zaniemogła?

Po zdjęciu zeń ogromnego ciężaru decyzji Gjan, po początkowych protestach, poczuł, jak ogarnia go słodki spokój, i choć udawał frustrację, z wielką ulgą przyjął ten powrót do czasów dzieciństwa. Jest młody, nie narobił żadnych trwałych szkód. Niech świat na zewnątrz potoczy się trochę bez niego, a kiedy zrobi się bezpiecznie, odwiedzi Sai i pochlebstwami nakłoni ją do tego, żeby znów zostali przyjaciółmi. Nie jest złym człowiekiem. Nie chciał się kłócić. Problem polega na tym, że próbował być częścią większych spraw, próbował być częścią polityki i historii. Szczęście mieszka w czymś mniejszym, choć oczywiście nie można się z tym afiszować; bardzo niewiele potrafiłoby wstać i oświadczyć: „Tak naprawdę jestem tchórzem”, lecz jego lękliwość można było zamaskować w całkiem zwyczajnej egzystencji ujętej w kontury potulności. Uratowany przed jednym upokorzeniem okropnym zachowaniem wobec Sai, mógł teraz nieoczekiwanie uniknąć następnego, powołując się na szacunek dla babki. Tchórzostwo potrzebuje fasady, swej logiki jak wszystko inne, jeśli ma się stać regułą życia. Zadowolenie nie jest rzeczą łatwą. Trzeba je sprytnie usytuować, zamaskować, udawać, że jest czymś innym.

Miał mnóstwo czasu na rozmyślanie i z upływem godzin wydobył farfocle z pępka, tępym ołówkiem wo-skowinę z uszu, słuchał radia i testował czystość tych otworów przy muzyce, podtykając prawe, potem lewe ucho: *Candni raten, pjar ki baten...* Potem, co należy ze smutkiem donieść, wydmuchał z nosa parę kulek i nakarmił nimi wielkiego pająka o tygrysy pasach, który siedział w pajęczynie między stołem i ścianą. Rzucił się na nie, nie dowierzając własnemu szczęściu, i zaczął powoli konsumować. Gjan leżał na wznak i robił leniwe rowerki nogami.

W świecie istnieją przyjemności — intensywne, drobne przyjemności, które wszak tworzą poczucie wszechogarniającej przestrzeni.

Potem jednak ze zdwojoną siłą wróciło poczucie winy: jak mógł powiedzieć chłopakom o strzelbach? Jak? Jak mógł narazić Sai na takie niebezpieczeństwo? Skóra zaczęła go piec i swędzieć. Nie mógł dłużej leżeć na łóżku. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Czy kiedykolwiek będzie szczęśliwy i niewinny po tym, co zrobił?

*

I gdy Sai leżała cierpiętniczo w swoim pokoju, a Gjan najpierw myślał o rozkoszach prostego życia, a potem poczuł do siebie odrazę za to, jak bardzo skrzywdził innych, ominął ich ważny protest, przełomowy moment konfliktu, kiedy indyjsko-nepalski traktat z 1950 roku miał być spalony, a przeszłość wrzucona do ognia i zniszczona.

- Ktoś będzie musiał pójść... - kucharz zwrócił się do sędziego po tym, jak w Czo Oju zjawili się chłopcy i zażądali udziału kogoś w marszu.

— W takim razie idź ty — rozkazał sędzia.

27 lipca 1986

W nocy padało i kucharz modlił się, żeby nie musiał wychodzić, do rana jednak deszcz ustał i ukazał się strzęp błękitu, który wyglądał tak sztucznie i dziecinnie po nastrojowych odcieniach pory monsunowej, że kucharz czuł, jak zmraża mu on serce, i leżał w łóżku jak najdłużej w nadziei, że niebo znów się zachmurzy. A kiedy nie mógł już dłużej zwlekać, wstał, nasunął kapcie i poczłapał do wychodka.

Razem ze swoim przyjacielem, stróżem z MetalBok-su, udał się na plac Mela Ground - przeszli przez bramę wejs'ciową, na której ustawiono pomnik Gandhiego na cześć uzyskania przez Indie niepodległości.

Poniżej widniał napis w hindi: „Jedność Miłość Służba”. Na plac schodziły się tysiące osób, nie tylko z Kalimpangu, lecz także z okolicznych wiosek i miasteczek, z Miriku, Pasumbangu, doliny Soureni, Alubari, doliny Labong, Kurseongu i Paśoku, znad szosy od Mangpu do Tisty i z wielu innych miejscowości. Po zebraniu się wszystkich mieli przemaszerować pod posterunek policji i podpalić dokumenty.

- GFWN ma niezłe zdolności organizacyjne - przyznał kucharz; musiał mu to oddać, gdyż taki porządek w Kalimpangu był rzadkością.

Mijały godziny, a oni stali i czekali. W końcu, kiedy słońce grzało już mocno nad głowami, nie dając cienia, ktoś dmuchnął w gwizdek i kazał im ruszać.

Wymachując nożami *kukri*, z podniesionymi wysoko i lśniącymi w słońcu ostrzami, krzyczeli:

- *Dźaj Gorkha. Dźaj Gorkhaland! Gorkhaland dla GorkhóuA*

— Za godzinę powinno być po wszystkim - stwierdził z nadzieją w głosie stróż z MetalBoksu.

*

Wszystko szło zgodnie z planem i zaczęli już myśleć o obiedzie, bo zgłodnieli; nagle jednak, kiedy doszli do skrzyżowania, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Zza budynku poczty, gdzie kucharz często czekał na listy od Bidżu, a która, co zauważył ze smutkiem, była zamknięta na cztery spusty, spadł na nich deszcz kawałków skał i kamieni.

Uderzały o dach BUM BUM BUM BUM; potem nadleciały z większym impetem i spadając, zraniły kilka osób, które zatoczyły się do tyłu. Siniaki. Krew.

Nigdy nie wykryto, kim byli sprawcy, kto stał za tym złowieszczym planem...

Ludzie najęci przez policję, mówili demonstranci, żeby sprowokować uczestników marszu do rewanzu za zniewagę, do odrzucenia kamieni, dając w ten sposób policji pretekst do interwencji.

Nieprawda, mówili policjanci, twierdząc, że uczestnicy zamieszek przynieśli kamienie ze sobą, żeby rzucać nimi w przedstawicieli prawa i porządku.

Obie strony zgadzały się natomiast co do tego, że ze złości wywołanej tym atakiem ludzie zaczęli rzucać

kamieniami w *dżawanów* uzbrojonych w tarcze i bambusowe pałki. Pociski trafiły w dach posterunku, rozbiły szyby w oknach.

Policjanci podnieśli kamienie i zwrócili je. Czemu mieliby być słabsi duchem od tłumu demonstrantów?

A potem BUM BUBUM, powietrze wypełniło się kamieniami, butelkami, kawałkami cegieł i wrzaskami. Tłum zaczął zbierać kamienie, wtargnął na teren budowy po więcej; policjanci rozpoczęli gonitwę za demonstrantami; posypały się kamienie; wszyscy odnosili obrażenia, ludzie, policjanci; rzucali się na siebie, okładali się kijami, grzmocili kamieniami; zaczęli ciąć nożami - ręka, twarz, nos, ucho.

Rozeszła się pogłoska, że wśród protestujących niektórzy są uzbrojeni... Może to była prawda. A może nie.

Lecz im bardziej nieugięci byli protestujący, im zacieklej odpierali ataki, im mniej byli skłonni się rozejść, tym większej policjanci nabierali pewności, że są uzbrojeni. Taki opór nie byłby przecież możliwy, gdyby nie był wsparty bronią. Tak przynajmniej podejrzewano.

W końcu policjanci nie mogli dłużej znieść niepewności związanej z tym podejrzeniem i otworzyli ogień.

Maszerujący na samym początku rozproszyli się, uciekli w prawo i w lewo...

Ostrzelani zostali ci, którzy szli za nimi, gdy wychodzili zza kina Kańcan, popychani przez napierających z tyłu.

W jednej niewyraźnej chwili, jak na szybko przewijanym filmie, trzynastu miejscowych chłopców padło martwych.

W ten sposób posuwała się do przodu historia, powolna kumulacja, szybkie spalanie i niezborne przeskakiwanie zarówno do przodu, jak i do tyłu, połykanie młodych przez starą nienawiść. Przestrzeń między życiem i śmiercią ostatecznie zbyt mała, by można ją było zmierzyć.

W tym momencie część tych, którzy uciekali, zawróciła i znów przypuściła szturm na policjantów, nawołując do zemsty. Wyrwali im z rąk broń i policjanci, uprzytomniwszy sobie, że nagle znaleźli się w drastycznej mniejszości, zaczęli błagać o litość i skomleć. Jednego *dżawan* zakłu-to, drugiemu odcięto rękę, trzeci został pchnięty nożem, a głowy policjantów zatknięto na tyczki przed posterunkiem obok ławki pod śliwą, gdzie w bardziej spokojnych czasach mieszkańcy miasta odpoczywali, a kucharz czasem czytał listy. Ciało bez głowy przebiegło kawałek ulicy, tryskając z szyi krwią, i wszyscy ujrzeli prawdę o wszystkich żywych istotach - że po śmierci, w ostatnim akcie upokorzenia, ciało wypróżnia się na siebie.

Policjanci biegli na posterunek do tyłu, jak na cofanym filmie, okazało się jednak, że ich koledzy, którzy dotarli tam wcześniej, zamknęli drzwi na klucz i padli przerażeni na podłogę. Nie chcieli nikomu otworzyć, nie bacząc na łomotanie do drzwi i prośby. Uciekając przed motłochem, policjanci, którym koledzy nie pozwolili się schronić na posterunku, szukali schronienia w prywatnych domach.

Lola i Noni, które zeszłej nocy znów gościły chłopców z GFWN, usłyszały trzech policjantów dobijających się do tylnych drzwi Mon Ami. Usiedli, zawodząc, w salonie, gdy panie zaciągały wokół nich zasłony.

- Żałosne - stwierdziła Lola. - I wy jesteście policjantami?! — Teraz bowiem oni byli na jej łasce, a nie odwrotnie. — Nie pomagaliście nam do tej pory, a teraz widzicie, potrzebujecie naszej pomocy!

- Mateczko - zwrócili się do niej. - Mateczko, prosimy, nie wyrzucaj nas, zrobimy dla was wszystko. Jesteśmy jak wasi synowie.

- Ha! Teraz mówicie do mnie „mateczko"! Paradni jesteście. Nie tak się zachowywaliście tydzień temu...

Na bazarze zamieszki wciąż trwały. Spychano do wąwozów jeepy, podpalano autobusy — światło w ten sposób powstałe odbijało się jaskrawo na opadającej wieczornej mgle, a ogień rozprzestrzenił się na bambusowe zarosła. Powietrze w pustych łodygach rozszerzało się, pękały więc i płonęły z odgłosem powtarzającego się głośnego strzału.

*

Wszyscy biegli, uczestnicy wbrew woli, sprawcy i poturbowani policjanci. Rozpierzchli się po bocznych drózkach w stronę Bong Basti i bazaru w Tiście. Kucharz biegł sam, ponieważ zgubił stróża z MetalBoksu, którego tłum porwał w drugą stronę. Biegł tak szybko, jak pozwalały mu płuca i nogi, gdy serce boleśnie dudniło mu w piersi, uszach i gardle, a wdychane powietrze wydawało się zatrute. Udało mu się pokonać pewien dystans stromym skrótem pod górę do Ringkingpong Road i tam poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, tak bardzo mu się trzęsły. Siadł nad bazarem wśród bambusowych tyczek z białymi modlitewnymi flagami, na których napisy wyblakły jak wzory na muszlach obmywanych przez ocean. Za nim wznosiła się wiktoriańska wieża budynku Wydziału Kryminalnego Komendy Policji, a także mroczne bryły Galingka, Tasziding i Morgan House, pochodzących z okresu brytyjskiego, teraz zamienionych w pensjonaty. Na trawniku Morgan House, wciąż obsadzonym roślinami sprowadzonymi przez panią Morgan z Anglii, kucał ogrodnik. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dookoła dzieje; patrzył bez ciekawości ani ambicji, bez niepokoju, doskonaląc w sobie cechę pozbawioną cech, która pomoże mu przebrnąć przez to życie.

Kucharz widział teraz płonące w dole ogniska i rozpierzchających się ludzi. Kiedy przechodzili przez rozgrzane powietrze nad płomieniami, wydawało się, że falują i wydymają się jak miraż. Nad wszystkim górowała Kan-czendzonga, trwała, nadzwyczajna, widok ten od wieków przynosił ludziom wolność i rozpraszał smutki w ich znękanych sercach. Lecz oczywiście kucharz nie mógł czuć tego teraz i nie wiedział, czy widok tej góry pozostanie dla niego tym, czym był kiedyś. Do jego serca, jakby były drzwiami, drapała panika, skrobiący gryzoń.

Jak to możliwe, żeby wszystko pozostało takie, jakie było? Na drodze targowej w śliskich kałużach czerwieniła się krew wymieszana z żółtymi smugami *dal*, które ktoś musiał przynieść ze sobą, spodziewając się pikniku po przemarszu, i były tam też muchy, pogubione pojedyncze klapki, smutne stłuczone okulary, nawet ząb. Wyglądało to trochę jak rządowe ostrzeżenie, które pojawia się w kinie przed filmem: oto widać mężczyznę jadącego na rowerze do pracy, ubogiego, ale z kochającą żoną, która przygotowała mu drugie śniadanie w pudełku; potem słychać dźwięk klaksonu i cichy, rozpaczliwy brzęk roweru, obraz zamazuje się i nieruchomieje w jeden bezgłośny kadr z papką jedzenia zmieszaną z krwią. Te niedopasowane kolory, domowość potasowana ze śmiercią, pewność zderzająca się z tym, co niespodziewane, dobroć zastąpiona krwawym obrazem - to wszystko sprawiało, że kucharzowi robiło się niedobrze i jednocześnie chciało mu się płakać.

Teraz też i zapłakany ruszył w dalszą drogę do Czo Oj u, kryjąc się w zaroślach, kiedy mijały go czołgi, które toczyły się do miasta z garnizonu. Zamiast zagranicznych wrogów, zamiast Chińczyków, na których przyście się przygotowywali, rozbudzając w sobie nienawiść do nich, musieli walczyć ze swoimi...

To miejsce, ten bazar, gdzie targował się spokojnie o ceny ziemniaków i obrażał, tak, o b r a ż a ł sprzedawcę warzyw z radosnym poczuciem bezkarności, napawał się spływającymi ze swoich ust wulgarnymi słowami na temat zepsutych produktów; to miejsce, gdzie z całkowitym poczuciem bezpieczeństwa autentycznie tracił panowanie nad sobą w rozmowach z głuchymi krawcami, nieudolnym hydraulikiem, opieszalym piekarzem z jego nadziewanymi rogalikami; to miejsce, gdzie przebywał bezpieczny w świadomości, że jest to w gruncie rzeczy cywilizowane miejsce, gdzie wszyscy się pomieszczą; gdzie egzystował, oddając się jakże słodkiej zrzędlivości — pokazywało mu teraz, że się mylił. Nie chciano go w Kalim-pangu i nie było tam dla niego miejsca.

W tym momencie zdjął go strach, że może już nigdy nie zobaczy syna...

Listy, które przychodziły przez te wszystkie lata, pisała doń jego nadzieja. Bidżu był tylko myślowym nawykiem. Nie istniał. Bo czy mógł istnieć?

Mnożyły się przerażające incydenty, przez kolejne pory roku, przez zimę i ukwieconą wiosnę, lato, potem deszcz i znowu zimę. Drogi były pozamykane, codziennie obowiązywała godzina policyjna i Kalim pang stał się zakładnikiem własnego szaleństwa. Nie można było wyjechać; nikt nawet nie wychodził, jeśli nie musiał, ludzie woleli się zabarykadować w domu.

Nepalczyk, który nie chciał wstąpić do ruchu, mógł źle skończyć. Stróża z MetalBoksu poturbowano i kazano mu powtarzać „*Dźaj Gorkha*”, a następnie zaciągnięto go do świątyni Mahakali, gdzie zaprzysiął wierność sprawie.

Gorzej, jeśli nie było się Nepalczykiem.

Jeśli było się Bengalczykiem, ludzie, którzy cię znali całe życie, przestawali pozdrawiać cię na ulicy.

Ignorowali cię nawet Biharczycy, Tybetańczycy, Lep-czowie i Sikimczycy. One, te marginalne ławice grup mniejszościowych, drobne i bezsilne, które mogły trafić do jednej albo drugiej sieci, chciały się ustawić po drugiej stronie w sporze, przydzielić Bengalczykom role wrogów.

— Przez tyle lat — powiedziała Lola — kupowałam jaja w sklepie tego Tszeringa przy drodze, a tu któregoś dnia spojrział mi prosto w twarz i powiedział, że jajek nie ma. Ale ja tam widzę cały kosz, mówię, więc jak może pan

twierdzić, że ich nie ma? Zostały zarezerwowane, odpowiada.

— Pem Pem — zawołała Lola na odchodnym, widząc, że wchodzi córka jej przyjaciółki, pani Thondup. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej Lola i Noni złożyły kurtuazyjną wizytę w jej domu, który dostrojony był do innego stylu życia w innym miejscu: przepiórcze jaja i pędy bambusa, grube tybetańskie dywany pod stopami.

— Pem Pem??

Pem Pem rzuciła Loli błagalne, pełne zażenowania spojrzenie i minęła ją bez słowa.

— Nagle po złej stronie, co? — rzuciła Lola. — Nie ma wtedy takiego, co by cię nie opuścił.

Na półce skalnej poniżej Mon Ami, w szeregu samowolnie wzniesionych chat, siostry zauważyły niewielką świątynię z czerwono-złotą flagą, co miało sprawić, że choćby nie wiem co, przez całą wieczność, żaden urzędnik - policja, rząd, nikt - nie ośmieli się zanegować pra-wowitości tego przywłaszczenia. Skoro pobłogosławili je sami bogowie. Kapliczki wyrastały w całym Kalimpangu, po sąsiedzku z konstrukcjami zakazanymi przez władze miasta — geniusz dzikich lokatorów. Intruzi podłączali się do linii telefonicznych, rur wodnych, linii elektrycznych, tworząc plątaninę nielegalnych połączeń. Drzewa, które rodziły Loli i Noni gruszki, tyle gruszek, że aż je przeklinały — „duszone gruszki ze śmietaną, codziennie cholerne duszone gruszki ze śmietaną!" - zostały ogołoczone w ciągu jednej nocy. Zniknął zagon z brokułami, okolicę bramy wykorzystywano jako ubikację. Dzieci ustawiały się w rzędach, żeby pluć na przechodzącą Lolę i Noni, a kiedy ich służącą ugryzł jeden z psów dzikich lokatorów, Kesang wrzasnęła:

— Patrzcie, ugryzł mnie wasz pies, teraz musicie mi przyłożyć do rany olej z kurkumą, żeby nie wdała się infekcja.

Lecz oni tylko się śmiali.

*

Chłopcy z GFWN spalili rządowy pensjonat nad rzeką, za mostem, gdzie ojciec Booty sfotografował motyla w kropki. Co więcej, płonęły też leśniczówki w całym dystrykcie - na werandach tych domów stało wiele pokoleń członków Indyjskiej Służby Cywilnej, napawali się ciszą, wiszącym nad nimi anielskim spokojem świtu i zmierzchu w górach.

Spalono budynek sądu i dom bratanicy premiera. Gdy negocjacje niczego nie przynosiły, detonatory wywoływały osuwiska. Kalimpong zamienił się w miasto widmo, wiatr hulał po smętnych ulicach, a śmieci fruwały, nie napotykając żadnych przeszkód. Jakiegokolwiek racje miał GFWN, sprawy naprawdę wymknęły się spod kontroli; wydawało się w tym czasie, że nawet gniew jednego człowieka jest w stanie rozpalić całą okolicę.

*

Kobiety przemykały ulicami. Mężczyźni w domach drżeli ze strachu, że padnie na nich i będą ich torturować pod byle pretekstem - GFWN oskarży ich o to, że są informatorami policji; policja oskarży ich o to, że są bojownikami frontu. Podróżowanie samochodem stało się niebezpieczne nawet dla tych, którzy mieli pozwolenie, samochód bowiem był pułapką; pojazdy otaczano

i kradziono; sprawniej poruszano się pieszo, można było ukryć się w dżungli na dźwięk czegoś niepokojącego, przeprowić się przez *dźhora* i wrócić do domu ścieżkami. Zresztą po pewnym czasie zabrakło paliwa, ponieważ chłopcy z GFWN wypompowali ostatnie jego krople i dystrybutory zamknięto.

*

Kucharz próbował się uspokoić, powtarzając sobie: „Wszystko będzie dobrze, bywają lepsze i gorsze czasy, następują po sobie cyklicznie, dzieje się źle, lecz ten okres mija i znów jest dobrze...”. W jego głosie więcej było jednak błagania niż pewności, więcej nadziei niż mądrości. Po tym wszystkim - po kradzieży strzelb i po demonstracji, po uzmysłowieniu sobie kruchości własnego życia tutaj jako nie-Nepalczyka - nie potrafił już się uspokoić; czaiło się coś złowrogiego; był pewien, że tuż za rogiem czeka go coś jeszcze gorszego. Gdzie jest Bidźu, gdzie on jest? Podskakiwał na widok każdego cienia.

Tak więc to zwykle Sai wybierała się na zamknięty targ, szukając sklepu, gdzie na wpół otwarte boczne drzwi sygnalizowały pokątną działalność, albo tekturowej tabliczki ustawionej w oknie domu kogoś, kto chciał sprzedać garść orzechów albo kilka jajek.

Nie licząc tych skromnych zakupów, niemal całkowicie karmił ich ogród. Po raz pierwszy w Czo Oj ujadło się prawdziwie miejscową żywność. *Dalda saag* o różowych kwiatkach i płaskich liściach; *bhutija dhanija* rosnącą bujnie wokół chaty kucharza; młode wąsy pnący kabaczka i dyni; zwinięte listki paproci *ningro*, ser *ćurbi* i pędy bambusa sprzedawane przez kobiety, które wyłaniały się zza krzewów na leśnych ścieżkach z serem zawiniętym w liście

paproci i żółtymi kawałkami pędów bambusa w wiadrach z wodą. Po deszczach grzyby wypychały się do góry, słodkie jak mięso kurczaka i majestatyczne jak Kanczendzon-ga, tak wielkie, z szerokimi kapeluszami. Ludzie zbierali boczniaki w porzuconym ogrodzie ojca Bootyego. Na krótką chwilę zapach gotujących się grzybów nadał miastu zaskakującą atmosferę dostatku i wygody.

*

Pewnego dnia, gdy Sai wróciła do domu z kilogramem wilgotnej *atta* i ziemniakami, zastała na werandzie dwie postaci, znajome z poprzedniej wizyty, żebrzące przed kucharzem i sędzią.

- Prosimy, *sahib...* - Była to ta sama żona i ojciec torturowanego.

- O nie - powiedział przerażony kucharz na ich widok — o nie, *bap re*, po co tu przyłazicie? — zapytał, chociaż znał odpowiedź.

To właśnie ubodzy kroczyli po linii tak cienkiej, że nie było pewne, czy w ogóle istnieje, po wyimaginowanej linii między buntem i prawem, między obrabowaniem (kto by ich słuchał, gdyby poszli na policję?) a aresztowaniem za przestępstwa innych.

Byli najgłodniejsi.

*

- Po co tu przyłazicie i się awanturujecie? Już wam mówiliśmy: nie mamy nic wspólnego z tym, że policja zatrzymała pani męża. Nie my go oskarżyliśmy i nie my go pobiliśmy... Gdybyśmy coś wiedzieli, natychmiast byśmy poszli i powiedzieli, że to nie ten... nie poinformowano nas...

Jesteśmy wam coś winni? - zapytał kucharz. A jednak dawał im *atta* przyniesioną przez Sai... „Nic im nie dawaj”, burknął sędzia i wrócił do gry w szachy.

- Prosimy, *sahib* - błagali ze złożonymi dłońmi i pochylonymi głowami. — Kto nam pomoże? A bo to wyżyjemy bez jedzenia? Będziemy już zawsze waszymi sługami... Bóg wam odpłaci... Bóg was wynagrodzi...

Sędzia był jednak nieugięty.

I znów, przegonieni, usiedli przed bramą.

- Każ im iść precz — powiedział kucharzowi.

- *Dźao, dźao* - wołał kucharz, chociaż martwił się, że mogą potrzebować odpoczynku przed pięcio- lub sześciogodzinną wędrówką przez las do wioski.

I znów przenieśli się i usiedli trochę dalej, żeby nie kłuć nikogo w oczy. Znowu zobaczyli Mutt. Wciskała nos w swoje ulubione miejsce do obwąchiwania, nie zwracając uwagi na nic innego. Kobieta nagle się rozpogodziła i powiedziała do mężczyzny:

- Za takiego psa można dostać kupę forsy...

Mutt bardzo, bardzo długo nie odchodziła od obwąchiwanego miejsca. Gdyby nie było tam sędziego, mogliby wyciągnąć ręce... i złapać ją.

*

Kilka dni później, kiedy mieszkańcy Czo Oj u znów zapomnieli o tej parze nieważnych, choć irytujących osobników, ci wrócili.

Nie podeszli jednak do bramy; przyczaili się w wężozie z *dźhora* i tam czekali na Mutt, tej koneserki zapachów, żeby wyszła na pierwszy obchód po posiadłości. Odkrywanie na nowo woni i zgłębianie ich było dla niej wiecznie rozwijającą się formą sztuki. Była pochłonięta ulubionym od dawna zapachem, z czasem coraz lepszym, który

wydobywał głębiej i pewne aspekty jej osobowości. Całkowicie zaabsorbowana nie zauważyła intruzów, którzy zakradli się i rzucili na nią!

Zaskoczona zaskamlała, lecz oni natychmiast zacisnęli jej pysk rękami silnymi od fizycznej roboty.

Sędzia brał właśnie kąpiel, kucharz ubijał masło, Sai leżała w łóżku, szepcząc jadowicie: „Gjan, ty gnido, myślisz, że będę po tobie płakać?”. Niczego nie widzieli, niczego nie słyszeli.

Napastnicy chwycili Mutt, związali sznurem i wpakowali do worka. Mężczyzna zarzucił sobie worek na plecy i ponieśli ją przez miasto, nie zwracając na siebie uwagi. Otoczyli górę, potem zeszli w dół, przeprawili się przez Relli i przez trzy grzbiety, które wydymały się jak zielononiebieski ocean, do małej wioski dalekiej od utwardzonych dróg.

- Chyba nas nie znajdą? - ojciec zapytał synową.

- Nie znajdą tak daleko i nie dojadą tu samochodem. Nie wiedzą, jak się nazywamy, nie znają naszej wioski, o nic nie pytali.

Miała fację.

Nawet policjanci nie zadali sobie trudu, żeby ustalić, jak się nazywa człowiek, którego skatowali i oślepiłi. Trudno więc, żeby chciało im się szukać psa.

Mutt była zdrowa, co zauważyli, kiedy szczypali ją przez worek; tłusta i gotowa przynieść im trochę grosza.

- A może przeznaczyć ją do rozplodu i sprzedawać szczeniaki... (Nie wiedzieli, oczywiście, że została wysterylizowana przez weterynarza dawno temu, kiedy zaczęła przyciągać wszelkiego rodzaju bezpańskie dzikusy z okolicy, żebrzące o jedzenie przybłądy, przebiegłych psich arystokratów...)

- Wyciągniemy ją z worka?

- Lepiej ją tam zostawić. Zacznie tylko szczekać...

Wydawało się, że samolot Gulf Air, niczym mozolący się pod górę autokar, ledwo zipie, chociaż większości pasażerów ten jego brak ikry wcale nie przeszkadzał. O tak, lecieli do domu, ze ściśniętymi kolanami, sufitem tuż nad głową, lepiący się od potu, zdani na ślepy los, lecz szczęśliwi.

Pierwszym przystankiem było Heathrow i wygramolili się z samolotu na samym końcu lotniska, w części nie-odnowionej na nowe czasy globalizacji, wciąż tkwiącej w dawnych czasach kolonializmu.

Tutaj zatrzymywały się wszystkie samoloty do ubogich krajów, rodziny czekały całymi dniami na swoje połączenia, kocując na podłodze w wielkich bakteryjnych kopach, daleko od części, przez które przewijali się podróżni z Europy i Ameryki Północnej podczas tych sprawnych bezproblemowych lotów, z wystarczającym miejscem na nogi i prywatnymi telewizorami — śmigali w powietrzu na jakieś spotkanie w taki sposób, że aż trudno było uwierzyć, iż są tak samo ludźmi, którzy srają i sikają, krwawią i płaczą. Jedwab i kaszmir, wybielone zęby, prozac, laptopy i kanapka na lunch o nazwie The Milano.

Frankfurt. Pasażerowie spędzili noc w podobnych, przypominających kwarantannę warunkach, tysiąc dusz

wyciągniętych w pozycji leżącej jak w kostnicy, z pozakrywanymi twarzami pod brzęczącymi świetlówkami.

Niczym autokar samolot relacji Nowy Jork-Londyn-Frankfurt-Abu Zabi-Dubaj-Bahrajn-Karaczi-Delhi-Kalkuta znów się zatrzymał, żeby wpuścić na pokład pasażerów z krajów nad Zatoką Perską. Wpadli pospiesznie - Szybko! Szybko!... Szybko!! - rozpinali torby z whisky i pili wprost z butelek. Na oknach utworzyły się małe nierówne kryształki lodu. Wewnątrz było gorąco. Bidżu zjadł swoją porcję kurczaka w sosie curry, szpinak i ryż, lody truskawkowe, wypłukał usta i wypluł wodę do kubeczka po lodach, a potem próbował zamówić jeszcze jeden obiad.

— Niestety zabrakło — mówiły stewardesy zaczepiane przez mężczyzn, pijanych i pokrzykujących, szczypiących je, gdy przechodziły, wołających je po imieniu: „Sheila! Raveena! Kusum! Nandita!”.

Do smrodu potu doszedł jeszcze mocny odór żywności i papierosów, przetworzony oddech całego samolotu, nasilający się fetor z łazienki. W lustrze tejże łazienki Bidżu pozdrowił siebie. Oto wracał do domu bez znajomości nazwiska amerykańskiego prezydenta, nazwy rzeki, na której brzegu się zatrzymywał, nie usłyszawszy o żadnej z atrakcji turystycznych takich jak Statua Wolności, Macys, Little Italy, Brooklyn Bridge, Muzeum Imigracji; ani o bułeczkach *biały* w Barney Green-grass, nadziewanych chińskich pierożkach w Jimmys Shanghai, kościołach z gospel z wycieczki po Harlemie. Wracał nad samotnym oceanem i pomyślał, że tego rodzaju perspektywa może człowieka tylko zasmucić. Teraz, obiecał sobie, zapomni o swych ponurych refleksjach i zacznie wszystko od nowa. Kupi taksówkę. Oszczędności miał niewielkie, chowane do buta, skarpetek, bielizny

przez wszystkie te lata, wierzył jednak, że mu się powiedzie. W dni handlowe będzie kursował po okolicy, złota lameta, bogowie nad deską rozdzielczą, komiczny klakson, POUpamPOMpou albo Tuii-dii-dii DII-TUII-dii-dii. I wybuduje dom o solidnych murach, z dachem, który nie będzie odfruwał podczas każdej pory monsunowej. Bidżu odgrywał ciągle w myślach scenę spotkania z ojcem, trochę popłakał na myśl o takim ogromie szczęścia i emocji. Będą siadać na dworze wieczorami, popijać *czang*, opowiadać dowcipy w rodzaju tych, którymi sypali w samolocie pijani mężczyźni:

No więc pewnego dnia Santa Singh i Banta Singh zbijają baki i gapią się w niebo, a tu nagle przelatuje samolot i wyskakują z niego spadochroniarze, wsiadają do wojskowych jeepów, które czekają na nich na polu, i odjeżdżają.

- *Are, sala*, to dopiero życie — mówi Santa do Banty — nic tylko zarabiać w ten sposób.

Zaciągają się więc do wojska i kilka miesięcy później lecą tym samym samolotem.

- *Wahe Gurudzi ka Khalsa, Wahe Gurudzi ki Fateh* — mówi Santa i skacze.

- *Wahe Gurudzi ka Khalsa, Wahe Gurudzi ki Fateh* — mówi Banta i skacze.

- *Are*, Banta - mówi Santa sekundę później - ten *sala* spadochron się nie otwiera.

- *Ai*, Santa - odpowiada Banta - mój też nie. Typowy rządowy *intizam*, zobaczysz, mówię ci, jak wylądujemy, nie będzie na nas czekał żaden *bahencod* jeep.

Sai wyjrzała przez okno, nie wiedząc, co jest powodem zamieszania. Sędzia wołał „Mutt Mutt”. Była pora na jej posiłek i kucharz ugotował sojowe *nutrinuggets* z dynią i kostką maggi. Sędziego martwiło, że psina musi tak się odżywiać, ale wyjadła już ostatnie kawałki mięsa; wcześniej odmawiał go sobie i wnuczce, a kucharz, rzecz jasna, i tak nie dostępował luksusu jądania mięsa. Ale zostało jeszcze trochę masła orzechowego na ćapati Mutt - i mleko w proszku.

Mutt jednak nie odpowiadała.

- Mutty, Mutt, obiad... - Sędzia chodził po ogrodzie, otworzył bramę i wyszedł na drogę.

- Obiad obiadek...

- Mutry Mutt? MUTT? - Jego głos stawał się coraz bardziej niespokojny.

Popołudnie przeszło w wieczór, opadła mgła, lecz Mutt się nie pojawiła.

Przypomniał sobie chłopców w partyzanckich strojach, którzy przybyli po broń. Mutt szczekała wtedy, chłopcy zaczęli piszczeć jak grupka uczennic, wycofali się po schodach i skryli za krzewami. Lecz Mutt też się wtedy bała; nie była tak odważnym psem, jak sobie wyobrażali.

- MUTT-MUTT MUTTY-MUTTMUTTYMUTT-MUTT?!

Zrobiło się ciemno, a ona nie wracała.

Poczuł dotkliwiej niż kiedykolwiek, że w nocy w Kalimpangu następuje prawdziwe przekazanie władzy. Tak potężnej ciemności, tak wielkiej, bez ani jednego słabego punktu, nie można się przeciwstawić. Wyszedł z najmocniejszą latarką, jaką mieli, i na próżno oświetlał nią dżunglę; nasłuchiwał szakali; czuwał na werandzie całą noc; obserwował niewidzialne góry, gdzie upuszczane latarnie pijaków wyglądały jak spadające gwiazdy. Gdy nastał świt, sędzia odchodził już od zmysłów. Wybrał się do małych domków *basti*, wypytyując, czy ktoś jej nie widział; zapytał mleczarza i piekarza, który był teraz w domu ze swoim sfatygowanym blaszanym kufrem z ciasteczkami *khari* i mlecznymi sucharkami, które tak smakowały Mutt.

- Nie, nie widziałem *kutti*.

Sędzia rozgniewał się, słysząc, że nazywa się ją *kutti*, lecz pohamował gniew, nie mógł sobie bowiem pozwolić na to, żeby krzyczeć na tych, których pomocy mógł teraz potrzebować.

Zapytał hydraulika, elektryka. Bezużytecznie wskazali na głuchych krawców, którzy uszyli Mutt zimową kurteczkę z koca, ze sprzączką na brzuchu.

Spotykał się z obojętnymi spojrzeniami, czasem z pełnym oburzenia śmiechem.

- *Sala maćod...* co on sobie myśli? Że będziemy szukać jego psa? -

Ludzie czuli się urażeni. - W tych czasach? Jak nie mamy nawet co do garnka włożyć!

Zapukał do drzwi pani Thondup, do Loli i Noni, do każdego, kto mógłby okazać życzliwość, jeśli nie ze względu na niego, to na Mutt, lub ze względu na ich profesję,

pozycję, religię. (Ominął misjonarzy, choć oni by go zrozumieli i czuliby się w obowiązku pomóc). Wszyscy, których odwiedził, natychmiast zaczęli przepowiadać najgorsze. Czy te czasy dawały komukolwiek nadzieję? Pogodzili się już z losem Mutt i sędzia chciał ich udusić za te słowa.

Pani Thondup:

- Dużo była warta?

Sędzia nigdy o niej nie myślał w tych kategoriach, ale tak, warta była sporo, przywieziono ją z hodowli seterów irlandzkich w Kalkucie. Towarzyszyło jej świadectwo rodowodowe: „Ojciec: Cecil. Matka: Ofelia”.

— *La ma ma ma ma*, pewnie ją ukradli, sędzio — zawyrokowała pani Thondup. - Nasze psy, Pinga i Tinga, przywieźliśmy aż z Lhasy, a kiedy przyjechaliliśmy tutaj, Ping zniknął. Złodziej trzymał go w zamknięciu, na hodowlę, ciągle podrzucał mu samice do pokrywania. Niezłe źródło dochodu, co? Trzynaście mil stąd, jak tam pan pojedzie, to zobaczy biegające wszędzie skundlone wersje Pinga. W końcu uciekł, lecz zmieniła się cała jego osobowość. - Wskazała na ofiarę, śliniącą się starczo i wbijającą w sędziego gniewne spojrzenie.

Wujek Potty:

- Ktoś pewnie chce sędziego okraść i usuwa przeszkody. Ten cały Gobbo orruł mojego Kuttę Sahiba, lata temu.

— Ale przecież niedawno nas okradziono.

— Ktoś pewnie chce znowu... Afgańskie księżniczki:

- Nasza suczka, chart afgański, wie pan, podróżowałyśmy z ojcem i któregoś dnia znikła. Pożarli ją Nagowie, tak, oni zjadają psy... zjedli naszą Frisky. Nawet nasi niewolnicy — tak, mieliśmy niewolników — zagroziliśmy im śmiercią, ale i tak nie udało im się jej uratować.

Lola:

— Problem z nami, Hindusami, polega na tym, że nie kochamy zwierząt. Pies, kot jest tylko po to, żeby go kopnąć. Nie możemy się oprzeć - bijemy, obrzucamy kamieniami, pastwimy się, nie spoczniemy, dopóki zwierzę nie jest martwe, i wtedy dopiero czujemy się ukontentowani — świetnie! Zabity! Zniszczony! Koniec! Ale mamy satysfakcję.

*

Co on narobił? Skrzywdził ją. Ściągnął ją w to miejsce, prymitywne i szalone, gdzie nie mogła przetrwać. Psy górskie ludu Bhutijów - pokryte bliznami po stoczonych walkach mastify, o uśmiechach zniekształconych okrucieństwem, uszach sztywnych od wielokrotnie zasychającej na nich krwi - mogły rozerwać ją na strzępy. W każdym wąwozie rośnie psianka o sztywnych i białych jak papieskie szaty kwiatach o działaniu halucynogennym - mogła się napić trujących soków. Kobry — mąż i żona, grube jak słoik na ciastka, mieszkające przy Czo Oju — mogły ją ukąsić. Cierpiące na wściekliznę, ogarnięte szaleństwem, niezdolne się napić, niezdolne przełknąć, mogły wyjść z lasu, spragnione, tak bardzo spragnione... Zaledwie dwa lata wcześniej, kiedy do miasta przywleczono epidemię wścieklizny, sędzia zabrał Mutt na szczepienie, na które nie mogła sobie pozwolić większość ludzi. Uratował ją, kiedy bezpańskie psy wyłapywano i wywożono ciężarówkami na rzeź (swoją pierwszą przejażdżkę brały za zapowiedź nowego życia w luksusie, uśmiechnięte, merdające ogonami) i całe rodziny, zbyt biedne, by zapłacić trzy tysiące rupii za szczepionkę, ginęły; z obawy przed

zamieszkami personelowi szpitala polecono informować ludzi, że nie ma lekarstw. W szponach wściekłej przychodziły przebłytki świadomości, toteż ofiary doskonale wiedziały, co się z nimi dzieje, jak wygląda szaleństwo, jakie to uczucie...

Myślał, że jego czujność uchroni psa przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami.

Cena za taką arogancję była wysoka.

Udał się do przewodniczącego zarządu okręgu, tego samego, który przyjechał do Czo Oju po kradzieży, zamieszki zachwiały jednak dobrym charakterem urzędnika. Nie był już entuzjastą ogrodnictwa, który zachwycał się *passiflorą* sędziego.

- Mój drogi panie - zwrócił się do sędziego - sam lubię zwierzęta, lecz w tych czasach... to luksus, na który nas nie stać...

Zarzucił także palenie specjalnego wiśniowego tytoniu — teraz czynność ta wydawała mu się czymś krępującym. Czuło się konieczność powrotu do gandyjskiej prostoty w czasie, kiedy zagrożona jest integralność narodu, *ryż-dal*, *roti-namak*, w kółko to samo. Coś strasznego...

Sędzia nie ustępował.

- No chyba możecie coś zrobić?... — I zaczął się złościć, wymachiwać rękami.

- Pies! Sędzio, niech pan tylko siebie posłucha. Giną ludzie. Co ja mogę? Oczywiście darzę ogromnym szacunkiem...

Wygospodarowałem trochę czasu, choć mogę być oskarżony o faworyzowanie... sytuacja jest kryzysowa. W Kalkucie, w Delhi rośnie zaniepokojenie tak poważnym zachwianiem prawa i porządku i o tym musimy myśleć w pierwszym rzędzie, prawda? O naszym kraju.

Musimy znieść pewne niedogodności i chyba nie muszę

tego tłumaczyć komuś tak doświadczonemu jak pan... -PZO wbił w sędziego spojrzenie, które uświadomiło mu, że ta nieuprzejmość była zamierzona.

Sędzia udał się następnie na posterunek policji, gdzie rozlegały się dobiegające z celi wrzaski jakiegoś nieszczęśnika — specjalnie, jak sądził, żeby go zastraszyć, wyciągnąć od niego łapówkę.

Spojrzał na policjantów przed sobą. Hardo odwzajemniali jego spojrzenie.

Czekali na moment, kiedy wszyscy będą mogli pójść i dać katowanemu ostateczną nauczkę, której nie zapomni. Zaczęli się podśmiewać.

- Ha, ha, ha. Przyszedł w sprawie psa! Psa? Ha, ha, ha, ha, ha...

Wariat! - Nagle, pośród śmiechów, stracili humor. — Nie zawracaj nam głowy, człowieku — powiedzieli. — Wynoś się.

A może wiedzą, jak nazywa się ten, którego zatrzymali po kradzieży broni? Sędzia nie ustępował. Może to on zrobił?

- Kto taki?

Ten, którego oskarżyli o kradzież broni... w żadnym wypadku nie wini policji, ale jego żona i ojciec odwiedzili go i wyglądali na zrozpaczonych... Nie ma nikogo takiego, odparli policjanci, o czym on mówi? I czy mógłby w końcu przestać zawracać im głowę i się wynieść? Krzyki ofiary za drzwiami nasiliły się, jak gdyby na czyjś znak, żeby sędzia pojął w końcu tę mało subtelną aluzję.

*

Nie umiał sobie wyobrazić wystarczająco surowej kary dla ludzkości. Człowiek nie dorównuje zwierzęciu ani jedną swoją cząstką. Życie ludzkie jest śmierdzące, zepsute,

a tymczasem istnieją stworzenia piękne, które wiodą na ziemi łagodny żywot, nie czyniąc nikomu nic złego.

- To m y powinnis'my umierać. - Sędzia o mało się nie rozplakał.

*

Świat zawiódł Mutt. Zawiódł piękno; zawiódł wdzięk. Lecz za rezygnację z tego świata, za trzymanie się na uboczu, cierpieć miała Mutt.

Sędzia stracił już swoją pozycję... Słowa „*sir sahib hu-zur*” wypowiedane przez uprzejmość były tylko resztkami pozorów; wiedział, co naprawdę o nim sądzą.

Przypomniał sobie nagle, dlaczego wyjechał do Anglii i wstąpił do Indyjskiej Służby Cywilnej; stało się to jaśniejsze niż kiedykolwiek — lecz teraz jego znacząca pozycja była już kwestią przeszłości, roztrwoniona po latach mizantropii i cynizmu.

- Ciasteczko, puć, din din, mleczko, *khana, isztu*, ow-sianeczka, dalia, *ćalo*, wycieczka, pumpum, du-du, spacerek...

Wykrzykiwał cały język, jakm porozumiewał się z Mutt, posyłając dziecięce słowa miłości nad Himalaje, potrząsał jej smyczą, żeby brzęczała w sposób, który podrywał ją z miejsca - raz! - i wstawiała na cztery łapy, jak na sprężynie.

- Spacerek, baba, bułeczka...

- Mutt, Muttie, Muttinko... - wołał, a potem: - Przebacz mi, pieseczku... Wypuście ją, kimkolwiek jesteście...

Ciągle wydobywał z pamięci obraz Mutt, jak leżała czasem, drzemiąc, na grzbiecie z nogami w powietrzu, wygrzewając w słońcu brzuch. Jak ostatnio nakłaniał ją do zjedzenia paskudnej potrawy z dyni, biegał po ogrodzie

i brzęczał, jak gdyby warzywo było dziwnym owadem, a potem wrzucał kostkę do szeroko otwartego ze zdziwienia pyska, a ona pospiesznie przełykała, zdumiona.

Przypominał ich sobie leżących błogo w łóżku: dobranoc, dzień dobry.

*

O zmierzchu pojawiło się wojsko, żeby dopilnować, by ściśle przestrzegano godziny policyjnej.

— Proszę wracać do domu — rozkazał żołnierz.

- Zejść mi z drogi - zażądał z brytyjskim akcentem, żeby żołnierz się wycofał, on jednak szedł za nim w bezpiecznej odległości, aż w końcu sędzia skręcił ze złością w stronę domu, udając, że nikt go nie popędza.

Wróć do domu, moja kochana, moja śliczna

Księżniczko, królowo, królewno

Siu-siu, kupka, wachaj

Niedobra sunia,

Jedzonko, obiadek,

Perełko, diamentyku,

Podwieczorek! Ciasteczko!

Małeńka! Kurczaczku!

Łap kość!

Jak absurdalnie to wszystko brzmiało bez psa, który byłby adresatem tych słów.

Żołnierz szedł za nim potulnie, zdziwiony tym, co wydobywa się z ust sędziego.

Coś jest nie tak, powiedział żonie po powrocie do kwatery dla żonatych żołnierzy, w betonowych blokach szpecących dziką przyrodę.

Dzieje się coś nieprzyzwoitego.

- Co? - zapytała, świeżo po ślubie, zachwycona nowoczesną ubikacją i gadżetami kuchennymi.

— Bóg jeden wie, co się dzieje, ci zniedołązniali starcy i ich zwierzęta... no wiesz — powiedział — różne dziwne rzeczy...

Potem zapomnieli o tej rozmowie, ponieważ żołnierzy wciąż jeszcze dobrze karmiono i żona poinformowała męża, że mogliby — chociaż to niedozwolone — podzielić się masłem z dalszą rodziną, tyle im go przydzielono, i że podczas gdy brojler zwykle waży od sześciuset do ośmiuset gramów, kurczaki, które dostają oni, ważą prawie dwa razy tyle: czy dostawca drobiu dla armii wstrzykuje ptakom wodę?

Tymczasem po demonstracji wzmocniono siły policyjne i teraz policja polowała na chłopców z GFWN, przeczesując odległe wioski, próbując wyłuskać zwolenników Gorkhalandu spośród marksistów, zwolenników Kongresu i tych, którym nie zależy ani na jednym, ani na drugim. Organizowała naloty na likwidowane plantacje herbaty; ich zarządcy pamiętali ataki rebeliantów na właścicieli plantacji w Asamie i odlatywali prywatnymi samolotami do Kalkuty. Poszukiwani, ukrywając się przed policją, nocowali w domach bogatszych osób w okolicy — u Loli i Noni, u pani doktor, u afgańskich księżniczek, emerytowanych urzędników, Bengalczyków, dziwaków, u wszystkich, którym nie groziło przeszukanie domu.

*

Pojawiały się doniesienia o przekraczaniu granicy z Nepalem i Sikkimem, o emerytowanych wojskowych kierujących ruchem separatystów, oferujących szybkie szkolenie w konstruowaniu bomb, urządzaniu zasadzek na policję, wysadzaniu mostów. Wszyscy jednak widzieli, że to przeważnie tylko młodzi chłopcy, którzy naśladują Ram

bo, głowy mają pełne ciosów kung-fu i karate, jeżdżą na ryczących motorach albo skradzionymi jeepami i świetnie się tym bawią. Z pieniędzmi i bronią w kieszeniach. Życie traktowali jak film. Kiedy będzie po wszystkim, zamierzali skończyć z fikcją, a nowe filmy miały powstawać o nich...

Przybywali nocą zamaskowani, przeskakiwali przez bramy, plądrowali domy. Do domu wracała okutana kobieta; kazali jej zdjąć chustę i zabrali ryż i trochę cukru, które pod nią ukryła.

Wzdłuż drogi na bazar drzewa obwieszane były kończynami wrogów — z której strony i czyich wrogów? Był to dobry moment, żeby doprowadzić do zniknięcia tych, których się nie lubiło, żeby pomścić stare rodzinne zatargi. Z posterunku policji wciąż dolatywały krzyki, chociaż butelka black label mogła uratować człowiekowi życie.

Rannych mężczyzn, z wypadającymi wnętrznościami owiniętymi w kurze skóry, żeby pozostały świeże, transportowano na noszach do lekarza na zaszycie; znaleziono mężczyznę utopionego w zbiorniku na ścieki, z każdym centymetrem sześciennym ciała pociętym nożem, z wyłupionymi oczami...

Lecz choć mieszkańców szokowała przemoc, często także dziwiła ich prozaiczność tego wszystkiego. Odkryli rozmiary zepsucia, do jakich zdolne jest serce, gdy siedzieli w domu, nie mając nic do roboty, i przekonali się, że możliwe jest, wobec smrodu niewyobrażalnego zła, by człowiek znudził się, zaczął ziewać, zajął się problemem zgubionej skarpetki, sąsiedzkiemi niesnaskami, by poczuł głód buszujący jak mała mysz w brzuchu i wrócił, raz jeszcze, do pilnej kwestii tego, co zjeść... I oto tych najbardziej pospolitych, tych zupełnie niezainteresowanych wzniosłymi

ideami porwała mityczna walka przeszłości z terażniejszością, sprawiedliwości z niesprawiedliwością — tych najbardziej zwyczajnych ogarnęła nadzwyczajna nienawiść, ponieważ nadzwyczajna nienawiść jest ostatecznie zdarzeniem całkiem pospolitym.

Po Delhi samolot Gulf Air wylądował na lotnisku Dum Dum w Kalkucie. Bidźu wyczuł znowu charakterystyczny zapach podłogi dezynfekowanej fenolem przez sprzątaczkę, ubogą i jednocześnie posiadającą wielki dar działania na nerwy. Ze spuszczonego wzrokiem i klapiącymi bosymi stopami, z obrzydliwą brudną ścierą, rozbudzała w niektórych podróżnych po raz pierwszy to silne połączenie intensywnego współczucia z intensywnym rozdrażnieniem.

Wokół taśmociągu bagażowego zebrał się niesforny tłum, ponieważ w tym samym czasie skumulowało się kilka lotów i widać było jeszcze więcej odmian Hindusów niż te, które dały się zaprezentować na pokładzie samolotu, z powrotem we wspólnej zupie po umyślnym oddaleniu się ku dostępnym niszom za granicą. Był ja-piszon, który pobierał lekcje o winie. Ci, którzy pielęgnowali swoją kulturę i chodzili do świątyni w Bernie czy gdzie indziej. Niechlujnie ubrany muzyk *bhangra* z kolczykami i w workowatych spodniach. Hippis, który odkrył prawdę, że można uciec od wizerunku bezbarwnego imigranta i świetnie się bawić jako Hinduś wśród ubranych w farbowane dżinsy, wygłaszając przeróżne mądrości w stylu hinduska-mantra-tantra-matka-ziemia-etnicz-ność-jedna-energia-organiczność-S/2łft'-gańdźia-metamfe

tamina-szaman-intuicja. Byli też komputerowcy, którzy dorobili się miliona. Taksówkarze, sprzątaczkę i młodzi zasadniczy biznesmeni, którzy chcieli być *cool* i zapraszali znajomych na „naprawdę ostre curry, chłopie, jak ostre możesz zjeść?”.

Hindusi, którzy mieszkali za granicą, Hindusi, którzy podróżowali za granicę, najbogatsi i najbiedniejsi, ci kursujący w tę i we w tę, z zielonymi kartami. Hinduski student w towarzystwie jasnej blondynki, udający, że to nic takiego, usiłujący zachowywać się swobodnie, lecz każdą swoją molekułą spięty i zażenowany: „Daj spokój, *jar*, miłość nie zna koloru...”. Tak się tylko złożyło, że popadł w stereotyp; był oryginalny i tak się tylko złożyło, że stał się bana 1 n y...

Dwie dziewczyny za jego plecami robiły miny, jak gdyby wymiotowały.

- Pewnie wysiadł z samolotu i dopadł jakąś Amerykankę, żeby zdobyć zieloną kartę, i było mu obojętne, czy jego wybranka wygląda jak koń. Bo ta owsze m!!!!

- Nasze kobiety są najpiękniejsze na świecie - rzekł jeden z mężczyzn poważnym tonem do dziewczyn, obawiając się być może, że czują się urażone, lecz zabrzmiało to, jak gdyby starał się pocieszyć siebie.

- Tak, mamy najlepsze kobiety na świecie - powiedziała jakaś kobieta — a nasi mężczyźni to zdecydowanie najgorsze osły na całym świecie.

- *Dadi Amma!* — zaczęli wszyscy krzyżeć. — *Dadi Ammal*

Jakaś babcia, z wysoko podkasanym sari, ukazując sflaczałe skarpety w kolorze ciała i włochate nogi, śmigła z wózkiem bagażowym, zahaczając o kostki podróżnych, i wpadła na taśmociąg.

Dwaj mężczyźni z pogardą na twarzach, po podróży samolotem Air France, wyszukali się nawzajem.

- Skąd pan leci? — Trzymali się z boku.

- Ohio.

- Columbus?

- Nie, trochę dalej.

- To skąd?

- Z małego miasteczka, pewnie pan nie zna.

- Paris, Ohio - powiedział nieco przepaszająco. - Pan?

- Dakota Południowa. Rozpogodził się.

- Niech pan popatrzy — powiedział i wskazał dookoła ręką, rozładowując napięcie, które obaj odczuwali - za każdym razem, kiedy człowiek wraca, myśli sobie, że coś się zmieniło, ale zawsze jest tak samo.

- Zgadza się - odparł ten drugi. - Przykro to mówić, ale niektóre kraje się nie rozwijają i jest ku temu jakiś powód...

Czekali na walizki, ale te się nie pojawiły.

Nie pojawiły się bagaże wielu osób i Bidzu podsłuchał kłótnię przy stanowisku Air France, gdzie pasażerowie musieli wypełnić formularze w sprawie zaginionych rzeczy.

- Wypłacają odszkodowanie tylko Hindusom mieszkającym poza krajem i cudzoziemcom, nie obywatelom Indii, DLACZEGO? - krzyczeli wszyscy zebrani obywatele Indii. - To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, NIESPRAWIEDLIWE, NIESPRAWIEDLIWE!

- Taka jest polityka linii lotniczych Air France, proszę państwa - wyjaśniał reprezentant przewoźnika, usiłując ich uspokoić. -

Cudzoziemcy potrzebują pieniędzy na hotel / szczoteczkę do zębów...

— I co z tego, nasza rodzina mieszka w Dźalpajguri, trzeba tam dojechać — powiedziała jedna z kobiet — a w tej sytuacji musimy przenocować i czekać na bagaże... Co to za argument? Płacimy tyle samo co tamci. Cudzoziemcy dostają więcej, Hindusi dostają mniej. Ludzi z bogatych krajów traktuje się dobrze, a ludzi z biednych krajów traktuje się źle. Skandal. Skąd ta przedziwna polityka przeciwko własnym rodakom??

— Taka jest polityka Air France, proszę pani — powtórzył. Jak gdyby słowa P a r y ż i E u r o p a miały natychmiast uciszyć, zapewnić o uczciwości i stłumić sprzeciw.

— Jak mam jechać do Dźalpajguri w brudnej bieliźnie? Już teraz tak śmierdzą, że wstydzę się do kogokolwiek zbliżyć - powiedziała ta sama kobieta, ściskając nos ze zbolałym wyrazem twarzy, żeby pokazać, jak bardzo wstydzi się być w pobliżu samej siebie.

*

Wszyscy Hindusi z obcym obywatelstwem, ściskając w rękach zielone karty i paszporty, wyglądali na zadowolonych i cywilizowanych. Czyż nie tak zawsze mają się sprawy? Jakby nie mieli dość szczęścia, sprzyjało im ono i teraz. Mają więcej pieniędzy, a ponieważ mają więcej pieniędzy, mają dostać ich jeszcze więcej. Łatwo im było stać w kolejce, i stali cierpliwie, obnosząc się z tym, że nie muszą już o nic walczyć; ich dobre maniery świadczyły o tym, jak dobrze się nimi opiekowano. I nie mogli się już doczekać zakupów — zakupy *ke lije dźaenge, bhelpuri khaenge...* dolary *kamaenge, pampampam*. „Tylko osiem rupii za krawca, tylko dwadzieścia dwa centy!”, mówili, triumfalnie przekładając wszystko na amerykańską walutę; i podczas gdy zakupy przeliczali na dolary, napiw

ki dla służby mogli odliczać w miejscowej walucie: „Tysiąc pięćset rupii, zwariował? Daj mu sto, nawet tyle to za dużo”.

Siostra z Kalkuty towarzysząca siostrze z Chicago, która „tyle może kupić za swoje dulaary, tyle może kupić za swoje dulaary”, po raz pierwszy odkrywa prątek niepoahamowanej nienawiści, która z czasem jak trąd nieodwracalnie wyniszczy rodzinę od środka.

*

Wszystkie paszporty, amerykańskie, brytyjskie i indyjskie, były granatowe, więc Hindusi z obcym obywatelstwem starali się otworzyć je na właściwej stronie — żeby sprawdzający zobaczyli nazwę kraju i od razu wiedzieli, kogo traktować z szacunkiem.

Tkwiał w tym jednak pewien szkopuł, bo choć personel Air France był odpowiednio przeszkolony, gdzieś po drodze - kontrola paszportowa, kontrola bagażu, ochrona — można było trafić na niemilego lub nacjonalistycznego typu, który będzie koniecznie chciał pod byle pretekstem uprzykrzyć ci życie. „Ach, zazdrość, zazdrość - zaszczepiali się odpowiednio wcześniej, żeby podczas wizyty uodpornić się na krytykę — ach, po prostu nam zazdroszczą naszych dulaarów”.

*

- Mam nadzieję, że pan tu przeżyje, kolego - powiedział przybysz z Ohio do przybysza z Dakoty Południowej, kiedy już wypełnili prośbę o odszkodowanie, podwójnie szczęśliwi, raz z powodu pieniędzy Air France, dwa, że potwierdza się ich opinia: - O ho ho, indyjska

niekompetencja, można się było tego spodziewać, typowe, typowe!

Minęli Bidzu sprawdzającego swój bagaż, który wreszcie przybył, i to nienaruszony.

- Pomyłka nastąpiła we Francji - skomentował ktoś - nie tutaj. To tam nie załadowano bagaży.

Mężczyźni byli jednak zbyt usatysfakcjonowani, żeby zwracać uwagę na te słowa.

- Powodzenia - rzucili sobie na pożegnanie, poklepując się po plecach, i podróżny z Ohio oddalił się zadowolony, że ma w zanadrzu historię o zaginionym bagażu, amunicję przeciwko ojcu, wiedział bowiem, że ojciec nie jest z niego dumny Jak to możliwe? A jednak nie był.

Wiedział, co sądzi ojciec: że emigracja, tak często ukazywana jako akt heroizmu, może równie dobrze oznaczać coś odwrotnego; że do Ameryki wielu zawiodło tchórzostwo; tę podróż podszywał strach, nie odwaga; karalusze pragnienie pierzchnięcia tam, gdzie nie widać nędzy, tej prawdziwej; gdzie nie trzeba odczuwać wyrzutów sumienia; gdzie nie słyszy się żądań służących, żebraków, zubożałych krewnych i gdzie nie pasożytuje się otwarciem na czyjeś szczodrości; gdzie jedynie poprzez opiekowanie się żoną-dzieckiem-psem-ogródkiem można poczuć się człowiekiem prawym. Doświadczyć ulgi związanej z tym, że jest się nieznanym przeszczepem wśród miejscowych, i ukryć perspektywę, jaką daje emigracyjna podróż. Ohio było pierwszym miejscem, które pokochał, gdyż tam wreszcie udało mu się nabrać pewności siebie...

Lecz ojciec spojrzy tylko na niego, siedząc w swojej kurcie *padźama*, dłubiąc w zębach wykałaczką, i syn od razu będzie wiedział, co sobie myśli - że to opanowanie wynika z ulokowania się w małej mieścinie. I syn nie będzie w stanie pohamować złości: zazdrość, zazdrość,

nawet o własnego syna, zazdrość, kompleks Trzeciego Świata... Kiedyś jego ojciec przyjechał do Stanów i nic nie zrobiło na nim wrażenia, nawet rozmiary domu.

- Po co to komu? Tyle niewykorzystanej przestrzeni, marnotrawstwo wody, marnotrawstwo prądu, marnotrawstwo ciepła, klimatyzacji, niezbyt mądrze, co? I trzeba jechać półgodziny na targ! I to nazywają nowoczesnością??? *Ekdam bekar!*

Ojciec o hot dogach:

- Parówka niedobra, bułka niedobra, ketchup niedobry, nawet musztarda niedobra. I to jest amerykański wynalazek! Lepszą parówkę dostaniesz w Kalkucie!

Teraz syn miał w zanadrzu historię o zaginionym bagażu.

*

Bidzu wyszedł z budynku lotniska na nocne powietrze w Kalkucie, ciepłe, ssawkowate. Jego stopy zapadły się w przesianym do miękkości piasku i ogarnęło go nieprzeparowane uczucie, smutne i czułe, stare i słodkie, jak wspomnienie zasypiania przy piersi matki. Tysiące ludzi chodziło po ulicach, chociaż zbliżała się jedenasta. Dostrzegł parę kóz z eleganckimi bródkami w rikszy — jechały na rzeź. Zgromadzenie staruszków o eleganckich kozich twarzach — palili *bidi*. Meczety i minarety świeciły nocą magiczną zielenią, a obok przeszła szybkim krokiem grupka kobiet w burkach, z bransoletami pobrzękującymi pod czernią i z wielkim psychodelicznym miszmaszem kolorów ze sklepu ze słodyczami. W powietrzu fruwały *ron* jak podczas numeru żonglerskiego, nakrapiając niebo wysoko nad restauracją z szyldem „Dobre jedzenie zapewnia

dobry nastrój". Bidźu stał tam otulony tą piaszczystą ciepłą miękką jak sari nocą. Słodka swojskość domu — czuł, jak wszystko wokół niego przesuwa się i zajmuje właściwe miejsce, czuł, jak on sam powoli kurczy się do właściwego rozmiaru, olbrzymi niepokój związany z byciem cudzoziemcem ustępował — ta nieznośna arogancja i wstyd emigranta. Tutaj nikt nie zwracał na niego uwagi, a jeśli już ktoś coś mówił, słowa przychodziły naturalnie, swobodnie. Rozejrzał się i po raz pierwszy nie wiadomo od jak dawna jego wzrok nabrał ostrości, i Bidźu odkrył, że widzi wszystko wyraźnie.

Sędzia padł na kolana i modlił się do Boga — on, agnostyk Dżemubhai Popatlal, który przeszedł długą i ciężką drogę, żeby pozbyć się religijnego balastu swej rodziny; który przed laty na pokładzie SS „Strathnaver” postanowił, że nie wrzuci kokosa do morza, żeby wyjednać błogosławieństwo dla swojej podróży.

- Jeśli zwrócisz mi Mutt, uznam cię publicznie, n i-gdy więcej się ciebie nie wyrzeknę, całemu światu ogłoszę, że w ciebie wierzę... w ciebie... jeśli mi zwrócisz Mutt.

Podniósł się. Przekreślał swoje wykształcenie, stawał się na powrót człowiekiem przesadnym, który targuje się, składa ofiary, gra z losem, płaszczy się, rzuca wyzwanie temu czemuś gdzieś tam...

Udowodnij mi, że istniejesz!

Bo uznam, że jesteś niczym.

Niczym! Niczym! — prowokował. Lecz w nocy ta myśl pojawiła się znowu...

Czy to wiara, którą odrzucił, teraz mści się na nim?

Za popełnione przezeń grzechy, za które żaden sąd na świecie nie mógłby go skazać.

To jednak, wiedział o tym, nie pomniejsza ich ciężaru na szali, nie powoduje ich zniknięcia... Ale kto mógłby się mścić? Nie wierzył w zagniewane bóstwo, w wyrównanie

szal. Oczywiście że nie. Wszechświat nie dąży do sprawiedliwości. To było tylko jego własne ludzkie wyobrażenie - do czasu, aż przejrzał na oczy.

Myślał wszak o rodzinie, którą porzucił.

Myślał o ojcu, którego siłą, nadzieją i miłością się karmił. Żeby potem się odwrócić i napluć mu w twarz. Potem pomyślał o tym, jak odtrącił żonę, Nimi. Wtedy Bo-manbhai Patel, z misternie wyrzeźbionego *haweli*, już nie żył, a tron po nim przejął jeden z wujów, i tak jedyne nieszczęście Bomanbhaia - same córki, brak syna - przeżyło go, swym przekleństwem sięgając poza grób.

*

Myśli sędziego powróciły do tamtej decyzji o odesłaniu żony do domu. Sprowokował ją jeden konkretny incydent.

Pewnego dnia wczesnym rankiem w miejscowości Bonda zatrzymał się samochód i wysypała się z niego grupka kobiet, z energiczną członkinią Partii Kongresowej panią Mohan za kierownicą. Dostrzegła Nimi przy bramie rezydencji Dżemubhaia.

- Och, pani Patel, proszę jechać z nami... dlaczego zawsze nie i nie?

Tym razem nie przyjmuję odmowy do wiadomości! Rozerwiemy się.

Musi pani od czasu do czasu wyjść z domu.

Na wpół szczęśliwa, na wpół wystraszona, znalazła się na szerokich kolanach nieznajomej w samochodzie. Podjechały do stacji, lecz

musiały zaparkować daleko od niej, gdyż zebrały się tysiące ludzi, którzy demonstrowali i skandowali: „Brytyjskie rządy *murdabad!*”.

Zatrzymały się na chwilę, a potem ruszyły za procesją samochodów do jednego z domów.

Nimi wręczono talerz z jajecznicą i tostem, ale nie jadła, bo było za dużo zamieszania dookoła, za dużo ludzi, a wszyscy krzyčili i dyskutowali zawzięcie. Próbowała się uśmiechnąć do małego dziecka, które dopiero po dłuższej chwili przypomniało sobie, jak działają mięśnie, i odwzajemniło uśmiech, kiedy było już za późno.

W końcu odezwał się jakiś głos:

- Szybko, pociąg niedługo odjeżdża, lepiej chodźmy na stację.

I tłum w większości wylał się znów z domu. Jeden z tych, którzy zostali, podrzucił ją do domu, i to było wszystko.

- Na naszych oczach tworzy się historia, pani Patel. Dzisiaj widziała pani jedną z najznamienitszych postaci w Indiach.

Czyli kogo? Tego nie wiedziała.

*

Po powrocie z objazdu - pięć kuropatw, dwie przepiórki, jeden jeleni odnotowane w myśliwskim dzienniku

— sędzia został wezwany przez komisarza dystryktu i usłyszał od niego zdumiewającą wiadomość o tym, jak to jego żona znalazła się w komitecie powitalnym Nehru na garnizonowej stacji kolejowej.

Ponadto raczyła się jajecznicą i tostami z czołowymi członkami Partii Kongresowej.

Komisarzowi chodziło nie tyle o krechę, którą odnotowano przy nazwisku Dżemubhaia, co zablokowało jego awans, ile o kłopotliwą sytuację, w jakiej znalazł się on sam i cała służba cywilna, która - uderzył pięścią w stół -

„ma swoją reputację, do diabła!”.

- Ależ to niemożliwe. Moja żona jest tradycjonalistką. Jest zbyt nieśmiała, jak pan wie, żeby przyjść choćby do klubu. Tak naprawdę nigdy nie wychodzi z domu.

- Tym razem wyszła, o tak, wyszła. Właśnie na takich tradycjonalistów trzeba uważać, panie Patel. Wcale nie jest taka nieśmiała, jak pan twierdzi — to tylko pozory. Chyba nie uda się panu udowodnić, że jej tam nie było, mamy w tej sprawie zeznania kilku osób. Ufam, że żaden członek pańskiej rodziny — przerwał na chwilę — nie zrobi już nic, co naraziłoby na szwank pańską karierę. Ostrzegam pana, Patel, po przyjacielsku.

Nieprzyjazna twarz. Pan Singh nienawidził Dżemub-haia i nienawidził Gudżaratów, a szczególnie nienawidził Patelów, zawsze czyhających na jakieś korzyści dla siebie, jak szakale.

Dżemubhai jechał do domu drogą nad kanałem. Znał skuteczność szpiegów, których zatrudniali, lecz jego szczęka zaciskała się i rozluźniała: jak to możliwe?

- Z dobroci serca ją zaprosiłam - powiedziała pani Mohan, kiedy stanął przed nią.

- Raczej z perfidii, diabelskiej perfidii. - Dżemubhai gotował się ze złości.

- Z przekory — odpowiedział pan Mohan i wsunął jej do ust *mithai*, gratulując w ten sposób swej politycznie przebiegłej żonie.

Lecz co powie Nimi?

*

Kiedy weszła, odwrócony był do niej plecami. Powoli przygotowywał sobie drinka, nalał odrobinę szkockiej, która migotała okrutnie, srebrnymi szczypcami w kształcie kleszczy chwycił kostki lodu i wrzucił je do szklanki. Lód popękał i zmętniał.

- Jak to z tobą jest? - zapytał, obracając szklanką i odwracając się do niej z wyrazem twarzy, jak gdyby prowa

dził rozprawę, przygotowany na przesłuchanie z uwagą racjonalnego wyводу.

Przełknął i whisky na wpół sparaliżowała mu przełyk. Potem odrętwienie rozproszyło się, uwalniając rozkoszne ciepło.

Liczył na palcach wolnej ręki:

1. - Jesteś wiejską prostytutką? Przerwa.

2. — Łziesz? Przerwa.

3. — Grasz ze mną w durne babskie gierki? Przerwa.

4. - Próbujesz umyślnie wyprowadzić mnie z równowagi?

Długa, bardzo długa przerwa.

Po niej wyrzucone szybko jadowite słowa:

5. — Czy jesteś po prostu tak bezdennie głupia? Nic nie mówiła, a on czekał.

- Słucham cię. Nie skończymy tej rozmowy, dopóki nie odpowiesz.

Dłuższe oczekiwanie.

- W takim razie jestem zmuszony uznać, że to wszystko jest prawdą.

Wszystko jest prawdą??

Ze strachem, który narastał, gdy mu odpowiadała, mobilizując taką samą odwagę, jaką okazała tamtej nocy pod znakiem puszku do pudru, przeciwstawiła mu się. Do jego zdumionych uszu i jej wstrząśniętych uszu, jak gdyby budząc się do chwili świadomości przed śmiercią, rzekła:

- Sam jesteś głupi.

Po raz pierwszy ją uderzył, chociaż chciał to zrobić wcześniej i od pewnego czasu tłumił w sobie tę chęć. Wylał jej na głowę zawartość szklanki, wodą z dzbanka chlusnął jej w twarz, która nie wydawała mu się już śliczna,

wypełnił jej uszy ściekającą wodą sodową. A kiedy to nie ugasiło gniewu, rzucił się na nią z pięściami, unosił wysoko ręce, by okładać ją raz za razem, rytmicznie, aż omdlały mu ramiona, a następnego dnia były obolałe jak od rąbania drewna. Utykał nawet trochę, bo noga też mu dokuczała od kopania.

- Ty głupia dziwko, ty podła dziwko! - Im bardziej kłął, tym mocniej, jak zauważył, bił.

Plamiste siniaki pokazały się rano w katastrofalnym kontraście z obrazkiem ukontentowanej cywilizacji — jajek w kieliszkach, herbaty podanej swojsko w dzbanku, gazety. Nie znikwały przez całe tygodnie. Dziesięć sino-czarnych odcisków palców na jej ramieniu, ciemna chmura deszczowa wykwitła na boku w miejscu, gdzie pchnięta przez niego uderzyła o ścianę - zaskakująco rozległa chmura jak na to jedno mocne i precyzyjne pchnięcie.

Złości, raz wypuszczonej, jak dżin z butelki, nie można było już powściągnąć. Im cichsza się stawała jego żona, tym głośniejszy krzyczał, a jeśli protestowała, było jeszcze gorzej. Szybko zdała sobie sprawę, że cokolwiek zrobi lub nie zrobi, skutek będzie w gruncie rzeczy taki sam. Jego nienawiść zaczęła żyć własnym życiem; wzbierała i wypalała się, pojawiała samoistnie, a w żonie szukał tylko jej usprawiedliwienia, udoskonalenia. W chwilach kiedy uczucie to było najczystsze, wyobrażał sobie, że byłby w stanie ją zabić.

W tym momencie stał się ostrożny, skrupulatny w każdej innej sferze swego życia — pracy, kąpieli, czesaniu włosów - zaniepokojony świadomością, jak łatwo mógłby stracić kontrolę i narazić na szwank swoją karierę, dopuszczając się tego ostatecznego aktu przemocy.

*

Wiosna zawitała w Bondzie w kolorach rozmytych mlekiem, a niedawno wyklute liszki, jaszczurki i żaby podskakiwały i pełzały w przesłodkich dziecięcych rozmiarach. Nie mógł dłużej znieść widoku jej twarzy, kupił bilet i odesłał ją do Gudżaratu.

- Nie mogę jechać - zaprotestowała Nimi, budząc się z otępienia.

Wstyd mogła wziąć na siebie — byłby zresztą jak balsam, jak mroczne miejsce gdzie mogłaby ukryć siebie — lecz dla rodziny... myśl o ich hańbie z jej powodu była czymś, czego nie mogła ścierpieć.

— Jeśli cię nie odeślę — powiedział jej wówczas tonem niemal dobrotliwym — to cię zabiję. A nie chcę mieć tego na sumieniu, więc musisz wyjechać.

Sześć miesięcy później do Bondy dotarł telegram z wiadomością o narodzinach dziecka.

Dżemubhai upił się tej nocy, lecz nie z radości. Chociaż nie widział swego dziecka, wiedział, jak będzie wyglądać: czerwone jak pęcherz, wyjące jak czajnik, rozlewające płyny, emanujące fale ciepła i złości. Daleko od niego Nimi wpatrywała się w córkę. Mocno spała i w tych wczesnych miesiącach życia spokój zdawał się głęboko zakorzeniony w jej naturze.

*

„Twoja żona gotowa jest do powrotu. Odpoczęła”, napisał z nadzieją wujek z *haweli*. Nie zrozumiał powodu przybycia do domu Nimi i przypisał go trosce Dżemub-haia o zdrowie żony, było bowiem czymś jak najbardziej stosownym, jeśli córka wracała do rodzinnego domu, żeby wydać na świat pierwsze dziecko. Mieli nadzieję, że pojawienie się niemowlęcia sprowadzi do nich ojca. Był teraz osobą wpływową, mógł im wszystkim pomóc.

*

Dżemu przysłał z listem pieniądze. „To nie byłoby rozsądne - odpisał. - Taką mam pracę. W ciągłych rozjazdach. Nie ma szkół...”

Wuj odprawił bratanicę.

— Odpowiada za ciebie mąż - powiedział ze złością. - Wracaj do niego. Ojciec dał ci posag, kiedy wychodziłaś za mąż... dostałaś swoje, a córka nie może się potem domagać czegoś jeszcze. Jeśli rozzłościłaś męża, idź i proś o wybaczenie.

Proszę, wróć do domu moja droga, moja śliczna.

Do końca życia mieszkała z siostrą, której ślub nie był takim sukcesem, takim awansem jak w wypadku Nimi. Jej szwagier nie krył niezadowolenia z każdego kęsa, który nikał w jej buzi. Wypatrywał oznak tego, że pod jego szczodłą opieką Nimi przybiera na wadze.

*

Przyjechał ojciec Dżemubhaia, żeby przemówić mu do rozsądku.

— Naraziłeś na szwank honor naszej rodziny. Mamy szczęście, że Bomanbhai nie żyje, dzięki Bogu. Skandal na całe miasto.

— Dlaczego tak mówisz? — zwrócił się do ojca. — Jakbyś czytał rolę wiejskiego półgłówka. Ona się nie nadaje na moją żonę.

— Zrobiliśmy błąd, wysyłając cię za granicę. Stałeś się dla nas kimś obcym.

— Ty mnie wysłałeś, a teraz przychodzisz i mówisz, że to był błąd!

Dobre sobie. — Zwerbowano go, żeby wprowadzał swoich rodaków w nowoczesność, sam jednak

mógł tego dokonać jedynie poprzez całkowite odcięcie się od nich, w przeciwnym razie przychodziliby z wyrzutem, przypominając mu, że żyje w zakłamaniu.

*

Ojciec zatrzymał się tylko na dwie noce. Prawie się do siebie nie odzywali po tamtej pierwszej rozmowie, a Dżemub-hai nie dopytywał się o nikogo w Piphicie, gdyż zdał sobie sprawę, że zabrzmiałoby to obłudnie. Natomiast kiedy ojciec wyjeżdżał, Dżemubhai próbował dać mu trochę pieniędzy, niezdarnie usiłując wcisnąć mu je do ręki. Ojciec nie chciał ich przyjąć, odwrócił się i wsiadł do samochodu. Sędzia czuł, że powinien go przywołać, i już miał to zrobić, zaczął formować w gardle słowa — lecz ostatecznie niczego nie powiedział i kierowca zawiózł ojca z powrotem na stację, gdzie nie tak dawno temu Nimi, nieświadomie, widziała Nehru.

*

Wybuchła wojna - w Europie i Indiach, nawet w małych wioskach — i gazety wypełniły się wiadomościami o rozpadzie kraju; prawie milion osób poniosło śmierć w rozruchach, od trzech do czterech milionów w wyniku bengalskiej klęski głodu, trzynaście milionów wyeksmitowano; narodziny narodu zeszły na plan dalszy. Wydawało się to stosowne.

Sędzia był zapracowany bardziej niż zwykle. Odejście Brytyjczyków stworzyło taką próżnię władzy, że wszyscy hinduscy członkowie Indyjskiej Służby Cywilnej zostali wyniesieni na sam szczyt, niezależnie od tego, po której stronie się opowiedzieli w ruchu niepodległościowym, niezależnie od zdolności i kwalifikacji.

Gdzieś pośród tamtych mrocznych lat nadszedł drugi telegram, telegram poprzedzający ten o rychłym przyjeździe Sai do Czo Oj u. Kobieta zapaliła się przy kuchence.

Och, ten kraj, lamentowali ludzie, zadowoleni, że mogą wpaść w tryby tych samych co zwykle skarg — bo ludzkie życie jest nic niewarte, bo nie przestrzega się norm, bo kuchenki są fatalnie wykonane, a tanie sari zapala się tak łatwo...

... jak kobieta, której śmierci sobie życzysz...

... cóż, jak kobieta, która chciała się zabić...

... bez świadków, bez oskarżania kogokolwiek...

... to takie proste, jeden ruch ręką...

... a dla policji, prosta sprawa, kolejny szybki ruch ręką...

... rupie przeskoczyły zwinnie z jednej dłoni do drugiej...

- Och, dziękuję panu - rzekł policjant.

— Nie ma za co — odparł szwagier.

I w mgnieniu oka cała sprawa mogła przestać istnieć.

Sędzia postanowił uwierzyć, że doszło do nieszczęśliwego wypadku.

Popioły nie mają ciężaru, nie zdradzają tajemnic, unoszą się, zbyt lekkie dla poczucia winy; zbyt lekkie dla przyciągania ziemskiego; lecą do góry i dzięki Bogu znikają.

Te lata dla wielu były niewyraźne, a kiedy mieli je już za sobą, wyczerpani, cały świat zdążył się zmienić i wszędzie pojawiały się luki — w tym, co przytrafiło się ich rodzinom, i w tym, co działo się gdzie indziej, w zepsuciu, które jak epidemia rozprzestrzeniło się po świecie pełnym teraz nieoznaczonych mogił - nie oglądali się, nie mogli sobie pozwolić na badanie przeszłości. Musieli uchwycić się przyszłości ze wszystkim, co mieli.

Dżemubhai zrozumiał jedno: człowiek może się przekształcić we wszystko. Zapomnienie jest możliwe — a czasem nawet konieczne. Teraz Dżemubhai zastanawiał się, czy zabił żonę w imię jakichś fałszywych ideałów. Okradł ją z godności, przyniósł wstyd swojej rodzinie, jej rodzinie, zamienił ją w ucieleśnienie ich upokorzenia. Nawet oni nie mogli jej wtedy przyjąć i jej życie potem mogło już tylko być czymś bezużytecznym, jego córka mogła być tylko czymś bezużytecznym i absurdalnym. Skazał dziewczynkę na szkoły z internatem i poczuł ulgę, kiedy osiągnęła nowy stopień bezużyteczności i absurdalności, uciekając z mężczyzną wychowanym w sierocińcu. Wtedy nawet krewni nie oczekiwali od niego, że będzie się nią interesował...

Nie lubił żony, ale to chyba nie był wystarczający powód, prawda? Przypomniawszy sobie chwilę sprzed lat, kiedy jednak ją lubił. Miał lat dwadzieścia, ona — czternaście. To było w Piphicie i zjeżdżali rowerem stromym stokiem, cudownie przecinając krowie placki.

*

Sai przybyła wiele lat później i chociaż nigdy nie przyznał się do tego przed samym sobą, miał nadzieję, wiedział o tym, że nieuznawany przez niego system sprawiedliwości zaczyna eliminować jego długi.

- Mutt. - Jego głos łamał się. - Mój kochany wesołku. Mój kochany urwisie. Mój kochany wesołku urwisie. — Szukał jej w górach.

... Dołączyli do niego Sai i kucharz.

Kiedy zaginęła Mutt, Sai, która ukryła żal po Gjanie najpierw w przeziębieniu, a potem w szaleństwie, które się rozpętało w okolicy, tak skutecznie się zamaskowała, że nawet ona nie bardzo wiedziała, co jest źródłem tej rozpaczki.

— Mutt Mutty Muttinko — jodłowała dziko w sposób, w jaki nigdy publicznie nie rozgłaszała swej niedoli. Odczuwała wdzięczność za rozmiary tego krajobrazu, szła dalej, próbując odzyskać horyzont, odnosiła bowiem wrażenie, że przestrzeń przekazana jej na koniec romansu, który obiecywał szeroką panoramę — cóż, po prostu nie istnieje. Smutek był tak bardzo klaustrofobiczny.

Kucharz też chodził i krzyczał MUTTY, niepokój o syna skrywając w rękawiczce zniknięcia Mutt. MUTTY. Rozmawiał ze swym losem — rękę miał wyciągniętą, dłoń otwartą, list, list nie przyszedł.

— Autobusy do Kalimpangu nie chodzą.

- Dlaczego?

No przecież jest o tym w gazetach, nie? Mężczyzna na dworcu autobusowym w Siliguri zdumiał się ignorancją Bidżu. W telewizji? W każdej rozmowie? W powietrzu?

A więc wciąż trwają zamieszki?

Jest coraz gorzej. Jak może o tym nie wiedzieć? Skąd się wziął?

Z Ameryki. Pozbawiony gazet, telefonów...

Pokiwał ze współczuciem głową.

Ale:

— Do Kalimpangu nic nie chodzi. Sytuacja jest bardzo napięta, *bhai*. Strzelają. Ludzie powariowali.

Bidżu nalegał.

- Muszę jechać. Tam jest mój ojciec...

- Ja nie mogę. Wykluczone. Sytuacja jest krytyczna, ustawili blokady, rozlali olej i rozrzucili gwoździe... drogi są całkowicie zamknięte.

Bidżu siadł na swoich teczach na dworcu autobusowym i siedział tak długo, aż kierowcy zrobiło się go żal.

— Słuchaj no — powiedział — idźże do Panitunk i stamtąd może coś będzie jechało, ale to bardzo niebezpieczne. Będziesz musiał błagać o transport ludzi z GFWN.

Bidzu przesiedział tam cztery dni, aż doczekał się odjazdu jeepa GFWN. Oferowali miejsca w samochodzie za astronomiczne kwoty. Nie ma miejsc - usłyszał od nich.

Otworzył nowy portfel z dolarami.

Zapłacił. Abraham Lincoln, w Bogu pokładamy nadzieję... Nigdy nie widzieli amerykańskich pieniędzy, przekazywali banknoty z rąk do rąk i przyglądali im się.

- Ale nie możesz wziąć aż tylu bagaży.

Zapłacił więcej, a oni władowali torby na dach i przywiązali je sznurem, a potem ruszyli w drogę; jechali wąską szosą wysoko nad zalanymi polami, przez jaskrawość młodego ryżu i bananowców, przez rezerwat przyrody z gigantycznymi tablicami „NIE DRAŻNIĆ DZIKICH ZWIERZĄT” przybitymi do drzew. Czuł się tak lekko na duszy, będąc z powrotem, i nawet podróż z tymi ludźmi nie mąciła jego spokoju. Wystawiał głowę przez okno i patrzył do góry na swoje torby, żeby się upewnić, czy wciąż są odpowiednio umocowane.

Droga zaczęła się wznosić, była ledwie półką nad Tistą, tą szaloną rzeką - przypomniał sobie teraz - która w każdej chwili mknie jednocześnie do przodu i do tyłu. Bidzu trzymał się metalowej ramy jeepa, gdy wóz pokonywał pofałdowane rowy, koleiny i skały - więcej było dziur w nawierzchni niż samej nawierzchni i wszystko w Bidzu, od wątroby po krew w żyłach, porządnie się wytrzęsło. Spojrzał w dół, ku otchłani, i szybko przeniósł wzrok ku wyżłobionemu brzegowi. Śmierć była tak blisko — zapomniał o tym podczas swej niekończącej się egzystencji w Ameryce - o tej ciągłej bliskości naszego najbliższego celu.

Trzymając się więc mocno metalowego pancerza, pieli się serpentyną pod górę. Fruwało tam wiele motyli niezliczonych gatunków, a kiedy zaczynało kropić, motyle

znikały. Deszcz ustawał i wracał; kolejny drobny spazm i znów gdzieś ginęły. Chmury wpadały do jeeпа i wydostawały z niego, od czasu do czasu zasłaniając pasażerów przed sobą nawzajem. Wzdłuż drogi śpiewały gromko żaby. Między Siliguri i Kalimpangiem natknęli się na co najmniej tuzin osuwisk na drodze i kiedy czekali na ich usunięcie, zjawiali się handlarze sprzedający *momo* w wiadrach, kokosy pokrojone w trójkąty. Tutaj mieszkał jego ojciec, tutaj go odwiedzał, tutaj uknuli plan wysłania go do Ameryki i Bidżu w swej niewinności zrobił to, co jego ojciec, w swojej niewinności, kazał mu zrobić. Cóż jego ojciec mógł wiedzieć? Taki wyjazd do pracy z dala od rodziny skazywał ich od wielu pokoleń na to, by ich serca zawsze pozostawały gdzie indziej, ich umysły myślały o ludziach gdzie indziej; nie mogli choćby przez chwilę pozbyć się tego rozdwojenia. Cudownie, że teraz miało być inaczej.

Sędzia zasnął, wyczerpany czekaniem, i przyśniła mu się Mutt, która zdychała - na chwilę ocknęła się z delirium, rzuciła mu znajome spojrzenie, zamierdała ogonem z heroicznym wysiłkiem i po sekundzie dusza w jej spojrzeniu zniknęła.

- Mutt? - Sędzia pochylił się nad nią, doszukując się jakiegoś drgnięcia.

- Nie - powiedział kucharz, też we śnie sędziego - ona nie żyje, niech pan patrzy - upierał się stanowczym tonem i podniósł, a potem puścił jedną z nóg Mutt. Nie padła z powrotem. Opadała powoli. Już sztywniała, a on dźgał ją palcami, lecz Mutt nie reagowała.

- Nie dotykaj jej! Zabiję cię! - wrzasnął sędzia na głos, budząc się od własnego krzyku, przekonany o prawdziwości swego snu.

*

Następnego dnia, kiedy poszukiwania znów nie przyniosły rezultatu, wrócił i powtórzył te słowa.

- Jeśli nie znajdziesz jej W TEJ CHWILI - zwrócił się ostrym tonem do kucharza - ZABIJĘ CIĘ. Koniec. Mam tego dość. To twoja wina. Ty miałeś jej pilnować, kiedy ja poszedłem się kąpać.

Różnica między nimi: kucharz lubił Mutt. Zabierał ją na spacer, robił jej na śniadanie grzanki, zimą z jajkiem, przyrządzał obiady, wołał do niej „Mutty, Isztu. Isztuuu”, było jednak jasne, zawsze, że dla niego Mutt jest tylko zwierzęciem.

Sędzia i kucharz mieszkali ze sobą pod jednym dachem dłużej niż z kimkolwiek innym, niemal w tym samym pokoju, bliżej siebie niż jakiegokolwiek innego człowieka -i nic, zero, żadnego zrozumienia. Od zniknięcia Mutt minęło tyle czasu. Gdyby ukąsił ją wąż, już dawno by nie żyła, a gdyby się zgubiła lub została zraniona gdzieś daleko, zabiłby ją głód.

- Ale DOWIEDZ SIĘ czegoś - rozkazał kucharzowi. - ZNAJDŹ JĄ. W TEJ CHWILI.

-Ale jak, jak mam to zrobić, *sahib* - błagał... - Staram się, starałem się...

- ZNAJDŹ JĄ. To twoja wina. Mutt była pod twoją opieką! ZABIJĘ CIĘ. Zobaczysz. Nie spełniłeś swojego obowiązku. Nie przypilnowałeś jej. To był twój obowiązek, a ty pozwoliłeś, żeby ją ukradziono. Jak mogłeś? Jak mogłeś??

Kucharz zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście zrobił coś złego, i jego poczucie winy zaczęło narastać. Czyżby faktycznie dopuścił się zaniedbania? Chyba nie dopełnił swego obowiązku. Nie przypilnował jej należycie. Nie okazał szacunku. Powinien był ją obserwować tamtego dnia, kiedy zaginęła...

Zaczął łkać, nie patrząc na nikogo i na nic, i zniknął w lesie.

Przyszło mu do głowy, kiedy się potykał, że zrobił coś tak strasznego, iż los mu za to odpłaci i zdarzy się coś jeszcze straszniejszego...

Sai chodziła teraz po ścieżce w jedną i drugą stronę, krzycząc w stronę drzew do kucharza:

- Wracaj do domu, wszystko w porządku, on nie chciał tego powiedzieć, jest tak zrozpaczony, że wariuje, nie wie, co mówi... Sędzia pił na werandzie i wmawiał sobie, że nie ma wyrzutów sumienia, miał pełne prawo powiedzieć kucharzowi to, co powiedział... Oczywiście że tak! Zabiję cię!

- Gdzie jesteś? - wołała Sai, krocząc pod Drogą Mleczną, którą, o czym przeczytała w *My Vanishing Tribe*, Lep-czowie nazywają Zo-lungming, „światem ryżu”.

Wujek Potty zawołał:

- Znaleźliście psa?

- Nie, a teraz zniknął jeszcze kucharz.

- Wróci. Napijesz się ze mną? Poszła jednak dalej.

Kucharz nie słyszał jej, bo trafił do baru Thapas pełnego mężczyzn przepijających ostatnie pieniądze. Opowiedział im, co się zdarzyło, czym ich rozśmieszył - odrobina humoru w tych przerażających czasach. Zdechł pies! Wesołość rozprzestrzeniła się. Nie mogli się przestać śmiać. W miejscu, gdzie ludzie umierali i nikt na to nie zwracał uwagi. Umierali na gruźlicę, zapalenie wątroby, trąd, zwykłą gorączkę... Do tego brakowało pracy, jedzenia — a tutaj tyle zamieszania z powodu psa! Ha, ha, ha, ha, ha, ha.

- I co w tym śmiesznego? - zapytał kucharz, ale i on zaczął się śmiać, uznawszy z ulgą, że sprawa ma wyraźnie komiczne zabarwienie, potem jednak poczuł się gorzej, podwójnie winny, i znów zaczął kwilić. Zaniebął obowiązki... Dlaczego nie przypilnował tej *kutti*... W kącie baru Thapas siedział Gjan, któremu znowu wolno było wychodzić z domu. On się nie śmiał. Och, ten parszywy dzień, kiedy powiedział chłopakom o strzelbach sędziego. A właściwie co takiego zrobiła mu Sai? Odezwały

się wyrzuty sumienia, zakręciło mu się w głowie i zemdliło go. Kiedy kucharz wyszedł, poszedł za nim.

- Nie przychodzę na korepetycje, wie pan, zamieszki... jak się ma Sai? - wymamrotał.

- Bardzo się martwi o psa. Cały czas płacze.

- Niech pan jej powie, że będę szukał Mutt.

- Jak to?

- Proszę jej powiedzieć, że obiecuję. Znajdę psa. Nie martwcie się.

Proszę jej powiedzieć. Znajdę Mutt i przyprowadzę ją do domu.

Wypowiedział to zdanie z przekonaniem, które nie miało nic wspólnego z Mutt ani z szansą odnalezienia jej przez niego.

Kucharz spojrzał na niego podejrzliwie. Zdolności Gjana wcześniej nie zrobiły na nim wrażenia. Poza tym Sai sama mu powiedziała, że jej korepetytor nie jest zbyt bystry.

Lecz Gjan kiwał głową i sypał zapewnieniami. Następnym razem, kiedy spotka się z Sai, będzie miał dla niej prezent.

Bidźu dawno nie widział tak bezkresnych przestrzeni — oszałamiającego ogromu gór i rumowisk na ich zboczach. W niektórych miejscach wyglądało to tak, jakby cała góra po prostu wypadła z siebie, jak lodowiec niosąc ze sobą głazy i wyrwane drzewa. Pośród tych zniszczeń wiódł niepewnie mrówczy szlak drogi. Bidźu czuł upojenie potęgą przyrody, dzikimi pnączami, puszczejącą pędy szumiącą obfitością zieleni, prostackim rozwrzeszczeniem żab, które brzmiało jak dźwięk samej ziemi i powietrza. Lecz problemy z drogą stały się nużące. Toteż z cierpliwością, z jaką podchodzi się do majestatu przyrody, i niecierpliwością, z jaką podchodzi się do spraw ludzkich, czekał na spotkanie z ojcem. Zadanie ponownego wytyczania dróg pośród zniszczeń powierzano zwykle brygadam zgarbionych karłów obu płci, odbudowywali wszystko kamień po kamieniu, składali raz jeszcze za każdym razem, kiedy ich praca obracała się wniwecz, nosili kamienie i glinę w wiklinowych koszach przywiązanych do opasek na głowach, zataczali się pod ciężarem, godzinami uderzali w ciężkie rzeczne głazy młotkami i dłutami, aż odpadał jeden kawałek, potem następny. Układali kamienie i znów asfaltowali nawierzchnię - Bidźu przypomniał sobie, jak w dzieciństwie ojciec zawsze zabierał go na spacer po nowo wylanym odcinku, żeby wzmocnić, jak mówił,

cienkie podeszwy butów Bidżu. Teraz, kiedy władze wstrzymały wszelkie naprawy, bojownicy GFVN z jeepa musieli wysiadać i sami przetaczać głazy na pobocze, przenosić pnie drzew, odgarniać zwały ziemi... Przejechali przez siedem osuwisk. Na ósmym co chwila grzęźli w błocie i jeep ciągle się staczał.

Wycofywali się, potrzebując przestrzeni, żeby zwiększyć obroty silnika i nabrać rozpędu, i w ten sposób przebrnąć przez koleiny i nieutwardzoną nawierzchnię, po czym z wielką prędkością pędzili do przodu. Lecz silnik raz za razem gasł i wóz się staczał. Wycofywali i znów robili *wruum wruum wruum* |

W końcu wysiedli, wszyscy prócz kierowcy, odwiązali bagaże i ułożyli je na błotnistej ziemi. Dopiero w czasie jedenastej próby — cofnąwszy się odpowiednio daleko i rozpędziwszy się wśród zawodzeń silnika - jeep przejechał przez przeszkodę, podskakując, a oni z ulgą zaczęli klaskać, wrzucili bagaże z powrotem na dach, wsiedli i ruszyli dalej. Podróż ciągnęła się już prawie cały dzień, choć powinna trwać dwie godziny. Niedługo musieli dojechać na miejsce.

Nagle skręcili w mniejszą drogę, jeszcze trudniejszą do przejechania.

- To droga do Kalimangu? - zapytał zdezorientowany Bidżu.

— Najpierw musimy podwieźć paru naszych... mały objazd.

Mijały godziny... Dziewiąte osuwisko i dziesiąte.

*

-Ale kiedy dojedziemy do Kalimangu? - zapytał Bidżu. - Przed nocą zdążymy?

- Spokojnie, *bhai*. - Nie sprawiali wrażenia zmartwionych, chociaż słońce szybko zachodziło i z dżungli zaczął się sączyć chłodny wilgotny mrok.

Był późny wieczór, kiedy dojechali do kilku nędznych chat przy drodze ze zrytego błota i głębokich kałuż. Mężczyźni wysiedli i zdjęli wszystkie swoje rzeczy, łącznie z pakunkami i torbami Bidżu.

- Na jak długo się zatrzymujemy?

- Dalej nie jedziemy. Do Kalimpangu możesz sobie iść na piechotę - powiedzieli, wskazując ścieżkę między drzewami. — Skrótom.

Wezbrała w nim panika.

- A jak zabiorę swoje rzeczy?

- Zostawisz je tutaj. Zaopiekujemy się nimi - zaśmiali się. — Prześlemy ci je później.

- Nie — powiedział Bidżu, przerażony myślą, że właśnie się go okrada.

- Zmiataj! - Wskazywali mu drogę.

Nie ruszał się. Liście tworzyły w oddali jedną masę; skrzek zab zamienił się w ten sam dźwięk, który rozrósł się w uchu Bidżu przez telefon tamtego dnia, kiedy zadzwonił do ojca z ulic Nowego Jorku.

Nad nim ciągnęły się góry...

W dole opadały stromo jak w koszmarze, aż do Tisty.

- No już, zmiataj! *Bhago* - powiedział jeden z nich, celując teraz ze strzelby.

Bidżu odwrócił się.

- Ale najpierw oddaj portfel i zdejmij buty. Znów się odwrócił.

- Ma też niezły pasek - rzucił ktoś inny, przyglądając się skórze. - W Ameryce można dostać takie ładne rzeczy. Co za jakość.

Bidźu podał im portfel. Zdjął pasek.

- Zapomniałeś o butach.

Zdjął je. Miał w nich ukryte oszczędności.

- Kurtka. - A kiedy zdjął dżinsową kurtkę, uznali, że nie wzgardziliby dżinsami i T-shirtem.

Bidźu zaczął się trząść i na oślep, potykając się, zdjął ostatnie rzeczy, zostawiając tylko białe majtki.

Tymczasem ze wszystkich *baśń* zbiegły się psy. Były poturbowane i wyłyście od walk i chorób, lecz jak ich panowie miały bandycki wygląd. Otoczyły Bidźu z chuligańską śmiałością, z ogonami wywiniętymi do góry jak flagi, warcząc i szczekając.

Z mroku wyglądały kobiety i dzieci.

- Pozwólcie mi odejść — poprosił.

Jeden z mężczyzn, zataczając się ze śmiechu, ściągnął koszulę nocną z żywopłotu, na którym się suszyła.

- Nie, nie, nie dawajcie mu jej - pisnęła bezzębna starucha, najwyraźniej właścicielka tej części garderoby.

- Niech ją weźmie, kupimy ci nową. Przyjechał z Ameryki. Ma iść na spotkanie z rodziną goły?

Parsknęli śmiechem. I Bidźu zaczął biec...

Wbiegł do dżungli, ścigany przez psy, które najwyraźniej też nieźle się bawiły, szczerząc zęby i kłapiąc pyskami.

W końcu Bidźu minął granicę tego, co psy uznawały za swoją strefę kontroli, znudziły się nim i zawróciły.

Zapadła ciemność i Bidźu usiadł na środku ścieżki — bez bagażu, bez oszczędności, a co najgorsze, bez dumy. Wracał z Ameryki, mając dużo mniej niż kiedykolwiek.

Włożył koszulę nocną. Miała wyblakły wzór w duże różowe kwiaty oraz żółte bufiaste rękawy i koronkowe

wykończenie pod szyją i na dole. Pewnie została starannie wybrana ze sterty na bazarze.

*

Po co wyjeżdżał? Po co wyjeżdżał? Co za głupiec z niego. Pomyślał o Hariśu-Harrym - „Wyjedź, odpocznij i wracaj”. Pan Kakkar z biura podróży ostrzegał go: „Mówię ci, przyjacielu, popełniasz wielki błąd”. Pomyślał o Sajid Sajidzie.

Bidzu spotkał go jeszcze jeden, ostatni raz.

- Bidzu, spotykam taką jedną, siostrę Luftiego, przyjeżdża z Zanzibaru i, bracie, w CHWILI kiedy ją widzę, mówię do Luftiego: „Stary, to jest ta jedna jedyna”.

- No przecież jesteś już żonaty.

-Ale za cztery lata dostanę zieloną kartę i... fsszst... wylatuję stąd... rozwodzę się i biorę prawdziwy ślub. Teraz będzie tylko ceremonia w meczecie... Ta dziewczyna... jest...

Bidzu czekał.

Sajid eksplodował zdumieniem:

-TAKA...

Bidzu czekał.

- CZYSTA!! Pachnie... TAK CUDOWNIE! I rozmiar czternaście. NAJLEPSZY ROZMIAR!

Sajid rozłożył ręce, pokazując mu, jak cudownie wąską talię ma jego druga żona.

- Ale kiedy ją poznałem, nawet jej nie tknąłem. Nawet tak... - Jego palec wysunął się jak wstydlivy ślimak ze skorupki. - Zachowuję się. Kupimy dom w New Jersey. Uczę się na kursie konserwacji samolotów.

*

Bidzu siedział przerażony tym, co zrobił, tym, że jest sam w lesie, oraz tym, że może ci mężczyźni będą go jeszcze gonić. Nie mógł przestać myśleć o tym, co kupił i stracił. O pieniądzach, które schował w butach z podwójnymi podeszwami. O portfelu. Nagle poczuł stare pulsowanie w kolanie, które rozbił, kiedy poślizgnął się na podłodze u Hariśa-Harry'ego.

W Czo Oj u żaby rechotały w szpinakowym łożu w wąwozie i wysoko w zbiorniku z wodą nad drzewami.

- O co chodzi? - zapytał sędzia.

Kucharz otworzył drzwi spowity w tak mocne opary alkoholu, że łzawiły mu, jak od cebuli, oczy. Po wizycie w barze Thapas i po wszystkim, co tam wypił, wrócił do swoich zapasów *czang* i je też wysączył.

- Jeśli byłem nieposłuszny - wybełkotał, podchodząc do łóżka sędziego z zamglonym wzrokiem — niech mnie pan zbije.

- Co? - bąknął sędzia, siadając w łóżku i włączając światło, sam pijany.

Upił się whisky. - Co?

- Jestem złym człowiekiem — zawodził kucharz — jestem złym człowiekiem, *sahib*, trzeba mnie zbić, ukarać.

Jak on śmie...

Jak on śmie, najpierw gubi Mutt, nie znajduje jej, a potem przychodzi tutaj i zakłóca mu spokój, jak on śmie...

- CO TY WYGADUJESZ? - ryknął sędzia.

- *Sahib*, zbij mnie...

- Jeśli lepiej się od tego poczujesz - rzekł sędzia - proszę bardzo.

- Jestem podłym, słabym człowiekiem. Lepiej, żebym nie żył.

Sędzia podniósł się z łóżka. W łóżku był ciężki; kiedy stanął, był lekki. Musiał pozostać w ruchu... Jeśli nie podejmie wysiłku i nie zacznie działać, upadnie. Walnął kucharza kapciem w głowę.

- Jeśli tego właśnie chcesz.

Kucharz padł sędziemu do stóp i chwyciwszy jedną z nich, ze łzami prosił o litość.

- Jestem złym człowiekiem, wybacz mi, wybacz mi...

- Wyjdź - rozkazał sędzia z odrazą, usiłując wyrwać stopę z uścisku. —
Wyjdź.

Kucharz nie chciał tego zrobić. Jeszcze mocniej przywarł do stopy.

Płakał i ślinił się nad nią. Ciekło mu z nosa, ciekło mu z oczu.

Sędzia zaczął okładać go coraz mocniej, żeby ten go puścił. Kopał go i walił pięściami.

- *Sahib*. Ja piję. Jestem złym człowiekiem. Bij mnie.

Bij.

Okładał go, bił go, bił...

- Byłem niedobry - wyznał kucharz. - Piłem jadłem ten sam ryż co wy nie ryż dla służby lecz dehraduński jadłem mięso i kłamałem wyjadałem z tego samego garnka kradłem wojskowy alkohol warzyłem *czang* od lat kręciłem w rachunkach oszukiwałem codziennie na rachunkach moje pieniądze były brudne czasem nawet fałszywe kopałem Mutt nie zabierałem jej na spacer tylko siedziałem przy drodze wypalałem *bidi* i wracałem do domu jestem złym człowiekiem nie interesowałem się nikim i niczym prócz siebie... Bij mnie!

Ta fala złości była sędziemu dobrze znana.

- Ty psie - rzucił - ty oszuście. Jeśli chcesz kary, zaraz ją dostaniesz!

- Tak - łkał kucharz - dobrze. Musi mnie pan zdyscyplinować. Tak być powinno.

*

Sai usłyszała głucho uderzenia i nadbiegła ze swojego pokoju.

- Co tu się dzieje??? Przestańcie. Natychmiast przestańcie. Przestańcie!
— wrzeszczała. — Przestańcie!

- Pozwól mu — rzekł kucharz. — Pozwól mu. On chce mnie zabić. Niech mnie zabije. Cóż warte jest moje życie? Nic. Lepiej będzie, jak się skończy. Nikomu nie jest potrzebne. Nie jest potrzebne ani wam, ani mnie. Zabij mnie! Może przyniesie to panu ulgę. Bo mnie tak. No, już!

- Zabiję cię! Zabiję! - Zabij mnie.

- Zabiję.

*

Kucharz nie wspomniał o synu... nie miał syna... nigdy go nie miał... listy pisała doń nadzieja... Bidźu nie istniał...

*

Sędzia okładał go z całej siły swego obwisłego pomarszczonego ciała, ze zwiotczonych ust skapywały mu kropelki śliny, a broda drżała w sposób niekontrolowany. Lecz ramię, z którego zwisało martwe już ciało, opadało, a ka-pec lądował na głowie kucharza.

*

- Dzieje się coś obrzydliwego - płakała Sai, zakrywając uszy, oczy. — Nie widzicie? Nie czujecie tego? Dzieje się coś obrzydliwego.

Oni jednak nie przerywali.

Wybiegła na zewnątrz. Stała w wonnej humusowej ciemności w swej białej bawełnianej piżamie i poczuła pusty ciężar dnia, własne małe serce, wstręt do kucharza, do jego błagań, nienawiść do sędziego, swój żaloszny egoistyczny smutek, swoją żaloszną egoistyczną bezsensowną miłość...

Odgłosy dogoniły ją jednak, stłumione uderzenia i okrzyki, katowanie kucharza przez sędziego. Czy aby na pewno z powodu Mutt?

A Mutt? Gdzie się podziewała Mutt?

Sprzedano ją rodzinie, która nie mogła jej pokochać, w wiosce za Kurseongiem, zwyczajnej rodzinie płacącej słono za nowoczesność, a dostającej podróbkę. Mutt ich nie obchodziła. Była tylko pojęciem. Dążyli do pewnego ideału, chcieli wiedzieć, jak to jest mieć rasowego psa. Rozczarowała ich tak samo jak nowoczesne życie, przywiązali ją więc do drzewa, kopali...

Sai pomyślała, czy nie przejść przez *dźhora* i nie uciec do wujka Potty'ego...

Który pewnie myślał o ojcu Bootym...

Jak przejeżdża przez most na rowerze, chwiejąc się na wszystkie strony, przez bambusowe zarośla, z kołem sera przywiązanym do bagażnika z tyłu.

Niedługo mieli znowu się zjawić bojownicy z GFVN...

Nie zwracaj na mnie uwagi, skarbie... zamknij tylko drzwi, jak będziesz wychodzić, nie chcemy wizyty chuliganów...

Kiedy wujek Potty się obudził, zdał sobie sprawę, że przepisał swoją posiadłość, a także tę należącą do ojca Booty'ego, nowym właścicielom...

A pani Sen? Pani Sen wydzierała w końcu ów sweter, którego Rajiv Gandhi nigdy nie włożył i który - jak stwierdziły Lola i Noni - gryzłby się z jego brzoskwiniowo-kre-mową cerą kaszmirskiego *pandita*. Jego losy miały się spleść z losami pewnej bojowniczką Tamilskich Tygrysów w sposób dużo bardziej intymny niż wszystko, co mogłaby sobie wyobrazić pani Sen ze swoim żółtym sweterkiem.

A Lola i Noni o tej porze roku przeprowadzały coroczne masakry za pomocą baygonu, kadzidełek przeciw komarom i pacek. Co dwa lata Lola jeździła do Londynu i wracała z zakupami Knorra i bielizną od Marksa & Spencera. Pixie wyszła za mąż za Anglika i Lola o mało nie umarła z zachwytu. „Teraz wszyscy w Anglii chcą się żenić z hinduskimi dziewczynami!”

A Gjan? Gdzie się podziewał Gjan? Sai nie wiedziała, że za nią tęskni...

*

Stała w ciemności i wtedy zaczęło padać, co w sierpniowe noce zdarzało się często. Wysiadł prąd, jak zawsze, telewizory zatrzeszczały i burza poszatkowała program BBC. W domach pozapalano latarnie. Kap, plum, ciurk, krople spadały do garnków i rondli podstawionych pod dziurami w dachu...

Sai stała i mokła. Deszcz uderzał w liście, wpadał do *dźhora* z radosnym pluskiem jak łajno. Deszcz chlapał, a wyśpiewujące swój hymn żaby radowały się milionami, od Tisty aż po Czo Oj u i wyżej, do gór Deolo i Sin-galila. Zagłuszały odgłosy razów zadawanych kucharzowi przez sędziego.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała Sai, lecz w tym hałasie usta nie mogły się skomunikować z uchem; jej serce rozpadło się na kawałki i wyglądało na to, że nie może się skomunikować z umysłem; jej umysł nie mógł rozmawiać z sercem. — Wstydz się... — powiedziała do siebie... Kim była... ona, z przekonaniem o własnej ważności, z żądaniem szczęścia, domagając się go wrzaskiem od losu, od głuchych niebios, krzykami dopominając się przywrócenia radości...?

Jak śmiesz... jak śmiesz nie...?

Dlaczego mam nie mieć...? Jak śmiesz...? Zasługuję... Jej mała chciwa dusza... Jej napady złego humoru i gniewu... Jej łzy wściekłości... Jej płacz, który by wystarczył za cały smutek tego świata, był tylko płaczem nad sobą. Życie nie było jednoznaczne w swym celu... a nawet w swym kierunku... Prostota tego, czego ją nauczono, nie sprawdzała się. Nie mogła już teraz myśleć, że istnieje tylko jedna opowieść i że ta opowieść należy tylko do niej, że zdoła stworzyć własną małą szczęśliwość i bezpiecznie się w niej zaszyć.

*

A co się wydarzy w Czo Oj u?

Kucharz doczłapie do swojej chaty...

Sędzia wróci do swojego pokoju...

Przez całą noc będzie padać. Deszcz będzie chwilami ustawał, lecz gwałtowności tej ulewy dorówna jedynie ta, z jaką ziemia odpowie na tę napaść. Wybuchnie prymitywna zmysłowa zieleń; miasto ześlizgnie się po zboczu. Powoli, mozolnie, jak mrówki, ludzie będą budować swoje

drogi, swoją cywilizację, będą prowadzić swoje wojny, a potem wszystko znów zmyje woda...

*

Wykluje się nowy dzień, szary lub niebieski, z bezchmurnym lub zasnutym niebem. Śniadanie, obiad. Sędzia usiądzie nad szachownicą, a o wpół do piątej, bez namysłu, z czystego przyzwyczajenia, otworzy usta i powie, jak zawsze: „*Panna Lal*, przynieś' podwieczorek”.

I zawsze będzie musiało być coś słodkiego i coś słonego...

Sai stała tam...

Myślała o ojcu i programie kosmicznym. Myślała o wszystkich przeczytanych magazynach „National Geographic” i książkach. O podróży sędziego, o podróży kucharza i Bidżu. O kuli ziemskiej obracającej się wokół własnej osi.

I poczuła pulsowanie siły. Determinacji. Musi wyjechać.

*

Zgromadzenie pełnych nadziei żab nie przestawało śpiewać, nawet kiedy przy słabnącym deszczu pojawiło się na wschodzie słabe światło w kolorze whisky.

Za plecami Sai Czo Oj u wciąż tonęło w mroku. Nie słyszała żadnych odgłosów z domu. Sędzia leżał wyczerpany w łóżku. Kucharz siedział przygarbiony w kuchni, z twarzą wciąż w uścisku koszmaru.

Sai, nieprzytomna z braku snu, odwróciła się, żeby wejść do środka. I wtedy, w chwili gdy się odwracała, uzmysłowiła sobie obecność małego punkcika, ktoś

wspinał się zboczem przez chmury, które wciąż zalegały w dolinie. Zatrzymała się, żeby popatrzeć. Punkcik zniknął między drzewami, pojawił się i znowu zniknął, wyszedł zza załomu góry. Tworzył różowo-żółtą plamkę koloru, która powoli rosła, brnąc przez krzaczaste detonacje dzikiego kardamonu...

Gjan? Pomyślała w przyptywie nadziei. Wiadomość: Mimo wszystko będę cię kochać.

Ktoś, kto znalazł Mutt? Jest... Jest tutaj, żyje i ma się dobrze! Grubsza niż kiedykolwiek!

*

Postać brnęła uparcie do przodu. Ktoś inny. Zgarbiona kobieta mozolnie powłóczyła jedną nogą. Pewnie zmierzała gdzieś dalej. Sai weszła do kuchni.

- Zaparzę ci herbaty - zwróciła się do kucharza całego w śladach po uderzeniach kapciem.

Postawiła czajnik na kuchni, nie mogła sobie poradzić z wilgotną zapalką. W końcu zapalka rozbłysła płomieniem i Sai podpaliła zwiniętą w kulkę gazetę pod patykami.

*

Wtem usłyszeli brzęk furtki. O Boże, przeraziła się Sai, może to ta sama żebraczka, ta, której mąż został oślepiiony.

I znów zabrzączała furtka.

- Ja pójdę - zaoferował kucharz i wstał powoli, otrzepał się.

Doszedł do bramy przez mokre chwasty.

Przy bramie, zaglądając przez czarną koronkę kutego *żelaza*, między omszałymi kulami armatnimi, majaczyła postać w koszuli nocnej.

- *Pita-dzi?* - odezwała się owa postać, cała w kolorach i koronkach.

Nad rozstępującymi się chmurami ukazała się Kan-czendzonga, co o tej porze roku zdarza się tylko wczesnym rankiem.

- Bidzu? - szepnął kucharz... - B i d ż u? - krzyknął jak obłąkany...

Sai wyjrzała przez okno i zobaczyła dwie postaci, które przyskoczyły do siebie po otwarciu bramy.

Pięć szczytów Kanczendzongi ozłociło się tym jasnym światłem, dzięki któremu czujemy, choćby przez chwilę, że prawda jest widoczna.

Wystarczy tylko wyciągnąć rękę i ją zerwać.

Słowniczek terminów i wyrażen

aije — „proszę wejść”

aije, bajthije, khaije - „proszę wejść, usiąść, [może coś] zjeść” *Ajurweda* - dosł. Wiedza [długiego] wieku; system tradycyjnej medycyny indyjskiej *Allahu akbar, la ilaha Ula llah, waAllahu*

akbar-„Allach jest wiel

ki, nie ma boga nad Allacha, Allach jest wielki” *amawas* — nów *ammi* — mateczka

Amrika nahin, bewakuf- „to nie Ameryka, głupcze” *andu* - jajo

Angrez dżajse - „jak Anglicy” *Angrez ke tarah* - „na angielską modłę”

angrezi khana - angielska kuchnia *are* - hej!, a co to?

are... to sunao kahani batao... - „weź i opowiedz - jak to było” *ata*, *atta* - mąka pszenna

baba — ojciec, dziadek (ze szczególnym szacunkiem: *baba-dži*); także: dziecko, mały

bahenćod — siostrójebca; przekleństwo nawiązujące do tabu kazi rodztwa

bajthije - „proszę usiąść”

baku - element tradycyjnego stroju tybetańskiego; sięgające kolan ściągane w pasie wełniane okrycie *bali* - ofiara (często ze zwierzęcia)

Bombaj se aja mera dost- „Z Bombaju przybył mój przyjaciel”

bandar — małpa

banija - kupiec, kupczyk

banjan - figowiec bengalski (*Ficus bengalensis*), święte drzewo hindusów

bap re - „oj, ojczulku”; zwrot używany w chwili zdumienia czy prze-
rażenia

bar bar karta rahta hai — „nic innego, tylko gada głupstwa”

basti — osada; uboga dzielnica

ber — krzew jujuby (daktyl chiński, *Zizyphus jujuba*)

beta - syn, synu

Bhagawadgita — „Pieśń Pana”; święty tekst hinduizmu stanowiący
część VI księgi indyjskiego eposu *Mahabharata* **bhago** - „uciekaj” **bhai** -
brat, bracie

bhai, dekho, ajsa hai - „popatrz, bracie, jest tak, że” **bhaija** — braciszek,
braciszku **bhangra** — żywy, ludowy taniec pendżabski **bharatanatjam**
- klasyczny taniec indyjski

Bhutijowie, Bhutańczycy - lud pochodzenia tybetańskiego stanowiący
większość etniczną w Bhutanie; w Indiach, Nepalu i Siki-mie grupa
mniejszościowa

bidi, biri - tanie indyjskie cygaretki zwijane z liści podrzędnych ga-
tunków tytoniu, odznaczające się ostrym zapachem

bilkul bekar - „absolutnie bezużyteczny”

carom (karom) — rodzaj gry planszowej, „mały bilard”

czang - tybetańskie piwo z jęczmienia

ćahije - „trzeba, potrzeba”

ćalo - „chodźmy”

ćalojar — „chodźmy, przyjacielu”

Candni raten, pjar ki baten — „Księżycowe noce, słowa miłości” **ćapati**
— podpłomyki z niezakwaszonej pszennej mąki spożywane

w północnych Indiach zamiast chleba **ćappale** - proste skórzane
sandały, trepy **ćapta** — spłaszczony, szeroki, rozdeptany

ćarsau bis — dosł. „czterysta dwadzieścia”; obraźliwe określenie suge-
rujące, że adresat wypowiedzi zasługuje na karę zgodnie z brzmieniem
420 paragrafu indyjskiego kodeksu karnego; oszust

ćatni, czatni (ang. *chutney*) - gęsty, ostry sos przyrządzany z kwaśnych owoców i warzyw (jabłka, mango, zielone pomidory), z rodzynkami, cebulą, octem i przyprawami

ćhi-ćhi- „a fe, fuj”

ćhokra - chłopiec; chłopak do posług

coli — bluzka noszona pod sari

ćulha — piecyk z gliny, cegieł, kamieni lub żelaza

óuran — owoce (daktyle) marynowane w zaprawie cytrynowej, po ususzeniu roztarte na proszek; spożywane po posiłkach jako środek na trawienie

ćurbi — kozi ser wytwarzany w Himalajach

ćurwa, ćirwa — przekąska sporządzana na bazie płatków ryżowych, z dodatkiem orzechów, wiórków kokosowych, ostrych i kwaśnych przypraw

dadi - babcia (matka ojca)

dadi ammal - „babciu, mateczko"

dak - dosł. „poczta"; budynek, bungalow „pocztowy" przeznaczony na potrzeby urzędników państwowych w podróży, kiedyś podróżujących w dylizansach

dał — soczewica

dalda saag- jadalne zioło przypominające szpinak; także: rodzaj uprawianej w Himalajach dyni

dari - kilim, dywan tkany z grubej przędzy bawełnianej

Daśahra - „które usuwa dziesięć [grzechów]", jesienne święto (wrzesień—październik) stanowiące kulminację okresu świątecznego Na-waratri [„dziewięć nocy"], obchodzone 10. dnia na pamiątkę zwycięstwa Ramy nad demonem Rawaną

dehati— prowincjonalny; prowincjusz, prostak

desi — krajowy; krajan, swojak

dhanija — kolendra

dhanjawad- „dziękuję"

dhoti - w północnych Indiach element tradycyjnego ubioru męskiego; płat białej tkaniny bawełnianej owijany wokół bioder, luźny koniec przekłada się między nogami zatyka z tyłu za pas

didi — starsza siostra

Diwali — „Święto Lamp”, przypadające na zakończenie jesiennych zbiorów

Durdarśan - indyjska telewizja państwowa

Durga - dosł. „nieprzystępna”, w hinduizmie jedna z manifestacji Wielkiej Bogini Mahadewi, uznawana za małżonkę boga Siwy.

Durga Pudża - „Adoracja Durgi”, jesiennie święto

(wrzesień-paź-dziernik) obchodzone szczególnie uroczyście w Bengalu i przyległych stanach (Asam, Manipur, Orisa, Bihar); w trakcie przygotowań do święta sporządza się wizerunki bogini z gliny, gipsu

i papier-mache, po zakończeniu obrzędów topi się je w Gangesie lub jego dopływach **Dżaj Gorkha** - „zwycięstwo Gurkhom!”

dżalebi - rodzaj indyjskich słodczy sporządzanych ze zmieszanego z syropem ciasta i, po uformowaniu z niego spiral lub kół, smażonych w głębokim tłuszczu

dżamun — właśc. *gulab dżamun* — indyjskie słodczy; rodzaj pączków wypełnianych kremem lub śmietaną i obsmażanych w gęstym, słodkim syropie

dżangli - leśny, dziki

dżao - „idź, odejź; idźcie, odejźcie”

dżawan - młodzieniec; chwyt; szeregowy żołnierz, policjant **dźhora** - strumień płynący w wąwozie

dźi — sufiks dodawany w Indiach do nazwisk, tytułów i terminów pokrewieństwa dla wyrażenia szacunku, niekiedy łączy się z nazwiskami w nierozdzielną całość; odpowiednik polskiego „pan, pani”

dźi huzur - „tak, proszę wielmożnego pana” **ekdam bekar** - „zupełnie na nic”

Fodongthing — imię bohatera kulturowego Lepczów z Sikimu **gadha** - osioł

Gajakwarowie - dynastia władców marackich panująca nad częścią środkowo-zachodnich Indii w XVIII i XIX w. **gauwala** — „ten od krów”; pastuch, prostak **gaz mar raba hai** — „zalatuje gazem”

ghas-phus — zielenina, dosł. trawa i siano **ghi** - topione sklarowane masło

gjakok - w kuchni tybetańskiej obfite danie dla dwu osób: duszone mięso z kurczaka i wieprzowina, z rybami, tofu, jajkami i warzywami

goli - kula, pocisk

gompa — klasztor buddystów tybetańskich **gora** - biały; Europejszyk

gunda - opryszek, zbir

Gurkhowie — górale nepalscy służący od XIX w. w armii brytyjskiej.
Podczas II wojny światowej Gurkhowie odznaczyli się m.in. w bitwie pod Monte Cassino

habśi — Murzyn

habśi bandar - „czarna małpa”

hamara kja hoga - „co z nami będzie? co poczniemy?” *hat*- jarmark połączony z festynem, najczęściej w dzień lokalnie obchodzonego święta religijnego *haweli*— w zachodnich Indiach rezydencja bogatej rodziny kupieckiej,

● charakterystycznej architekturze i bogatej ornamentyce *hota hai*
hota hai - „tak bywa, bywa”

huzur- pan, jaśnie wielmożny pan

Id ul-Fitr - święto zakończenia „miesiąca postów” (ramadanu) *intizam* — metoda, system, organizacja *isztu* - gulasz z baraniny z warzywami

jar - przyjaciel, kumpel, stary; przyjacielu

Jinnah, Mohammed Ali (1876-1948; Dżinnah) — główny rzecznik utworzenia odrębnego państwa muzułmańskiego w Indiach, od 1947 pierwszy gubernator generalny Pakistanu

kaddu - dynia (dynia olbrzymia, *Cucurbita maxima*)

kadźu — orzechy nerkowca

kaka — brat ojca, stryj

kaki — żona brata ojca, stryjenka

Kali - dosł. „Czarna”; Wielka Bogini hinduizmu w groźnym aspekcie, powołana do istnienia, by bronić świat przed zagrażającymi mu demonicznymi siłami

kamalhai- „to zdumiewające”

kanga - prostokątny płat barwnej tkaniny służący w środkowej

1 wschodniej Afryce za ubiór kobiecy, niekiedy także męski *kangha*,

kaćh — elementy tradycyjnego stroju sikhów: grzebień wpinany we włosy i szorty noszone pod spodniami

kanthal — chlebowiec różnolistny (drzewo bochenkowe, *Artocarpus heterophyllus*)

Kańca-Kańci — popularne imię nepalskie (w formie męskiej i żeńskiej), używane w Indiach lekceważąco w stosunku do wszystkich Nepalczyków

[Zakupy] *ke Uje džaenge, bhelpuri khaenge...* dolary *kamaenge* -
„pójdziemy na zakupy, zjemy sobie *bhel-puri...* zarobimy w dolarach”

Khadidża, Chadidża - pierwsza żona Mahometa

Khalistan — dosł. „Kraj Czystych”; nazwa proponowana przez ekstremistów sikhijskich dla państwa sikhów, jakie według ich projektu miałoby powstać pomiędzy Indiami a Pakistanem

khana — jedzenie

khari — kwadratowe lub prostokątne ciastka pieczone z ciasta pszen-
nego ugniatanego z klarowanym masłem; piecze się je również po
wypełnieniu mielonym mięsem

khir — ryż na mleku z dodatkiem cukru, przypraw i orzechów

kihniś- rodzynki

kja - „co?”

kja ćiz — „w czym rzecz? o co chodzi?”

Koi haii Khansama? Uth - „Jest tam kto? Kucharz? Wstawaj!”

kolhapuri— kolhapurski, w stylu miasta Kolhapur (indyjski stan
Ma-harasztra)

kukri — długi nóż o szerokim i charakterystycznie wygiętym brzesz-
czocie używany przez Gurkhów

kurta-padźama — rozpowszechniony w Indiach, Bangladeszu i Paki-
stanie nieformalny strój męski; nakładana przez głowę i wypuszczana
na spodnie luźna koszula bawełniana, rzadziej jedwabna, z kołnierzem
stójką (*kurta*) i luźne spodnie bawełniane przewiązywane w pasie
tasiemką (*padźama*)

kutti — suka, suczka

la — „och!”

la ma ma ma - „och, mamo!”

laddu - rodzaj słodczy; kulki z mąki z grochu włoskiego, z dodatkiem
cukru i masła; składane często w ofierze przez wiernych w
świątyniach

lahanga - długa spódnica przewiązywana w pasie; niekiedy element
stroju ślubnego

hzthi— okuty żelazem kij bambusowy; bambusowa pałka policyjna

Lepczowie - grupa etniczna wywodząca się z pierwotnych mieszkań-
ców Sikimu, dziś mniejszościowa **loki, lauki** - tykwa pospolita (chiński
melon, *Lagenaria siceraria*) **lutu** - prostak, ciołek **ma** — mateczka

maćod-matkojebca; przekleństwo nawiązujące do tabu kazirodztwa

mahsir - *Ania.* indyjska ryba słodkowodna, brzana (*Bambus Mosul*) z rodziny karpowatych

man - tradycyjna indyjska miara wagi, ok. 50 kg

Marwar — region w stanie Radżasthan, skąd wywodzi się wiele rodów kupieckich

marwarski kupiec — w stereotypowych wyobrażeniach krwiopijca żyjący z lichwy

mastar-dźi - pan nauczyciel **mama** — mąż siostry matki, wuj **mausi** — siostra matki, ciotka

mela - dosł. „zgromadzenie”; festyn z okazji święta, niekiedy połączony z jarmarkiem

memsahib - pani (tytuł stosowany wobec osób pochodzenia europejskiego)

mera dźuta hai dźapani [*magar dii hai hindustanā*] - „buty moje są japońskie [ale serce mam indyjskie]” **mijan-bibi** — małżonek i małżonka **mithai** - słodycze

momo - w kuchni tybetańskiej drobne kołduny podawane w rosole

mudźhe dźane do — „pozwól mi odejść” **murdabad!** — „precz [z]!”

murga-murgi - dosł. „kogut-kura”; kury

Nagowie - zbiorcza nazwa plemion zamieszkujących najbardziej na wschód wysunięty skrawek Indii (pogranicze z Birmą, indyjski stan Nagaland)

nakhra — trik, sztuczka, fortel, podstęp; mydlenie oczu

naksalici - promaoistowskie, ekstremistyczne ugrupowanie polityczne działające w północnych Indiach na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku; zwolennicy rewolucyjnej przemocy w rozwiązywaniu palących problemów społecznych; w 1975, po wprowadzeniu stanu wyjątkowego, zdelegalizowane. Do tradycji walki naksali-tów odwołują się działające współcześnie w Nepalu antyrządowe ugrupowania partyzanckie

namaste - dosł. „pokłon tobie”; formuła pozdrowienia wśród hindusów

Nanak, Guru (1469—1539) - założyciel sikhizmu, religii

uniwersalistycznej łączącej w sobie pierwiastki hinduizmu i islamu

nawrattan [curry] — potrawa z warzyw, twarogu, orzechów i rodzynek, z niezbyt ostrymi przyprawami

nim — miodła indyjska (drzewo *Melia azadirachta*, *Azadirachta indi-cd*); z gałązek nimu przygotowuje się patyczki, które, po rozgryzieniu końców, służą tradycyjnie do czyszczenia i wybielania zębów

nimbu - limonka

O, je larki zara-si diwani lagti hai — „Ach, to dziewczę wydaje się nieco szalone”

pakka - dosł. „ugotowany, gotowy, trwały”; o akcencie: doskonale imitujący oryginał

pakory - pierożki nadziewane przyprawianą na ostro pastą grochową, smażone w głębokim tłuszczu

palki — palankin

pallu — skraj, rąbek sari

pan — liść pieprzu betelowego (*Piper betle*); betel, środek pobudzający używany w Indiach do żucia: pokruszone nasiona palmy are-kowej, pasta z gaszonego wapna i tytoń zawinięte w liść pieprzu betelowego

pani sadź — drzewo *Terminalia myriocarpa*

parathy - placki z ciasta pszennego, wielokrotnie przekładanego

parda - dosł. „zasłona, welon”; obowiązująca po dziś dzień w ortodoksyjnych rodzinach muzułmańskich i hinduskich instytucja formalnego odseparowywania kobiet od (obcych) mężczyzn

patrel- potrawa z liści rośliny *Colocassia esculenta*

phata-phat- „szybko, migiem”

phoi — siostra ojca, ciotka

phua - mąż siostry ojca, wujek

pipal- święte drzewo hinduizmu, *Pipal religiosa*

piś-paś— potrawa z ryżu, soczewicy i pozostałości z poprzednich posiłków

pita-dźi- ojciec, ojciec

prasad— dosł. „czystość, przejrzystość”; łaska bóstwa dająca człowiekowi sposobność do wyzwolenia się spod oddziaływania prawa odpłaty za czyny popełnione w poprzednich żywotach; także pokarm ofiarowany przez kapłana bóstwu, a następnie, jako widomy znak jego łaski, rozdzielany ceremonialnie pomiędzy wiernych

pudźa - „adoracja”; w hinduizmie połączony z adoracją bóstwa ceremoniał składania ofiary, zarówno w obrządku świątynnym, jak i domowym (z sanskr.)

puri — cienkie placki pszenne smażone w oleju lub sklarowanym maśle

puri-alu (*alu-purt*) — placek z pszennej mąki nadziewany masą z gotowanych ziemniaków z dodatkiem czosnku i kminku *puri-bhel* (*bhel-puri*) - smażony placek z pszennej mąki podawany z ryżem, soczewicą, cebulą i ostrym sosem *ćatni*

Radźni-bhai, kem ćho? Saru óho? Teme samdźo ćhoi — „Bracie Radźni, jak się masz? Jak ze zdrowiem? Zrozumiałeś?” (język gudźarati)

Raj - jedna z wyższych kastr nepalskich

rasta roko - „zatrzymaj drogę!"; hasło blokady dróg **roti** — zob. ćapati
roti-namak - chleb i sól

sag — zielenina dodawana do potraw, zwłaszcza szpinak **sahib** — pan

sala — dosł. „szwagier"; obraźliwe określenie sugerujące, że wypowiadający je ma stosunek z siostrą adresata wypowiedzi **sala maćod-**
„szwagier matkojebca"

sali-dosł. „szwagierka"; obraźliwe określenie sugerujące, że wypowiadający je ma stosunek z bratem adresatki wypowiedzi

salwar-kamiz - strój kobiecy rozpowszechniony w północno-zachodnich Indiach i północnym Pakistanie, złożony z szarawarów (W-war - z pers.) i tuniki-koszuli (**kamiz** - z arab.) ściągniętej w pasie, rozciętej po bokach i sięgającej niemal kolan

samosa – smażone pierożki, wypełnione mielonym mięsem, rybą albo jarzynami

sardar-dźi — naczelnik; zwyczajowy tytuł używany przy zwracaniu się do sikhów (z pers.)

srikhand - zimny deser przyrządzany z odsączonego jogurtu, z dodatkiem szafranu i pistacji

stiar ka baćća - świński pomiot

swaradź - samorządzenie się, autonomia; hasło umiarkowanych ugrupowań indyjskiej walki o niepodległość

swaradźi - zwolennik/czka uzyskania autonomii

Saki i - dosł. „Moc"; żeńska personifikacja boskiej mocy jako małżonki któregoś z bogów hinduskiej trójcy, zwłaszcza Siwy

śikari - myśliwy

śukrija - dziękuję

tamaśa - uliczne widowisko; farsa, heca

tandur- gliniany piec z paleniskiem otwartym od góry, opalany węglem drzewnym; służy do pieczenia podpłomyków, mięsa, drobiu i ptactwa łownego, ryb

tanduri- potrawa z pieca tandur; kuchnia północno-indyjska, w której dominują potrawy pieczone w piecu tandur

tanka — tybetańskie malowidło na tkaninie

tatti — dosł. „parawan, zasłona”; kupa, ustęp, latryna: idiom „iść za zasłonę” znaczy tyle, co „iść za potrzebą” *thanda khićri* - wystygła mieszanka soczewicy z ryżem; określenie czegoś niesmacznego i niestrawnego

tika - barwny znak na czole kobiety

tikka masala - kotlet barani lub drobiowy w ostro doprawionym sosie

tinda - arbuz (kawon, *Citrullus vulgaris*)

topi — tradycyjne indyjskie nakrycie głowy; rodzaj czapki bez daszka

ullu ka patha — syn sowy, sowisyn (sowa jest w Indiach symbolem głupoty)

Wahe Gurudzi ka Khalsa, Wahe Gurudzi ki Fateh — okrzyk bitewny sikhów: „Bractwo Czystych należy do Boga, do Boga należy zwycięstwo”

windalu — potrawa z mięsa gotowanego z dodatkiem octu winnego i czosnku, doprawiona korzeniami i ostrą papryką

Artur Karp

Kiran Desai (ur. w 1971 roku) - hinduska pisarka od lat żyjąca w Ameryce. Jej debiut **Zadyma w dzikim sadzie** skupił uwagę krytyków, ale dopiero **Brzeźnię rzeczy utraconych** uczyniło ją sławną.

W 2006 roku otrzymała za nie prestiżową Nagrodę Bookcra. Jak dotąd Kiran Desai jest jej najmłodszą laureatką. Rok później została uhonorowana National Book Critics Circle Award.